

SMAKOWITA INTRYGA. SZYBKI MONTAŻ.
Oto mamy nowego wojownika o dobro w polskiej
literaturze kryminalnej. **BRAWO MAŁECKI!**

KATARZYNA BONDA

R O B E R T

MAŁECKI

**PORZUĆ
swój STRACH**



**ROBERT
MALECKI**

**PORZUĆ
swój STRACH**



**CZW
ART
STR
ONIE**



Copyright © Robert Małecki, 2017

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

WYDANIE ELEKTRONICZNE 2017

Redaktor prowadzący: Patryk Mierzwa

Redakcja: Karol Godlewski

Korekta: Barbara Borszewska

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Konwersja: Grzegorz Kalisiak

ISBN 978-83-7976-729-8

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Strach jest oczekiwaniem zła

„Protagoras”, Platon

*Samotność to taka straszna trwoga,
Ogarnia mnie, przenika mnie.*

*Wiesz, mamo, wyobraziłem sobie, że
że nie ma Boga, nie ma, nie!*

„List do M.”, Dżem

słowa: Dorota Zawiesienko, Ryszard Riedel,

muzyka: Beno Otręba

Mamie i Tacie – bo tak wiele dzięki Wam, Kochani

PROLOG

Zamiast mdłego odoru zwłok, które leżały w płytkiej mogile, czuł intensywny zapach lasu.

Woń była gęsta i lepka jak mokra ziemia, którą przed chwilą odgarnął z folii przykrywającej ciało. Odsłonił tylko twarz i nie zamierzał więcej, tyle wystarczyło.

Wzrok przyzwyczał się do ciemności i dzięki temu wylapywał coraz więcej szczegółów, mimo że on wolałby w ogóle niczego nie widzieć i być gdzieś daleko stąd. Tymczasem klęczał w rozkopanej i zimnej glebie, która kleiła się do łydek i kolan.

Burza już przeszła, jednak nabrzmiałe krople deszczu wciąż sączyły się z gęstych koron sosen zawieszonych wysoko nad nim, obmywając twarz kobiety z resztek ziemi. Poznał jej prosty nos, zapadnięte policzki i dołek w brodzie. Białka jej oczu błyszczały jeszcze, a nieruchomy wzrok wpatrywał się w czarne niebo i księżyc. Wąskie usta były otwarte jak do krzyku. A może chciała tylko zaczerpnąć powietrza. Ostatni raz.

Pod paznokciami wciąż czuł ziarna piachu. Mimo nocy wpatrywał się w swoje brudne ręce i pytał sam siebie, jak mogło do tego dojść.

Nie wytrzymał.

Nie teraz, tylko wtedy.

Nie tak wyobrażał sobie ostatnią z nią rozmowę.

Pamiętał, że nawrzeszczał na nią, kiedy zaczęła pleść bzdury. Obojgu puściły nerwy. Miał wrażenie, że oszalała, że mówi rzeczy, których normalnie nigdy by nie powiedziała. Ale teraz wiedział, że jej zachowanie nie było oznaką szaleństwa. Po prostu chroniła swoją tajemnicę. To on stracił nad sobą panowanie, to jemu, w zalewie złości, urwał się film.

Niepoczytalność, tak mogliby to zakwalifikować.

Nie pocieszał się, bo wciąż nie wiedział, co powie żonie, której nie widział od sześciu lat, chociaż stale z nią rozmawiał, i która w najtrudniejszych chwilach zawsze była obecna w jego głowie. Zastanawiał się, w jakie słowa ubrać to, co się wydarzyło, i jak przyznać się do tego, co zrobił.

Powoli – jakby wstawał od konfesjonału, jakby to spotkanie ze zwłokami miało go rozgrzeszyć – podniósł się, zabrał oparty o pień szpadel i ruszył na sztywnych, uwalanych ziemią nogach w stronę polany oświetlanej blaskiem księżyca. Pomruk burzy dochodził teraz znad Torunia.

Długie włosy przykleiły się do szyi, a wilgotne ciuchy potęgowały wrażenie chłodu. Po policzkach spływały krople deszczu – chociaż może to wcale nie był deszcz – a w trampkach woda chlupała przy każdym kroku. Czuł, jak drżą mu wszystkie mięśnie, i dobrze wiedział, że to nie z powodu zimna. Znowu panicznie się bał. Znowu strach kazał mu uciekać. Tym razem jednak uciekał przed samym sobą. Dlatego nie mógł się zatrzymać. Nie zamierzał się odwracać i

spoglądać nieco dalej w mrok, między grube pnie sosen, tam gdzie znalazł ją w płytkim grobie.

I wtedy to sobie przypomniał.

Widział to wcześniej, jednak nie zareagował. Pochłonęło go odrzucanie szpadlem ciężkiej, wilgotnej ziemi, a potem usuwanie jej rękoma. Po prostu był zbyt wstrząśnięty tym, co robił.

Przyspieszył, ale strach wciąż dotrzymywał mu kroku. Słyszał swój krótki, płytki oddech, czuł uderzenia serca, które rozchodziły się falą po całym ciele. Zacisnął bezwiednie dłonie na stalowym trzonku szpadla.

Za odkopanym grobem świeża ziemia skrywała jeszcze jedno ciało.

Zatrzymał się i odwrócił.

A co, jeśli leży tam...

Nie.

Nawet tak nie myśl, rozkazał sobie.

I odszedł.

WCZEŚNIEJ

WTOREK

16 SIERPANIA 2016 ROKU

1

Obserwował ją kątem oka od chwili, gdy weszła do redakcji.

Słuchawkę telefonu stacjonarnego przytrzymywał między uchem a ramieniem i starał się słuchać. Na blacie oprócz gazet leżały notes i długopis, z których jak dotąd nie zrobił użytku. Monolog zdenerwowanego ojca trwał już kilka minut, ale Marek Bener wiedział, że w takich chwilach musi dać człowiekowi czas, żeby się wygadać, więc spokojnie słuchał, chociaż bardziej skupiał się na tym, co widzi.

Dziś to już trzecia z kolei.

Dziewczyna zatrzymała się przy biurku Aldony Terleckiej, prawej ręki Benera, a oficjalnie sekretarza redakcji „Echo Torunia”, tygodnika, który Marek powołał do życia trzy lata temu.

Patrzył więc na obie kobiety. Aldona była nieco wyższa, szczuplejsza, piękna jak króliczek „Playboya”. Zauważył, jak skinęła głową w jego stronę. Młoda odwróciła się i wtedy mógł przyjrzeć się jej twarzy. Gładkiej, owalnej buzi pozbawionej makijażu, z dużymi oczami, ale bez żadnych znaków szczególnych. Sylwetkę dziewczyny określiliby jako pełną. Nie była gruba, mogła mieć co najwyżej lekką nadwagę, którą maskowały zwiewne, luźne czerwone spodnie i granatowa bluzka z krótkimi rękawkami.

Uśmiechnęła się smutno i ruszyła w jego stronę. Stres ją zżera, pomyślał Bener i przygotował się do rzucenia jakiegoś żartu na powitanie, dyskretnego podrywu, żeby nie wypaść z formy. Jakieś szmery bajery i bajki o siedmiu zbójcach, żeby sam poczuł się lepiej w pierwszym dniu pracy po długim weekendzie, naładował energią do wieczora, a poza tym ośmielił dziewczynę przed czekającą ją rozmową kwalifikacyjną.

Za młoda na etat, ale w sam raz na staż, pomyślał, gdy stanęła przed jego biurkiem, trzymając przed sobą oburącz kolorową teczkę.

Uśmiechnął się do niej i mrugnął okiem – o tak, ocieplanie wizerunku i flirt towarzyski miał w małym palcu – a zaraz potem dał jej znak, by zaczekała. Skinęła grzecznie głową, a on wskazał kąt newsroomu, w którym stały dwa fotele i stolik zarzucony lokalnymi gazetami z ubiegłego tygodnia. Poczekał, aż dziewczyna się odwróci i ruszy w tamtą stronę. Z przyjemnością odprowadził ją wzrokiem.

Kiedy usiadła, Bener zerknął przypadkiem na Aldonę i już wiedział, że go przyłapała. Znał ten jej pełen politowania uśmiech już od dobrych kilku lat. Ich znajomość nie zaczęła się różowo, ale później krzywa rosła i było tylko lepiej.

W 2013 roku, kiedy po dramatycznych przeżyciach zrezygnował z roboty w „Gazecie Miejskiej”, redakcja całkowicie się rozsypała. Bener nie zamierzał jednak rezygnować z dziennikarstwa. Tylko to umiał i tylko temu tak naprawdę chciał się poświęcić. Założył swój tygodnik. Bezplatny, miejski i mocno toruński. Żaden tam lajfstajl albo inne modne, ciężkostrawne łajno poświęcone kulturze czy motoryzacji. W

miejskiej tkance czuł się jak ścierwica mięsówka na padlinie i tylko tak zamierzał pracować. Oczywiście miał świadomość, że tygodnik to nie dziennik i że nie mógł z lokalnymi gazetami konkurować na newsy, ale przynajmniej rozkładał je na łopatki tym, że kiedy one ważne tematy porzucały, bo łamy trzeba było zapychać coraz to nowszą treścią, „Echo Torunia” mogło prezentować czytelnikowi syntetyczne wiadomości poprzedzone rzetelną analizą. Bener dbał o przedstawianie każdej ze stron konfliktu, a jeśli tekst nie spełniał tych wymogów, lądował w koszu. Być może dlatego eksperci wypowiadali się na łamach chętnie i obszernie.

„Echo” szybko rosło w siłę, rzetelna dziennikarska robota broniła się sama. Dość, że w piątki na większości skrzyżowań kierowcy sami wyciągali ręce do gazeciarzy, ubranych w granatowe uniformy z logo tygodnika na piersi. Dzięki swej popularności gazeta była też dobrym nośnikiem reklam, więc jej budżet składał się właściwie sam, nie licząc drobnej wpadki z kwietnia tego roku, kiedy w ostatniej chwili wycofał się znany sklep z elektroniką. Mimo podpisanego zlecenia na półroczną kampanię firma wstrzymała druk czterostronicowych wkładek do czasopisma. Wtedy Benera przycisnęło, ale i z tym był w stanie sobie poradzić. Zresztą szybko znalazł nowego reklamodawcę. W końcu nie był naczelnym tylko z nazwy. Stanowisko nie wbijało go w pychę, ale jednak dawało poczucie, że wreszcie ma pełną kontrolę nad swoją pracą i nie musi martwić się tym, że ktoś patrzy mu na ręce. Parł więc do przodu tak zawzięcie, że w ostatnim numerze wrzucił na drugą stronę dwa ogłoszenia. Jedno o naborze do zespołu

redakcyjnego, a drugie z ofertą stażu. I teraz młodzi zaczęli się schodzić. A raczej młode, co cieszyło go jeszcze bardziej.

Kreśląc długopisem kółka i nieregularne kształty w rogu pierwszej strony poprzedniego wydania „Echa”, Bener znowu spojrzał na przybyłą niedawno dziewczynę, która rozmawiała przez telefon.

Tygodnik dosłownie wpisał się w miasto. I nie była to tylko zasługa Marka. Od samego początku pracowała nad tym także Aldona Terlecka, córka toruńskiego króla stali, z którym zresztą była śmiertelnie skłócona. Z dziennikarskiej poczwarki przeistoczyła się w świadomego tej roboty reportera.

Chwilę później dołączył do ich zespołu fotoreporter Radosław Rak, którego Bener też poznał w „Miejskiej” i z którym dobrze się rozumiał mimo różnicy lat. Teraz, po długiej rehabilitacji spowodowanej groźnym wypadkiem, Radek znowu mógł robić to, co kochał najbardziej. Bener ucieszył się, że kolega przyjął jego ofertę. Gdyby nie sprawy, w które trzy lata temu zaangażował Raka, nie byłoby tragedii na drodze, krótkotrwałej śpiączki i sztywnej już na zawsze nogi.

– No i co pan o tym sądzi? – dotarł do niego głos z słuchawki. Bener wisiał na linii z mężczyzną, który prosił, by dziennikarz zajął się poszukiwaniem jego córki. Zdążył podać Benerowi kilka faktów z minionej doby, ale Marek część informacji musiał chyba puścić mimo uszu, gdy wpatrywał się w apetyczny tyłeczek potencjalnej stażystki.

– Panie Krzysztofie, nie wiem – Bener próbował wybrnąć z sytuacji. Liczył, że gość powtórzy swoją kwestię.

– Spotkamy się w tej sprawie? Obiecuję, że nie będzie pan żałował. Jeśli chodzi o pieniądze, to...

– Kiedy?

– Najlepiej teraz. Ja nie mogę dłużej czekać. Chodzi o moją córkę! Bener westchnął.

Mimo otwartych okien powietrze w redakcji stężało i trwało tak w nieznośnym bezruchu.

Wcześniej Marek zauważył, że dziewczyna co rusz zerknęła na zegarek, a teraz podniosła się z fotela i minęła jego biurko, nawet nie spoglądając w tę stronę. Kiwnął na nią, ale go nie zauważyła. Podeszła do Aldony i przekazała jej coś, co było w teczce. Pewnie CV. Bener siedział za daleko, by być tego pewny. Aldona coś jeszcze do niej powiedziała i dziewczyna wyszła. Terlecka spojrzała na Benera. Ten rozłożył bezradnie ręce i wskazał na słuchawkę. Aldona bezgłośnie powiedziała „później”, po czym odwróciła się do monitora. Po chwili wstała, wzięła torebkę i zniknęła, zostawiając otwarte drzwi. Przeciąg poruszył rozgrzane powietrze, a część papierów sfrunęła z biurka na podłogę.

– To jak będzie? – nie odpuszczał ojciec zaginionej licealistki.

Poszukiwanie dziewczyny wydawało się Benerowi znacznie ciekawsze niż opisywanie wyczynów recydywisty gwałciciela i mordercy w jednej osobie, którym obecnie zajmowały się wszystkie toruńskie media. Bo zaginięcie to inna bajka. Ze względu na osobiste doświadczenia Bener nie był w stanie bagatelizować takich historii. Nie umiał przejść obojętnie wobec strachu, który zaglądał w oczy

bliskim zaginionej osoby. Wiedział, co czuła rodzina, jakie myśli przychodziły w takiej chwili do głowy, i że nawet w największym zwątpieniu tliły się resztki nadziei, która nigdy nie gaśnie, aż do śmierci zasilana jakimś niewidzialnym paliwem, ukrytą mocą. A może nie? Może chodziło o zwyczajną słabość i wyparcie prawdy o tym, że trupem pożywiają się wężorze lub robale?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie i pewnie również z tego powodu nie umiał odmówić zdesperowanym ludziom szukającym swoich bliskich. Odczuwał wewnętrzną potrzebę, moralny nakaz i jednocześnie jakąś cholerną presję. Wszystko dlatego, że swoją walkę przegrał.

Czy to właśnie osobista porażka pchała go do zajmowania się zaginięciami?

W myślach natychmiast mignęła mu uśmiechnięta twarz Agaty. Jego żony, która sześć lat temu przepadła bez wieści. Ostatni raz widział ją 1 listopada 2010 roku. Parę dni później jej samochód odnaleziono na leśnej drodze tuż przy wylotówce na Łubiankę. Nie było żadnych śladów, najmniejszego znaku, niczego, co mogło być dla policji jakimkolwiek punktem zaczepienia.

Tęsknił za nią. A właściwie to tęsknił za nimi obiema, bo Agata była w szóstym miesiącu ciąży. Spodziewali się córeczki.

– Będę za kwadrans – odpowiedział sucho, usłyszawszy adres, pod którym miał się spotkać z ojcem zaginionej.

Odłożył słuchawkę i czekał nie wiadomo na co.

Zapatrzył się w wygaszony monitor, w którym jak w lustrze

odbijała się jego szara twarz z posiwiałym kilkudniowym zarostem. Bener zwrócił uwagę na coraz wyraźniejsze bruzdy, ciągnące się przez czoło, i fałdy skóry pod powiekami. W oczach nie dostrzegał już pustki. Czy to dlatego, że pogodził się z odejściem Agaty? Czy tak właśnie wyglądały adaptacja i akceptacja? Nic z tych rzeczy. W swoim spojrzeniu Bener zauważył coś znacznie gorszego, do czego nie miał odwagi przyznać się nawet przed samym sobą.

Strach.

Strach przed tym, że obraz Agaty w jego pamięci staje się coraz mniej wyraźny. Stopniowo wyparowywały również jej głos i zapach. Marek drżał na myśl, że pewnego dnia się obudzi, a wspomnienia Agaty już przy nim nie będzie, że zniknie dokładnie tak, jak sześć lat temu zniknęła z życia Benera ona sama. I znowu nic nie będzie umiał z tym zrobić.

Wstał, związał w kitę długie włosy, a potem schował do kieszeni dwie komórki. Zerknął jeszcze raz na swoje odbicie w monitorze, chciał nawet coś powiedzieć, zmieszać się z błotem, skłąć, jak to robił wielokrotnie, gdy oskarżał się o zaniechanie poszukiwań żony.

Zamiast tego przygryzł policzek i po prostu zszedł sobie z oczu.

Ucieczkę opanował do perfekcji.

2

– Chryste Panie, to są rzeczy niepojęte, kurwa mać!

Siedzieli w granatowych, prostych fotelach w przestronnym, klimatyzowanym i nowocześnie umeblowanym gabinecie Krzysztofa Żelaznego. Oddzielał ich niski stolik, na którym stały duże filiżanki pełne parującej kawy. Mimo zaciągniętych rolet do pomieszczenia przedostawały się promienie sierpniowego słońca. Wnętrze tonęło w złotej poświacie. Budynek stał frontem do ulicy Polnej, przy której jak grzyby po deszczu powstawały kolejne brzydkie hale i biurowce, w których pracowali smutni ludzie, a na płotach wisiały szare reklamowe szmaty. Nie lubił tej dzielnicy, nie miała dobrego ducha.

W zawieszonym na ścianie telewizorze trwała transmisja igrzysk olimpijskich w Rio. Bener dostrzegł dwie dziewczyny w białoczerwonych strojach, które trzymały wiosła, w tle woda odbijała obraz błękitnego nieba z nielicznymi chmurami. Głos był przyciszony.

– Jest człowiek i nagle bach! I już nie ma człowieka – kontynuował Krzysztof Żelazny.

Bener przeniósł na niego wzrok. Mężczyzna siedział zgarbiony. Kiedy mówił, tryskał śliną, która zbierała się też w małą kroplę na środku dolnej wargi. Gestykulował przy tym, jakby głuchemu objaśniał działanie słuchawek.

– Czy pan wie, co my czujemy, psiakrew?

Redaktor się nie poruszył, ale poczuł, jak powieka prawego oka zaczyna ulegać impulsywnym drobnym skurczom. W porę opanował tik i przełknął ślinę, a wraz z nią ciętą ripostę.

– To znaczy, wiem, że pan wie – zreflektował się Żelazny. – Ale nie o to chodzi. Ech... ja niepotrzebnie o tym. – Schował twarz w dłoniach.

Bener spojrzał w swój notes. Na nowej kartce nagryzmolił nazwisko rozmówcy, które podkreślił kilkukrotnie, tworząc grubą krechę. Do tej pory jednak z bezładnej paplaniny nie wyłowił niczego interesującego. Jedynym plusem tej rozmowy było to, że Żelazny znów miał okazję się wygadać, a w tym samym czasie Bener mógł obserwować jego ruchy i mimikę oraz wyrobić sobie zdanie na temat faceta, z którym widział się pierwszy raz w życiu.

Dowiedział się, że Żelazny jest właścicielem spółki z branży informatycznej, co brzmiało enigmatycznie, ale na tym etapie nic więcej Bener nie musiał wiedzieć, a poza tym bał się, że nie zrozumie. Facet nie narzekał na brak pieniędzy, a jedynie na to, że nie miał kiedy ich wydawać. Nie powiedział tego wprost, ale Bener wyczytał to między wierszami jego długiego monologu. Żelazny zaczął spotkanie od propozycji stawki, która przeszła najśmielsze oczekiwania dziennikarza, i ten tylko dlatego pokręcił głową, co biznesmen opacznie zrozumiał jako wyraz dezaprobaty. Dołożył kolejne sześć tysięcy do puli i czekał, aż Bener przedyktuje mu numer konta. Kuszące, ale Marek się powstrzymał. Najpierw chciał rzetelnie poznać problem i zdecydować, czy w ogóle zajmie się zaginięciem jego córki.

Wtedy właśnie Żelazny przeszedł w tryb nadawania, a on słuchał.

Facet mógł mieć pięć dych na karku, mieszkał z rodziną w Złejwsi Małej, w połowie krajowej osiemdziesiątki, między Toruniem a Bydgoszczą. Droga przebiegała przez lasy i wsie ciągnące się wzdłuż prawego brzegu Wisły.

Żelazny miał żonę, syna starszego o dwa lata od zaginionej córki, kilka nieruchomości i tyle samo ledwie widocznych zmarszczek na twarzy, bo jego skóra wchłaniała najlepsze kremy i świeciła zdrowym blaskiem. Gładko ogolony i szczupły, dobrze prezentował się w niebieskiej koszuli z wywiniętymi rękawami, która współgrała z kolorem oczu i krótko przystrzyżoną blond fryzurą zaczesaną na bok z wyraźnym przedziałkiem. Na nogach miał białe spodnie, a gołe stopy, które pokrywała sieć niebieskich żył, wsunął w granatowe mokasyny z białymi sznurowadłami. Wyglądał jak Szwed na wakacjach, przynajmniej tak się Benerowi skojarzyło. W porównaniu z jego wymiętym T-shirtem, znoszonymi czerwonymi trampkami sięgającymi za kostkę i wytartymi dżinsami za kolano, Żelazny prezentował się jak model na wybiegu.

– Kiedy córka ostatni raz się z panem kontaktowała? – Dziennikarz zamierzał przeprowadzić tę rozmowę po swoim. Sięgnął po kawę.

– W niedzielę, jak już mówiłem. – Biznesmen potarł skroń. – W niedzielę po południu Monisia szykowała się na imprezę urodzinową koleżanki, przyjaciółki bardziej, takie dwie papużki nierozłączki, wie pan. – Dłonie złożył w ptasie dzióbki i pokłapał nimi. – Zapytałem, czy jej nie odwieźć, ale powiedziała, że Michał, znaczy się mój syn, ją

podrzuci. Nie wtrącałem się, zaoferowałem tylko, żeby zadzwoniła, to ją odbiorę.

– A gdzie mieszka jej koleżanka?

– Niedaleko, w Zaroślu Cienkim. Nie wiem dokładnie, może trzy, cztery kilometry od nas. Ale przecież Monisia nie będzie nocą szła sama przez te lasy, prawda?

– A syn? Mówił pan, że ją podwiózł. Nie mógł jej zabrać?

– Miał inne plany, zresztą jest starszy. No i to chłopak, więc wie pan, nie wiedziałem nawet, czy wróci na noc. – Żelazny ostatnie zdanie prawie wyszeptał, jakby zdradzał pilnie strzeżoną tajemnicę. Chrząknął i kontynuował już normalnie: – Nie chciałem mu niczego narzucać. To tak blisko, mówię sobie, podjadę, po cholere jeszcze chłopaka w to angażować.

– Umówiliście się z córką na konkretną godzinę?

– Nie no, wie pan, ona chciała się pobawić – uśmiechnął się. – Ta koleżanka, przepraszam, przyjaciółka, zaprosiła chyba całą klasę plus kilku miejscowych z okolicznych wiosek. Jej rodzice wyjechali, chata była wolna, więc wiadomo. No jak to młódzież, no co mam panu powiedzieć? – Odwrócił głowę i spojrzał w telewizor, ale równie dobrze mógł patrzeć w ścianę obwieszoną licznymi certyfikatami.

– Długo pan czekał? – Bener przestał notować.

– Siedziałem do dwunastej chyba. Przeglądałem firmowe raporty, więc szybko mi zleciało. Potem położyłem się w salonie na sofie. Na chwilę, chciałem rozprostować plecy. Włączyłem telewizor, żeby się zorientować, co tam nasi w tym Rio wyprawiają, i nagle kurczę

odleciałem. Nie wiem kiedy. Po prostu przymknąłem powieki i już mnie nie było.

– A potem?

– Obudziłem się, spojrzałem na zegarek. Była druga. Zadzwoiłem do Monisi, ale nie odbierała. No to mówię sobie: spokojnie, chłopie, przecież jest zabawa, jest muzyka, głośno jest, więc nie słyszy pewnie, albo od ojca przy koleżankach odbierać nie chce, bo przecież to wstyd. Obciach, jak to mówią, siara. Wziąłem prysznic, położyłem się do łóżka obok żony, bo ona już wcześniej poszła spać. Telefon zostawiłem na szafce nocnej. Zadzwoi, to ubiorę się w pięć minut, i tyle.

– Ale nie zadzwoniła. – Bener upewnił się, że dobrze zapamiętał ten fakt z telefonicznej relacji Żelaznego, a ten to potwierdził.

Dopytał jeszcze o poranek. Mężczyzna stwierdził, że wstali z żoną około siódmej. Poszedł do pokoju córki, uchylił drzwi i wtedy pierwszy raz prąd przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa. Zadzwoił do niej, ale tym razem zgłaszał się automat, który – jak to określił – „aseksualnym kobiecym głosem dukał znaną formułkę”, o tym, że abonent jest czasowo niedostępny.

– A syn wrócił?

– Tak. Spał twardo, bąknął tylko, że zostawił Monisję na urodzinach, wszedł na krótko na imprezę, złożył życzenia i pojechał dalej. Potem już jej nie widział, nie dzwoniła do niego ani on do niej.

– Zauważył coś?

– Kiedy? – Żelazny rozłożył ręce.

– Na urodzinach.

– A skąd! Przecież mówię, że wpadł tylko na chwilę. Zresztą on poza tą przyjaciółką Monisi nikogo tam nie znał.

Bener odnotował i zadał kolejne pytanie:

– Co wtedy zrobiliście?

– Pojechaliśmy natychmiast do Patrycji.

Pierwszy raz usłyszał to imię, więc podniósł brwi.

– To ta jej przyjaciółka od urodzin – wyjaśnił biznesmen i przeczesał palcami nienagannie ułożone włosy. – Dziewczyna wyszła zaspana, część osób jeszcze polegiwało u niej po imprezie, ale Monisi nigdzie nie było. Patrycja nie wiedziała, kiedy wyszła.

– Jak to?

Żelazny dotknął palcami szyi w wymownym geście i wzniósł oczy do sufitu.

– Ledwie na nogach stała. Popijawa musiała być jak na wiejskim weselu. Jak sobie o tym pomyślę, to aż mi ciarki po plecach chodzą.

– Czy córka – jej imię nie przechodziło Benerowi na razie przez gardło, nie chciał na tym etapie wywoływać w sobie żadnych emocjonalnych więzi – wracała wcześniej pijana z innych imprez?

Żelazny się obruszył.

– No co pan? Nigdy!

Bener zapisał słowo „alkohol”, a po myślniku: „łoi często”.

– Żadnego alkoholu, żadnej trawki, ani grama dopalaczy? – dopytał.

– Niech pan nawet tak nie mówi – skrzywił się Żelazny. – Monisia tego gówna do ust by nie wzięła. Jest rozsądna, wiele razy

rozmawialiśmy na ten temat.

„Oprócz chlania możliwe dragi”, dopisał.

– Ale wypić chyba mogła? – Bener nie chciał bawić się w ciuciubabkę.

– Zakonnica nie jest, jednego czy dwóch piw pewnie by nie odmówiła, czy tam jakiegoś małego drinka albo winka, ale żeby na miękkich nogach wracać do domu, to absolutnie nie. Wiem, bo sam ją odbierałem po nocach z różnych imprez.

– Często się bawiła?

– Czy często? – Przymknął jedno oko. – No, teraz latem to ze dwa razy gdzieś była, a w roku szkolnym to tylko na urodzinach. Może raz na dwa miesiące. Nawet nie wiem, czy tyle. Maturę przecież miała, więc to nie po drodze z zabawą jest.

– A chłopak? Miała kogoś?

Żelazny złożył ręce jak do modlitwy.

– Miesiąc temu zerwała z takim jednym, pożał się Boże, pierdołą rzewną. Chryste, kurwa, jak on miał na imię? – Pstrykał palcami. – O! To był Oliwier!

– Ona zerwała?

Zawahał się.

– No tak myślę, przecież ten chłopina, ten Oliwierek, miał dwie lewe ręce, zerwać z dziewczyną by nie umiał. Musiałby najpierw skonsultować się z matką, może Pana Boga zapytać o zdanie, zresztą chuj go tam wie.

Ewidentnie młodzian zalazł Żelaznemu za skórę, Bener zrobił

odpowiednią notatkę. Dowiedział się, że dziewczyna poznała go na spotkaniu oazowym w kościele. Chciał zanotować numer do Oliwiera, ale Żelazny nie miał go w telefonie, prędeż już gdzieś w szpargałach w domu. Podał tylko jego nazwisko, nie wiedział nawet, gdzie dokładnie chłopak mieszka. Bener zapytał o nowych znajomych Moniki, w tym o tych ostatnio poznanych, ale trafił jedynie na wzruszenie ramion. Spisał jeszcze dane do przyjaciółki dziewczyny, tej, która wyprawiała urodziny. Z tym na szczęście poszło łatwiej. Dowiedział się też, że Monisia skończyła właśnie V LO i za miesiąc z niewielkim okładem zacznie studiować politologię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika.

Żelazny co rusz spoglądał na zegarek.

– No gdzie ona jest do cholery? – spytał bardziej siebie niż Benera, chwycił za telefon i przemaszerował do biurka.

Dziennikarz przypomniał sobie, że gdy witał się z Żelaznym, mężczyzna stwierdził, że jego żona zaraz przyjedzie. Pracowała razem z nim w firmie, ale musiała wybrać się do klienta. Bener to także odnotował. Był zdziwiony faktem, że zaginięcie córki tak niewiele zmieniło w trybie życia jej rodziców. Żelazny siedział w robocie, żona też, oboje załatwiali bieżące sprawy. Śmierdziało to na odległość. Postawił przy tym wątku kolejny znak zapytania.

– Co z tobą? Bo my tu z panem Benerem już wszystko ustaliliśmy... No rozumiem... Daj mi spokój, ja nie mam teraz głowy do tego, kobieto! – Znowu zaczął gestykulować. – Rzuć to w cholere... No oczywiście, że poczekamy.

Rozłączył się.

Porozmawiali jeszcze chwilę o córce Żelaznego. O jej zainteresowaniach („no takie przeciętne, jakiegoś bloga chciała prowadzić, coś z papieru robiła, origami, czy chuj tam wie co”), o muzyce („takiej zwyczajnej słuchała, skocznej takiej”), o znajomych („ja to ich tak dobrze nie znałem”), o sukcesach w szkole („zawsze, ale to zawsze świadectwo z paskiem przynosiła”) i ulubionych przedmiotach („kiedyś to o matematyce mówiła, ale teraz języki na topie, więc wymyśliła sobie dodatkowy hiszpański. A może kurwa włoski?”), a także o korzystaniu z komputera i mediów społecznościowych („no jakieś tam konta gdzieś miała, to wiem na pewno”). Bener dotrwał tak do ostatniego punktu programu.

– Żeby mógł zacząć jej szukać, potrzebuję jeszcze jednego.

– Niech pan pyta, jak widać, nie uchylam się od odpowiedzi.

Bener ukrył uśmiech, wykrzywiając usta, i spojrzał Żelaznemu prosto w oczy.

– Chodzi o zdjęcie.

– No przecież! – Żelazny wstał, podszedł do komputera. – Zaraz znajdę.

Szperał w nim dłuższy czas, myszka kreśliła kółka na podkładce.

– Już, już! – stwierdził, chociaż Bener wcale go nie ponaglał. – W komórce pewnie mam!

Żelazny sięgnął po smartfon i po chwili podszedł do Benera, stanął z boku, skierował w jego stronę wyświetlacz.

Bener podniósł się.

Spojrzał na zdjęcie, ale nie wierzył. Nie mógł uwierzyć w to, że takie rzeczy dzieją się naprawdę. Wydał wargi i czekał na ekipę filmową, która wpadnie tu z kamerą i kwiatami, a on powie wtedy tej uśmiechniętej dziennikarce, tej pindzie w szpilkach, jak dał się wkręcić podstawionemu biznesmenowi, i że to wszystko jest takie kurwa śmieszne, że zdążył się już zlać w gacie, ale jeśli chwilkę poczekają i zostaną na wizji, to obiecuje po sobie posprzątać!

– Co to jest? – spytał, czując, że krew wrze mu w żyłach.

– No... wiem. Bo trochę nieostre, nie?

Złapał oddech i potarł brwi.

– Nie, że nieostre. To akurat byłby najmniejszy problem. – Próbował zapanować nad emocjami.

– No bo te baby – wycedził Żelazny – to wie pan, żeby im zrobić zdjęcie, to trzeba by sesję fotograficzną opłacić, bo inaczej to ona się chowa, udaje, że się wstydzi, ucieka. A jak już się dała namówić, jak już ją grzecznie ubłagałem, to potem był etap selekcji. „To tak, to nie, to nie wiem, ale chyba nie”. I wszystkie mi kasuje. Tu źle, bo grube udo, tam za szerokie biodro, tu krzywy uśmiech, tam cholera wie co jeszcze. No mówię panu, mam z tym wszystkim urwanie jaj, do chuja Pana Naszego!

Znowu na jego dolnej wardze, która układała się w literę „V”, zebrało się trochę śliny, kilka jej drobinek wylądowało na jego komórcie, jedna na dłoni Benera. Albo tak mu się wydawało. Mimo to wsadził rękę do kieszeni, żeby ją niepostrzeżenie wytrzeć, a następnie spojrzał w ekran na czarną jak noc postać, która siedziała twarzą

obrócona w stronę zachodzącego słońca. Widział tylko kontury kobiecej sylwetki oraz włosy delikatnie unoszone przez wiatr, kawałek nieba i promienie słońca w postaci wydłużonych trapezów. Nic poza tym.

Kiedy już miał wyjść, otworzyły się drzwi do gabinetu i Bener zobaczył żonę Żelaznego. Nie miał żadnych wątpliwości, że to ona. Obcisły granatowy kostium podkreślał krągłości jej ciała, szczególnie bioder i piersi. Kobieta zdjęła duże okulary przeciwsłoneczne i przymrużyła oczy. Niemal niezauważalnym ruchem dłoni poprawiła kręcone, długie do ramion ciemne włosy, a potem zrobiła krok do przodu i energicznie podała mu rękę.

– Beata Szczot-Żelazna.

Uścisk miała mocny, zdecydowany. Bener przedstawił się i dopiero wtedy wszyscy troje usiedli. Wysłuchał relacji z ostatnich znanych rodzicom poczynąń Moniki, a potem raz jeszcze historii kolejnych etapów jej poszukiwań, tym razem w jakże innej, spokojnej i logicznej relacji. Słuchał, ale ganił się za to, że i tym razem wolał patrzeć. Wyłącznie na nią. Z zażenowaniem stwierdził, że zbyt długo pozwala sobie na przeciągłe spojrzenia w jej oczy i głęboki dekolt. Wydawała mu się do kogoś podobna, jakby już gdzieś ją spotkał, ale gdyby tak było, pewnie sama by mu o tym przypomniała. Skanował w pamięci możliwie miejsca, w których mógł ją widzieć, konferencje prasowe, imprezy i miejskie rauty. Zero, nul. Rozmyślając, uzupełnił notatki, potem wstał, podziękował za spotkanie i obiecał, że się odezwie. Był już przy drzwiach, gdy usłyszał jej głos.

– Liczymy na pana, bo ma pan nosa do takich spraw. Pamiętam, jak w zeszłym roku odnalazł pan Hubercika... – Uśmiechnęła się i dopiero teraz zobaczył, że do jej oczu napłynęły łzy.

– Dziękuję – uciał i podszedł do drzwi.

Bener nie chciał do tego wracać, była sprawa, nie ma sprawy. Dziecko się odnalazło, a to, że z jego pomocą, nie miało już żadnego znaczenia. Przy każdym miłym wspomnieniu tego sukcesu zawsze padało drugie pytanie. O jego żonę. I to już nie było pole chwały z gładko przystrzyżoną trawą, a zaniedbany ugór, ziemia z chwastami po kolana, porastającymi rozrzucone śmieci, którą chował przed światem, odgrodziwszy drutem kolczastym, żeby nikt nie postawił tam stopy. To był teren prywatny, wyłącznie jego sprawa.

Szczot-Żelazna ponownie się odezwała.

– A zdjęcie panu dałeś, Krzysztof? – zapytała męża.

Bener wrócił na miękki dywan niedaleko fotela, w którym jeszcze przed chwilą siedział. Znowu poczuł orientalny zapach, którego używała, mocny a jednocześnie podkreślający jej charakter spokojnej, rozsądnej kobiety przed pięćdziesiątką, świadomej swojej seksualności. Bener bał się, że każdym gestem i miną przyznaje się do tego, że miałby na nią ochotę. Sądził, że ona już to wie, dlatego chciał stąd odejść, zniknąć i przygotować się lepiej na kolejne spotkanie. Bo wiedział, że do niego dojdzie.

– Zdjęcie, które ma pan Krzysztof, zupełnie się nie nadaje – powiedział.

Kobieta westchnęła, a jej mina mówiła, że Krzysztof do wielu

rzeczy się nie nadaje. Sięgnęła do torebki po swój smartfon i zaczęła przesuwając palcem po ekranie, aż wreszcie znalazła to, czego szukała. Odwróciła aparat w stronę dziennikarza.

Przymrużył oczy, jakby chciał wyteńczyć wzrok, by cokolwiek dojrzeć, wreszcie poprosił, by przesłała tę fotkę na jego telefon. Podyktował jej numer. Potem długo wpatrywał się w ekran swojej komórki, aż poczuł, jak wibruje mu w dłoni. Otworzył nową wiadomość od zastrzeżonego nadawcy i stuknął palcem w załącznik.

Ponownie spoglądała na niego ładna, uśmiechnięta, niemal dziewczęca buzia.

Podziękował i pożegnał się, a gdy był już przy drzwiach, zadał ostatnie pytanie.

– A dzwonili już państwo na policję?

Kobieta spojrzała na męża, a ten kiwnął głową i wsunął ręce do kieszeni.

– Warto zrobić konferencję prasową – rzucił Bener i dopiero po ich cichej aprobacie ruszył w stronę wind.

Z klimatyzowanego budynku wyszedł na upał, który ścinał z nóg. Słońce odbierało światu kolory, rozgrzewając wszystko do białości. Bener miał wrażenie, że patrzy na prześwietlone zdjęcie. Co prawda od czasu do czasu nadciągały chmury, a wtedy ziemię roszył krótki deszcz, który tylko zwiększał wilgotność powietrza i w żaden sposób nie przynosił upragnionej ulgi.

Bener się rozejrzył. Atramentowe obłoki jak szeroka markiza pokrywały niebo na zachodzie i zwiastowały rychłą burzę. Widział w

nich nadzieję na lepszą pogodę. Na razie jednak otworzył wszystkie drzwi w samochodzie, a kiedy wewnątrz się wychłodziło, usiadł na rozgrzanym fotelu i włączył klimę. Zanim sięgnął po telefon i otworzył załącznik MMS-a wysłanego przez Żelazną, przetarł ręką spoczone czoło. Poczul, że drżą mu ręce. Dopiero po chwili zaczął się ponownie przyglądać fotografii. Trochę to trwało. Myśli przewalały mu się w głowie, słońce kolejny raz skryło się za chmurami. Uspokoił oddech, obserwując smugę kondensacyjną na niebie, ślad po ledwie widocznym samolocie pasażerskim, który pruł w stronę gęstego obłoku.

– Coś tu nie gra, mała – powiedział do siebie.

A raczej do zdjęcia.

Do tej uśmiechniętej dziewczyny, którą dziś rano zobaczył w redakcji.

3

W siedzibie „Echa Torunia” było pusto.

Znajdowała się ona kilka kilometrów od centrum, na Rubinkowie, wielkiej i liczącej blisko czterdzieści lat „sypialni” Torunia, będącej labiryntem jednakowych bloków i wieżowców z wielkiej płyty, takich samych szkół z dużymi, podzielonymi na mniejsze oknami, małymi placami zabaw ze zdemolowanymi urządzeniami, a także wydeptaną trawą. Bener wynajął pomieszczenie w tak zwanym „Kwadracie” przy Łyskowskiego, który kiedyś, obity blachą trapezową, stanowił namiastkę obecnych galerii handlowych, a całe lata temu był po prostu skupiskiem sklepów i warsztatów różnej maści, wypożyczalni kaset wideo, biblioteki i klubu osiedlowego „Rubin”. To w nim, siedząc na starym, trzeszczącym krześle, obejrzał kiedyś *Studium w szkarłacie*, film o początkach znajomości Sherlocka Holmesa i Johna Watsona.

Dwukondygnacyjny obiekt został zbudowany na bazie dwóch spiętych podłużnymi łącznikami kwadratów, wewnątrz których znajdowały się odkryte dziedzińce. Lata temu stały na nich ławki, a w obszernych klombach rosła szczątkowa zieleń. Obecnie utonęły w morzu kostki brukowej.

Redakcja „Echa Torunia” znajdowała się na piętrze, o czym

informował szyld ze strzałą we właściwym kierunku, powieszony u podnóża schodów znajdujących się na wewnętrznym placu. Z okien redakcji było widać szeroki parking, małe sklepy przed przystankiem autobusowym, a za nim drogę i ustawiony równoległe do jezdni blok.

Pomieszczenie miało nie więcej niż sześćdziesiąt metrów kwadratowych. W centralnej części stała wyspa złożona z czterech biur. „Gabinet” Benera, znajdujący się w najdalszym narożniku od wejścia, po przekątnej, wytyczało przepierzenie, które dawało mu i jego gościom minimum prywatności. Natomiast przez rozsuwane drzwi można się było dostać do niewielkiego biura reklamy, które miało też osobne wejście dla klientów z zewnętrznej galerii.

Zanim usiadł przy swoim biurku, Bener przejrzał wszystko, co znajdowało się na blacie Aldony Terleckiej. Przypomniawszy sobie teczkę, z którą przyszła do niego Monika Żelazna, i pamiętał, że nim wyszła, dziewczyna coś z niej wyjęła i podała Aldonie. Sądził, że to CV lub cokolwiek w sprawie pracy albo stażu, ale niczego takiego nie znalazł. W przeciwieństwie do niego Aldona na swoim biurku miała wszystko równo poukładane i posegregowane do odpowiednich, oznaczonych kolorowymi fiszkami kuwet, w których trzymała urzędowe pisma, wycinki z innych gazet i materiały do swoich tekstów. Najnowsze gazety leżały złożone na jednej kupce, stare wystawały z kosza. Imponowała mu. On swojego chaosu nigdy nie umiał ogarnąć, wziąć się z nim za bary. Zrezygnowany poszedł do siebie i klapnął na obrotowym fotelu. Pokręcił się z lewa na prawą i z powrotem. Wstał, uchylił kolejne dwa okna i wrócił do uspokajającego kręcenia się.

Miał szukać dziewczyny, która wcale nie zaginęła. Właśnie takie zadanie postawił przed nim Żelazny.

Owszem, może córka biznesmena nie pojawiła się w domu, ale rano nie wyglądała ani na zaginioną, ani nawet na taką, której coś grozi. Co prawda Bener dostrzegł zdenerwowanie w jej oczach, ale zrzucił to na karb rozmowy o stażu lub pracy. A teraz musiał się dowiedzieć, dlaczego tu przyszła i czego od niego chciała. Był przekonany, że skoro wyszła, nie doczekawszy się, aż Bener zakończy rozmowę telefoniczną – notabene z jej ojcem – to przynajmniej zostawiła Aldonie swój numer telefonu lub email. Musiał więc poczekać na Terlecką albo do niej zadzwonić. Wybrał to drugie w chwili, gdy drzwi redakcji otworzyły się.

– Hej – rzuciła Aldona.

– Co słyhać? – spytał, gdy padła na krzesło i wypila łyk mineralnej z plastikowej butelki.

– Parno, będzie burza – ostrzegła i zrzuciła czerwone baleriny. Po redakcji i wszędzie, gdzie było to możliwe, chodziła boso. Bener przyzwyczał się już do widoku jej smukłych, opalonych stóp i pomalowanych lakierem paznokci. Ostatnio w modzie był granat, ale bez względu na kolor, kiedy patrzył na jej stopy, czuł lekkie mrowienie w jądrach.

Spojrzał za okno. Ciemne chmury, w kolorze jej lakieru, były coraz bliżej. Wstał, podszedł do drzwi wejściowych i włączył górne światło. Jedna ze świetlówek mrugała i terkotała, obiecał sobie, że ją wymieni, ale obiecywał to sobie już od kwietnia. Może gdyby spadła,

wykrzesalby z siebie więcej motywacji.

– Gdzie byłaś?

– Złapałam coś. Spory kanał, ale potrzebuję trochę czasu – wystrzeliła serię słów.

Nie pytał, co miała na myśli, bo i tak wiedział, że nic mu nie powie do czasu, kiedy nie położy przed nim gotowego tekstu. Spojrzał tylko na nią, a ona się uśmiechnęła.

– Nawet nie próbuj – dodała.

Miała proste blond włosy do ramion, nosiła takie, odkąd pamiętał. Im dłużej ją znał, tym bardziej podobało mu się jej odsłonięte czoło i delikatnie zarysowana szczęka. Miała nieskazitelną, zdrową cerę, a w oczach nieustępliwość, którą poznał już wielokrotnie. Jej szczupła sylwetka może nie należała do tych, które zwykle kochał w kobietach, ale mimo wszystko stanowiła dla niego wyjątek od reguły. I cały czas nie wiedział, czy miała kogoś, czy nie. Nigdy o tym nie mówiła. Może powinien o to zapytać?

– Słuchaj... – zaczął, ale nie musiał kończyć.

Sięgnęła po gazetę i podała mu.

– Wiem. Kazała ci to dać. Nie prosiła, tylko kazała. Powiedziała, że to ważne. Pewnie nawet ważniejsze od jej tyłeczka i piersi, które nie uszły twojej uwagi, prawda? – Puściła do niego oko.

Bener zignorował jej słowa i przyjrzał się uważnie temu, co trzymał teraz w rękach.

– Jaja sobie robisz?

– A czy uważasz, że ich nie mam?

Tym razem Bener się uśmiechnął.

Przeniósł wzrok na stary numer „Echa Torunia”. Gazeta była złożona tak, jakby ostatnio ktoś czytał teksty na czwartej i piątej stronie. Na paginie widniała data 29 lipca 2016 roku. Niecały miesiąc temu. Przebiegł wzrokiem każdy artykuł w poszukiwaniu podkreśleń, zaznaczeń, czegokolwiek. Nie znalazł.

– Powiedziała coś jeszcze?

Aldona pokręciła głową.

– Nic? Nie pokazała, o co chodzi z tą gazetą? Nie mówiła, po co przyszła?

– Nie. Powiedziała, że się odezwie.

Bener skierował się za regał z segregatorami zawierającymi archiwum „Echa”, gdzie zorganizowali sobie kącik socjalny. Wstawił wodę na kawę i zanim zdążyła zabulgotać, a czajnik pstryknąć, przeczytał po łebkach wszystkie teksty na zaznaczonej przez Żelazną rozkładówce. Potem zalał kawę i zaniósł jeden kubek Aldonie (nie podziękowała, bo już odpaliła komputer i pogrążona we własnym świecie rytmicznie stukała w klawiaturę), po czym poszedł po swój.

Usiadł przy biurku i ponownie omiół wzrokiem teksty. Nie było ich dużo. Czwartą stronę zajął reportaż Aldony o Grzegorzu Królu, strażaku ochotniku z Toporzyska pod Toruniem, który podczas akcji gaśniczej uległ wypadkowi, w wyniku którego doznał poważnego urazu i zapadł w śpiączkę. Wybudzono go w toruńskiej Fundacji „Światło”, znanej w całej Polsce z efektów pracy ze „śpiochami”, jak nazywano pacjentów placówki. Grzegorzowi w rehabilitacji mieli

pomóc pisarze. Ich zadaniem było napisanie opowiadań, do których słowa, imiona i frazy mógł wykupić każdy chętny i w ten sposób przekazać pieniądze na turnus rehabilitacyjny dla strażaka. „Pisarze zrzekli się honorariów” – mówiła pomysłodawczyni projektu Wykup Słowo, Katja Tomczyk. Bener pamiętał, że trzech piszących było z Torunia: Marek Pijanowski, dyrektor Dworu Artusa, i Grzegorz Giedrys z „Wyborczej”. Trzeciego w ogóle nie zapamiętał, zresztą jego nazwisko nic mu nie mówiło.

Na czołówce piątej strony był wywiad z prezydentem miasta o planach związanych z budową mostu zachodniego, kolejnej miejskiej przeprawy, której przebieg należało zaplanować z odpowiednim wyprzedzeniem.

Poniżej obu tekstów znajdowały się krótkie informacje i reklamy. Wśród króciaków uwagę zwracały zapowiedzi letnich remontów dróg, zmiany w numerach telefonów toruńskiej przychodni wojskowej, a także drobne kryminałki i zmiany tras przejazdów miejskich autobusów.

Bener zaznaczył w myślach tematy, które mogły mieć związek z wizytą Moniki, ale nadal miał wrażenie, że sprawa nie trzyma się kupy i że ktoś tu kogoś robi w konia. Pytanie tylko kto kogo? Przejrzał całą gazetę dokładnie, ale nie trafił na cokolwiek, co mogłoby mieć związek z dziewczyną.

Sięgnął po notatnik, w którym w trakcie rozmowy z Żelaznym zapisał numer do jego córki. Najpierw zadzwonił ze stacjonarnego, a potem z komórki. Chciał dać jej znać, że jest w pracy i że może się z

nim kontaktować, ale nie odbierała. Sygnał był wolny, dopiero po czasie włączała się sekretarka. Bener wysłał jej SMS.

„Odezwij się, czekam. Marek Bener”.

Wpatrywał się w telefon i jednocześnie drugą ręką nerwowo bębnił palcami o biurko. Czekanie się wydłużało. Siłą woli próbował zmusić aparat, by ten dźwiękiem oznajmił nadejście wiadomości. Było to idiotyczne, ale co innego miał teraz zrobić. Wiedział, że wszystko by się wyjaśniło, gdyby tylko dziewczyna dała mu drugą szansę.

I wtedy telefon zadzwonił.

4

Kiedy Bener wszedł do mieszkania teściowej, o mało nie złapał się za głowę. Drzwi były otwarte, na korytarzu klatki schodowej tkwiło kilka otwartych kartonów, z których wystawały obłożone gazetami rzeczy. Najczęściej było to „Echo Torunia”, które rozpoznał bez kłopotu i które zresztą sam jej przywiózł.

Dwadzieścia minut temu zadzwoniła do niego z prośbą o pomoc. Matka jego zaginionej żony, po latach życia w dwupokojowym mieszkaniu, postanowiła się przeprowadzić do kawalerki. Nie wiedział jeszcze dokąd, trzymała to przed nim w tajemnicy, bo chciała zrobić mu niespodziankę. A prawda była taka, że nie chciała go prosić o wykonanie drobnego remontu, malowania ścian i okien. Podobno zleciła to znajomemu. Nie pytał, nie roztrząsał, po prostu czekał, aż ujrzy to lokum na własne oczy, a jednocześnie bał się, że będzie to ciemna nora w zapadającym się budynku, bez cienia klamek i wszelkich mosiężnych przedmiotów, które wyjechały już na złom. Jak w każdym mieście, także i w Toruniu tworzone getta zła wcielonego, biedy, smrodu i ubóstwa, z którymi nie radziły sobie ani straż miejska, ani policja, a jedynym prawdziwym ratunkiem byłoby zastosowanie napalmu. Ewentualnie w grę wchodziłaby zgrabnie przeprowadzona, najlepiej pod osłoną nocy, eksterminacja.

Rozumiał, że wysokie opłaty, że czynsz, że media i wszystko inne zmusiły teściową do większych oszczędności. Chciał dać jej pieniądze, wciąż przecież więcej kasy gromadził, niż wydawał, bo stale odkładał na poszukiwania Agaty. Jednak teściowa nigdy nie wzięła od niego nawet złotówki. Wiedział, że kobieta z trudem wiąże koniec z końcem i byłoby jej łatwiej, gdyby miesiąc trwał tylko dwa tygodnie. Wtedy życie byłoby znośne. Szczególnie życie byłej pielęgniarki na rencie, która – kiedy mogła – dorabiała sobie, kłując obwisłe pośladki stetryczających emerytów, czasami bliższych lub dalszych znajomych, opiekowała się też obłożnie chorymi. Benerowi wydawało się, że to nie tylko pieniądze były powodem, dla którego zdecydowała się zmienić mieszkanie. Może w ten sposób łatwiej było jej się odciąć od tragicznej przeszłości? Może te cztery ściany zbyt często przypominały jej o zaginionej córce i zmarłym mężu? Ale nie miał śmiałości o to zapytać, w końcu to nie jego sprawa.

Krystyna Majewska, matka Agaty, wyszła z kuchni i stanęła w korytarzu w chwili, gdy Bener przekroczył próg. Wytarła ręce w kuchenny fartuch i poprawiła krótkie, kręcone włosy.

– Jesteś nareszcie! – uśmiechnęła się. – Chodź, bo pierogi wystygną.

Robota robotą, ale pierogi dla zięcia musiały się znaleźć. Nie próbował nawet protestować, że najpierw wolałby zająć się kartonami, pomóc w pakowaniu i znoszeniu ich do swojego samochodu, a dopiero potem zasiąść do stołu, bo wiedział, że z góry był skazany na porażkę.

Usiadł w kuchni na taborecie, gdy tymczasem teściowa kręciła się

między kuchenką a stołem i nucila pod nosem jakąś melodię. Po chwili parujące danie z błyszczącymi skwarkami wylądowało na talerzu. Jedli w milczeniu, kiedy zadzwonił jej telefon. Zerknęła na wyświetlacz, otarła usta i przeszła na korytarz. Bener przełykał ostatni kęs, więc dotarły do niego tylko strzępki rozmowy, krótki śmiech i jedno całe, ostatnie zdanie: „Nie, teraz nie przyjeżdżaj, zobaczymy się później”.

Teściowa wróciła do kuchni, usiadła. Z jej oczu biła radość.

Wypił kompot, wyjadł owoce, a pestki czereśni układał w kupce na talerzu. Nie ponaglał, nic nie mówił, tylko patrzył i mimowolnie zaczął się uśmiechać.

– No co? – zachnęła się, próbowała być stanowcza. W końcu zaśmiała się i spojrzała w sufit. Jak nastolatka.

– Nic nie mówiłem – zastrzegł Bener.

Nie patrzyła w jego stronę, stukała widelcem o talerz.

– Dobrze... – odezwała się, by potem zamilknąć na dłuższą chwilę.

Zanim zebrała myśli, Bener dolał sobie kompotu i przegryzał owoce. Pestki dokładał do uzbieranego arsenału.

– Jest ktoś. – Uśmiechnęła się szeroko, po czym spuściła głowę i pokręciła nią, jakby sama nie wierzyła w to, co przed chwilą powiedziała.

Nie widział jej wcześniej takiej. Bał się, że przeprowadzka pogłębi jej stany depresyjne, bo starych drzew się nie przesadza, bo to, bo tamto. Jednak dla Krystyny nowy partner, kimkolwiek był, stanowił najlepszą terapię. Była weselsza, pełna energii, gotowa na nowe

wyzwania i przekonana, że jeszcze wszystko przed nią i jeśli będzie trzeba, zdąży nawet odkopać złoty pociąg, choćby pod ręką miała tylko drewnianą łopatkę do odwracania kotletów i durszlak.

Cieszył się jej szczęściem, ale nie wydusił z siebie żadnych słów. Miał nadzieję, że jego uśmiech wystarczy jej za wszystkie mniej lub bardziej składne zdania, których nie wypowiedział.

Wstał, zebrał talerze i wstawił je do zlewu. Odkręcił kran i na gąbkę do mycia wycisnął trochę ludwika. Dopiero kiedy miał przed sobą tylko ścianę i zawieszoną na niej suszarkę na naczynia, udało mu się odezwać.

– To dobrze. – W kategorii zwięzłych odpowiedzi był niekwestionowanym mistrzem.

A potem zapadła niezręczna cisza.

W 2010 roku, kiedy zaginęła Agata, jej rodzice byli na skraju załamania nerwowego. Ojciec Agaty zniknął na całe dni, być może i noce. Szukał jej, węszył. Tak jak Bener wpadł wtedy w inny wymiar. Nie umieli jednak znaleźć porozumienia w tej kwestii. Każdy z nich działał na własną rękę. Ani Bener, ani teść nie wymieniali się żadnymi informacjami. Zresztą tak naprawdę nie było czym się wymieniać. Związek teściów przeszedł ciężką próbę. Nie trwało to długo, bo wkrótce potem, w styczniu 2011 roku, teść zmarł. Zawał, ciach i po chłopie. Majewska została sama i z każdym rokiem zanurzała się w depresji coraz bardziej. Bener widział, jak chudnie, jak przestaje o siebie dbać, jak nie widzi sensu w robieniu czegokolwiek i dla kogokolwiek. Owszem, na początku jeszcze

przyjeżdżała do Benera, przywoziła jedzenie, czasami robiła mu pranie, nawet wbrew jego woli. Traktowała to jak terapię, jako jedyną właściwie rzecz, co do której była przekonana, że warto. Nie dla niego oczywiście, tylko dla córki. Chociaż pomagała Markowi, tak naprawdę chciała pomóc Agacie, pokazać, że pod jej nieobecność dbała o ich – Benera i Agaty – dom.

Jednak trzy lata temu, kiedy Bener zaangażował się w pomoc swojej byłej narzeczonej, stosunki między nim a teściową znacząco się pogorszyły. Koniec końców wszystko sobie wyjaśnili, ale chyba już nie było takie jak dawniej. Na to nałożyła się jeszcze jedna sprawa. Po tych traumatycznych dla Benera zdarzeniach sprzed trzech lat odezwał się do niego Szaman, a dokładniej Olgierd Szamojski, były profesor filozofii, wykładowca i promotor pracy doktorskiej Benera, której dziennikarz nigdy nie ukończył. Bener podejrzewał go o porwanie żony. Wskazywało na to jego zachowanie i słowa, które wypowiedział, kiedy spotkali się w nocnym autobusie. Bener wypił wtedy za dużo, dlatego w miarę upływu lat miał coraz większe wątpliwości, czy tamta rozmowa wydarzyła się naprawdę, czy była jedynie jego pijackim zwidem. Ilekroć przypominał sobie tamto zdarzenie i szept rozmówcy, przechodził go lodowaty dreszcz.

– *Graviora manent.*

Był to tytuł pracy doktorskiej Benera zaczerpnięty z *Eneidy*, poematu Wergiliusza. W dosłownym tłumaczeniu oznaczało to: najgorsze dopiero nadejdzie. I faktycznie nadeszło. Tuż po tym, jak został aresztowany w związku z zaginięciem dwóch ciężarnych

studentek, Szaman urwał się z policyjnego konwoju i słuch o nim zaginął. Zdarzyło się to krótko przed zniknięciem Agaty.

Trzy lata temu Szaman odezwał się do Benera. Podrzucił do samochodu dziennikarza telefon komórkowy, na który potem zadzwonił. Długo rozmawiali, po czym dziennikarz zrobił coś, co zabiło w nim człowieczeństwo. Zmagał się z tym do dziś.

Później Szaman zadzwonił jeszcze raz, obiecał, że pomoże mu w poszukiwaniach Agaty i dał Benerowi radę, by ten zaczął od teścia. Miał sprawdzić przyczyny jego śmierci, przyjrzeć się temu uważnie i wyciągnąć wnioski.

Przez trzy lata, które upłynęły od tamtej chwili, Bener nie doszukał się jednak niczego. Teściowa warczała, gdy tylko próbował rozmawiać o jej mężu. Wiele razy zagajał ten temat, mimo to nigdy nie zbliżył się do rozwiązania tajemnicy. O ile była w tym wszystkim jakakolwiek tajemnica. Edward Majewski, który zawsze działał na własną rękę, także i teraz, po swojej śmierci, w żaden sposób nie chciał do Benera przemówić. Marek dotarł co prawda do wyniku sekcji zwłok, którą przeprowadzała jego znajoma lekarka, ale nie doszukał się w nim żadnych rewelacji. Przeczesał też komputer teścia i szpargały w szufladach biurka. Bezowocnie.

Dziennikarz wiedział, że i w tej bitwie poległ, jednak wciąż nosił przy sobie dwie komórki, własną i tę od Szamana. Nadal liczył na cud albo kolejną wskazówkę. Jak dotąd drugi aparat milczał.

– To co? Bierzemy się do roboty? – usłyszał głos teściowej, który przywołał go do rzeczywistości.

Odstawił mokry talerz na suszarkę i wytarł ręce w ścierkę.

Zapełniali kartony książkami i teczkami pękającymi od nagromadzonych przez lata dokumentów. W siatki pakowali garnki. Ręcznikami przekładali ceramikę i nieśmiertelne kryształy, mniejsze lub większe wazoniki, porcelanowe figurki i wszelkie kruche pierdoły.

Kartony ustawiał jeden na drugim, tuż po tym jak teściowa opisała każdy z nich. Potem sprawnie rozkręcił połączone segmenty meblościanki i odsunął je od ściany. Część kartonów zabrał i zniósł do swojego samochodu. Miał je przewieźć do siebie, nie były to rzeczy pierwszej potrzeby, więc w nowym, mniejszym mieszkaniu mogły się nie zmieścić. Teściowa miała później zdecydować, co z nimi zrobi.

Kiedy wspinał się po schodach po kolejną partię, zadzwonił telefon.

– Halo? Słyszysz mnie pan? – rozpoznał głos Krzysztofa Żelaznego. – Sprawa jest. Musimy się koniecznie zobaczyć.

Bener wolałby spotkać się z jego żoną. Zrobiło mu się przyjemnie na samo wspomnienie Beaty Szczot-Żelaznej. Była starsza od niego o dobre kilka lat, może i o dziesięć, ale nie narzekałby na jej metrykę, gdyby przeturlali się po łóżku.

– A co się stało? Odnalazła się zguba? – spytał z uśmiechem, przewidując jedyny rozsądny finał poszukiwań tegorocznej maturzystki.

Cisza w słuchawce nie zwiastowała niczego dobrego.

– Sądziłem, że potraktuje pan sprawę poważnie, ale chyba się pomyliłem.

Bener skłął się w duchu do trzeciego pokolenia włącznie.

– Po prostu myślałem, że Monika wróciła do domu – próbowałem się wytłumaczyć.

– Nie! Nie wróciła do domu! I jest jeszcze gorzej, rozumie pan? Gorzej!

Czy może być gorzej? Przecież gdyby znaleziono ją martwą, Żelazny nie rozmawiałby z nim w ten sposób. Bener zaczął się zastanawiać, o co chodzi, ale jego myśli nie zdążyły nawet nabrać rozpędu.

– Do chuja Pana Naszego! – usłyszał zdesperowany głos Żelaznego.
– Zniknęły mi pieniądze!

5

Umówili się dwie godziny później w knajpie w połowie drogi między redakcją a biurem Żelaznego, czyli w Międzynarodowym Centrum Spotkań Młodzieży. Pod tą szumnie brzmiącą nazwą krył się atrakcyjny hostel, który powstał w centralnej części jednego z najbardziej zapuszczonych miejskich zabytków – Młynów Richtera – i dobra restauracja. Obiekt był piękny, potężny, zbudowany z cegły i wysoki na kilka pięter. Patrząc od frontu, Bener miał po prawej inny, wysoki segment, zajęty już przez Centrum Nowoczesności Młyn Wiedzy, instytucję, która w nowoczesny sposób popularyzowała naukę. Niestety w zrujnowanej części obiektu położonej najbliżej ruchliwej jezdni i wiaduktu nad torami kolejowymi, wciąż straszyły puste okna. Miało się to wkrótce zmienić, bo inwestycję planował tam marszałek województwa.

Bener wszedł do MCSM-u i skierował się do położonej na parterze restauracji, która przyciągała wzrok drewnianymi filarami. Nad główną salą znajdowała się antresola. Żelazny siedział przy okrągłym stole w pobliżu lunch-baru. Nie trudził się podnoszeniem dupska, pomachał tylko Benerowi ręką. Dziennikarz podszedł, ale wtedy z zaplecza wyłonił się siwy, krępy mężczyzna. Bener przywitał się z Andrzejem Pietrowskim, byłym szefem wydziału promocji w

Pentagonie, a obecnie zastępcą prezesa spółki, która miała pod sobą hostel i restaurację. Zanim Bener i Żelazny zdążyli się zorientować, mieli już na stole wodę, kawę i po solidnym kawałku sernika, a Pietrowski zniknął, poklepawszy wcześniej Benera po ramieniu.

Dziennikarz wyjął swój notatnik i sięgnął po szklanę, a potem przeszedł do konkretów.

– Dużo zniknęło?

– Dwadzieścia tysięcy.

– I trzymał pan te pieniądze w domu? – Bener nie chciał, żeby zabrzmiało to jak połajanka.

Kilka stołów dalej, za Żelaznym, zauważył jakiegoś mężczyznę, który siedział odwrócony plecami do nich. Poza tym sala była pusta.

– Mieliśmy kupić synowi samochód na urodziny, więc w piątek wypłaciłem pieniądze i schowałem do szafki, barku takiego, tam gdzie zawsze trzymamy jakąś kasę na zakupy. Potem wystawił mnie gość, który sprzedawał „prawie niejeżdżonego” – Żelazny zaznaczył cudzysłów palcami – dziesięcioletniego outlandera, bo syn wymarzył sobie taką tam japońską terenówkę, ale wóz nadawał się na szrot, więc wróciliśmy i kasy już nie wpłaciłem na konto.

– Odłożył ją pan na miejsce? – spytał Bener, robiąc notatki.

Żelazny pokiwał głową, a potem upił łyk wody.

– Tak, bo mieliśmy w tym tygodniu dalej szukać, więc nie chciało mi się ciągle wpłacać i wypłacać pieniędzy, bo ile z tym roboty, ile czasu trzeba stracić w tych pieprzonych kolejkach. Zresztą sam już nie wiem, czy nie kupić mu czegoś mniejszego, ale z salonu, bo jak widzę

te rzęchy szpachlowane, to mówię panu, targa mną. Targa do głębi.

Bener zdołał to sobie wyobrazić.

– A ostatni raz kiedy pan tam zaglądał?

– Nie pamiętam, chyba w ogóle. Dziś żona wróciła wcześniej do domu, nalala sobie lampkę wina i wtedy mówi mi, że kasy nie ma.

– Pan wybaczy, że zapytam, ale muszę. – Bener przygryzł końcówkę długopisu i nie wyjmował z ust. – Ktoś z rodziny?

Żelazny poruszył się na krześle, odwrócił głowę, a potem sarknął:

– Panie, czyś pan oszalał? Żona własna ma mnie okradać albo może syn? Przecież mają wystarczająco dużo pieniędzy. Co chcą, to mają! Żyły sobie wypruwam, żeby mieli dobrze, bo ja, proszę pana, dorastałem w biednej rodzinie. Pamiętam jak dziś, jak znoszone buty po starszym bracie przymierzałem i wkładałem w czubki zwinięte gazety. Bidnie mieliśmy, że aż mnie skręca na wspomnienie. Więc powiedziałem sobie, chuj w dupę Świętej Rity, ale oni mają mieć lepiej. Albo niech ja skonam.

– To może ktoś z obsługi? Macie sprzątaczkę albo ogrodnika? – Bener zrobił kolejną notatkę i dokończył sernik.

– Mamy, ale to kuzynka mojej żony, starsza, uczciwa kobieta, przy niej pieniądze mogą leżeć jak szpinak przy dobermanie. A ogrodnik nie ma wstępu do domu, to firma, która przyjeżdża ze sprzętem raz na tydzień, są samowystarczalni.

– Rozumiem, że chce mi pan powiedzieć, że z pieniędzmi zniknęła córka, czy tak?

Żelazny podrapał się po głowie i uśmiechnął sztucznie.

– Wie pan, przeszło mi to przez myśl.

Bener spojrział w swoje notatki, że niby w taki właśnie sposób porządkuje myśli, analizuje i wyciąga wnioski. To zazwyczaj działało na rozmówcę. Dla wzmocnienia efektu postukał długopisem w zeszyt, dając znak, że roztrząsa istotną kwestię. Ale Bener niczego nie musiał roztrząsać. Był przekonany, że w tych prostych zdaniach, które spisał równo w notesie, a jedno dodatkowo wziął w grubą ramkę, zawarł całą prawdę o Żelaznym.

„On jest jebnięty”.

Zastanawiał się, jak teraz pokierować rozmową. Nie zamierzał na tym etapie zdradzać Żelaznemu, że rano odwiedziła go jego córka. Sprawa wydawała mu się ciekawa, więc bez względu na wszystko zamierzał ją wyjaśnić i dowiedzieć się, o co chodzi w tych dziwnych rodzinnych układach biznesmena z branży informatycznej.

W restauracji pojawiła się wysoka blondyna z włosami upiętymi w koński ogon. Bener nie znał jej, ale z przyjemnością zawiesił na niej oko. Wyglądała na szefową. Przywitała się z pracownikami i zniknęła na zapleczu. Żelazny też ją zlustrował.

Dziennikarz dopił wodę i nalał sobie nową porcję z dzbanka. Do szklanki wpadła mu cytryna i liście mięty, które wyłowił palcami i zostawił na talerzyku po cieście.

– Dlaczego pana córka miałaby ukraść te pieniądze? Były jej do czegoś potrzebne, zwierzała się panu z jakichś problemów?

– Pan żartuje, tak? – Żelazny złączył dłonie i zakręcił młynka kciukami.

Bener popatrzył na jego nietknięty sernik i zastanawiał się, czy poprosić, by mu odstąpił.

– Jestem śmiertelnie poważny – odezwał się.

– Przecież to oczywiste. Musiała jakoś przeżyć poza domem, nie?

– A swoich pieniędzy nie miała?

Żelazny przestał poruszać kciukami.

– Miała, ale może...

– Sam pan widzi, że to się kupy nie trzyma. Poza tym gdyby chodziło o przetrwanie, to zabrałaby tylko tyle, że zorientowałby się pan dopiero przy płaceniu za samochód. Kilkaset złotych by wystarczyło.

Bener wstał i uścisnął mu rękę.

– Co? To już? – zdziwił się Żelazny. – Koniec rozmowy?

– Na razie tak. Wpadnę później do Złejwsi. Chciałbym rozejrzeć się w pokoju córki.

– A moje pieniądze?

– Czy mam je panu oddać?

Mężczyzna zdębiał.

– No nie, ale coś z tym trzeba zrobić cholera przecież...

– Pewnie, że trzeba – przerwał mu Bener, po czym założył plecak na ramię. – Niech pan to zgłosi na policję.

Im więcej czasu spędzał z Żelaznym, tym bardziej żałował, że to nie jego żona gra w tej sprawie pierwsze skrzypce. Na samo jej wspomnienie poczuł się lepiej. Niestety w życiu nie wszystko układało się po jego myśli.

Wyszedł z MCSM-u i przeszedł na parking przy Centrum Nowoczesności. Upał zelżał, a burza, która zbliżała się od zachodu, przeszła bokiem.

Wsiadł do swojego niemal pełnoletniego forda escorta i opuścił szyby, żeby przewietrzyć ten piekarnik. Cicho nastawił *Obłudę* Dżemu i odjechał kawałek. Usłyszał prostą partię bębnow, a jego stopa sama zaczęła wybijać rytm. Rychu śpiewał o tym, że próbujemy iść na skróty i oddajemy cześć nowym bogom. Jakie to prawdziwe, szczególnie po tylu latach, pomyślał Bener.

Po chwili zatrzymał wóz, zgasił silnik i wpatrzył się w drzwi wejściowe lokalu, który przed chwilą opuścił, bo właśnie zauważył, jak Żelazny wyszedł stamtąd z telefonem przy uchu i wsiadł do brązowego porsche panamery. Silnik zadudnił basem, a wóz wyglądający jak przydeptana żaba wytoczył się z parkingu i włączył do ruchu.

Bener nie chciał jechać bezpośrednio za nim. Odczekał więc, aż panamera zniknęła mu z oczu. Już miał ruszać, gdy kątem oka zauważył znajomą postać. Sporo czasu upłynęło od chwili, gdy widział tego człowieka ostatni raz.

Dieter Steinmeier, Niemiec polskiego pochodzenia, pracownik jednego z muzeów w Berlinie. To on w 2013 roku zadzwonił kiedyś na policję z informacją, że na jednej ze stacji tamtejszego metra widuje co jakiś czas żonę Benera. Policjanci przekazali dziennikarzowi ten sygnał, Bener pojechał wtedy do Niemiec natychmiast, w popłochu rezerwując hostel, w którym zameldował się po kilku godzinach. Wraz z nastaniem świtu krążył już po zawieszanej nad ruchliwym

skrzyżowaniem stacji. I tak przez kilka dni, aż w końcu ją zobaczył. Kobietę, która była jedynie ludzako podobna do jego ukochanej Agaty.

Teraz Bener dyskretnie obserwował Steinmeiera spokojnie palącego papierosa przed wejściem do lokalu. Zmienił się trochę, nie nosił już tej charakterystycznej, niemieckiej brody, a raczej paska zarostu, który łączył ze sobą baczki. Był starannie ogolony i siwy jak gołąb. Kiedy skończył palić, rzucił peta na kostkę granitową i przydeptał, a potem zniknął we wnętrzu budynku. Ciekawe, czy gnój tak samo śmieci w Berlinie, skłął go w duchu Bener.

Zastanawiał się, co zrobić. Czy powinien podejść do niego i się przywitać? Tylko czy Niemiec będzie go jeszcze pamiętał? A zresztą, co miałby mu powiedzieć? Że wciąż nie odnalazł Agaty? Przecież tego faceta to zupełnie nie obchodzi.

Dał sobie spokój.

Uruchomił wóz. Przejechał przez rondo wielkości talerza od zupy, które znajdowało się przed wjazdem na wiadukt. Odczekał chwilę, przepuszczając zjeżdżające z estakady samochody, po czym włączył się do ruchu i ulicą Kościuszki dojechał do pierwszych świateł, mijając po drodze nowoczesny oszklony biurowiec. Dopiero teraz zamknął przednie szyby i włączył klimatyzację. Bębnił palcami w rytm muzyki i patrzył na wciąż świecące się czerwone światło. Zamyślił się.

Steinmeier.

Przypomniał sobie wszystko to, co trzy lata temu przeżywał w Berlinie na stacji metra przy Eberswalder Strasse. Obrazy wracały do niego, jakby to było wczoraj. Jakby ledwie wczoraj gonił na peronie tę

kobietę, która miała być jego Agatą. Pamiętał, jak schodził z zawieszonoego nad ruchliwym skrzyżowaniem przystanku metra do bistra i jak pił tam kawę w towarzystwie smutnej Marlene Dietrich, namalowanej na potężnym filarze utrzymującym kolejową estakadę.

Ktoś zatrąbił.

Bener zerknął we wsteczne lusterko i zauważył kierowcę, który dawał mu znaki, żeby nie stał jak baran, tylko ruszył, skoro ma zielone.

Wrzucił więc jedynekę i dodał gazu. Sunąc w stronę centrum, znowu zmagął się z natarczym pytaniem.

Steinmeier w Toruniu?

Nie dawało mu to spokoju.

Co Niemiec tu robi?

W końcu za szeregiem sklepów i zakładów usługowych, przy starych pruskich domach, szarpnął gwałtownie kierownicą w lewo bez włączania kierunkowskazu i dopiero wtedy wcisnął gaz do oporu. Wąskim łącznikiem dotarł do drugiej nitki Kościuszki i strąbiony przez kierowców wypadł na jezdnię przed maskami ich wozów.

Nie wierzył w przypadki.

6

Miał farta.

Gdyby dłużej zastanawiał się, co robić, szansa na spotkanie Steinmeiera uciekłaby jak niedawne burzowe chmury. Nadal nie zamierzał z nim rozmawiać, a jedynie sprawdzić, co zrobi i dokąd pojedzie. Mężczyzna wsiadał właśnie do samochodu. Bener najwolniej, jak mógł, zrobił na parkingu rundkę, jakby szukał wolnego miejsca. W tym czasie Steinmeier wycofał lśniącego granatowego forda S-maxa i odjechał spod budynku. Bener ustawił się za nim. Przejechali ulicą pod wiaduktem, by po chwili skręcić w prawo i ślimakiem dotrzeć na estakadę. Tym razem Bener musiał przepuścić trzy samochody, ale nie stracił S-maxa z oczu, bo zatrzymała ich sygnalizacja świetlna. Kiedy ruszyli, wyprzedził auta znajdujące się przed nim i jechał tuż za fordem.

Steinmeier musiał znać miasto, poruszał się sprawnie. Bener mimo prób nie dostrzegł w jego wozie ekranu wyświetlającego te czarodziejskie, gadające mapy. Niemiec trzymał się prawej strony dwupasmowej jezdni na Żółkiewskiego, a Bener jechał jego śladem. Minęli Galerię Copernicus i fabrykę pierników, przy której dziennikarz celowo zwolnił i dał się wyprzedzić toyocie. W tej kolejności pokonali wiadukt nad skrzyżowaniem krajowej jedynki i

drogami prowadzącymi do nowego mostu nad Wisłą, którego dwa wielkie łuki sterczały po prawej.

Steinmeier jechał przepisowo, dzięki czemu Bener miał ułatwione zadanie, bo na szerokiej arterii prowadzącej przez Rubinkowo w stronę wylotówki na Warszawę inni kierowcy przyspieszali. Teraz nie dzielił ich już żaden samochód. S-max sunął prosto, kierunkowskazy nie sygnalizowały zamiaru skrętu. Mijali właśnie po prawej Statoil i las ciągnący się do Wisły oraz zabudowania tej części osiedla i pierwszy wieżowiec z wielkiej płyty.

Na wysokości Obi wóz Steinmeiera skręcił w lewo, przeturlał się gładko po torach tramwajowych, a potem zawrócił, by następnie po dwustu metrach wjechać w ulicę prowadzącą do centrum osiedla. Bener dał mu dłuższą smycz, ale cały czas miał go na oku, żeby w każdej chwili mógł zareagować. Steinmeier zatrzymał się przy terenie rekreacyjnym rozdzielającym Rubinkowo I od drugiej części osiedla i zaparkował prostopadle do jezdni. Bener zrobił to samo, ale kilka miejsc wcześniej. Wysiadł z wozu i czekał. Po chwili zobaczył Niemca, jak szedł wyprostowany z bujającymi się kluczykami na palcu. Ułożył usta w dzióbek, jakby sobie pogwizdywał, i przeszedł przez pustą jezdnię, a następnie skierował się do pierwszej klatki wieżowca.

Bener odczekał kilkanaście sekund, po czym ruszył w tamtą stronę. Podziękował kilkoma siarczystymi przekleństwami ustawodawcy za ochronę danych osobowych, bo na domofonie, z wyjątkiem dwóch arcypolskich nazwisk – Kowalski i Nowak – dostrzegł wyłącznie numery mieszkań.

Zląkł się, gdy drzwi klatki się uchylły. Na szczęście zamiast Steinmeiera wyszedł z niej łysy dres, szeroki w barach, ale z piwnym brzuchem ukrytym pod obszerną bluzą. Facjatę zdobiły czerwone krosty, przetłuszczona skóra lśniła od potu. Bener zagadnął go o Niemca, ale łysol miał taki wyraz twarzy, jakby przepytywano go o lewe dopływy Wisły. Odpuścił i podziękował. Po chwili spróbował szczęścia z emerytem, który wracał z zakupów, ale ten też o nikim takim nie słyszał. Być może Steinmeier wcale tu nie mieszkał.

– A jak wygląda? – dopytywał niski, szczupły mężczyzna. Ściągnął kapelusz z przewiewnego materiału i przetarł łysinę upstrzoną plamami wątrobowymi. Nad uszami miał dwie kępki rzadkich, siwych włosów.

Bener opisał najdokładniej, jak umiał, Steinmeiera, ale to też niewiele dało. Staruszek wzruszył tylko ramionami, przeprosił Benera, że nie jest w stanie pomóc, i wszedł do klatki.

Dziennikarz zadarł głowę i popatrzył na wieżowiec. Stał w cieniu, więc widział go dokładnie. Patrzył na okna, raz z jednej, raz z drugiej strony klatki schodowej. W większości były szeroko otwarte, jakby cały ten budynek potrzebował tlenu. Dobiegały go odgłosy zabaw dzieci na podwórku, szczekanie psów, szum samochodów, które przemieszczały się osiedlowymi drogami. Odczekał tak minutę, może dwie.

W końcu wrócił na parking, spisał numery wozu Steinmeiera i poszedł do swojego escorta.

Zapędził się w kozi róg.

Do czego mu potrzebny teraz Steinmeier? Postanowił odpuścić

sobie tego gościa, miał ważniejsze sprawy na głowie.

Uruchomił forda i wyjechał z parkingu.

7

Bener wrócił do redakcji i rzucił się w wir roboty. Przeczytał zaległe teksty, obdzwonił kilku urzędników, poszperał gdzie trzeba, by znaleźć materiały albo chociaż ich załączki do kolejnego numeru „Echa”, który wydadzą za półtora tygodnia. Ten numer mieli już tematycznie zamknięty, o ile oczywiście nie wybuchnie żadne szambo. Bener trzymał rękę na pulsie i zawsze był gotowy do zmian. Zmiany to w dziennikarskiej robocie rzecz pewna jak nuda u szatniarki w czasie koncertu. Po kilku godzinach przeciągnął się i zamknął komputer w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Resztę dnia musiał poświęcić Monice, a raczej Żelaznemu.

Zatrzymał się na parkingu przed Biedronką w Złejwsi Wielkiej. Stodoła, jakich setki nie tylko w powiatowej Polsce, psuła krajobraz dokładnie w taki sam sposób jak wszystkie inne architektoniczne koszmaki, na przykład góralskie chaty stawiane nad morzem.

Sklep i parking znajdowały się na łuku krajowej „osiemdziesiątki” przy skrzyżowaniu na Łubiankę, w samym centrum gminy. Jak wszędzie, także i tu królowały reklamowe szmaty zwisające z każdego płotu.

Tuż obok było kilka małych lokalnych sklepów, poczta, zamknięty kiosk i otwarte bistro w przyczepie na kołach serwujące azjatyckie zarcie. Dalej znajdował się Urząd Gminy, w którym Bener kiedyś

zabiegał o komentarz wójta do jednej z reporterskich interwencji.

Po drugiej stronie drogi na Bydgoszcz, bliżej Wisły, stała spora drewniana karczma.

Bener wysiadł z wozu.

Jeszcze kilka lat temu nie byłoby tu Biedronki, za to obok niego parkowałyby wysłużona beemwucha z tygrysimi futrzakami na fotelach i podgryzana na progach przez rdzę, a obok równie stare audi. Założyłby się wtedy o stówę, że jeśli tylko znaleźliby się kierowcy tych maszyn, dżentelmeni w wypchanych na kolanach dresach, Bener usłyszałby dudniące wydechy, a samochody ruszyłyby z piskiem opon, zostawiając za sobą czarny dym i smugi na kostce. Groźniejsze od tego byłyby wówczas jedynie głośne dźwięki disco polo. Tak na wsi było kiedyś. Dziś na parkingu to jego ford był najstarszym pojazdem. Ze wstydu schował się do sklepu.

Sięgnął po telefon i skontaktował się z Żelaznym, który wytłumaczył mu dokładnie drogę. Bener odczuwał suchość w gardle, więc odsunął drzwi lodówki znajdującej się z tyłu sklepu, gdzie obok mleka chłodziło się piwo. Nie miał trudności z wyborem. Sięgnął po radlera w puszcze, potem w drodze do kasy zgarnął z regału napój energetyczny z podobizną Mike'a Tysona, a na koniec dobrał paczkę miętowych gum. Zamknął się w samochodzie i kiedy tylko nastawił nadmuch zimnego powietrza bezpośrednio na twarz, oparł się wygodnie, przymknął oczy i gasił pragnienie, pociągając raz z jednej, raz z drugiej puszki. Nie spieszył się. Kiedy skończył, wsunął do ust gumę i spojrzał w kierunku zachodzącego słońca.

Pojechał dalej w kierunku Łubianki. Podobały mu się tutejsze krajobrazy poprzecinane prostokątami pól uprawnych, a wcześniej gęste lasy. Minął duże boisko piłkarskie po lewej i schowanego za nim orlika, potem niskie bloki i znajdujące się tuż za nimi domki jednorodzinne, a kiedy na łuku drogi przejechał obok domu kultury i remizy, zwolnił. Wreszcie minął tablicę z przekreśloną nazwą wsi. Kawalek dalej, po prawej stronie stał spory piętrowy dom otoczony wysokim żywopłotem. Skreślił na wyłożoną kostką granitową drogę dojazdową i zatrzymał się przy kutej bramie z kwiatowymi motywami. Nie zdążył zgasić silnika, gdy skrzydła uchyliły się, zapraszając go do wjazdu na teren ogrodu. Przed domem znajdowało się kilkumetrowe rondo, a w samym jego środku usypany kopiec pełen dzikich traw i kwiatów, z którego szczytu, po obwodzie, spływała szemrząca rzeczka.

Bener obawiał się, że Żelazny nie wie, co robi, pozwalając mu wjechać na swoją posiadłość. Był przekonany, że jego ford sfajda się na jasną kostkę szerniałym olejem, ale teraz nie miał już wyboru. Pocieszał się, że gdy będzie stąd odjeżdżał, pewnie słońce już zajdzie i gospodarz niczego nie zauważy. Przynajmniej do jutra.

Żelazny czekał na niego w drzwiach. Przywitał się i zaprosił do salonu. Chodził po domu w białych skarpetkach i granatowym dresie, a dla Benera przygotował białe kapcie frotte, jednorazówki z czerwonym nadrukiem: Marriott. Bener zdębiał, ale zrobił krok nad nimi, jakby ich nie zauważył. Nie zamierzał paradować w czymś takim po domu Żelaznego, jak po jakimś pieprzonym salonie SPA. Jeszcze mu ten debil zaproponuje depilację.

Gospodarz był zawiedziony, ale nie skomentował. Bener usiadł w fotelu, postawił plecak na podłodze i wyjął notes. Za sprawą klimatyzacji w domu panował ożywczy chłód, w którym dało się myśleć. Żelazny zaproponował kawę i zaczął krzątać się po otwartej kuchni. Dziennikarz miał czas, żeby swobodnie rozejrzeć się po nowocześnie urządzonej wielkim salonie bez bibelotów, które odciągałyby wzrok od beżowych ścian i jasnych mebli oraz dużego telewizora zawieszzonego na ścianie. Przed ekranem stał skórzany komplet wypoczynkowy. Z kolei na filarze ustawionym między kuchnią i schodami wyłożonymi jasnym marmurem, znajdował się okrągły zegar z białym cyferblatem, a poniżej seria kilku rodzinnych zdjęć w identycznych ramkach.

Wyglądało na to, że Żelazny był sam.

Zasyczał ekspres, a po chwili biznesmen wniósł dwa kubki, w których gęsta piana cappuccino układała się w moherowy berecik z antenką. Benerowi natychmiast odeszła ochota na kawę w rydzykowej wersji.

– Żony i syna nie ma? – upewnił się, kiedy Żelazny usiadł na skórzanej sofie.

– A to w czymś przeszkadza?

– Nie, liczyłem po prostu, że będę mógł zamienić z nimi kilka słów.

– Przecież wszystko panu powiedziałem.

– Wolałbym jednak...

– Szukają jej. Tym razem zostałem w domu, na wypadek gdyby Monika wróciła lub zadzwoniła. – Żelazny wstał i podszedł do mebli

ustawionych w pobliżu zawieszzonego na ścianie telewizora z zakrzywionym ekranem. Nacisnął gładki, lśniący kwadratowy front w dolnym rogu. Drzwiczki uchyliły się, prezentując wnętrze. Barek.

– Pan tu spojrzysz. – Wskazał palcem.

Bener stanął przy nim i zerknął na kolorowe butelki przeróżnych alkoholi, które odbijały się w lustrze zamontowanym na tylnej ścianie. W rogu stała kryształowa podłużna miska, Bener nie potrafił inaczej nazwać tego naczynia. Dostrzegł w niej męski zegarek, drobniaki i kilka dwustuzłotowych banknotów.

– Dziś pan je włożył? – upewnił się.

– Te dwusetki? Tak, zaraz po pracy właściwie.

– A tamta kasa gdzie leżała? Też w tym naczyniu?

– No właśnie mówię. Cztery spięte paczki w banknotach dwustuzłotowych.

– Policja już była?

– Daj pan spokój z tą policją! Na co mi w domu policja? Włamania nie było, okna całe, zamki całe, więc pieniądze buchnął ktoś z nas. To znaczy, Monisia zapewne.

Bener wrócił do fotela, ale nie usiadł.

– Co pan o tym myśli? – spytał Żelazny, kiedy znowu rozsiadał się na sofie.

Bener zignorował pytanie.

– Potrzebuję nazwisk i numerów telefonów jej najbliższych znajomych, koleżanek i kolegów z klasy maturalnej, ze wsi. Wszystkich, dobrze?

Żelazny skinął głową.

– A ja w tym czasie rozejrzę się w jej pokoju.

Gospodarz wstał, ale Bener powstrzymał go ręką.

– Sam znajdę – powiedział i ruszył na schody.

Żelazny jednak go wyprzedził i zaszedł mu drogę.

– Bo mi się pan tu zgubi gdzieś na górze. He, he – dodał głośno.

Bener wchodził za nim stopień za stopniem. Kiedy stanęli na piętrze, Żelazny domknął drzwi od pokoju znajdującego się najbliżej schodów. To samo zrobił z kolejnymi i tymi z niewielkim mlecznym świetlikiem, zapewne do łazienki.

– Porządek musi być – odwrócił się do niego.

Bener udał, że to kupił. Priorytetem było odnalezienie dziewczyny bez względu na to, że zapewne nic jej nie groziło. Ale robota to robota.

Żelazny pchnął w końcu drzwi do pokoju córki. Bener zerknął w głąb i miał wrażenie, jakby znalazł się w pokoju z katalogu Ikei. Regał z półkami zavalony książkami i bibelotami pod jedną ścianą, biurko z modną lampą kreślarską i otaczającą je meblościanką pod drugą, łóżko przykryte niebieskim kocem i gruby dywan, wszystko w niebieskich tonacjach. Do tego kilka kwiatów doniczkowych.

Wszedł do pokoju i odwrócił się do zaskoczonego Żelaznego. Chwycił za klamkę.

– Rozejrzę się, a pan przygotowuje tę listę.

Żelazny nie ruszył się z miejsca. Minę miał nietęgą.

– Może mnie pan przeszukać, jak skończę. – Bener zamknął mu drzwi przed nosem.

Gość zaczynał działać mu na nerwy. Odczekał chwilę i dopiero gdy usłyszał jego kroki na schodach, zabrał się do roboty.

Na biurku stał otwarty laptop. Bener przejechał palcem przy klawiaturze, żeby sprawdzić, czy kurz zdążył już osiąść. Nie zdążył. Sprawdził też obudowę i zasilacz. Były zimne. Uruchomił sprzęt i poczekał, aż załaduje się pulpit, jednak zamiast tego na ekranie pojawiła się strona do logowania. Zostawił na razie komputer w spokoju. Zajrzał do szuflad, w których Monika Żelazna trzymała podręczniki i ćwiczenia do języka hiszpańskiego. Więc jednak hiszpański, a nie włoski, jak twierdził jej ojciec. Otworzył je i przekartkował. Były wypełnione niemal w całości, czasami na marginesach dziewczyna robiła notatki innym kolorem.

Zdał sobie sprawę, że jest tu wyjątkowo gorąco. Zerknął na podłużną skrzynkę klimatyzacji zawieszoną nad oknem. Nie pracowała. Pilota znalazł na biurku. Po chwili plastikowe skrzydła nawiewu zaczęły się ruszać w górę i w dół, szum narastał.

Zajrzał do drugiej szuflady, gdzie znalazł jedynie przybory do pisania, kleje, różne rodzaje pędzli i inne duperele. Kiedy ją zasuwiał, miał wrażenie, jakby słyszał kroki na korytarzu. Nadstawił uszu.

Cisza.

Schylił się pod biurko do kosza na śmieci i przejrzał pobieżnie zawartość: pogniecione, a czasami podarte wydruki, skrawki od temperowania ołówka, zużyte baterie, puste plastikowe pudełko po kremie. Część kartek rozprostował. Były to pobrudzone klejem wydruki różnych kolorowych figurek, prawdopodobnie do

samodzielnego zdobienia. Poza tym kilka kartek zawierało wiersze, albo przynajmniej próby wierszy autorstwa Moniki, bo kartki były podpisane jej imieniem i nazwiskiem. Nie była to wirtuozeria, raczej nastoletnie zwierzenia okraszone rymami częstochowskimi. Pisał podobne w młodości.

Doszukiwał się w tych słowach jakichkolwiek treści mogących mieć związek z jej zniknięciem, oznak depresji albo załamania. Ale melancholijne strofy nie były w żadnym razie kroniką jej uczuć ani dziennikiem chorej na depresję, jeśli już to nieszczęśliwie, a może platonicznie zakochanej nastolatki. Nie dostrzegł co prawda na ścianach pokoju żadnych plakatów z przystojniakami, herosów z gołą klatką i sześciopakiem na brzuchu, a nie – jak u niego – w lodówce.

Wyprostował się i zerknął na wiszącą nad biurkiem tablicę korkową, ale widniały na niej jedynie plan lekcji i wycięty z gazety rysunek znanego toruńskiego artysty Marcina Treichla, który przedstawiał leżące równo na stole lukrowane pączki w trakcie odprawy w Tłusty Czwartek. Głównodowodzący pączek nakazywał: „Pamiętajcie – jak facet, wchodźcie w oponę. Sekcja żeńska spotyka się w biodrach”.

Bener uśmiechnął się do świetnego rysunku znajomego. Ale też i do tego, że dziewczyna miała dobry gust. Poza tym, jak sądził, był to rysunek-strażnik, którym przypominała sobie, żeby dbać o linię. Nie pomylił się, w przeciwległym kącie dostrzegł zwiniętą karimatę, stepper i kolorowe hantle.

W kilkucentymetrowej przerwie między rysunkiem a planem lekcji

tkwiła jedna kolorowa pinezka. Bener wyciągnął ją. Zastanawiał się, czy coś tu wcześniej wisiało, bo miał wrażenie, że tuż pod pinezką korek był nieco ciemniejszy. Poszukał odpowiedzi w przegródkach regału, ale bez zadowalających rezultatów.

Wstał i pootwierał szafki. Znalazł sporo podręczników, ale także ciuchy i bieliznę. Zdziwiło go, że nie miała zwykłych majtek, tylko stringi, same koronki, a do tego podobne eleganckie biustonosze, w których mógłby zasadzić jukę i nie martwić się o korzenie. Ale co on mógł wiedzieć o młodych kobietach?

Zerknął też do szafy na równo powieszzone sukienki i ustawione w dolnej szufladzie buty.

Potem podszedł do regału z książkami. W większości kryminały i horrory. Jego uwagę zwrócił jeden, świetny boksterski tytuł na grzbiecie: *Garda* Evy i Marasa Pijanowskich. Mocna, kryminalna rzecz. Przeczytał ją niedawno i był zachwycony. Dostrzegł też *R.I.P.* Mariusza Czubaja, niesamowity western kryminalny. Osobną półkę zajmowała cała kolekcja powieści Katarzyny Bondy. Coraz bardziej podobał mu się gust Moniki. Wyciągnął kilka książek na chybił trafił i wertował w poszukiwaniu ukrytych kartek, czegokolwiek, co byłoby pomocne w ustaleniu miejsca jej pobytu.

Pudło.

Usiadł na łóżku i rozejrzał się raz jeszcze. Pod poduszką w żółte wzory znalazł złożoną koszulkę nocną z wizerunkiem Garfielda. Sprawdził szuflady z boku łóżka, ale leżały tam jedynie ułożone w kostkę prześcieradła i gruba, zimowa kołdra. Pod materacem też

pusto.

Podszedł do niskiego stolika, na którym stał niewielki płaski telewizor i Blu-ray tej samej firmy. Nacisnął przycisk na pilocie, ale nic się nie wydarzyło. Zostawił telewizor w spokoju, ale dotknął odpowiedniego klawisza na obudowie odtwarzacza i wtedy sprzęt wydał kilka dźwięków, by po chwili ze szmerem wysunąć szufladę. Zerknął na płytę z odcinkami serialu *Detektyw* w oryginalnej wersji językowej.

Bener spojrzał na stojące pod ścianą pudełka z pozostałymi filmami i muzyką. O ile w przypadku tych pierwszych co nieco świtało mu w głowie, to przy wykonawcach muzyki poddał się od razu. Nie rozpoznał żadnego twórcy, nie bardzo nawet wiedział, do jakiego gatunku ich przypisać. Pod odtwarzaczem płyt znajdowała się miniwieża, ale nie było w niej żadnego krążka.

Odwrócił się i znowu usłyszał coś, jakby kroki, za drzwiami. Wyjrzał na korytarz. W pokoju, tym najbliższym schodów, drzwi były minimalnie uchylone. Nie widział tam żadnego światła, ale czy nie było tak, że Żelazny je zamknął? A może tylko domknął? Bener tego nie pamiętał. Usłyszał za to głos gospodarza dochodzący z dołu, który mieszał się z dźwiękami telewizora. Być może Żelazny rozmawiał przez telefon albo wrócił ktoś z domowników.

Zanim Bener wyszedł z pokoju dziewczyny, wyłączył znajdującą się przy biurku listwę przepięciową, do której podpięty był zasilacz laptopa. Następnie ruszył w stronę schodów, ale zatrzymał się przy uchylonych drzwiach. Spojrzał na nie, wreszcie dotknął lakierowanego

drewna. Pchnął lekko, aż same się otworzyły i stuknęły o odbojnik. W pokoju było ciemno. Odszukał włącznik i po chwili umeblowany, nowoczesny pokój z zabudowaną szafą na tylnej ścianie wypełniło ciepłe, żółte światło. Nie znalazł w nim żywej duszy. Przekroczył próg i wtedy poczuł na szyi lodowaty podmuch. Odwrócił się do nawiewu klimatyzacji. Skrzydła unosiły się raz w górę, raz w dół, a silny strumień powietrza mierzwił mu włosy.

Raz jeszcze się rozejrzył, a potem zgasił światło i zszedł na dół.

Kiedy stanął na parterze, Żelazny opierał się o filar i patrzył w stronę telewizora, w którym leciał polski serial. Wciąż rozmawiał przez komórkę.

– Wiktor, ja to wszystko wiem, ty mi tego nie musisz tłumaczyć. Jutro będziesz to miał. Tylko zrozum, ja tu mam urwanie jaj – złościł się. Ale kiedy dostrzegł Benera, próbował się uśmiechnąć i dał mu znak, by usiadł w fotelu, a sam cofnął się do kuchni.

Bener niepostrzeżenie przyciszył zbyt głośno grający telewizor i kolejny dziś raz nasłuchiwał. Nie wszystko udało mu się wyłować.

– Tak, ale ja nie wiem... rozumiesz – szeptał. – Nie, kurwa... Ależ oczywiście, że nie. Na cholerę taki smród... podobno na rzeczy... No zobaczymy. Dobra, odezwę się, teraz nie mogę.

Bener udawał, że wsłuchuje się w serialowy dialog, kiepski jak te w zwiastunie *Smoleńska*.

– Znalazł pan coś? – zapytał Żelazny, odkładając komórkę na stół.

– Muszę uruchomić komputer córki. Zna pan hasło?

– Nie, sami też próbowaliśmy z żoną, nawet syn gmerał, ale to nic

nie dało.

– Zabrałbym go w takim razie do siebie.

– A co, jeśli policja będzie go potrzebowała? Czy oni pierwsi nie powinni tam zajrzeć?

Bener przyznał mu rację. Trzeba było szukać innej metody.

– A jej adres mailowy pan zna?

Żelazny przedyktował i po chwili sięgnął po listę nazwisk i numerów telefonów. Była to kserówka z ładnym, odręcznym kobiecym pismem.

– Żona przygotowała to wcześniej.

Bener złożył kartkę na pół, włożył luźno między strony notatnika i ruszył do wyjścia.

– A, i jeszcze jedno.

– Tak?

– Jest tu alarm?

– Tak. Załączamy parter, gdy idziemy spać.

– Zawsze?

– No, szczerze mówiąc, ostatnio tego nie robiliśmy.

– A ogród?

– Eeee, a kto by tam w ogrodzie alarm zakładał?

Uścisnęli sobie dłonie.

Kiedy Bener przechodził obok schodów, miał wrażenie, że coś u góry się poruszyło. Albo tak mu się tylko zdawało.

Wyszedł na dwór. Żelazny oparł się o framugę i skierował pilota w stronę bramy ogrodowej. Oba skrzydła bezszelestnie zaczęły się

otwierać.

Było już ciemno, ale dom oświetlały ustawione w ogrodzie reflektory.

Bener wsiadł do wozu, minął bramę i wtedy zobaczył w lusterku wstecznym, jak Żelazny zbliża się do miejsca, gdzie przed chwilą stał ford, i pochyła nad kostką brukową.

Odjechał kawałek i zatrzymał wóz w przecince między polami, za kępą gęstych krzewów. Wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Kiedy wrócił do miejsca, z którego dom Żelaznego widział jak na dłoni, sam pozostając w ukryciu, wyciągnął telefon i uruchomił tryb kamery. Włączył nagrywanie i czekał.

Obraz drgał lekko, ale nie przeszkadzało to w obserwacji. Ciemna postać kucnęła. Żelazny rwał papierowe ręczniki i kładł je na bruk. Bener tak naprawdę wcale na niego nie patrzył. Całą uwagę skupił na połaciowych oknach na poddaszu, na których kładły się refleksy.

– No dalej – powiedział cicho i natychmiast przymknął się, bo zdał sobie sprawę, że głos też się nagrywa. Jeśli będzie musiał odtworzyć komuś nagranie, wypadnie to mało profesjonalnie.

Żelazny zabrał zatłuszczone papiery i wyrzucił je do śmietnika ustawionego w narożniku działki. Kiedy minął kopiec z szemrzącym strumykiem i szedł w stronę drzwi, wreszcie stało się to, na co Bener czekał.

Dziennikarz się uśmiechnął.

Odtworzył sobie w myślach układ pomieszczeń i był pewien, że chodzi o pokój znajdujący się najbliżej schodów.

Pokój, w którym właśnie zapaliło się światło.

8

Umówił się z Aldoną.

Było późno, ale mimo to musiał poprosić ją o pomoc. Chciał do niej pojechać, ale Terlecka była właśnie na starówce i wkrótce miała wracać do siebie, więc mogła lekko zboczyć z trasy.

Zanim odjechał ze Złejwsi, podszedł jeszcze pod dom Żelaznych, raz nawet na tyle blisko, że uruchomił czujkę oświetleniową, która wypuściła w jego stronę wiązkę oślepiającego białego światła z halogenów zawieszonych na elewacji. Żelazny tego nie zauważył, bo w ogrodzie dzięki innym lampom i tak było widno jak w dzień. Bener spędził za żywopłotem kilkanaście minut, obserwując parter, ale nikt oprócz biznesmena tam się nie pojawił, za to Żelazny kilkakrotnie zniknął mu z oczu, ale z tej pozycji Bener nie był w stanie sprawdzić, czy mężczyzna wchodził na górę, czy nie. W końcu dziennikarz wycofał się do samochodu i odjechał.

Teraz zalał wrzątkiem zupkę chińską i zakrył ją płaskim talerzem. Ostry chemiczny zapach przypraw rozszedł się po domu. Bener włączył głośniej muzykę i usiadł w salonie przy ławie.

Mieszkał przy Kalinowej w starym domu po dziadku, skąd miał dziesięć minut spacerkiem do redakcji. Było to dawne osiedle zakładowe Pomorskich Zakładów Wytwórczych Aparatury Niskiego

Napięcia, jednego z byłych większych pracodawców w Toruniu i dawnego tytularnego sponsora żużlowców, który bardziej znany był pod późniejszą nazwą: Apator.

Dom wymagał remontu, ale Bener nigdy nie znajdował na to ani czasu, ani pieniędzy. Zarówno jedno, jak i drugie marnował na poszukiwanie Agaty. Tak, marnował, bo skoro jej nie odnalazł i nie zbliżył się do tego celu nawet o krok, to przynajmniej należało nazywać rzeczy po imieniu. Dorósł już do tego, by przestać się oszukiwać. Bo teraz był w dokładnie takiej samej czarnej dupie jak wtedy, kiedy dotarła do niego myśl, że może jej już nigdy nie zobaczyć. Przeszedł go dreszcz.

Bezwiednie wpatrywał się w ścianę, na której wisiały zdjęcia Agaty. Selfie z lwem na sawannie (lew siedział w pewnym oddaleniu, ale patrzył w obiektyw), okładki pism podróżniczych przedstawiające jej uśmiechniętą twarz. Była znaną fotoreporterką, globtroterką, podróżniczką i miłośniczką wypadów do najciekawszych zakątków świata. Pracowała jako freelancer, miała to coś, to genialne wyczucie chwili, przestrzeni i kompozycji. Kiedy już zwolniła migawkę, można było być pewnym, że zdjęcie będzie przyciągało oko.

Uśmiechnął się do wspomnień. Z plecaka wyjął listę telefonów i adresów, którą przekazał mu Żelazny. Przystudiował ją dokładnie, zawierała nie tylko imiona i nazwiska osób, ale także adnotację, kim byli dla zaginionej. „Koleżanka z klasy, koleżanka z hiszpańskiego, kolega ze wsi”. Nigdzie w tym spisie nie znalazł jednak Oliwierka Pożal-się-Boże-Pierdoły-Rzewnej. Nie chciał dzwonić w tej sprawie do

Żelaznego i to nie dlatego, że było późno. Miał to głęboko, zresztą z przyjemnością zerwałby go z wyra. Nie zadzwonił tylko dlatego, że skoro matka Moniki nie zamieściła na liście chłopaka córki, to albo rzeczywiście Żelaźni nie mieli do niego kontaktu, albo starali się to ukryć. Postanowił więc rozegrać to po swojemu. To znaczy, liczył na kreatywność i zdolności Aldony.

Kiedy wreszcie przyjechała i bosy weszła do salonu, przedstawił całą sprawę, poczynawszy od wizyty Żelaznej w redakcji, jego pobytu w domu biznesmena, aż po kwestię zdobycia numeru Oliwierka. Poprosił ją o pomoc.

– Pikuś. To wszystko? – Uniosła ramiona. – Sprawdzę go na fejsie.

Nie wyglądała na zmęczoną, raczej coś ją gniotło. Bener wiedział, że niedawno straciła ukochaną babcię, i zastanawiał się, czy to dlatego miała wypisany na twarzy taki smutek. Miał ją o to zapytać, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Prawie wszystko. – Sięgnął po telefon komórkowy i odtworzył jej ostatnio nagrany film.

Usiadła obok niego. Poczuł woń jej perfum, lekko waniliową nutę przełamana cytrusowym zapachem, i nie mógł odwrócić wzroku od jej pięknie wyprofilowanych, opalonych stóp i zadartych palców, które przytrzymała rękoma.

– No i co mi chcesz udowodnić? Że biznesmena stać na światło na poddaszu? – zażartowała.

Wtedy dopowiedział jej historię o tym, jak siedział w pokoju młodej Żelaznej i wydawało mu się, że ktoś przeszedł korytarzem. Ale pewny

nie był. Widział też uchylone drzwi do pokoju, które, jak mu się zdawało, wcześniej zamknął gospodarz.

– Okej. I co mam z tym zrobić? Sprawdzić ich rachunek za prąd?

Uwielbiał ją.

– Wystarczy, jeśli pojedziesz tam jutro wieczorem i się rozejrzysz. Poobserwujesz, popatrzysz. Możesz nawet zrobić sobie grilla w ich ogrodzie, bo nie mają tam alarmu, a okna są latem szczelnie zamknięte. Chłodek w domu zapewnia klima. Nikt cię nie usłyszy.

– Jutro chyba nie dam rady, mam spotkanie z terapeutką – rzuciła.

Bener przyjrzał jej się uważnie. Drgnęła, zdając sobie zapewne sprawę, że powiedziała za dużo.

– No dobra – jęknęła. – Mówiłam ci, że zajęłam się ciekawym tematem.

Wróciła na swoje miejsce i zabrała ze sobą przyjemny zapach.

– To w czym teraz grzebiesz? – zachęcił ją.

– Przerznięłam dziś dwie stowy – uśmiechnęła się.

– To dobrze.

Jej brwi zbiegły się ze sobą.

– Dobrze, że od razu załatwiłaś wizytę u terapeutki – zażartował. – Jeśli weszłaś w hazard, to żarty się skończyły.

– Gdybyś wiedział, jakie to jest bagno. – Założyła nogę na nogę. – Same grube ryby i tylko wysokie stawki.

– U nas, w Toruniu? Niemożliwe! – błaznował i rozłożył ręce. – Tu nie ma afer, tylko nieprzychylni władzy ludzie gotowi wepchnąć kij w tryby dobrze działającego mechanizmu samorządu! Tu jest otwartość i

przejrzystość procedur. Wszystko cacy.

Aldona pokiwała głową.

– Tym razem sprawa nie dotyczy polityki.

– Wszystko w tym kraju dotyczy polityki – stwierdził już zupełnie poważnie.

– No dobra, ale tym razem nie chodzi o apel smoleński.

– Serio? To o co? – Błaznował dalej, ale kiedy zobaczył jej zniesmaczoną minę, skapitulował i westchnął. – Dobra, mów, co masz.

Aldona poprawiła włosy i zmieniła pozycję. Podciągnęła stopy i oparła je na siedzisku fotela.

– Nielegalny hazard.

– To w tym kraju codzienność – Bener nie dawał się przekonać. – Automaty do gier przecież nadal są...

– Nie chodzi o automaty. Co prawda to groźne gównno, ale nie tak jak to, co mam na myśli. Fakt, że od automatów się zaczyna. Ale to, o czym myślę, to... Tu za samo wejście płaci się gruby szmal. To coś na niespotykaną dotąd skalę.

– Poczekaj. Skąd pomysł na taki tekst? – wolał się upewnić, czy Aldona nie zrobiła jakiejś głupoty.

– Pamiętasz Miro, Zbycha i Rycha?

Bener kiwnął głową. Afera hazardowa z 2009 roku. Chodziło o horrendalną kasę z automatów do gier i korzystne dla ich właścicieli zapisy w nowelizowanej ustawie. Bener pamiętał, że jakiś procent zysków z kasyn, salonów gier i automatów o niskich wygranych miał być przeznaczony na budowę Narodowego Centrum Sportu. Ale Rycho,

biznesmen z tej branży, a także Zbycho, szef klubu parlamentarnego PO, i Miro, minister sportu w rządzie Tuska, mieli uzgodnić, że automaty nie będą objęte tym przepisem. Według CBA państwo straciłoby na tym pół miliarda złotych rocznie. Bener przypomniał sobie jeszcze stary wywiad ze skruszonym gangsterem Masą, który opowiadał, że z jednego takiego automatu, stojącego na stacji benzynowej albo w przejściu do kibla podrzędnej knajpy, miesięczny zysk sięgał nawet dwudziestu tysięcy złotych. Razem z Agatą żartowali nawet, że zamiast salki treningowej w piwnicy, którą przygotował dla Benera jego dziadek, otworzą salon gier i do końca życia będą rentierami.

Aldona przypominała mu, że pieczę nad automatami, z których znaczna większość była bez homologacji, a co za tym idzie działała w szarej strefie, objęła mafia. Rola gangsterów ograniczała się jedynie do znalezienia miejsca w knajpach, restauracjach, barach, na stacjach benzynowych oraz w sklepach. Następnie za wstawienie jednorękiego bandyty płacili właścicielom miesięczny czynsz i odpalali jakiś stały zysk, tak by ten, kto automat przyjął pod swój dach, miał powody do radości i jednocześnie święty spokój. Bo mafia swoich przecież nie dociskała. Kura znosiła złote jaja bez żadnych przeszkód.

– Ale teraz przepisy się zmieniły – Aldona wróciła do podjętego tematu. – Od lipca teoretycznie wszystkie automaty, które przemianowano na maszyny o niskich wygranych, bo miały wypłacać marne ochłapy, powinny zniknąć z miejsc publicznych i trafić do licencjonowanych kasyn i salonów gier. Tylko że to fikcja. Taka sama

jak małe wygrane.

– Skąd wiesz?

– Nie na darmo straciłam te dwie stówy. Poznaję ludzi, słucham ich opowieści. Jestem coraz bliżej wejścia do prawdziwej jaskini.

Bener zmarszczył czoło, przeczuwał kłopoty.

– Przecież sama mówiłaś, że nie wpuszczają tam każdego.

– Dlatego gram. – Aldona przymknęła oczy. – Rzygam tymi elektronicznymi dźwiękami i pulsującym światłem bijącym od ekranu jednoręcznych. Pod powiekami przewalają mi się kolorowe owoce. Normalnie jakbym sałatkę hawajską robiła.

– To się zgłoś do MasterChefa – Bener niby zażartował, ale serio zaczął się o nią martwić. – Żeby tylko ten terapeuta naprawdę nie był ci potrzebny.

Aldona otworzyła oczy.

– Nie grozi mi to.

– Okej, ale gdyby coś, to wiesz...

– Oczywiście starszy bracie, tatusiu, czy jak tam sobie życzysz, może być nawet wujku. Zgłoszę się do ciebie.

Bener kiwnął głową.

– Dobra, zbieram się. – Aldona wstała i ruszyła do wyjścia. – A, i jeszcze jedno.

Spojrzał na nią ciekawym, co będzie dalej.

– Poszłabym zatańczyć.

– Jeśli szukasz partnera, to zgłoś się do Maseraka. Pamiętam, że zwawo kręcił piruety z toruńskimi policjantami. – Bener przypomniał

sobie incydent z życia celebryty.

Aldona wymierzyła w niego palec i nie przestając się uśmiechać, dodała:

– Jeśli spędzę jutrzejszy wieczór pod domem Żelaznych i na nic nie trafię, to jedną noc zabaluję z tobą w dyskotecce, jasne? Będziesz mi to winien!

Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń.

– Przyjmuję zakład – powiedział spokojny o swój los.

W domu Żelaznego ktoś się ukrywał. Chciał wiedzieć dlaczego, a Aldona mogła mu w tym pomóc. Nie miał żadnej gotowej teorii, musiał więc zbadać przynajmniej to, co do tej pory udało mu się odkryć.

– Parkiet mi nie grozi – rzucił, gdy szła do swojego samochodu.

Podniosła ręce nad głowę, pokręciła biodrami i niemal płynęła przez chodnik w stronę wozu. Bener poczuł rytm, do którego improwizowała Aldona.

– Lepiej weź parę lekcji – dodała.

Patrzył na nią, jak zgrabnie wsiadła do samochodu i jak posłała mu przez szybę całusa.

Gdy odjechała, wycofał się do domu i złapał telefon.

– Raku? – spytał, gdy po drugiej stronie mężczyzna podniósł słuchawkę.

– Co jest? Spać nie możesz? – odezwał się fotoreporter.

– Kiedy myślę o tobie, faktycznie mam z tym problem.

Rak się zaśmiał.

– I sprawę mam pilną – dodał Bener.

– To rozumiem, że teraz ja już nie zasnę...

Dziennikarz przedyktował mu adres poczty elektronicznej Moniki Żelaznej założonej na gmailu.

– Pewnie nie masz hasła, co? – dopytał Rak, który mocno wkręcił się w komputery i potrafił zdobywać ciekawe informacje, wykorzystując swoje nowe umiejętności.

– Zatrudniam same bystre głowy! – Bener klasnąłby w dłonie, gdyby mógł.

– Tak? No popatrz, a po liście płac tego nie widać – odgryzł się Rak. Zaśmiali się obaj.

– Na kiedy to potrzebujesz? – zapytał fotoreporter.

– Pilnie. Dziewczyna zniknęła, nikt w domu nie zna hasła do jej kompa.

– A masz go? Bo z nim szybciej bym się uwiął.

– Rodzina zgłosiła sprawę zaginięcia policji. Pewnie zajmą się jej sprzętem. Gdybym go zabrał, napytałbym sobie biedy.

– Dobra, podziałam i jutro oddzwonię.

Bener odłożył telefon i usiadł na sofie. Rysiek Riedel śpiewał właśnie o tym, że jest rozgrzany jak piec. Tak, Bener odczuwał to samo. Czuł rodzące się w nim nieznośne napięcie. Miał ochotę na seks, na szybki numerek, który przyniesie upragnione uczucie ulgi i chwilowy błogostan.

Aldona nie miała figury, jaką on uwielbiał w kobietach – szerszych bioder i wąskiej talii – a jednak było w niej coś, co chyba od początku ich znajomości go pociągało. Była między nimi nic porozumienia,

wyczuwali to oboje, może nawet i gotowość na coś więcej, ale jednocześnie każde z nich siedziało we własnej kapsule ratunkowej, gotowe czmychnąć, gdyby tylko ich trajektorie zbliżyły się do siebie za bardzo.

Nie warto tego psuć, pomyślał Bener.

Poderwał się z sofy, wyłączył wieżę i mimo późnej pory przebrał się w sportowe ciuchy. Jednak zanim zszedł do salki ćwiczeń, rozładował napięcie w toalecie. Spuścił wodę i ruszył w stronę piwnicy.

Zaczął od rozgrzewki ze skakanką, potem trenował haki, waląc w skórzany worek.

Kiedy skończył, wziął prysznic. Potem padł wykończony na łóżko, a kiedy zasnął, miał krótki, intensywny sen. Patrzył na komputerowego, złożonego z pikseli ludka z szerokimi plecami i umięśnionymi ramionami, ubranego jedynie w czarne spodnie, który szedł wąską ścieżką przez las. Grafika wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Co chwila po lewej lub prawej stronie ścieżki, między drzewami, wyskakiwał siwy łeb i czerwona mordą Stanisława Rudnika, jego byłego pracodawcy. Bener, a raczej bohater gry, musiał trafić go pięścią w bokerskiej rękawicy, raz lewą, raz prawą. Tempo przyspieszało, bokser musiał biec. Mechaniczne uderzenia sięgały celu za każdym razem. Wtedy z gęby Rudnika tryskały czerwone piksele, odpadała płatami skóra, a głupi uśmiech zastępował grymas bólu i kościotrupie szczęki. Bener biegł coraz prędzej, pięści migały. Prawie niczego już nie widział. Obraz się rozmywał.

Nagle wszystko zgasło, a po chwili na ekranie pojawiła się pęknięta

czaszka. Nad nią bił po oczach krwistą czerwienią stary migający neon, który składał się na napis: „Wygrałeś”. Czaszka ożyła, zaczęła ruszać szczękami. Kamera zbliżała się, aż w końcu szczęki wypełniły całą przestrzeń. Bener widział dokładnie szerniałe zęby i poźółkłe kości. I właśnie na tych zębach wyświetliła się fotografia chłopca, którego Bener odnalazł w zeszłym roku. Nie wiedział, co to miało znaczyć.

I wtedy usłyszał głos Rudnika.

– Nie rób mu krzywdy, gnoju.

ŚRODA

17 SIERPNIA 2016 ROKU

1

– Bener – rzucił gardłowym głosem do telefonu, błakając się jeszcze myślami po komputerowym śnie, jakby wciąż rozważał, czy przypadkiem nie była to marna pod względem grafiki, ale jednak jakaś wersja rzeczywistości.

– Oj, chyba ostro się pobalowało wczoraj, co? – usłyszał kobiecy śmiech.

Aldona.

Przetarł oczy, usiadł na łóżku i spuścił głowę, końcówki długich włosów łaskotały go w uda.

– Czyżby jakiś upojny taniec? Trenowałeś przed wyjściem na parkiet?

– Tańczyć to ja umiałem jedynie w ringu – odchrząknął. – A teraz wygibańce najlepiej wychodzą mi w piwnicy ze starym workiem treningowym.

Co prawda Bener zamówił sobie nowy worek, tym razem mniejszy – gruszkę. Od wtorku czekał, aż odezwie się do niego kurier i podrzuci mu paczkę.

– I jak ci poszło z Oliwierkiem?

– To był pikuś. Facebook i głupota ludzka dają razem nieograniczone możliwości. Wystarczyło się wkręcić do jego

znajomych, nawinąć smutną bajeczkę i po chwili otrzymałam z dwóch źródeł jego komórkę. Przy czym każdy z nich, bo to przystojni młodzi goście byli, prosił, bym nie zdradzała, że mam ten numer od nich. Ciekawe, nie?

Bener nie miał konta na Facebooku i nie wiedział, jak działają nowe media. Sam czuł się wobec nich stary i nie rozumiał zachwyty nad taką formą komunikacji. Miał wrażenie, że cały ten postęp w tworzeniu nowych kanałów dystrybucji informacji, wszystkie te twittery, pinteresty, instagramy i snapchaty, chociaż coś tam o nich wiedział, uciekły mu dawno jak pociąg z peronu i teraz stał sam jak ten kolek, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić ani w którą stronę iść. Oczywiście „Echo Torunia” miało swoją stronę internetową i fanpage na Facebooku i innych platformach, ale wszystko ogarniała Aldona. On wolał zasłaniać się tym, że nie ma do tego ani głowy, ani czasu.

– Ale jest jeszcze coś, co może zainteresować cię bardziej – dodała.

– Co na przykład?

– Sam zobacz. Zrobiłam ci screena i wysłałam mailem.

Pogadali jeszcze chwilę, a potem Aldona przedyktowała mu numer do Oliwierka i rozłączyła się, uprzednio uzgodniwszy z nim plan pracy redakcji. Wiedział, że dziś nie będzie mógł zbyt często tam zaglądać, a musiał kontrolować działania na froncie, bo jutro gazeta miała lecieć do drukarni. W piątek po południu ruszy dystrybucja. Plan jak zawsze był napięty, ale wiedział, że Aldona to udźwignie. Jeśli nie radziła sobie z redakcją tekstów pozostałych dziennikarzy, prosiła go o pomoc. W praktyce zdarzało się to jednak niezwykle rzadko. Dzięki temu

będzie mógł poświęcić się w spokoju odnalezieniu Moniki.

Zanim odebrał mail od Aldony, zadzwonił do rzecznika policji, z którym od dawna był na „ty”, i zdziwił się, że do tej pory Żelazni nie zgłosili zaginięcia dziewczyny. Odłożył aparat, zastanawiając się, w co gra biznesmen.

Postanowił umówić się z Oliwierkiem. Głos chłopaka brzmiał nosowo, przeciągał wyrazy, co w opinii Benera trąciło ciotą. Zaczynał rozumieć, co Żelazny miał na myśli. Pytanie tylko, dlaczego taki bezjajeczny chłop, jakim wydawał mu się po telefonicznej rozmowie Oliwierka, spodobał się urodziwej Monice. Chłopak niechętnie umówił się z Benerem na spotkanie i rzucił długie „do widzenia”. Bener odłożył aparat, trzymając go koniuszkami palców.

Potem odpalił laptop i zrobił sobie śniadanie. Usiadł nad talerzem z kanapkami przy stole w salonie.

Otworzył wiadomość wysłaną przez Aldonę i uruchomił plik.

Wyświetliło się zdjęcie Moniki, klasyczne selfie, prezentujące jedynie uśmiechniętą twarz. Nie różniło się pewnie od zdjęć tysiąca innych osób, które widział na Facebooku, kiedy Aldona prezentowała mu posty zamieszczane przez nią na stronie „Echo Torunia”. Odnotował, że Monika wstawiła tę fotkę w niedzielę tuż po piętnastej, co oznaczało, że zrobiła ją przed wyjściem do Patrycji na urodziny. Być może była to jej ostatnia internetowa aktywność, zanim dziewczyna zniknęła.

Zdjęcie zebrało blisko czterdzieści lajków i serduszek. Parę osób skomentowało je, komplementując urodę Moniki. Szczerze czy nie,

Benera to nie obchodziło. Jego uwagę przykuł natomiast ostatni wpis, dokonany przez osobę o pseudonimie Czar Jot, z rysunkiem zamiast zdjęcia profilowego. Rysunek przedstawiał faceta z hiszpańską bródką i zakreconym wąsem, długimi blond włosami i czerwoną czapką. Z prawej strony znajdowała się rękojeść szabli, albo cholera wie czego. Benerowi ten rysunek wydawał się znajomy, ale nie mógł z niczym go skojarzyć. Gdyby miał postawić jakąś kasę, obstawiałby coś z dzieciństwa, jakieś gry czy kolorowanki. Było to coś, co na pewno znał, ale pamięć odmawiała mu posłuszeństwa. Wolał skupić się na treści komentarza Czar Jota. Mimo że przeczytał go kilkakrotnie, nie bardzo wiedział, jak go zakwalifikować. Nietrafiony żart czy pseudogroźba? A może nic z tych rzeczy.

Może było to najbardziej zwyczajne i niewinne „do zobaczenia” któregoś z jej znajomych?

2

Podczas gdy Bener zastanawiał się, które części ze swojej skromnej garderoby zrzucić z siebie w taki upał i nie obrazić przy tym niczyich uczuć religijnych, Oliwierek ubrał się we flanelową koszulę, którą zapiął na wszystkie możliwe guziki, także przy mankietach zachodzących na jego wąskie, blade dłonie. Długie sztruksowe spodnie marszczyły się na białych adidasach. To że będzie miał okulary jak denka od butelek, Bener powinien przewidzieć wcześniej, wówczas poprawiłby sobie humor kolejnym wygranym zakładem z samym sobą, a gdyby jeszcze dodał do tego, że będą mu się zsuwały z nosa, zgarnąłby główną wygraną. Chłopak chwycił je co chwila oburącz i podnosił bliżej oczu, jakby wyciskał sztangę.

„Kajś ty dziołcho oczy miała”, Bener zanucił sobie w duchu śląski cover wykonany przez Ryśka i Dżem, i faktycznie zastanawiał się, czy Monia nie cierpiała na schorzenia wzroku. Ale być może było tak, że Oliwierek miał inne zalety, tylko nie wiedzieć czemu, Benerowi znowu przyszły na myśl same stereotypy.

Ciemne, rzadkie włosy były przetłuszczone i ulizane na bok, lekko oprószone płatkami łupieżu, które szczególnie widoczne były na misternie wyznaczonym przedziałku. Oliwierek był przeraźliwie szczupły, gdyby się rozebrał, mógłby zapewne służyć za kościotrupa w

sali od biologii.

– Dawno jej nie widziałem – powiedział i dźwignął obiema rękoma okulary.

Siedzieli w ogródku piwnym w pobliżu siedziby Radia Maryja na rozgrzanych plastikowych krzesłach. Siedzisko parzyło Benera w uda, ale na szczęście zamiast radiowych modlitw słyszeli tu jedynie dochodzące z wnętrza baru i zakłócone ulicznym ruchem, skrzeczenie odbiornika nadającego stare przeboje. Wewnątrz lokalu było jeszcze goręcej, o czym Bener przekonał się, gdy poszedł po piwo dla siebie i colę dla Oliwierka. Lokal mieścił się w ciągu pawilonów użytkowych przy ruchliwym skrzyżowaniu Legionów ze Żwirki i Wigury. Chłopak mieszkał tuż obok, w jednym z pobliskich bloków.

– Chodziliście ze sobą? – Bener zadał to pytanie, ale wiedział, że wybrzmiała w jego głosie nuta niedowierzania. Gdzie tam nuta, akord cały!

Po chłopięcej buzi przemknął cień uśmiechu.

– Tak. – Oliwierek upił łyk coli.

– Długo?

– Czy długo? – Przeciągnął ręką po głowie, jakby chciał jeszcze bardziej ulizać włosy. – Nie pamiętam, tak jakoś od zimy.

– I co się stało, że zerwaliście?

Lekkie wzruszenie ramion, niewyraźny grymas.

– Bo ja wiem. To samo się wypaliło – powiedział Oliwierek, jakby wyczerpywała mu się bateria. Chociaż zdaniem Benera, brakowało mu nie tylko energii.

– A jak się poznaliście? – dopytał dziennikarz.

– Na spotkaniu oazowym w Złejwsi.

Bener nie wnikał, kto wziął na siebie zrobienie pierwszego kroku.

– Przecież tam nie mieszkasz.

– Ale mieszka tam moja babcia i często u niej bywam. Oaza była zawsze w czwartki, prowadził ją ksiądz proboszcz.

– Młody?

– Stary. Lekko siwy, jak pan.

Bener uśmiechnął się krzywo, chociaż bardziej przypominało to nerwowe napięcie mięśni mimicznych. Potarł dłonią szczecinę, jakby chciał ukryć ten nieszczęsny grymas, a potem pociągnął piwa z butelki i zapytał:

– I co na tych spotkaniach robiliście?

– Normalnie były śpiewy, czytanie Pisma Świętego, czasami ksiądz zagajał rozmowy o ważnych sprawach.

– Jakich? – przerwał Bener.

– O miłości, złości, nałogach, o problemach w rodzinie.

– Ile osób przychodziło?

– W grupie starszych, jak my, było nas chyba dziewięcioro. – Zamyślił się. – Nie. Ośmioro nas było, ale przeważnie na spotkania przychodziło nie więcej jak pięcioro czy sześcioro. – Oliwierek poprawił oburącz okulary.

Bener zanotował imię i nazwisko księdza, a także numer telefonu. Chłopak miał go w swoich kontaktach, bo proboszcz podobno wysyłał SMS-y o odwołaniu spotkania albo zmianie godziny. Młodziak

wpatrywał się w nowiuteńką komórkę z ekranem wielkości małego telewizora, a potem przeniósł wzrok na Benera w oczekiwaniu na sygnał, że może już sobie iść. Tymczasem dziennikarz dopytał raz jeszcze o Monikę, o to, dlaczego zerwali. Ale niczego nowego nie usłyszał.

– Bywałeś u niej w domu, w jej pokoju?

– No tak. – Spojrzał na Benera jak na kosmitę z jednym okiem.

– Miała twoje zdjęcie? – Bener przypomniał sobie przerwę na tablicy korkowej między planem lekcji a rysunkiem.

– Nie, nie sądzę. Może w komórce.

– A ty masz jej fotki? – Celowo użył zdrobniałej formy, dając mu do zrozumienia, o co tak naprawdę pytał.

– Zwykle zdjęcia?

– No wiesz, takie bardziej tego... – Bener uśmiechnął się krzywo.

– No co pan? – oburzył się chłopak. – Ona nie z takich.

– A normalne?

– Usunąłem – westchnął, jakby z żalem wspominał ten moment.

– A jak wyglądały kontakty z jej rodziną?

– Normalnie raczej. Nie rzucali mi się na szyję, jeśli o to chodzi.

– A Michała, brata Moniki, znałeś?

– Tak.

– Lubiliście się?

Oliwierek poprawił okulary, wzrok uciekł mu gdzieś w lewo. Potem uśmiechnął się, zapewne znowu do przeszłości.

– Szepnął mi na ucho, że zabije mnie, jeśli kiedykolwiek zrobię

krzywdę jego siostrze. Przy każdej możliwej okazji wbijał mi szpilę, co nie przeszkadzało mu pożyczać ode mnie od czasu do czasu trochę kasy.

– Monika wiedziała o tym?

– O pieniądzach?

– Nie. Pytam o to, czy wiedziała, jak traktowałem cię Michał.

– Kazała się nie przejmować.

– A przejmowałeś się?

– A pan by się nie przejmował?

Pierdoła-Rzewna gładził ekran telefonu, jakby miał pod palcami uroczego kociaka.

Bener zapytał, kiedy ostatni raz kontaktowała się z nim Monika, ale ten nie pamiętał, znowu musiał zajrzeć do komórki. Kiedy już to ustalił, odezwał się miękkim głosem:

– Miesiąc temu.

– A ty się do niej później odzywałeś?

– Nie było sensu.

– Ostatnio też nie?

– Nie.

Bener chciał zmienić taktykę.

– Podobała ci się?

– To ładna dziewczyna była... to znaczy, jest.

– I tak po prostu odpuściłeś.

Oliwierek nie skomentował, a Bener nie chciał mu dłużej grzebać drutem kolczastym w jelitach. I tak czuł, że chłopaka bolało każde

wypowiedziane słowo.

– Jest jeszcze coś, co chciałbyś powiedzieć o Żelaznych? – zapytał na koniec Bener.

– Nie, nic.

– Nic. To ty chyba nie polubiłeś przyszlých teściów, co? – Bener zaśmiał się, ale szybko spoważniał, gdy dostrzegł, że chłopak spał mięśnie i trwał przez moment w bezruchu. Potem podniósł się, schował komórkę do tylnej kieszeni spodni i oparł się o blat.

– Klóciła się z ojcem. – Przygłodził włosy i odszedł, a potem zatrzymał się w pół kroku. Wrócił do stolika. Wtedy Bener zauważył, że stawiał stopy jak kaczka.

– Ja panu tego nie powiedziałem – zastrzegł, wyciągając w jego stronę palec.

– A Czar Jot to kto? Znasz kogoś z taką ksywą?

Oliwerek poprawił okulary.

– Nie, nie znam – bąknął i odszedł.

3

Bener ledwie zdążył wysiąść z samochodu na parkingu przed „Kwadratem”, gdzie mieściła się redakcja „Echo Torunia”, gdy rozdzwoniła się jego komórka.

– No jest pan wreszcie – usłyszał zniecierpliwiony głos Żelaznego. – Czekamy na pana na starówce, żeby przygotować się do tej konferencji. Mam tu kilka pomysłów i sądziłem, że będzie pan punktualnie.

Bener nie pamiętał, żeby umawiał się z Żelaznym. Pamiętał jedynie, że sam mówił im o konieczności zorganizowania konferencji.

– Nie byliśmy umówieni – rzucił niepewnie.

– Myli się pan, umawialiśmy się jeszcze w firmie. Może pan nie pamięta, ale ja wyraźnie to zanotowałem.

Żelazny zaczynał mu szarpać nerwy jak dzieciak struny, gdy pierwszy raz dorwie się do gitary.

– Dobrze, dojadę za kilkanaście minut – bąknął zrezygnowany.

– Żartowniś...

– Gdzie jesteście? – odezwał się ostrzej, niż zamierzał.

Żelazny podał mu nazwę knajpy. Moose Cafe na Rynku Nowomiejskim. Nie znał, pewnie jakiś hipsterski szajs, ale nie to było ważne. Żelazny wyjaśnił, że mają fajny ogródek przed wejściem i da

się tam zorganizować spotkanie z mediami, więc lepiej od razu wszystko ustalić w takim lokalu, żeby się przyzwyczaić. Dokładnie takich słów użył.

– Okej, zapisałem.

Tym razem Żelaznego musiało zatkać, bo odezwał się dopiero po chwili.

– To dobrze. I niech to będzie ostatni raz, kiedy ignoruje pan ustalone wspólnie terminy. Bo w przeciwnym razie pana zwolnię – wycedził.

– Niech się pan nie zapędza – przerwał mu Bener. – Nie jesteśmy w wojsku, a ja nie jestem pana żołnierzem. Wiem, co mam robić, i robię to.

– Ale jak dotąd, słabo to panu wychodzi.

Bener chciał odpowiedzieć, ale przygryzł policzek, aż zabolalo.

– Informacja w mediach o zaginięciu Monisi być może da więcej pożytku niż zatrudnianie pana.

Bener odczuwał lekkie skurcze powieki, obawiał się, że zaraz straci kontrolę nad emocjami.

– Jeszcze mi pan nie zapłacił. Poza tym cały czas prowadzę poszukiwania – zaczął Bener, ale Żelazny przerwał mu:

– U mnie słowo droższe od pieniędzy, ale na razie marne ma pan efekty. Boję się, że zacznę przepłacać. Jakość pana działań jest na niższym poziomie, niż początkowo sądziłem.

– Jak dotąd, chyba nikt w tej sprawie nie ma lepszych wyników, prawda? – Bener się rozłączył. Nie zamierzał wysłuchiwać takich

pierdół i doszczętnie zepsuć sobie nastrój. Zresztą całe to zaginięcie było grubymi nićmi szyte. Zastanawiał się, czy nie spróbować odsunąć w czasie planowanej konferencji, bo obecnie musiałby się mocno nagłowić nad tym, co w materiałach konferencyjnych, na ulotkach i plakatach powinno się znaleźć, a co nie. Był przekonany, że cały czas wiedział więcej niż Żelazny. Przeczował, że Monice nic się nie stało, że jest cała i zdrowa, że przyszła do niego z gazetą i chciała mu przekazać jakąś wiadomość. Nie można było wykluczyć, że dziś pojawi się znowu, i na to Bener liczył, przyjeżdżając do redakcji. Wspinał się po schodach, przeskakując stopnie. Był blisko drzwi, gdy Żelazny odezwał się znowu.

– Strasznie pan obrażalski, panie redaktorze – próbował drętwo żartować biznesmen. – Ale to tylko pokazuje, że mam rację.

– W czym?

– W podjęciu decyzji.

– Może pan jaśniej? – Bener uchylił drzwi do redakcji.

– Zwalniam pana i cieszę się, że nie dałem zaliczki. Nie zasłużył pan. – Żelaznemu zaczął drzeć głos. – Jak Boga kurwa kocham, nie zasłużył!

4

Znalazłszy się przed Moose Cafe, Bener czuł już takie parcie na pęcherz, że zdawał sobie sprawę, że żarty się skończyły. Dosłownie i w przenośni. Do tego spocił się, bo drałował od parkingu w pobliżu IV LO, bliżej nigdzie nie znalazł miejsca.

W ogródku, na białych krzesłach i leżakach, nie znalazł nikogo. O tej porze żyć dało się jedynie w klimatyzowanych wnętrzach. Bener szarpnął drzwi. Odetchnął, bo nie były białe. Rozejrzał się po wybielonych wnętrzach, ale nie zauważył Żelaznych. Minał ladę, uśmiechniętą kelnerkę i skierował się na tyły. Tyły oczywiście też były białe.

– O! Dzień dobry – Beata Szczot-Żelazna nie ukrywała zaskoczenia.

Nic nie powiedział. Stał tylko i patrzył na nią. Wiedział, że w ten sposób zdradza się na całej linii. Dziś była ubrana w szarą, krótką spódnicę i czerwoną bluzkę odsłaniającą ramiona. Jej usta też były intensywnie czerwone. Na niskim stoliku dostrzegł espresso, a obok szklanek wody.

Od razu po rozmowie z Żelaznym wpakował się do samochodu i przyjechał na starówkę. Chciał z nim to wszystko raz jeszcze omówić twarzą w twarz, a przede wszystkim zagrać w otwarte karty. Powiedzieć o odwiedzinach Moniki w redakcji i zapytać, kogo

biznesmen ukrywał przed nim w domu. Czas na chwilę prawdy.

– Co pan tu robi? – Szczot-Żelazna uścisnęła mu rękę.

Teraz jednak kompletnie zbaraniał.

– Męża nie ma? – Wolał się upewnić.

– Nie. Wyszedł kilka minut temu.

– Chciał się tu ze mną spotkać, liczyłem, że jeszcze go zastanę.

W przypadku Żelaznych dziwiło go niemal wszystko.

– Proszę. – Wskazała mu miejsce, bo być może faktycznie wyglądał jak człowiek specjalnej troski, który nawet nie wie, gdzie ma usiąść.

Bener postawił plecak obok plastikowego fotela przypominającego leżankę u psychoterapeuty i zrobił to, o co prosiła. Czuł jednak, że pęcherz rośnie jak balon, i wolałby go najpierw opróżnić, a pozycja, którą zajął, sprawiła, że uciskał go jeszcze mocniej.

– No więc? – Sięgnęła po kawę. – Niech pan przynajmniej powie, jak panu idzie...

Podrapał się po zaroście, zastanawiając się jednocześnie, czy Żelaźni są w pełni władz umysłowych.

– Możemy przestać udawać? Pani mąż zrezygnował z moich usług, ale o tym już pani wie.

– Słucham?!

– Zrobił to jakiś kwadrans temu. Sądziłem, że...

– Ale dlaczego? – przerwała mu i zmarszczyła czoło.

– Liczyłem, że przedstawi mi powody twarzą w twarz.

– Pokłóciliście się, tak? Poszło o pieniądze? – Przysunęła się do stolika. Miała złączone kolana, a krótka spódnica odsłaniała uda.

Bener siedział naprzeciwko niej i z trudem oderwał wzrok od niższych partii jej ciała.

– Nie, skąd. Jak dotąd nie wziąłem żadnych pieniędzy.

– No to o co poszło?

– Z tego, co zrozumiałem, o zbyt małe postępy.

Prychnęła.

– Zwariował.

– Po prostu chodzi o zaginione dziecko. Staram się go zrozumieć – skłamał i za żadne skarby nie chciał zdradzić się teraz żadnym głupim grymasem twarzy.

Beata Szczot-Żelazna nie spuszczała z niego wzroku. Wiedziała o uratowanym rok temu chłopcu, musiała też wiedzieć o żonie Benera i jej ciąży. Przez dłuższy czas siedziała nieruchomo. Czuł się tak, jakby te oczy przenikały go na wylot, zaglądały nawet tam, gdzie on stawiał szlaban swoim myślom. W końcu powiedziała:

– On ma teraz poważne kłopoty, musi go pan zrozumieć.

– Staram się. – Kiwnął głową.

– To wyjątkowo trudny dla niego czas. Poza tym, zaginięcie córki...

– Spuściła głowę i po chwili dokończyła: – Sam pan rozumie.

– Staram się – powtórzył i pragnął w to uwierzyć.

Szczot-Żelazna przyglądała mu się milcząco.

– Czy mogę panu zaufać?

– A czy już tego państwo nie zrobili? – Bener zmienił na chwilę pozycję, rozprostował brzuch, żeby nie puścił mu zawór.

Przytaknęła nerwowo i sięgnęła do torebki.

– Mam mało czasu – rzekła.

Wyciągnęła elektronicznego papierosa i zaciągnęła się. Cały czas patrzyła na niego, ale nic nie zrobiła.

– Martwię się o nią. Piekielnie się martwię. – W jej oczach zbierały łzy.

– Odnajdę ją – zapewnił, chociaż obietnica była na wyrost.

Szczot-Zelazna sięgnęła po chusteczkę i przyłożyła do kącików oczu. Potem spojrzała gdzieś w bok i przez dłuższy czas się nie odzywała.

W końcu nie wytrzymał. Mógł patrzeć na nią godzinami, ale nie w takiej sytuacji. Wstał i powiedział, że biologia wzywa.

W drzwiach przepuścił starszego niskiego jegomościa z krągłym brzuszkiem, który do tej pory siedział w pobliżu wejścia i przewracał strony jakiegoś tygodnika. Mężczyzna zajął toaletę, zamykając za sobą wewnętrzne drzwi. Bener przestępował z nogi na nogę i marszczył brwi. Po chwili usłyszał odgłos przypominający rozdarcie materiału.

– Przepraszam – powiedział zza drzwi mężczyzna. – Ale szczanie bez pierdzenia to jak wesele bez orkiestry.

Bener parsknął śmiechem i był pewien, że teraz już popuści. W przyptywie desperacji rozpiął rozporek i był gotowy odlać się do zlewu, gdyby nie to, że właśnie usłyszał spuszczenie wody. Odetchnął i przykleił się do ściany, żeby mężczyznę dopinającego pasek spodni przepuścić do umywalki. Bener wstrzymał profilaktycznie oddech i dopadł do sedesu. Wreszcie poczuł upragnioną ulgę. Kiedy skończył, umył ręce i wysuszył je. Na koniec spojrzał w lustro, żeby poprawić włosy.

Wrócił do stolika i miał wrażenie, że się pomylił. Że trafił nie tam, gdzie miał trafić. Jednak o pomyłce nie mogło być mowy. Jego plecak nadal tkwił przy plastikowej leżance. Tylko ślad po Szczot-Żelaznej zaginął.

Nie zdążył niczego zamówić, więc sięgnął po plecak i ruszył do wyjścia. Przeszedł obok szerokiej, drewnianej lady, gdy zaczepił go postawny, łysy barman z gęstą brodą.

– To dla pana. – Trzymał w ręku wyciągniętą, złożoną kartkę. – Ta kobieta zostawiła.

Wskazał w głąb sali.

Bener rzucił okiem na wiadomość, podziękował i wyszedł.

W pełnym słońcu, którego grzanie odczuwał właśnie na skórze, zerknął na kartkę i jej pismo. Musiała się spieszyć.

Schował papier z numerem jej telefonu do kieszeni dzinsów, ale to, co napisała obok, tkwiło w jego głowie i przez całą drogę do samochodu myślał o tym, jak powinien to odczytać. Powtarzał sobie te słowa w myślach, próbując usłyszeć jej głos, jakby mówiła to do niego.

„Wkrótce się spotkamy”.

5

– Dobra, jedziemy! – Krzepki mężczyzna w niebieskich umorusanych ogrodniczkach spuścił tylną zasłonę plandeki, zapiął ją, żeby nie furkotała w trakcie jazdy, i przeszedł do kabiny. – Pan będzie jechał pierwszy? – Pot rosił mu czoło, krótkie włosy miał mokre jak po basenie.

Bener zgodził się, chociaż wciąż nie miał pojęcia, dokąd tak naprawdę jechali. Nie poznał jeszcze adresu nowego mieszkania swojej teściowej, ale ponieważ Majewska zajęła miejsce w fotelu pasażera, on wziął na siebie ciężar pilotowania załadowanej ciężarówki.

Wyruszyli ze Żwirki i Wigury bez słowa. Teściowa nie patrzyła przez boczną szybę na swój stary blok. Najwidoczniej nie miała zamiaru żegnać się i wracać myślami do przeżytych w nim chwil. Odjeżdżała stąd z wyraźną ulgą i spokojem, jakby zostawiała za sobą kulę na łańcuchu, który przed chwilą przegryzła.

– Dokąd? – spytał na światłach.

Odwróciła się do niego.

– Na Rubinkowo.

– No proszę – uśmiechnął się. – Już się bałem, że będziesz chciała mieszkać na lewobrzeżu, albo nie daj Boże na Olsztyńskiej, w stronę

Grębocina.

– Czyli odetchnąłeś?

– Tak, jakoś to zniosę. – Włączył kierunkowskaz i skręcił w prawo w dwupasmową arterię. – Będziesz bliżej redakcji, od czasu do czasu przyniesiesz nam obiad, odkurzysz, umyjesz szyby – zażartował.

– Tak, i jeszcze budyniu wam ugotuję.

Zaśmiali się oboje, ale po chwili umilkli. Słysząc było tylko szum nawiewu.

– Mówiłem ci, że w razie czego mogę...

– Daj spokój – obruszyła się. – Nie będziesz przecież starej teściowej kredytował.

Pokręcił z niedowierzaniem głową, ale kontynuowanie tego wątku i tak nie miało już sensu. Mieszkanie zostało kupione, koniec, kropka. Chciał zmienić temat i zapytać o nowego znajomego, ale to też wydawało mu się teraz nie na miejscu. Wolał czekać, aż Majewska sama do tego dojrzeje, dlatego skupił się na drodze. Zerkał co rusz we wsteczne lusterko, ale stary mercedes z niebieską plandeką dawał radę. Chociaż kołysał się na boki, sunął równym tempem, zostawiając za sobą chmurę czarnych spalin. Bener postanowił jechać przepisowo, żeby nie okazało się, że ze starych mebli na mecie odkryją tylko stertę wiórów.

Pogłodził radio i przykręcił klimatyzację na prośbę teściowej, która obawiała się anginy. Było mu gorąco, ale musiał wytrzymać. Co zrobisz, jak nic nie zrobisz, westchnął w myślach.

Wjechali na osiedle od strony Wschodniej. Minęli pierwsze

zabudowania małych firm i zakładów usługowych na Rubinkowie, przejechali obok wielkiego kościoła po prawej i rzędu sklepów usługowych po lewej. Potem, na kolejnym skrzyżowaniu minęli „Kwadrat”, w którym mieściła się redakcja, i pojechali dalej.

– Gdzie teraz? – spytał, obserwując ukradkiem okna redakcji.

– No już jesteśmy. Już prawie.

Spojrzał na nią i dostrzegł w jej oczach radość. To dobrze. Najbliższy wieżowiec stał po lewej i przesłaniał budynek szkoły podstawowej. Bener wrzucił migacz i zaczął zwalniać.

– Nie, nie, kawałeczek dalej poproszę.

Przełożył bieg, silnik wszedł na wyższe obroty. Przejechali obok wjazdu w osiedlowy trakt. Trzysta metrów dalej teściowa kazała mu skręcić w lewo.

Wykonał manewr i sunął wolno wzdłuż osiedlowego parkingu. Nie przyspieszał, żeby nie zgubić wlokącego się z tyłu mercedesa.

Teściowa nie straciła dobrego humoru. Bener kątem oka spostrzegł, że patrzyła w lewo na swój nowy dom. Był to ten sam wieżowiec, przed którym niedawno stał Bener. I dokładnie ten sam, do którego wszedł Steinmeier. Pamiętał, że była to...

– Pierwsza klatka – powiedziała uradowana kobieta.

I wtedy poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

Raz, dwa, jeden... raz, dwa, jeden. Słyszać mnie?

He, he.

[trzaski]

Raz, dwa, jeden, jeden. Pieski małe dwa... jeden, jeden.

No to teraz zobaczymy, jak to się nagrało.

[szelest kartek]

Tylko gdzie się to ustrojstwo wyłącza, kurde.

Gdzie okulary? No, Edek, skup się, gdzie... A, tu są. No dobra, to popatrzmy... Pierwsze kroki... Zasilanie... Nagrywanie... Nie, za daleko. O tu jest, na samym przodzie jednak... Główne funkcje.

[chrząknięcie]

Piękny rysuneczek. No i proszę! A nie mówiłem? Jest. Przycisk numer dwa.

[szelest kartek]

Tylko gdzie on jest, psia kostka. A, tu żeś się, cwaniaczku, ukrył. Dobra, he, he... No to spr...

6

Kiedy uporał się z wnoszeniem kartonów i skruceniem meblościanki, pożegnał się z teściową i zjechał windą z siódmego piętra.

Ta pierwsza klatka to przypadek? Cały czas się nad tym zastanawiał.

Na początku, gdy podjeżdżał z teściową pod wieżowiec, zbladł. Teraz jednak zrozumiał, że jeśli Niemiec mieszka tutaj, to szybko go złapie. Rozejrzał się w poszukiwaniu granatowego S-maxa na niemieckich blachach, ale nigdzie go nie znalazł. Może kiedyś. Na razie postanowił skupić się na tym, co było naprawdę ważne. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął pomiętą kartkę z zapisanym numerem do Szczot-Żelaznej. Odrzuciła dwa połączenia, ale przeczuwał, że mogła być z mężem, nie miała zatem okazji do swobodnej rozmowy.

Wsiadł do samochodu i wrócił na Rynek Nowomiejski do sklepu Lego, z którego wyszedł biedniejszy o parę stów, ale za to z zestawem Minecrafta. Kupił go dla Huberta, bo Majewska przypomniała mu, że chłopiec ma dziś urodziny.

Sprawa Huberta Elbińskiego podzieliła opinię publiczną. Wczesna wiosna 2015 roku rozpuściła śnieg, ale odsłoniła tony piachu

zbierającego się przy krawężnikach dróg. O zaginięciu chłopca dowiedział się z Radia Gra. Jego ojciec, Adam Elbiński, wyznaczył nagrodę za odnalezienie dziecka. Spóźnił się wtedy na zorganizowaną przez niego konferencję prasową. W jego oczach widział wszystko to, czego doświadczał sześć lat temu, patrząc na własne odbicie. Rzeczywisty ból i przerażenie, ale też to, co najbardziej mu zapadło w pamięć. Kiedy ojciec chłopca podawał mu ulotkę ze zdjęciem syna, mimo łez dostrzegł w jego spojrzeniu nadzieję.

Był czwartek, Hubert Elbiński bawił się w przedszkolu. Prywatna placówka miała siedzibę na lewobrzeżu w Czerniewicach. Osiedle domków jednorodzinnych, niewielki kościół, w pobliżu szkoła i bloki Toruńskiego Towarzystwa Budownictwa Społecznego z wysokimi czynszami, ale za to wokół cisza, las i spokój. W przedszkolu pani opowiadała dzieciom o nadchodzącej porze roku, o ćwierkających ptaszkach, śpiewali piosenkę o słoneczku i malowali Panią Wiosnę, chociaż akurat tego dnia lało jak z cebra. Niestety wszystkie kolory z tego pięknego obrazu zlały się Hubertowi w czerń. Przypadek sprawił, że chłopiec, potrącony przez koleżankę, upuścił słoik z brudną od farb wodą na markową torebkę nauczycielki, zalewając całe wnętrze. Kobieta wściekła się i wyrzeszczała na chłopca wszystkie zale. Tłumaczyła się potem migotaniem zastawki, uderzeniami ciepła, zmianami hormonalnymi, ciągłym podenerwowaniem. I wszystko to zapewne byłaby prawda, gdyby nie fakt, że zdradzał ją mąż. Dowiedziała się tego poprzedniego dnia. W szkole wrzeszczała więc nie tyle na Huberta, ile na cały męski ród. Tyle Bener zdołał z niej

wyciągnąć.

Nikt jednak nie wiedział, jak to się stało, że dziecko zaginęło bez śladu.

Akcja policji, nagłośniona kilkadziesiąt minut później przez lokalne rozgłośnie, ruszyła z kopyta. Mimo rzęsistych opadów deszczu wielu rodziców i nauczycieli zaangażowało się w poszukiwania. Las w pobliżu przedszkola przeszukano metr po metrze, niestety bez rezultatu. Może z psami tropiącymi byłoby łatwiej, ale pogoda uniemożliwiła ich użycie.

Bener w tym czasie przyglądał się pracy plastycznej Huberta. Domy ze skośnymi dachami i różnokolorowe plamy w charakterze drzew i kwiatów, słońca i chmur. Na jednym domu, tym w centralnym miejscu, dostrzegł coś, co początkowo wziął za komin. Ale żaden komin nie wyrastał ze szczytu dachu i dzieci dobrze to wiedziały. Wyszedł z przedszkola i ruszył w przeciwną stronę niż jedna z grup poszukiwawczych. Zatrzymał się dopiero przy otwartych drzwiach niewielkiego kościoła.

W drodze zadzwonił do ojca chłopca i dowiedział się, że właśnie tu przychodzili z synem na niedzielne msze.

Tak się złożyło, że jak co miesiąc wierni sprząтали świątynię. Tym razem padło na siwą, zasuszoną kobietę z chustą na głowie. Właściwie zbierała się do wyjścia, pozostało jej tylko mycie podłogi. Mówiąc to, wskazała na wiadro z mopem, które stało w pobliżu podwyższonego prezbiterium. Bener podziękował i już miał odejść, gdy zerknął na mokre ślady zostawione na posadzce, a potem dostrzegł inne,

mniejsze. Prowadziły w stronę zakrystii, ale tuż przed wejściem do niej skręcały w stronę starej, drewnianej mównicy ustawionej pod ścianą.

Bener usiadł tam i zaczął mówić. Nie pamiętał dokładnie, co powiedział, ale zaczął od tego, że dorośli popełniają błędy i że często ich później żałują. Szczególnie, jeśli swoim zachowaniem krzywdzą dzieci. Mówił tak, a jednocześnie wiedział, że chłopiec nie będzie chciał wyjść z wnętrza mównicy. Dlatego monologując, czemu z uwagą przysłuchiwała się chuda kobiecina w chustce, wysłał SMS do ojca Huberta. Ten pojawił się dosłownie po kilku minutach, już wtedy gdy Bener wyszedł na zewnątrz, trzymając na rękach wtulonego w niego, zapłakanego Huberta. Przed ogrodzeniem świątyni dostrzegł policyjny radiowóz mrugający niebieskim światłem i tłumek mieszkańców.

I chyba jeszcze jedną znajomą twarz. Beatę Szczot-Żelazną.

Albo tak mu się tylko teraz wydawało.

7

To było jego liceum.

Tu pierwszy raz zakochał się na zabój, zawarł prawdziwe przyjaźnie, o których myślał, że będą trwałe aż po grób, ale zarówno miłość, jak i przyjaźń nie okazały się tak silne. Mimo to zatrzymał „piątkę” w najlepszych wspomnieniach, bo spędził tu beztroskie lata. Wszedł po schodach prowadzących do nowszego z budynków na rogu Sienkiewicza i Fałata i skierował się do sekretariatu. Cisza i spokój uświadomiły mu, że przecież trwają wakacje. Sekretarka uśmiechnęła się do niego zdawkowo i zaproponowała kawę. Kiedy odmówił, uchyliła drzwi do gabinetu dyrektora i zapowiedziała gościa. Mężczyzna ze świecą łąsiną przyjął Benera. Potarł czarną brodę i wąsy, potem wskazał na krzesła przy przylegającej do jego biurka wysokiej ławie.

Redaktor nie musiał mówić, w jakiej sprawie przyszedł, wyłożył to ze szczegółami wcześniej, w trakcie rozmowy telefonicznej.

– Wie pan, problem polega na tym, że jak się okazuje, ja jej nigdy nie uczyłem – stwierdził dyrektor Jan Krzyś. – Owszem, wiem, o kim pan mówi, bo przed pana przyjściem zerknąłem w jej papiery. Przypominam sobie tę dziewczynę ze szkolnych korytarzy, ale obawiam się, że nie będę mógł w tej sprawie pomóc.

Bener pokiwał głową ze zrozumieniem i poprosił o numer do wychowawczyni.

– Może nie powinienem, bo to jej prywatny telefon, ale w takiej sytuacji na pewno mnie zrozumie – odparł Krzyś, kolejny raz pocierając brodę.

Zapisał numer na kolorowej kartce i podał Benerowi.

Wreszcie to małe ustrojstwo, które mi pożyczyłeś, opanowałem. Trochę życia mnie kosztowało, wiesz? Wyrzucić je chciałem w diabły nawet, ale pomyślałem, że jednak się przyda. Tylko muszę być cierpliwy bardziej. Cierpliwość to moja nowa cecha jest, bez niej na nogi bym nie stanął. No i dzięki niej, tej cierpliwości mojej, przynajmniej już wiem, jak działa ten sprzącznik, i powiem ci, że cieszę się. Cieszę się bardzo.

[przytłumione odgłosy przejeżdżających samochodów]

Po tym, ile w życiu złego zrobiłem, zostanie przynajmniej jedna dobra rzecz. I wiesz, co nią będzie?

[świsł oddechu]

Prawda.

[cisza]

Każdemu przyda się odrobina prawdy. A mi szczególnie, bo w kłamstwie wielkim żyłem.

[cisza]

Jest wtorek jedenastego stycznia 2011 roku, dokładnie siedemdziesiąt dwa dni od zaginięcia Agaty...

[pociąganie nosem]

Prawda, którą poznasz, zaboli cię. Ale nawet najgorsza prawda jest

lepszą niż doskonałe kłamstwo. A ja na kolejne nie mam już siły.

W końcu dowiesz się, co miałem ci do powiedzenia.

Wszystko ci opowiem.

[odgłos otwieranych drzwi w samochodzie]

– ...bry. A na Kościuszki to ile będzie? [kobiecy głos]

– Dobry. Ze dwanaście zło...

8

Bener wyciskał z forda ostatnie poty, przyspieszył na prostym odcinku Sobieskiego, a potem musiał ratować się gwałtownym hamowaniem, bo debil przed nim nie raczył włączyć kierunkowskazu przy skręcie w lewo na parking jednego z bloków, naprzeciwko szkoły artylerii. Łupnęło mu coś w bagażniku. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że od kilku dni wozi komputer teściowej, który miał podrzucić Rakowi do przejrzania, bo podobno nie działa. Kartony z rzeczami, które mu dała na przechowanie, dawno zniósł do piwnicy, a o komputerze zapomniał.

Skontaktował się od razu z Rakiem, żeby tego nie odsuwać w nieskończoność, i korzystając z faktu, że ten jest u siebie w domu, podrzucił mu sprzęt. Grzechotał mu w rękach jak pudło z klockami, Bener obawiał się, że wszystko tam luźno lata i zamiast naprawiać stary złom, może będzie musiał kupić teściowej nowy komputer. Rak odebrał paczkę na parkingu, bo dziennikarz spieszył się na kolejne spotkanie.

Zostawiwszy to, co zostało z komputera Majewskiej, w rękach fotografa, Bener odjechał czym prędzej. Chciał jeszcze raz przemyśleć sobie rozmowę z młodym Żelaznym. Kiedy Marek zadzwonił do niego, ten szwendał się po starówce i tylko tam chciał się spotkać.

Powiedział, że będzie czekał w ogródku Pod Kurantami. Bener dotarł tam spóźniony i zły na brak miejsc parkingowych, bo krążył po uliczkach starówki dobry kwadrans, zanim wypatrzył wreszcie wolną przestrzeń i wbił się między dwa samochody. Z trudem uchylił drzwi i wysliznął się z auta. Do tego spocił się, biegnąc, żeby młody Żelazny się nie rozmyślił i nie wystawił go do wiatru. I tak miał szczęście, że jego ojciec nie zabronił synowi spotkania z Benerem.

– No jest pan wreszcie – usłyszał Bener, gdy wszedł do zabudowanej drewnianej budy, których pełno stało w rynku i które wszyscy nazywali pieśczośliwie ogródkami, chociaż jeszcze nigdy w żadnym ogrodzie nie widział tyle drewna i tandety, co na toruńskim rynku właśnie.

Michał Żelazny był podobny do ojca, usta miał takie same, chociaż nie zbierała się na nich kropla śliny. Wysoki i szczupły siedział z rozłożonymi szeroko nogami jak rzucony na fotel manekin. Blond włosy wchodziły mu w oczy. Ubrany był w białą, markową koszulkę polo i granatowe szorty, na nosie miał okulary przeciwsłoneczne. Pił czerwonego lagera z oszronionego pokala. Ilekroć podnosił kufel, zostawiał na stole mokry okrąg. Gdyby dbał o precyzję, zrobiłby w ten sposób logo igrzysk olimpijskich albo chociaż Audi.

Uścisk ręki miał słaby i miękki. Nie poruszył się, nie wstał. Nie zamierzał też zmienić pozycji. Bener usiadł naprzeciw niego, na nagrzanej ławie, zamówił piwo i czekał. Zbyt długo czekał, bo odniósł wrażenie, że młody Żelazny przysnął.

– No powie pan coś wreszcie? – spytał Benera, nie siląc się na

podnoszenie głowy z oparcia fotela.

Bener miał ochotę posłać mu haka na wątrobę, żeby gnojka przywołać do porządku, ale barmanka właśnie podała mu jasne pszeniczne z wysoką pianką. Wziął duży łyk i poczuł, jak zimny napój spływa mu przelykiem i przyjemnie chłodzi od wewnątrz. Otarł mokrą od potu twarz.

– Ojciec mówił mi, żebym z panem nie gadał. Że dał pan dupy i nie posunął się nawet o krok w poszukiwaniach Moniki.

– To czemu gadasz?

– Mam swoje powody.

– Jakie? – Bener otarł wilgotne dłonie w spodnie.

– W końcu to siostra, nie? – Michał Żelazny wreszcie usiadł normalnie i napił się piwa.

Nie ściągnął okularów, wobec tego ilekroć Bener chciał spojrzeć mu w oczy, widział swoje odbicie. Jakby gadał sam ze sobą, chociaż był przekonany, że gdyby tak było, wówczas rozmowa byłaby miłsza i na poziomie. Nie zdzierzył tego, więc sięgnął po okulary i zawiesił je sobie na T-shircie. Żelazny nawet nie protestował, przymrużył oczy i wyglądało, jakby zamiast nich miał dwie wąskie szparki. Dopiero kiedy Michał przyzwyczaił się do rażącego światła, Bener zobaczył, że chłopak ma przekrwione białka.

– Spojówki. – Młody wskazał na twarz. – Źle reagują na słońce.

– Współczuję. – Bener zrobił zatroskaną minę, ale miał to gdzieś.

Słońce grzało mu w prawy bark i centralnie w brzuch. Flaki miał podgrzane jak w mikrofalach. Obawiał się, że jak tak dalej pójdzie,

dostanie udaru brzuszego, o ile taki w ogóle istniał. Zabrał oba piwa i wszedł do kamienicy, w której znajdował się lokal. Żelazny poczłapał za nim i zwałił się na krzesło, podpierając twarz rękoma.

– Teraz spojówki sobie odpoczną, więc możesz zacząć mówić – zachęcił go Bener i podniósł kufel.

– Co mam mówić?

Jak czochrałeś banana ostatnio! Bener obawiał się, że nie wytrzyma tej rozmowy i jednak mu przywali.

– Najlepiej zacznij od początku. – Mimo wszystko trzymał nerwy na wodzy.

Żelazny zaczął swoją opowieść, która w większości pokrywała się z tym, czego Bener dowiedział się od jego ojca i matki. Tak, odwiozłem siostrę do przyjaciółki, ale nie pamiętam o której godzinie. Wszedłem na chwilę, zagadałem z Patrycją, ale jej chłopak chyba mnie nie lubi, więc odjechałem prędko, gadać mi się z nimi nie chciało, przyjaciół tam nie miałem. Nie, nie dzwoniła po mnie, nie widziałem się z nią potem.

Bener dalej wypytywał o szczegóły, ale nie zanotował niczego istotnego.

– Co z samochodem? – spytał, gdy Żelazny oparł się o siedzisko i zwiślał niemal bezwładnie.

– A co ma być? Jeździ.

– Pytam o ten nowy, co go mieliście kupić.

– No mieliśmy, ale Monika podpierdoliła kaskę i outlander pojechał się jebać – rozłożył ręce.

– Jesteś pewien, że to ona?

Zaśmiał się.

– Gdybym chciał uciec z domu, to też bym się zabezpieczył.

– Ukradłbyś całość?

– A czemu nie?

– Gdybyś skubnął tylko kilka banknotów, nikt by się nie domyślił, nie?

Żelazny nabrał powietrza w usta i wydał policzki.

– No i chuj, ale przynajmniej bym sobie pożył – zarechotał.

Bener postanowił zmienić temat.

– Monika kłóciła się z rodzicami? – starał się, by zabrzmiało to neutralnie, celowo nie wskazywał na ojca, co wcześniej sugerował Oliwierek.

– Darła koty z ojcem. Ciągłe i ciągle. Nic jej nie pasowało.

– A może to on był w stosunku do niej bardzo wymagający, co?

Chłopak skrzywił się.

– Nie, raczej nie. Czasami stary jest strasznie marudny, zrobił się taki od niedawna, ale nie wymagał od nas rzeczy niemożliwych. Tylko że ona ciągle coś od niego chciała.

– O co się spierali? O jej chłopaka?

Michał Żelazny zakrztusił się piwem.

– Pan żartuje? O kogo?

– O Oliwiera.

Żelazny odsłonił w uśmiechu równe zęby.

– Pan ochujał? Tego pierdołę?

Bener nie zamierzał niczego komentować, czekał spokojnie, aż brat

Moniki sam zacznie mówić.

– On tam niby przy niej się kręcił, chciał coś od niej, ale między nimi nic nie było, raczej.

– On twierdzi...

– A co on może twierdzić, pojęb jeden! Skoro go pan widział, to chyba sam pan rozumie. Równie dobrze mógłby mówić, że Eva Green zrobiła mu laskę.

– Kto?

– Nieważne, aktorka taka. – Machnął ręką. – Nie byli ze sobą. Owszem, on przyjeżdżał do nas czasami. Ale to nie było to. Ona chyba po prostu nie umiała go spławić. Miła jest ta moja siostra po prostu, i tyle.

– No to o co chodziło Monice i ojcu?

Żelazny otarł usta i spojrzał gdzieś w bok. Minęła chwila, zanim Bener mógł znowu podziwiać jego mocno przekrwione białka.

– Moim zdaniem to o kasę im szło.

Bener zachęcił gestem, by chłopak kontynuował.

– Nie wiem dokładnie, ale gołym okiem widać było, że chciała coś ugrać. Ojciec proponował jej pracę latem, żeby mogła sobie zarobić, ale to chodziło o jakąś większą sumę.

– O to, że ty dostałeś pieniądze na samochód, a ona nie?

– Nie wiem, może. Nie interesowałem się tym. Ojciec dawno obiecał mi wóz. Prawo jazdy zrobiłem już trzy lata temu i wszystko psu na budę, bo swoim nie pozwalał mi jeździć, tylko tym dziewięcioletnim rzęchem jednym.

– Monika chciała gdzieś wyjechać? Zaszyć się?

– A skąd mam wiedzieć? To tylko moja siostra, wolałbym, żeby się odnalazła, ale ona sama to mnie gila generalnie. Żył z nią przecież nie będę, do łóżka z nią nie pójdę, nie? – zarechotał znowu.

Bener obserwował jego reakcje. Facet wydawał mu się zblazowany, reprezentujący najwyższy stopień wtajemniczenia w zakresie tumiwisizmu.

– A znasz kogoś o ksywce Czar Jot?

– Pierwsze słyszę – odparł bez przekonania.

– Na Facebooku się udziela – podpowiedział Bener. – Taki rysunkowy gość w czapce, podkrecony wąs, jakaś szabla. Kojarzysz?

Żelazny nie drgnął.

– Nic mi to nie mówi – odparł, wzruszając ramionami.

Bener dopił piwo, pogadał jeszcze chwilę, oddał okulary i wreszcie wyszedł.

Słońce dosłownie go roztopiało, czuł, że na plecach ma Bałtyk, a pod pachami Śniardwy i Gopło. Szedł już w stronę parkingu, gdy dostrzegł zbliżającą się z przeciwka długonogą czarnulkę z lodem w ręku i w dużych okularach przeciwsłonecznych na nosie. Nabrał ochoty na lody. Cofnął się i stanął w ogonku do budy, w której stała lodówka Lenkiewicza. Zapłacił za dwie gałki, które wielkością przypominały mu pięści Mike’a Tysona. Usiadł w cieniu, lizał i patrzył przed siebie.

Monika nie dawała znaku życia, ale w jakiś przedziwny sposób Bener był o nią spokojny. Czy tylko dlatego, że w redakcji nie

wyglądała na spanikowaną?

Nosił w torbie lipcowy numer gazety, który przyniosła wtedy ze sobą. Bener wyciągnął ją jedną ręką i próbował przekładać kartki, ale z wafelkiem w drugiej dłoni, po której ściekała mu strużka roztopionego lodu, nie wychodziło to najlepiej. Kątem oka zauważył przechodzącego obok młodego Żelaznego. Szedł w stronę pomnika Kopernika, nie zauważywszy siedzącego przy stoliku Benera. Nagle do chłopaka podbiegł niski osiłek. Mężczyźni przywitani się, przybijając sobie żółwiki.

Bener nie słyszał, o czym mówili, ale był pewien, że dobrze się znali. Nieznajomy klepnął Żelaznego po plecach, wymienili kilka uśmiechów, a gdy się rozstawali, Żelazny wystawił dłoń. Osiłek położył na niej zwitek.

Potem każdy z nich poszedł w inną stronę.

Z tą tylko różnicą, że syn biznesmena był bogatszy o kilkaset złotych.

9

Przeszkadzało jej tu właściwie wszystko. I półmrok, bo z zewnątrz szyby oklejone były folią *one-way-vision* z krzykliwą kolorową grafiką, i krótkie powtarzające się melodyjki, a od czasu do czasu brzęk spadających monet. Ale starała się nie dać po sobie tego poznać. Najpierw poszła do znajdującego się naprzeciwko baru i zamówiła piwo, a kiedy już usiadła przy stole, zachowywała się naturalnie. Był tu tylko jeden rząd stołów z prostymi ławami. Trudno było wyczuć, po co w ogóle ktoś go postawił. Przy ścianie błyskało światłami sześć automatów, a przed każdym z nich stał wygodny barowy stołek z oparciem. Tylko siódmy hoker był wolny. Ten przy wyłączonym sprzęcie.

Od czasu do czasu zerkała na zegarek, udając, że na kogoś czeka. Liczyła jednak na to, że któryś z gości grających na automatach uderzy do niej, gdy już wybudzi się z transu. Nie, to nie będzie podryw. A jeśli już, to podryw markowany, czyli w rzeczywistości skok na kasę. Piękna pani, pożycz stówkę, dzisiaj jest mój dzień, zaraz ci oddam i dorzucę drugie tyle. Albo lepiej. Dam ci połowę tego, co wygram.

Przerabiała to.

Aldona Terlecka wyjrzała przez okno i ze zdziwieniem spostrzegła Benera z lodem w ręku. Szedł chodnikiem po drugiej stronie deptaka.

Nie mógł jej zauważyć, nawet gdyby patrzył w tę stronę.

– Nie przyszedł? – usłyszała za plecami męski głos.

Odwróciła się i popatrzyła na siwego, postawnego mężczyznę. Gdy weszła do lokalu, siedział w kącie z notesem, milczący i obserwujący. Teraz wsunął się na ławę z drugiej strony stołu. Notes i długopis położył równo przed sobą, po czym poprawił, jakby miał w dłoniach laserowy kątomierz. Aldona nie zamierzała protestować. Ba, ucieszyła się.

Mężczyzna wyciągnął rękę nad blatem.

– Janusz Kamiński.

Terlecka uścisnęła dłoń i podała zmyślane imię i nazwisko. Odniosła wrażenie, że jej kłamstwo wypadło naturalnie. Sięgnęła po piwo.

– Więc jak? Nie przyszedł? – Mężczyzna splótł dłonie.

– Po prostu się spóźnia. Przyjaciółka. – Kłamstwa szły jej coraz lepiej.

– Do tej pory bywałaś tu sama. – Kamiński gładko przeszedł na ty.

Aldona uniosła lekko brwi i przywołała na twarz niewinny uśmiech.

– Śledzisz mnie?

– Oczywiście, że nie, ale rzadko przychodzą tu tak ładne kobiety. Nietrudno zapamiętać. Poza tym... wyglądasz, jakbyś chciała zagrać.

Aldona uśmiechnęła się, a następnie machnęła ręką, wskazując niedbale automaty.

– Za małe stawki. – Specjalnie podniosła głos.

– To zależy, jak na to patrzeć.

Nie odezwała się, czekając na rozwój wypadków.

Mężczyzna nachylił się nad drewnianym stołem, w lakierowanym blacie odbijała się jego pierś. Długopisem wskazał rząd automatów ustawionych pod ścianą. Dobiegała od nich kakofonia dźwięków, migotały kolorowe światła – podczas gry przyprawiało to Terlecką o ból głowy. Wszystkie maszyny były zajęte przez graczy.

– Drugi od wejścia – szepnął mężczyzna.

Aldona najpierw wzięła łyk piwa, a potem spojrzała we wskazanym kierunku.

– Automat nie sypnął kasą od wtorku, od godziny piętnastej z minutami. Owszem, drobiazgi jakieś wydał, ale przyjął znacznie więcej. Jest brzemienny. To się może stać w każdej chwili.

– Co? – zdziwiła się Terlecka.

– Poród. – Patrzył jej w oczy. – Normalnie rzygnie kasą. Podobnie jak ten przy barze. To kwestia czasu. – Mężczyzna sięgnął po notes, polizał palec i przewertował kartki, aż trafił na tę właściwą.

Choć mężczyzna starał się zasłonić swoje notatki, Terlecka zauważyła zapisane linijką pod linijką dwuwyrzowe hasła.

Kamiński spojrzał na nią konspiracyjnie znad zapisków.

– Gdybyś chciała, to weź ten środkowy, po Gienku. On siedzi od rana, ale bank jest nabity od wczoraj. Życiowej szansy nie ustrzelisz, totolotek to to nie jest, ale przyda się trochę monet na wieczorne granie, nie? Dobrze radzę.

– A twój który?

– Po papudze.

Zdziwiła się.

– No po tym adwokacie. Drugi od wejścia.

Niemal jak na zawołanie adwokat wstał, sięgnął po stojącą obok maszyny teczkę i wyszedł z lokalu. Na chwilę do środka wpadł snop ostrego, słonecznego światła, który zmniejszał się stopniowo, w miarę jak drzwi powoli się zamykały.

Kamiński nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Błyskawicznie wystartował do zwolnionego automatu, chociaż nikt nie zamierzał się przesiadać. Pozostali gracze trwali jak zahipnotyzowani na swoich miejscach.

Aldona zerknęła na blat. Siwy mężczyzna zostawił na stole swój notes. Chciała sięgnąć po niego z ciekawością. Wyciągnęła już rękę.

– Przepraszam, to moje! – Kamiński krzyknął i cwałem wrócił do stołu. Zgarnął notes i długopis, schował je w bocznej kieszeni spodni, po czym dokładnie ją zapiął. Wskoczył na hokera i wyjął z portfela dwudziestozłotówkę. Poglądził ją, rozprostował i wsunął w czytnik banknotów. Maszyna powitała nowego gracza melodyjką i feerią barw.

Aldona posiedziała jeszcze kilkanaście minut, obserwując, jak mężczyźni od czasu do czasu przerywają grę i wychodzą na papierosa. Żaden z nich nie był nią zainteresowany. Kamiński zupełnie odpłynął, był skupiony jak położnik przy ciąży mnogiej. Wkładał do maszyny banknot za banknotem, głaszcząc ją po boku i mówiąc coś do niej czule, ale Aldona miała wrażenie, że jeszcze trochę, a skończy się na wyzwiskach i rękoczynach, gdy automat będzie nadal milczał, a

splukany Kamiński wpadnie w szal. A może się myliła. Jednak nie rozumiała, jak można być tak bezdennie głupim i wierzyć w brednie o naładowanych kasą automatach. Przecież opróżniali je co wieczór po zamknięciu lokalu. Nie mówiąc już o tym, że sztuczki techniczne, które Terlecka oglądała na YouTubie, a które stosowali właściciele salonów, mogły ograniczać wypłaty wygranych do zaledwie kilkudziesięciu złotych.

Zebrała się i wyszła. Zachodzące słońce oblało starówkę szlachetnymi brązami. Bruk nie grzał już jak patelnia, ale Aldona marzyła o wannie. Skierowała się w stronę placu Teatralnego, kiedy nagle ktoś położył jej rękę na ramieniu. Odwróciła się i z trudem rozpoznała faceta siedzącego przy automacie znajdującym się najbliżej baru. Był wysoki i szczupły. Od dłuższego siedzenia w zaciemnionym pomieszczeniu mrużył teraz oczy.

– Postawisz piwo?

– A czy nie powinno być odwrotnie? – uśmiechnęła się zalotnie.

– To zależy.

– Od czego? – spytała, przechylając głowę.

– Kto do kogo ma interes.

– Wygląda na to, że ty do mnie więc... – Założyła kosmyk włosów za ucho.

– Słyszałem – przerwał jej. – To nie ja chcę grać o większą stawkę.

Poczuła przyjemne szybsze bicie serca i przypływ nowej energii. Czas spędzony w lokalach być może wreszcie zaczynał przynosić efekty.

– Okej. – Spojrzała gdzieś w bok, a potem znowu na niego. – To gdzie się napijemy?

Zanim odpowiedział, uśmiechnął się szeroko, odsłaniając białe zęby.

10

Język miał zimny i drętwy jak sople, bo w końcu uporał się z dwiema gałkami lodów. Smakowały mu, ale nie wiedział, czy łakomstwo nie skończy się rzyganiem. W żołądku ciążyła zmarznięta bryła.

Wrócił do samochodu i odjechał ze starówki, kierując się Warszawską wzdłuż torów tramwajowych. Był już przy skrawie na Bulwar Filadelfijski, skąd na czerwonym świetle popatrzył na lichą Wisłę odsłaniającą brzeg, wielkie łachy piachu w jej nurcie, a potem na stalowe łuki mostu kolejowego.

Opuścił drugą szybę, by wygnać resztki rozgrzanego powietrza z wnętrza wozu.

Zielone zaświeciło się w chwili, gdy zadzwonił telefon. Nie zamierzał go odbierać, a przynajmniej nie teraz. Wolał zebrać teraz myśli, uporządkować to, co wiedział do tej pory, ale kłopot polegał na tym, że wciąż wiedział niewiele. Musiał prześwietlić Żelaznego, dobrać mu się do dupska, a jak trzeba będzie, to je solidnie skopać za ewentualne wygłupy lub robienie wała z dziennikarza. Z tym postanowieniem podjechał właśnie pod dom i zaciągnął ręczny.

W kuchni zjadł podsmażany makaron z pokrojonymi parówkami i dwoma wbitymi jajkami, popił zimnym pszenicznym piwem.

Pootwierał okna i uruchomił laptop. Sprawdził status swojego zamówienia, bo nie mógł się już doczekać nowej gruszki bokserskiej, po czym zaczął wertować zasoby Google'a w poszukiwaniu istotnych informacji o Żelaznym. Wyników było sporo, ale nie wszystkie dotyczyły biznesmena, znaczna ich część odwoływała się do znanego Benerowi Mirosława Żelaznego, zajmującego się estetyką i filozofią niemiecką profesora filozofii z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Zastanawiał się, czy nie są ze sobą spokrewnieni, chociaż nie dostrzegał podobieństwa. Ostatecznie uznał, że nie ma to żadnego znaczenia. Odrzucał więc wszelkie „filozoficzne” odnośniki i starał się skupić na tych, które dotyczyły branży IT. A było ich niemało, w większości jednak chodziło o udział Krzysztofa Żelaznego w różnego rodzaju sympozjach branżowych, spotkaniach biznesowych, a także o sponsoring kobiecej siatkówki. W Krajowym Rejestrze Sądowym odnalazł z kolei kilka podstawowych informacji na temat interesów Żelaznego. Między innymi tę, że razem z Wiktorem Neumannem Żelazny był współwłaścicielem spółki BJ Invest z branży rozrywkowej, która miała siedzibę w podtoruńskim Górsku. Adres nic Benerowi nie mówił, ale i tak postanowił przejechać się w tamte rejony, gdy tylko uda mu się umówić spotkanie z Patrycją, koleżanką Moniki, która organizowała urodziny. Na razie dziewczyna wyjechała nad morze i miała wrócić jutro, a niewiele chciała powiedzieć przez telefon.

Wstał, żeby przebrać się w sportowe ciuchy i zejść do salki ćwiczeń, ale przypomniało mu się, że kiedy jechał samochodem, ktoś do niego dzwonił. Sprawdził komórkę, ale na ekranie nie było żadnej informacji

o nieodebranym połączeniu. Był przekonany, że słyszał dźwięk dzwonka, dałby sobie nawet rękę uciąć, ale kiedy teraz o tym myślał, dotarło do niego, że melodia była inna. Zamiast bluesowych kompozycji Dżemu wybrzmiały zwykłe elektroniczne dźwięki. Wtedy z niepokojem pomyślał o drugim aparacie, tym, który kiedyś zostawił mu Szaman.

Sięgnął do kieszeni.

Miał jedno nieodebrane połączenie od numeru zastrzeżonego.

Poczuł pulsowanie w skroni. Dłonie mu się spociły.

[szelest kartek]

Kazała mi prowadzić zeszyt. Zresztą nie tylko mi, każdemu to chyba proponuje. Mamy w nim zapisywać swoje myśli.

Te złe.

Bo mówi, że chodzi o to, żeby w ten sposób emocje swoje rozpoznawać i w porę zachowanie zmienić. Że to ważne takie, przy tej chorobie, ta właśnie umiejętność rozpoznawania siebie i motywacji swoich.

[szelest kartek]

Przygotowałem swój zeszyt, zrobiłem w nim tabelki i wozilem przy sobie, tak żeby Krysia się nie dowiedziała. Teraz już wie, więc go nie ukrywam. W końcu to on ma mi pomóc. To znaczy, ja sam mam sobie pomóc, ale z tą tabelką łatwiej mi będzie zwyczajnie.

[cisza]

Pamiętam, że z początku nie umiałem niczego w nim zapisać. Bo co ty byś zrobił, gdybyś tak wprost miał napisać, co czułeś w danej chwili, i

do tego jeszcze musiał określić swój nastrój w procentach? A to tylko początek, dalej jest jeszcze gorzej, bo w czwartej kolumnie trzeba wpisać obraz albo myśl automatyczną i wszystko to, co ją poprzedzało. I kiedy już zacząłem sobie z tym radzić, przerażały mnie kolejne części tabeli. Nigdy nie lubiłem pisać, nigdy nie lubiłem babrać się w swoich myślach i patrzeć na siebie jakby z zewnątrz. To głupie takie i prostackie, tak mi się wtedy wydawało. Bo przecież wiem, co czuję i jak się zachowuję, i że niepotrzebne mi to wcale, żebym sobie na otwartym mózgu jakieś operacje przeprowadzał.

Dopiero niedawno zrozumiałem, że to jednak ma sens. Bo człowiek to sprytna bestia jest i naprawdę sam sobie pomóc może. Tylko rady drobnej potrzebuje, wskazówki jakiejś. I mi też tego trzeba było. Bardzo nawet.

Więc dalej, w tej tabeli, było tak: dowody potwierdzające słuszność myśli, a potem dowody podważające jej słuszność. A na koniec najlepsze, moim zdaniem. Sam zresztą postuchaj: myśl zastępcza. I do tego jeszcze trzeba emocję, która jej towarzyszy, w procentach określić. Jej natężenie jakby.

[cisza]

Strasznie się bałem tego wypełniania, tej tabeli całej, tych moich myśli wszystkich. Bałem się siebie, bałem się, że już do końca się znienawidzę i tylko mi stryczek zostanie.

[szelest kartek]

I mówię ci, początki z tym zeszytem były naprawdę trudne, ale potem otworzyłem się sam przed sobą i widzę, że byłem w stanie to wszystko

przetrwac, zmusic sie, by samemu sobie pomoc. I tak prawie caly zeszyt zapisalem i do komputera wprowadzalem, zeby myslci czymś zajac. Im więcej tych wpisów było, tym bardziej czułem, że ta terapia na mnie dobrze działa. Wtedy sobie pomyślałem, że to tak, jakbym na nowo uczył się chodzić, jakbym miał, wiesz, udar jakiś albo cokolwiek innego i teraz musiał wybrać: dogorywać w łóżku czy walczyć z niemocą i wstać, i raz jeszcze w siebie uwierzyć. Uwierzyć w to, że mam silne ręce, które mogą oprzeć na poręczach, tak by pomagać nogom ciężar ciała z lewej stopy na prawą przenosić.

I kiedy już zrobiłem tych kilka pierwszych kroków, z wysiłkiem nie miałym, to nie powiem, radość w sobie taką poczułem. Pierwszy raz od bardzo dawna. Radość, która niosła mi nadzieję, że to wszystko jeszcze da się ułożyć. Że wszystko dobrze być może.

[szelest kartek]

Ale potem, kiedy już na tych swoich nogach stałem, to wszystko w łeb wzięło.

Ja nawet wtedy się do Boga zbliżyłem.

I błagałem, by raz jeszcze rękę mi podał.

[odgłos zapuszczanego silnika]

I on ją wyciągnął, ale już chyba za daleko byłem i już na dno szedłem, i on nic z tym zrobić nie mógł, chociaż Bogiem jest.

Bo jeśli człowiek nie chce, to nawet Bóg nie wszystko może.

Nie znał numeru Szamana, więc nie mógł do niego oddzwonić. Musiał czekać, aż Szamojski znowu się z nim skontaktuje.

Szaman nie odzywał się do niego niemal przez trzy lata. Skoro postanowił przerwać milczenie, coś musiało się stać i Bener nie bardzo wiedział, czy miało to jakikolwiek związek z zaginięciem Moniki Żelaznej. A może był to czysty przypadek? Chyba że na horyzoncie pojawiło się coś nowego.

Pogłośnił dźwięk w aparacie od Szamana, żeby nie przegapić kolejnego połączenia, a następnie spiał włosy i zamierzał zejść do piwnicy, żeby przyłożyć kilka razy w stary worek. Zapalił światło na klatce schodowej, gdy usłyszał dzwonek domofonu. Cofnął się do salonu i z dyskretnej odległości próbował dojrzeć przez okno, kto stał przed furtką.

Odruchowo ściągnął łopatki.

Prężąc się, otworzył drzwi i wpuścił gościa do środka.

Kobieta jakby zawahała się w progu, ale przekroczyła go i stukając szpilkami po panelach, weszła do salonu.

– Wiem, że dzwoniłeś, ale nie mogłam odebrać – odezwała się, stojąc do niego plecami.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam? – spytał Szczot-Żelazną.

– To Toruń, a nie San Francisco. Tu wszyscy wszystkich znają.

Zaproponował coś do picia, ale odmówiła. Usiedli.

Zastanawiał się, kto pierwszy podejmie temat zaginięcia córki i czy powinien jej zdradzić, że Monika była u niego w redakcji.

– Krzysztof postradał zmysły. – Poprawiła włosy. – Ale to dobry człowiek, tylko trochę się pogubił. Rozmawiałam z nim, nie ma nic przeciwko temu, byś nadal prowadził poszukiwania. Oczywiście zapłaci tyle, na ile się umawialiście.

Skinął głową, ale Szczot-Zelazna nawet na niego nie spojrzała, tylko mówiła dalej. Bener wolał jej nie przerywać.

– Mamy przejściowe problemy. Jedna ze spółek, której współwłaścicielem jest Krzysztof, stoi nad przepaścią. Jeśli upadnie, może to być początek naszego końca.

Bener nie wiedział, jak powinien zareagować.

– Co to ma wspólnego z Moniką? – spytał.

Beata drgnęła.

– Nie wiem. Boję się myśleć, że ma.

– Powiniennem wiedzieć, jeśli coś jest na rzeczy.

– Powinieneś – westchnęła. – Krzysztof ma kilka spółek, od lat działa w branży informatycznej. Pewnie nie wiem nawet o połowie z nich. Dopóki mieliśmy z nich pieniądze i żyliśmy na pewnym poziomie, to nie musiałam się martwić. Ale teraz coś się zmieniło. Teraz już nie jest jak dawniej.

– A jak jest?

– Nerwowo. Widzę, jak pali mu się grunt pod nogami. Jak miota

się, dzwoni, ukrywa się po kątach, żeby nikt go nie słyszał. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał. – Westchnęła, jakby zbierała myśli.
– Chodzi o BJ Invest, firmę, którą założył razem z Wiktorem Neumannem.

Zgadzało się to z tym, do czego sam zdążył już dojść.

Neumann był duchem, miejską legendą. Nikt go nigdy nie widział i trudno było nawet wierzyć w jego istnienie. A jednocześnie nazwisko Neumanna pojawiało się od czasu do czasu w lokalnych mediach. Do tej pory jednak Bener nie spotkał nikogo, kto znałby go osobiście.

– Podobno facet nie istnieje – rzucił, by sprawdzić jej reakcję. –
Pilnuje się lepiej niż ojciec dyrektor.

Pokiwała głową.

Nie bardzo wiedział, jak odczytać ten gest, więc chciał się upewnić.

– Widziałaś się z nim?

– Tak. Był u nas niedawno.

12

Wylądowali w Czterech Kolorach pod murami miejskimi w pobliżu Krzywej Wieży. Lokal mieścił się w piwnicy, więc we wnętrzu było zimno. Aldona objęła się ramionami.

Drewniane detale w połączeniu z odsłoniętą starą cegłą dodawały lokalowi ciepła i uroku. Podobnie jak gustowne lampy zrobione ze smukłych butelek po winie, które nisko zwieszały się nad stołami.

Kelnerka zebrała od nich zamówienie i odeszła w stronę kontuaru, za którym rozciągała się potężna panorama Las Vegas. W oknach strzelistych hoteli odbijało się zachodzące słońce, a w tle nieregularna linia oddzielała kontur skalistego pasma gór od idealnie granatowego nieba. Dyskretne podświetlenie tego fotosu sprawiało wrażenie, jakby siedzieli teraz tysiące kilometrów stąd i mieli właśnie taki widok na największą jaskinię hazardu na świecie.

Aldona czuła ssanie w żołądku, więc zamówiła pieczone skrzydełka z półksiężycami posypanymi bazylią, a facet, który ją tu przyprowadził, zdecydował się wyłącznie na piwo, które pił wprost z butelki. Kazał mówić do siebie Dolar. W czasie drogi milczał, teraz też nie był zbyt rozmowny. Wpatrywał się w Aldonę z delikatnym uśmiechem, za którym – nie miała złudzeń – kryło się hasło: „chciałbym cię przelecieć”. Wiedziała już, co mu powie, gdy zaproponuje, że chętnie ją

odprowadzi.

Kiedy zaczęła jeść, Dolar był w połowie piwa, a zanim kelnerka zdążyła odejść, zamówił kolejne. Aldona zastanawiała się, czy chłopak jej nie nabiera i nie przyszedł tu po prostu się napić na cudzy rachunek. Przegryzła soczyste mięso skrzydełka, ogryzła kość. Rozcapierzyła tłuste od mięsa palce i poprosiła go o serwetkę, a kiedy jej podał, wreszcie spytała.

– No więc? – Wytarła kąciki ust.

Dolar dopił ostatni łyk, pustą butelkę postawił na skraju stołu i od razu sięgnął po drugą.

– Wiesz, co robisz? – zapytał.

– A ty przyszedłeś udzielać mi rad? – uśmiechnęła się.

– Czyli nie wiesz, co robisz.

Złożyła sztucce i położyła je na talerzu, na którym zostały same kurze kości. Podniosła rękę, przywołując kelnerkę.

– Miło się z tobą rozmawiało – powiedziała, sięgając do torebki po portmonetkę.

Dolar się nie zraził. Począł, aż Aldona zapłaci. Odezwał się dopiero, kiedy ruszyła do wyjścia.

– Dobra, siadaj.

Nie posłuchała go.

Skierowała się do toalety. Przeszła wzdłuż baru z panoramą Las Vegas i skręciła w lewo. W wąskim korytarzu dostrzegła dwoje drzwi do toalet i trzecie bez żadnej tabliczki. Aldona już miała wejść do damskiej łazienki, kiedy nieoznakowane drzwi się otworzyły i wyszła z

nich kobieta zombie. Nieprzytomny wzrok, oszczędne ruchy. Oparła się o ścianę. Aldona podeszła do niej i zaoferowała pomoc, ale nieznajoma nie zareagowała. Terlecka krzyknęła po barmana, bo kobieta zaczęła osuwać się na ziemię. Aldona przycisnęła ją do ściany i przytrzymała tak, by ta nie upadła, tylko delikatnie zjechała na podłogę.

– Boże... – usłyszała Terlecka i dopiero wtedy popatrzyła na bladą jak kreta twarz kobiety.

– Czy pani bierze jakieś leki?

– Nie mam już...

– Halo, czy pani mnie słyszy? – dopytywała Aldona. – Barman!

Zamiast barmana ponownie otworzyły się te same drzwi. Pojawił się w nich barczysty mężczyzna, typ drwala z gęstą brodą. Podeszedł do nich. Nie patyczkował się z Aldoną, tylko wepchnął się przed nią, chwycił pod pachy na wpół leżącą kobietę i postawił ją do pionu. Oklepał po policzkach i pociągnął za sobą w stronę baru.

Aldona nie wierzyła w to, co widziała. Zrobiła dwa kroki przed siebie i zerknęła na salę. Dopiero na schodach dojrzała nogi drwala i kobiety. Wychodzili.

Spojrzała za siebie na tajemnicze drzwi. Podeszła do nich. Nie domknęły się, więc uchyliła je i zerknęła w głąb długiego, oświetlonego trzema kinkietami korytarza, którego ściany wyłożono czerwonym sukmem. Po drugiej stronie znajdowały się kolejne drzwi, z wąskim, poziomym wizjerem. Aldona zastanawiała się, co robić. Nie było sensu podchodzić do nich, bo i tak nikt by jej nie otworzył, poza tym Terlecka

domyślała się, z jakiego powodu zainwestowano w więzienny wizjer. Puściła klamkę i w tej samej chwili usłyszała elektroniczny szmer. Jakby coś się przestawiło. Rozejrzała się, ale nigdzie nie mogła znaleźć źródła tego dźwięku.

Dziwne.

Przeszła w lewo i znowu to usłyszała. Wróciła przed drzwi. Tym razem szmer był cichszy. Omiotła wzrokiem wejście do korytarza i już wiedziała, o co chodzi.

Patrzyła właśnie wprost w oko kamery, na jej obudowie pulsowała czerwona dioda.

13

– A ty go znasz? – W grymasie Beaty dostrzegł coś, czego nie potrafił dobrze nazwać. Nie tyle zdziwienie, ile mieszaną zaskoczenia i strachu. A może zupełnie czego innego.

– Neumanna? Tylko z opowieści – uciął, bo wolał nie sprzedawać jej żadnych szczegółów. I tak już zachował się nieprofesjonalnie. – Czym zajmuje się ta spółka?

– Nie wiem dokładnie. Mówiłam, że większość działań Krzysztofa związana jest z informatyką. Chciałabym, żebyś to sprawdził.

Skinął głową.

– Od dawna zauważyłaś zmianę w zachowaniu męża?

– Od kilku tygodni.

– To się przekładało na was, na waszą rodzinę? – Bener zamierzał wymijająco zapytać o kłótnie Moniki z ojcem, o których opowiadał mu jej brat.

– Nie, nie sędzę.

– Nie? – spytał szczerze zdziwiony.

Wzruszyła ramionami.

– Nie. Przynajmniej nic o tym nie wiem.

– Syn twierdzi co innego.

– To znaczy?

– Mówił, że ostatnio Monika kłóciła się z ojcem, że poszło o pieniądze. O to, że Michał dostał kasę na samochód.

Beata machnęła ręką.

– Sprzeczhali się jak zawsze. Nic nowego. Kiedyś podzieliliśmy się rolami i tak już zostało, ja wychowywałam Monikę, on Michała. Może to był zły pomysł. – Wpatrywała się w refleksy na stojącej między nimi ławie.

– To wróćmy do pieniędzy.

Podniosła głowę.

– Jakich pieniędzy? – zdziwiła się.

– Tych na samochód.

Milczała.

– Przepraszam, ale o jakie pieniądze ci chodzi? – W jej głosie dało się wyczuć irytację.

Bener pochylił się i oparł łokcie na kolanach.

– Dwadzieścia tysięcy złotych, które zniknęło z waszego barku. Te na zakup samochodu dla syna.

Szczot-Żelazna zareagowała tak, że zaczęła mu drzeć powieka.

– O czym ty do diabła mówisz?!

Aldona wyszła z baru, uprzedziwszy wcześniej Dolara, że zaraz wróci. Zabrała torebkę, a kiedy była już na zewnątrz, rozejrzała się dokoła. Słońce kładło się nisko, gotycki spichlerz tonął w półcieniach, a cegły w grubym średniowiecznym murze wyglądały świeżo, jakby dopiero wyjęto je z pieca.

Terlecka podbiegła kilka kroków w prawo, potem zawróciła i przeszła w stronę Krzywej Wieży. Nigdzie nie zauważyła drwala ani tej bladej kobiety. Dopiero za rogiem taksówka mrugała awaryjnymi. Do otwartego okna w drzwiach kierowcy nachylał się potężny mężczyzna. Aldona przeszła wolno za jego plecami. Na tylnym siedzeniu dostrzegła kobietę. Miała nieobecny wzrok, jakby nafaszerowali ją jakimś gównem.

– Na Buszczyńskich 3. I odstaw ją pod drzwi. – Drwal podbródkiem wskazał na tylne siedzenie. Dał kierowcy pieniądze i schował portfel, po czym wyprostował się i klepnął w dach na znak, że pora jechać. Samochód ruszył, zostawiając w dusznym powietrzu siwy kłęb spalin, który zniknął powoli.

Drwal przyłożył komórkę do ucha i wszedł z powrotem do baru.

Aldona odczekała trochę, wreszcie pewnym krokiem ruszyła do lokalu i zeszła do piwnicy. Dolar trzymał w ręku kolejną butelkę piwa.

Usiadła przy nim.

– Samarytanka – powiedział w końcu z pogardliwym uśmiechem.

– To tu? – Olała jego komentarz. – To o ten lokal chodzi? To tu gracie?

– Ciszej! – syknął. Pociągnął łyk piwa, otarł usta wierzchem dłoni i już się nie uśmiechał. – Lepiej słuchaj uważnie, bo drugiej szansy nie będzie – wycedził.

Zanim Beata zniknęła, zostawiając w mieszkaniu Benera zapach swoich perfum, zatrzymała się w progu, tak że odprowadzający ją do drzwi dziennikarz niemal na nią wpadł. Odwróciła się wtedy i pocałowała go w policzek, przelotnie musnąwszy jego dłoń, jakby chciała chwycić ją na pożegnanie. Benera wryło w podłogę.

Było to przyjemne, jak i cała rozmowa, ale Bener wcale nie ufał Szczot-Żelaznej bardziej, chociaż nie przyłapał jej na kłamstwie. Spróbował jeszcze raz wszystko przeanalizować, bo na razie wiedział tylko, że ktoś tu pięknie kłamie. Wysłał SMS Aldonie, żeby nie jechała do Żelaznych na przespiegi. Musiał to zrobić sam.

Nie było sensu jechać do Złejwsi przed zmrokiem, postanowił więc poobserwować wieżowiec, w którym mieszkała Majewska. Parkował, gdy zadzwonił telefon. Wzdrygnął się, ale odetchnął, usłyszawszy pierwsze takty Dżemu.

– Co masz, Raku? – spytał. – Udało ci się zajrzeć na pocztę Moniki?

– Jeszcze nie. Na razie trafiłem na kilka zabezpieczeń. Sprawa jest do ogarnięcia, potrzebuję chwili – odpowiedział fotoreporter. – Ale jest jeszcze jedna rzecz.

– Co?

– Komputer twojego teścia.

– Aaaa, jasne, ale to się nie pali. – Bener zgasił silnik, ale nie wyłączył radia, z którego płynęły właśnie rytmiczne dźwięki *Harleya Dżemu*. Otworzył drzwi i rozejrzał się po okolicy.

– Wiem, że wolałbyś informacje o Monice, ale to było łatwiejsze. Komputer nie uruchamiał się, bo nie działał zasilacz, który odpowiada...

– Dobra, dobra, nie zapędzaj się, Raku. A co w nim tak gruchotało? Ten zasilacz tak się posypał?

– Nie. Służył raczej jako schowek na inne pierdoły. Trochę tu tego było. Sam zobaczysz, gdy odbierzesz.

– Okej, jestem ci wdzięczny. Ile za robotę?

– Zgrzewkę moglibyśmy razem obalić, co? Dawno nie było okazji.

Fakt, nie pili razem z Rakiem już chyba ze dwa miesiące. Wcześniej fotograf nie był w formie, ale teraz wypadało to nadrobić.

– Wchodzę w to – powiedział.

– No i pięknie. A ja tymczasem popracuję nad Moniką.

Bener rozłączył się i wysiadł z samochodu. Stał w cieniu wieżowca, dokładnie naprzeciwko ściany szczytowej, żeby teściowa nie dojrzała go przypadkiem z okna. W chwili, gdy zamierzał przejść przez jezdnię, tuż obok zatrzymała się taksówka, z której wysiadła niska kobieta z gładką, ulizaną fryzurą. Samochód odjechał, a ona weszła na jezdnię tak, jakby świat nie istniał, jakby była sama na tej planecie. Nie przestraszyła się nawet, kiedy prawie wpadła pod koła żółtej corsy. Bener niemal widział już, jak wóz uderza w kobietę, jej ciało kreśli w górze łuk i ląduje jak szmaciana lalka. Na szczęście ciszę

rozdarł głośny pisk, a opony zostawiły na asfalcie długi czarny ślad. Kierowca minął kobietę o milimetry i zatrzymał się kawałek dalej. Po chwili wiatr przywiał smród spalonej gumy. Facet z corsy wysiadł i krzyknął coś, ale kobieta poszła dalej.

Wściekły mężczyzna odwrócił się do Benera jako do jedyne go świadka zdarzenia.

– No ja pierdołę! Widziałeś to? Zabiłbym babę jebaną! – darł mordę. – Bóg mi świadkiem, zabiłbym ją! Sam widziałeś! Jak bym jej wpierdolił, to może by zapamiętała, jak się na jezdnię wchodzi. Ożesz ty, kurwa! Patrz, jak się trzęsę. Ja pierdołę! – jęczał.

Bener nic nie powiedział. Nie chciał wypominać, że kierowca mógł jechać wolniej, a nie pruć ile wlezie po wąskiej drodze wzdłuż parkingu, gdzie w każdej chwili ktoś może wypaść na jezdnię pomiędzy zaparkowanych wozów.

Kobieta zniknęła im z oczu. Mężczyzna wsiadł do auta i trzasnął drzwiami. Oparł głowę o kierownicę.

Zanim opel się oddalił, Bener przeszedł przez jezdnię i z drugiej strony osiedlowej drogi obserwował parking, na którym zostawił fordą. Szukał granatowego S-maxa, w którym ostatnio widział Dietera Steinmeiera. Tym razem pudło. Odszedł w stronę pierwszej klatki, zastanawiając się, czy wejść na górę. Trzymał już palec na klawiaturze domofonu, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Innym razem. Słońce zniknęło już za blokami, więc wkrótce zrobi się wystarczająco ciemno, by pojechać do Złejwsi.

Wyjeżdżając z parkingu, nie zauważył zbliżającego się z prawej

samochodu. Usłyszał tylko głośny klakson i automatycznie stanął w miejscu. Wóz ominął go i pojechał kawałek dalej. Bener wstrzymał oddech.

S-max.

Marek zgasił lampy. Położył oparcie fotela tak, by nie było go widać, i patrzył przed siebie. Po chwili Steinmeier przebiegł przez jezdnię i ruszył w stronę pierwszej klatki.

Bener sięgnął po telefon i wybrał numer. Coś mu przyszło do głowy, coś, czego chyba nigdy nie sprawdził, a powinien.

– Jeszcze nic nie mam, nawet nie usiadłem – odezwał się Rak.

– Okej, spokojnie. Ale skoro masz przed sobą komputer mojego teścia, to sprawdź coś, proszę.

– Mów.

– Uruchom i przeszukaj pod kątem jednego nazwiska.

– Jakiego?

– Steinmeier. Niemiecka pisownia, kojarzysz? Przeliterować?

– *Nein! Ich verstehe!*

– *Gut.*

– *Ja, ja, schnell, schnell* – zaśmiał się, ale Benerowi nie było do śmiechu.

Rozłączył się i wysiadł z wozu. Podbiegł do klatki schodowej i wybierał po kolei kilka numerów mieszkań, aż ktoś otworzył mu drzwi. Wbiegł po schodach, przeskakując po kilka stopni, i włączył guzik przywołujący windę.

Zjeżdżała w żółwym tempie albo ktoś ją przytrzymał. Bener

huknął pięścią w masywne, stalowe drzwi.

Echo uderzenia rozniosło się po klatce.

Na terapii, jakieś trzy lata temu, profesora twojego poznałem.

Zgadaliśmy się przez przypadek chyba. Miałem wtedy przy sobie „Gazetę Miejską” i tak się złożyło, że razem z ośrodka wyszliśmy, ja na parking, on na przystanek, ale jak dojrzał, że ja z gapą na dachu po ulicach jeżdżę, to podszedł i o kurs zapytał. Blisko było, zresztą i tak do centrum jechałem, to za darmo go wziąłem, bo wiesz, on do Harmonijki chciał. I jak usiadł, to przejrzał tę gazetę twoją i mi mówi potem, że jeden z jego najzdolniejszych studentów napisał dobry reportaż o złomiarzach, i on wtedy nazwisko twoje wymienił. Uśmiełem się i mówię mu, że to mój zięć, to on uwierzyć nie mógł. Dumny wtedy byłem z ciebie, że hej! Miłe to bardzo było, bo on dobrze o tobie mówił.

Tylko jednym mnie zasmucił, żeś ty podobno z doktoratu się wycofał. Ja prosty facet jestem, nie było u nas w rodzinie wykształconych, to i mnie do nauki nie ciągnęło. Ale przecież wiem, że doktorat to nie przelewki. Poza tym, nic o tym nie wiedziałem, że próbowałaś ten doktorat zrobić, czy zdać go, czy co tam się z nim robi generalnie. Ale żal mi się ciebie zrobiło. Bo że byś radę dał, to pewny jestem.

Ale jak widać, każdy z nas ma jakieś tajemnice, nie?

[odchrząknięcie]

Wiesz, tak sobie myślę, że cholernie szkoda tej szansy. Myślę, że to mogłoby ci w życiu pomóc. Nie znam się, ale przynajmniej tak ten twój profesor mówił, że na uczelni byś wtedy pewnie został i karierę robił. Zły był nawet na ciebie, bo on ciebie w nauce widział właśnie.

[cisza]

Ale wiem, że to się tylko łatwo mówi, a że to wszystko poświęceń wymaga i że to nie takie proste jest, jakby się chciało.

[westchnięcie]

Miło mi się z tym profesorem gadało, więc potem po każdym spotkaniu grupy naszej, w czwartki, szliśmy sobie na Mickiewicza do tego pubu tam na rogu, przy Poprzecznej, wiesz gdzie. Nie pamiętam, jak on się cholera nazywa, ale zaraz sobie przypomnę. No i tam, przy małym piwku, bo ja samochodem dojeżdżałem na grupę, więc więcej wypić nie mogłem, gadaliśmy sobie o różnych sprawach. O Krysi i Agacie, o jej zdjęciach, które często mu pokazywałem, o planach moich, o tobie też przecież. Zresztą i o jego życiu czasami mówiliśmy, tylko że on nie był taki rozmowny, za to miałem wrażenie, że słuchać lubi. Może on się na tych wykładach męczył tym gadaniem ciągłym i przy mnie gardło oszczędzał? A ja z kolei tylko przy nim otworzyć się umiałem, przecież sam wiesz, że z natury to ja mruk jestem, nie?

[śmiech]

I jedna rzecz dziwna była, to znaczy zastanawiała mnie. My tylko o jednym gadać nie umieliśmy. O chorobie naszej. A tak, to o całym świecie gadać mogliśmy. Ale przy nim to jakoś inaczej było. Miał coś w sobie takiego... Cholera, nawet trudno mi to nazwać, co by to być mogło... No po prostu miał coś dobrego w oczach. Coś, czego ja w moich oczach od lat już nie widziałem.

Zamiast dobroci miałem w nich strach jedynie.

[odchrząknięcie]

*W każdym razie z Olgierdem Szamojskim było mi zawsze po drodze,
Marek.*

Bo to dobry człowiek był, tylko przez chorobę, jak ja, złamany.

16

– Czy to jasne? – spytał, odstawiając pustą butelkę dalej od siebie, jakby się wstydził, że była to już czwarta.

Szklany wzrok, półprzymknięte powieki i błyszczące, mokre usta zdradzały jego stan.

– W dupie to mam. – Aldona sięgnęła po torebkę i wstała.

Niełatwo było ją przestraszyć, teraz też nie czuła się zaszczuta.

– Siadaj! – warknął.

Nie zamierzała. Pochyliła się lekko, jakby chciała mu powiedzieć coś na ucho.

– Posłuchaj, chłoptasiu. Nie pogrywaj w ten sposób. Nie próbuj nawet.

Chwycił ją za przegub, mocno, aż krew odpłynęła jej z dłoni. Aldonę zdradził lekki grymas bólu. Zacisnęła zęby i próbowała bezskutecznie wyszarpnąć rękę.

– To nie są żarty. Jeśli dostaniesz przepustkę, klamka zapadnie, rozumiesz? Więc zdecyduj się. Wejdiesz tam tylko dzięki mnie albo wcale. Masz czas do jutra. – Puścił jej rękę.

Aldona pomasaowała przegub.

– Gównu. Nie ty, to znajdzie się inny. – Skierowała się do drzwi.

– Nie znajdzie się.

– Zobaczymy.

I wyszła.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

Wszystko kurwa źle, wszystko! Sięgnął po portfel, ale zrobił to machinalnie. Miał tam tylko kilka drobniaków, a chciał się jeszcze napić, poza tym ta pipa nie zapłaciła za dwa ostatnie piwa. Musiał jeszcze raz przemyśleć swoją stawkę. Pięć tysięcy za wpuszczenie jej do gry to chyba faktycznie za dużo. Może rzeczywiście przesadził?

– Płacisz? – spytała chuda kelnerka, która jak duch pojawiła się przy stoliku.

– Na zeszyt – warknął młody.

– Znowu? Ostatnio też było na zeszyt.

– Ale spłaciłem kurwa czy nie?! – wrzasnął i czekał, aż dziewczyna to potwierdzi. – No to przynieś jeszcze dwa piwa.

– Za chwilę. Na razie szef cię wzywa.

Spojrzał na nią błagalnie, jakby prosił, żeby się nie wygłupiała.

– Idź już. – Nie patrzyła na niego, tylko sięgnęła po puste butelki.

Bener przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał.

Wiedział, że siedzi w mieszkaniu, bo przez wizjer dojrzał światło.

Na szczęście na klatce było ciemno, więc nie bał się, że ktoś z sąsiadów go zauważy.

Wjeżdżał windą na siódme piętro z duszą na ramieniu, bo nie chciał wpaść na Steinmeiera. Dlatego przezornie wysiadł na szóstym i najciszej, jak umiał, wszedł na wyższe piętro. A co, jeśli Steinmeiera i teściową coś łączyło? Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wymieniła jego nazwisko.

Nie zamierzał się tym dalej zadręczać. Pora działać. Ponieważ z wnętrza nie dobiegały żadne dźwięki, zapukał.

Raz się żyje.

Nie miał żadnego planu, nie wiedział, co powinien zrobić. W pewnej chwili chciał nawet stąd spieprzać, zachować się jak uczeń, który dzwoni do drzwi, a potem znika na półpiętrze i boki zrywa. Szczególnie po piątym razie.

Ale nie odszedł.

W końcu drzwi się uchyliły.

– O, cześć, Marek. Co tu robisz? – Oczy Majewskiej były okrągłe ze zdumienia.

– Masz gościa? – zaryzykował.

Obciągnęła bluzkę i poprawiła włosy.

– Nie mówiłeś, że przyjedziesz. Stało się coś?

– Nic się nie stało. Mogę?

Zawahała się.

– To nie jest najlepszy moment – uśmiechnęła się przeprasząco.

– Wody bym się tylko napił, duszno jakoś. – Zrobił krok w jej stronę, jednak Majewska nie ruszyła się z miejsca. – No co jest? Nie wpuścisz mnie? Skręciłbym ci to łóżko od razu. – Przypomniał sobie, że ostatnio nie zdążył.

– Już sobie poradziłam.

– Tak naprawdę to muszę do kibelka. – Puścił do niej oko i wszedł do kawalerki.

Nie musiał się rozglądać, wszystko tu było na widoku.

W łóżku siedział starszy mężczyzna w niedopiętej koszuli. Siwe owłosienie klatki, pomarszczona, opalona skóra i przestraszony wzrok. Mocował się z ostatnim guzikiem. Na małym stoliku z napoczętej butelki wina wystawał korek, a kieliszki były do połowy pełne.

Bener miał ochotę parsknąć śmiechem.

– Pan się tak nie męczy, już uciekam. – Podeszedł, podał mu rękę i przedstawił się, a następnie dotknął drewnianej ramy. – Łóżko widzę skręcone, mocno trzyma, nie ma lipy – chrząknął. – No! To ja już sobie pójdę, nie? – Spojrzał przelotnie na teściową, która stała przy wejściu jak przyłapaną przez ojca nastolatka.

Wyszedł, ostrożnie zamykając drzwi.

Przeklinał własną głupotę. Miał ochotę przyłożyć sobie podbródkowym. Bo nie tak chyba miało wyglądać zapoznanie z nowym facetem teściowej. Teraz przy każdym niedzielnym rosole będzie miał ten obraz w pamięci i trudno będzie mu zachować powagę.

Cieszył się, że to nie Steinmeier, ale zmartwił, że jego paranoja wpędzi go kiedyś do grobu. Mimo to postanowił nie spuszczać Niemca z oka.

Zbiegł po schodach, modląc się, by Steinmeier nie zniknął razem ze swoim wozem, ale kiedy wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się, wiedział już, że w ten upalny wieczór dopisuje mu szczęście.

Obszedł wkoło granatowy samochód i zajrzał do środka, ale ponieważ było ciemno, niewiele mógł zobaczyć. Popatrzył w stronę wieżowca, potem na niebo z nielicznymi chmurami i pomyślał przez chwilę o tym, że mogłoby popadać. Już miał odejść, ale coś go tknęło. Lśniaca w blasku lamp granatowa karoseria kusiła oko, światło przyjemnie się układało i dzieliło na jej wypukłościach. Błyszczały chromy. Wóz wyglądał, jakby właśnie zjechał z taśmy produkcyjnej.

Bener wyjął brelok z kluczem samochodowym i podszedł do S-maxa od strony kierowcy.

Raz jeszcze spojrzął wokoło, a kiedy w pobliżu ani w oknach najbliższych mieszkań nie odnotował zagrożenia, przyłożył klucz do lakieru, tuż pod lusterkiem, i pociągnął. Ostro zakończony metal wdzierał się w blachę z nieprzyjemnym zgrzytem, od którego Bener dostał gęsiej skórki.

Kiedy skończył, zdmuchnął kolorowe opiłki z klucza i cofnął się do

swojego samochodu po kartkę i długopis, ale wtedy zadzwoniła jego komórka.

– Pomyślałam, że wrócę wcześniej, może się na coś przydam, więc gdyby pan chciał, mogłabym się spotkać z panem jutro rano. – Patrycja Radosz, przyjaciółka Moniki, która zaprosiła ją na urodziny, miała przyjemny, radiowy tembr głosu. Wyczuł w nim lekkie drzenie, jakby dziewczyna bardzo się przejmowała. – Czy ma pan jakieś wieści o Monice?

Bener odchrząknął.

– Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że mi pomożesz – rzucił.

– Tak, chętnie.

– O której jutro?

– Najlepiej z rana. Przyjadę pociągiem chyba przed dziewiątą.

– Dobrze, niech będzie. – Zawahał się. – Ale stało się coś?

– Nie – odpowiedziała zbyt szybko.

Bener zastanawiał się, jak to rozegrać, żeby jej nie spłoszyć.

– Jeśli wiesz o czymś, co mogłoby pomóc, to nie traćmy czasu do...

– Wiem, ale obawiam się, że to nic nie da.

Bener postanowił siedzieć cicho.

– Jest pan tam jeszcze?

– Mhmm.

Usłyszał, jak dziewczyna pociąga nosem.

– Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale...

Czekał.

– Monika była u mnie tylko przez chwilę.

Po rozmowie z Patrycją zrezygnował z wyjazdu do Złejwsi. Na jaw wychodziły nowe fakty, więc kiedy Bener przemyślał wszystko, uznał, że obserwowanie domu Żelaznych na tym etapie nie miało sensu i straciłby tylko mnóstwo czasu. Musiał znaleźć inny sposób, by dowiedzieć się czegoś więcej o tej rodzinie i o tym, kogo ukrywał na poddaszu Żelazny.

Zjadł w domu chińską zupkę, tym razem krewetkową ostrą z napęczniałym makaronem, od której rozboleł go brzuch. Poza tym coś drapało go w gardle, więc łyknął gripex i popił napojem energetycznym. Ledwie powłóczył nogami. Pozamykał okna, żeby szum ulicy w niczym mu nie przeszkadzał, i od razu zrobiło mu się gorąco. Wrócił więc do kuchni po piwo z lodówki. Z dekodera odtworzył sobie wcześniej nagrany *Frantic* i początkowo rozkoszował się sceną w hotelu, w której Harrison Ford stoi pod prysznicem, a filmowa żona lekarza odbiera telefon i po chwili mówi coś do męża, ale przez szum wody ten nic nie słyszy. Scena, od której wszystko się zaczyna, moment, w którym czujesz, że wszystko pójdzie źle, że świat doktora Walkera, którego grał Ford, pęknie na pół. Dokładnie dwunasta minuta i czterdziesta piąta sekunda. Zastanawiał się, czy w jego życiu, w sprawie zaginięcia Agaty, też był taki moment, punkt krytyczny, po

którym siłą bezładu toczyli się ku nieuchronnej katastrofie. Czy ich dwunasta minuta i czterdziesta piąta sekunda wybiły w chwili, gdy Agata, wyjeżdżając na cmentarz, stanęła w drzwiach, uśmiechnęła się do niego i położyła ręce na ciężowym brzuchu, wypowiadając słowa, które wciąż słyszał: „Kochamy Cię. Kochamy obie”.

Wpatrywał się w film. Uwielbiał i znał go na pamięć, więc nie zdziwił się, gdy po chwili wrócił myślami do rozmowy z Patrycją.

Monika przyjechała do niej nie ze swoim bratem, tylko z nowym znajomym. Wpadli na chwilę, bo mieli w planach dyskotekę w Białym Moście w centrum miasta. To stamtąd Monika wysłała Patrycji zdjęcie, na które teraz patrzył Bener. Uśmiechnięta córka Żelaznego i chłopak, który w chwili robienia fotki musiał się gwałtownie poruszyć, bo jego twarz była kompletnie rozmazana. Wyglądał bardziej jak zjawą niż człowiek z krwi i kości. W tle za nimi, na białym drewnianym tarasie, tańczyło kilka par.

Co wiedział w sprawie zaginięcia Moniki? Tak niewiele, że bał się o tym nawet myśleć. Powinien był zrobić więcej i teraz był na siebie zły, że zasnął w blokach startowych. Wyrzuty sumienia tłumiła świadomość, że dziewczynie zapewne nic się nie stało, żyła, miała się dobrze, nie wyglądała na taką, która musiałaby nocować na dworcu. A jednak Bener nie mógł się pozbyć wrażenia, że ją zawiódł.

Zerknął na *Frantic* z zazdrością, że doktor Richard Walker po nitce do kłębka wreszcie odnajdzie swoją żonę.

Sięgnął po klucze od samochodu i wyszedł z domu. Pierwszy raz od dawna poczuł przyjemny powiew wiatru. Upał trochę zelżał. Marek

rozejrzał się i zobaczył, jak w Kalinową od strony nowego mostu wjeżdża samochód.

Otworzył tylną klapę forda i wyjął z niego klocki lego w chwili, gdy tuż obok mignął wiśniowy mini morris Aldony. Zatrzymała się obok jego forda. Zdziwiony Bener podszedł do jej wozu od strony kierowcy. Dobiegał go dźwięk popowej muzyki, nie kojarzył wykonawcy, słyszał tylko rytmiczne odgłosy bębnów i basu. Po chwili wszystko ucichło, a Aldona opuściła szybę.

– Wsiadaj – zachęciła z uśmiechem.

– Kiepski podryw. Przynajmniej na mnie nie działa.

– Podryw dopiero się zacznie. Jedziemy na bibę.

Skrzywił się.

– No już, przebierz się, szkoda czasu. – Aldona nie przestawała się uśmiechać.

Nie miał najmniejszej ochoty, na ławie czekało niewypite i nadal zimne piwo, Richard Walker nie odnalazł jeszcze swojej żony.

– No chyba nie zamierzasz składać teraz klocków, co? – zaśmiała się.

Pogadali chwilę, Aldona zgasiła silnik i poszła za nim. Bener dopił piwo, Aldona poprosiła o kawę, *Frantic* dobiegł końca. Terlecka zgodziła się na to, pod warunkiem że pójdą zatańczyć. Bener wiedział, że miała na to wielką ochotę, dlatego zmusił się, by ruszyć tyłek. Ale najpierw chciał pojechać do chłopca. Prowadziła Aldona.

Podjechali pod dom Elbińskich, a raczej twierdzę pełną kamer i elektronicznych blokad. Dom stał w pobliżu lasu w Czerniewicach na

lewobrzeżu. Po zaginięciu Huberta ojciec tak się o niego bał, że stworzył mu złotą klatkę. Bener wszedł do niej na chwilę. Mały był już w piżamie, ale ucieszył się na jego widok. Dziennikarz posadził go sobie na kolanach i przeprosił, że nie zostanie dłużej, nie wspomniawszy nic o czekającej w samochodzie Aldonie. Postawił kartkę urodzinową z wizerunkiem Kubusia Puchatka, na której do wydrukowanych życzeń dopisał swoje imię i nazwisko. Dopiero kiedy chłopiec zabrał się do układania klocków, Bener mógł zamienić słowo z ojcem, który nie chciał słyszeć, że Marek nie zje ciasta i mimo późnej pory nie wypije z nim kawy. Na samą myśl Benera rozboleł brzuch, ale nie umiał odmówić. Kiedy wyszedł na ciepły wieczór, czuł się ociężały, jakby nosił w żołądku wór kamieni.

Aldona naczekała się, ale nie zrobiła mu wyrzutów, miała czas na nadrabianie zaległości na firmowym profilu gazety na Facebooku, a także Instagramie. Ucieszyła się, kiedy go wreszcie zobaczyła, Bener też, ale z innych powodów, bo w drodze do tancbudy znowu będzie mógł bezkarnie patrzeć z ukosa na jej młode uda.

– Do Białego Mostu poproszę – powiedział, zapinając pas.

– Chyba żartujesz. Znam lepsze miejsce.

– Nie, kochanie, nie znasz – zażartował. – Jeśli mam z tobą tańczyć, to tylko tam.

– Serio? – Terlecka była wyraźnie zaskoczona.

Popatrzył na nią.

– Połączymy nieprzyjemne z pożytecznym. – Mrugnął do niej.

Biały Most wybrał nieprzypadkowo.

Jeśli już musiał łączyć nieprzyjemne z pożytecznym, to przynajmniej postawił na lokal, w którym Monika bywała i była ostatnio. Nie miał nadziei, że akurat dziś ją tu znajdzie, nie był na tyle głupi, ale porozglądać się nie zaszkodziło. Pierwsze, co zrobił, to wybrał się do kibla i pokazał kilku gościom jej fotkę. Patrzyli na niego krzywo przy barze i Bener musiał się zastanawiać, czy ukradkowe spojrzenia nie zamienią się za chwilę w pyskówkę, a potem próbę sił na zewnątrz. Zdjęcie Moniki pokazał też kilku skąpo odzianym dziewczynom, kiedy zamawiał alkohol. Uśmiechały się do niego, a on odwzajemniał tę sympatię najlepiej, jak umiał.

Prawda jednak była taka, że Bener czuł się tak, jakby przyszedł szukać nastoletniej, zbuntowanej córki. Nie pasował tu nijak, ani wyglądem zblazowanego rockersa, ani wiekiem, a przede wszystkim umiejętnościami tanecznymi. O ile w jego przypadku w ogóle można byłoby mówić o jakichkolwiek umiejętnościach. Dla kurażu strzelił sobie dwie szybkie lufy zmrożonej Finlandii. Aldona w tym czasie sęczyła mojito. Uśmiechała się do niego jakoś tak zalotnie, tak mu się przynajmniej zdawało i wrażenie to potęgowało się z każdym kolejnym kieliszkiem.

Żałował, że nie dało się tu rozmawiać, bo muzyka zagłuszała nawet myśli. Budą trzęsło tak, że wykres sejsmografu wywołałby zawał u dyżurnego geologa. Bener czuł dudnienie basów nawet w zębach trzonowych. Zaszumiało mu lekko w głowie, gdy Aldona wreszcie wstała i pociągnęła go na parkiet. Bener bał się, że mu stanie od widoku półnagich młodych kobiecych ciał, gładkich jak aksamit nóg, wypiętych pośladków, wąskich talii, odkrytych i przekłutych świecidełkami pępeków oraz jędrnych piersi w obcisłych topach, pod którymi rysowały się sutki. Z tymi sulkami przesadził, ale wyobraźnia nakręcała się na takie widoki sama. Mężczyzn w ogóle nie zauważał, jakby ich tam nie było.

Kolorowe światła rozbiegły się po podłodze, ścianach i suficie, wirowały i okręcały się w rytm muzyki. Czuł osobliwą mieszankę zapachu perfum i potu, szamponów do włosów i innych kosmetyków. Sauna panująca na parkiecie tylko potęgowała dyskomfort. Starał się nie wachać, oddychał ustami. Spojrzał na Aldonę, która napinała ciało, kręciła głową, rzucała włosami, schodziła biodrami niżej, pupą niemal dotykała podłogi i szeroko rozchyłała uda. Normalnie porno, tylko że w skąpych ciuchach. Patrzył na jej bose stopy, które rytmicznie stawiała i podrywała z parkietu. Uśmiechał się do niej niemrawo i czytał z jej ust tekst zagranicznej piosenki. Coś o tym, że rusza się jak Jagger. Skandowali to wszyscy w koło, a on słyszał ten utwór pierwszy raz w życiu. Bener ledwie dwa razy machnął niezgrabnie rękoma. Jeśli tak ruszałby się wokalista Rolling Stonesów, świat straciłby wiele. Mimo to dziennikarz tańczył dalej.

Aldona przysunęła się do niego tak blisko, że gdyby był niespełna rozum, oskarżyłby ją o molestowanie i wygrał w każdym sądzie. Ocierała się o niego przez chwilę, a potem znowu kręciła biodrami i wypinała tyłek, a przez chwilę, dosłownie na ułamek sekundy, jej usta znalazły się blisko klamry paska od spodni. Czuł pulsującą krew we wszystkich członkach, a głównie w tym jednym. Aldona w końcu przeszła za jego plecy. Szturchnęła go pupą i wróciła przed niego, pojawiając się po prawej, była uśmiechnięta od ucha do ucha. Chwyciła go za ręce i przyciągnęła do siebie. Dopiero wtedy zaczął się wreszcie ruszać, wyluzował się na tyle, na ile potrafił. Wygiął się w prawo, potem w lewo, ale wódka spowolniła mu ruchy, próbował nadażyć za tempem, jednak wyglądało to tak, jakby spóźniał się za każdym razem, jakby każdy jego ruch był jedyne długim echem rytmicznej perkusji i basu. Nie był w stanie oderwać nóg od podłogi. Kołysał się z gracją potraconego stojaka na ulotki. W pewnej chwili poczuł, że lepiej od niego podryguje jego żołądek. Odbiło mu się wódą i wcześniej wypitym piwkiem z napojem energetycznym. Skrzywił się. Pewne rzeczy widział podwójnie. Uśmiechnął się jak debil sam do siebie. Ale nagle w przeblaskach światła, za tańczącym tłumem dojrzał zakrwawioną twarz Stanisława Rudnika. Wstrząsnął szybko głową, jak po solidnym ciosie, i obraz na szczęście zniknął. Rudnik już go nie obchodził, to tylko przywidzenie, konsekwencja tego, co było i teoretycznie minęło. Powinien się przyzwyczaić, że nie tak prędko o nim zapomni.

Ponownie przesunął mętym wzrokiem po sali pełnej atrakcyjnych

ciał i naładowanych erotyką płasów, a potem zatrzymał go na stopach Aldony. Alkohol ułatwił mu przyznanie się przed samym sobą, że jest fetyszystą. Poczul się z tym pierwszorzędnie, a jeszcze lepiej, gdy wyobraził sobie, że właśnie teraz te stopy masują mu fiuta.

W migotaniu dyskotekowych lamp stopy Aldony raz po raz wyłaniały się i znikały w ciemnościach. Te błyski wykończyły Benera. Nagle poczul się źle. Tak źle, jak tylko można to sobie wyobrazić, kiedy flaki rwą się do twista. Przestał marzyć o jakimkolwiek masażu. Jego wzrok nie łapał już ostrości, spróbował więc przetrwać, zamykając powieki. Udawał, że tańczy, właściwie tańczył jedynie w swojej wyobraźni, bo w rzeczywistości położył sobie rękę na brzuchu i stał na prostych nogach jak filar, który nie tylko, że nic nie podpira, to jeszcze sam domaga się wspornika. Chciał odejść na drugi krąg, chociaż wiedział już, że jest znacznie poniżej ścieżki zejścia i że jednak pierdolnie w tę pancerną brzozę. Gdyby zatkał sobie gębę i wbiegł do kibla, być może sprawy potoczyłyby się inaczej, a tak zwyczajnie ścięło go w kolanach. Padł i w pozycji podpartej, jak pies, puścił pawia na środku sali. Z siłą wodotrysku.

Soki trawienne wymieszane z alkoholem skapywały między białe deski, a na widoku pozostawały resztki nadtrawionego żarcia, te jebane makaronowe loczki i drylowane wiśnie z kwaskowatego ciasta. Kiedy skończył, łeb kiwał mu się na wszystkie strony, ręce odmówiły posłuszeństwa. Padł mordą w wymiociny, ale zanim poczul ciepło rzygowin na skórze i ich ostry, przenikliwy smród, zdążył dostrzec obrzydzenie na twarzach tych wszystkich pięknych dziewczyn i

pomyślał, że właśnie zaprzepaścił swoją szansę na to, by przelecieć dziś Aldonę. A miał na nią wielką ochotę.

Muzyka zgasła i nastąpiła jasność.

– Łeeee! Fúj, kurwa! – usłyszał wiele piskliwych głosów. Z tej perspektywy widział tylko rozmazane, jak za mgłą, szpilki i gdzieś obok bosa stopy Aldony.

Z ochotą patrzyłby na nie dłużej, ale niestety w jego głowie światło właśnie zgasło na dobre.

CZWARTEK

18 SIERPNIA 2016 ROKU

1

Niewiele pamiętał, za to wciąż czuł na sobie ostry smród wymiocin.

We łbie trwał armatni ostrzał. Mimo to poderwał nagie ciało z wyra i dopiero wtedy oprzytomniał. Musiała go rozebrać, sam pewnie by tego nie zrobił. Pomyślał ciepło o tym momencie, chociaż wcale go nie pamiętał. A jeśli było coś więcej? Jeśli doszło między nimi do... Nie, to niemożliwe, uspokajał się w myślach. A jeśli jednak – a on nic z tego nie pamięta, bo był nawalony jak dzik śrutem na polowaniu – to się załamał. A mógł mieć z tego taką piękną pamiątkę, żałował w duchu.

Wziął prysznic i wyszczotkował zęby, choć nie wyglądał ani nie pachniał dzięki temu lepiej. Ubrał się i bez zbędnej zwłoki pojechał do redakcji.

Samochód był rozgrzany jak piekarnik, a przecież była dopiero siódma. Opuścił szyby i przyspieszył, żeby przemieścić panującą wewnątrz auta duchotę.

Żarty się skończyły, dziś zamykali numer i chociaż Bener wiedział, że Aldona wszystkiego dopilnuje, nie umiał sobie wyobrazić, że nie zajrzy tam z rana. Kiedy wszedł do pustego jeszcze newsroomu, sporo kartek z jutrzejszego wydania „Echa Torunia” wisiało już na ścianie. Brakowało tylko jedyńki i materiałów czołówkowych na trzeciej i czwartej stronie. Widział też rozkładówkę z fotoreportażem Raka.

Wziął długopis i zaczął nanosić zmiany. Zaznaczył, które zdjęcie chciałby wyciągnąć na czołówkę, a które zmniejszyć i poupychać bokami. Dwukrotnie zmienił tytuł tylko po to, by był krótszy, a przez to większy i bardziej przyciągający wzrok.

Przyjrzał się reklamom, które właściwie były już w komplecie. Brakowało jedynie podwałów na czwartej i piątej stronie, chociaż miejsce zostało opisane jako reklama bez konkretnego numeru zamówienia, co oznaczało, że dziewczyna z marketingu walczy i skoro miejsce zabrała, to widziała szansę na zwycięstwo. Podobała mu się taka postawa.

Bener uruchomił komputer, żeby przyrzeć się przymiarkom do pierwszej strony. Po otwarzeniu pliku wyświetliła się twarz Moniki Żelaznej. Zdjęcie, które wysłała Benerowi matka dziewczyny, nie było najlepsze, ale tym razem nie chodziło o artyzm. Do ogarnięcia pozostał już tylko tytuł.

Żelazny zdziwi się, gdy zobaczy jutro swoją córkę na okładce, ale Bener nie zamierzał czekać. Skoro biznesmen nie zgłosił zaginięcia policji i skoro Monika nie przyszła ponownie do redakcji, trzeba rozpocząć poszukiwania na szerszą skalę. Rzucił okiem na tematy poszczególnych kolumn i był zadowolony. Na stronie szóstej pisali o tym, i była to informacja pierwszego sortu, że Toruń wygrał z Wrocławiem batalię o organizację sylwestra dla telewizyjnej Dwójki. Bener był pewien, że jeśli ojciec dyrektor nie maczał w tym palców, to na pewno przynajmniej z serca błogosławił, a teraz liczy, że coś mu z tego skapnie. Ciekawe tylko, co to będzie tym razem, bo nowy dojazd

do świątyni o nazwie długiej jak ego wielebnego już był. Może tramwaj, który na razie zatrzymywał się przy pobliskiej Motoarenie, a przecież mógłby wozić wiernych kawałek dalej, te trzy śmieszne, króciutkie kilometry! Aldona fantastycznie zawarła wszystkie te myśli w swoim tekście. Bener uwielbiał ją za to.

Nie tylko zresztą za to, pomyślał, gdy weszła do redakcji.

– Głodny? – spytała bez cienia złośliwości, zrzucając baleriny.

– Wczoraj bardzo się uzewnętrzniałem – zaczął nieśmiało.

– Nie powiem, torsje były na poziomie. Napracowałeś się – uśmiechnęła się.

– Do teraz mnie gardło boli, ale i dusza żyć nie daje – zawiesił głos i przywołał na twarzy jeden z najbardziej czarujących uśmiechów. – Bo jak to się stało, że golusienki trafiłem do łóżka?

Aldona się zaśmiała i pokręciła głową.

– Myślisz, że cię rozebrałam.

Bener wstał i podszedł do niej. Odrobinę za blisko.

– A któż by inny – starał się, by tembr jego głosu brzmiał uroczo nisko. – Sam miałem wówczas ograniczone zdolności... manualne.

Aldona sięgnęła po telefon.

– Każde inne chyba też. – Odtworzyła nagranie, ale Bener wciąż patrzył jej w oczy, próbując odczytać w nich cokolwiek, co zdradziłoby mu, co stało się po tym, gdy Terlecka go rozebrała. Aldona zachęciła go gestem, by jednak spojrział na wyświetlacz. Zrobił to i w pierwszej chwili pomyślał, że kobieta robi sobie z niego jaja, włączwszy amatorski filmik rodem z YouPorn, na którym ledwie stojący na

nogach golas z miękką końcówką wdzięczy się do kamery.

– Wystarczy, czy brniemy w to dalej? – spytała wciąż uśmiechnięta.

Zatkało go.

– Aldona...

– Spoko, szefie, zaraz skasujemy ten szajs i zapomnimy o sprawie, okej? Wybacz, ale musiałam to nagrać. – Nie mogła opanować śmiechu. – Prawie się posikałam!

Bener cofnął się do swojego biurka, odprowadzany rechotem Terleckiej. Czuł się jak zapity chojrak ze wsi, który chce zaimponować panience, tylko jeszcze nie wie jak, więc ściąga wszystko, co ma na sobie, tak, nawet gacie, i obiecuje, że będzie zadowolona.

Nie wiedział, kiedy Aldona postawiła przy nim kubek z kawą.

– Dawałeś komuś mój numer? – spytała jak gdyby nigdy nic.

Nie wiedział, o co jej chodziło.

– Ktoś wydzwania do mnie od rana, ale jeszcze nie odebrałam.

Dopiero wtedy go oświeciło. Steinmeier. Po tym jak zrobił mu krechę na lakierze, za wycieraczkę wsunął kartkę z odręczną notatką. „Widziałam, kto uszkodził samochód. Proszę o kontakt”. I dla niepoznaki podał numer Aldony. Wy tłumaczył teraz Terleckiej co i jak i spisał sobie numer Niemca. Poprosił, by od razu do niego oddzwoniła i umówiła się w redakcji. Aldona wybrała numer i włączyła tryb głośnomówiący.

– Na pewno nie jest pan zainteresowany? Ja ich znam, mogę to potwierdzić na policji.

– Policja? Pani żarty mówi. Pani... Przepraszam, bo ja słabo mówić

po polsku. – Steinmeier mówił z twardym, niemieckim akcentem. – To nie problem, ten rysa. Wcześniej też było. Naprawię w Potsdam.

– Ale przecież chętnie panu pomogę. Może wpadnie pan do mnie do pracy? To niedaleko.

– *Nein, danke... Kein Problem.*

– Ale mieszka pan tam, gdzie zostawił pan samochód? To naprawdę parę kroków od pana. Może podejść tam i pójdziemy razem na policję?

– *Nein, viele danke! Do widzenia.*

Połączenie zostało przerwane.

Przysunął się wraz z fotelem bliżej biurka i dopiero po chwili kątem oka zerknął na Aldonę. Kobieta uruchomiła komputer i zabrała się do roboty. Otworzyła makietę pierwszej strony i dobierała kolor fontu tytułu, żeby był nie tylko wyraźny, ale również korespondował ze zdjęciem. Na razie postawiła na: „Gdzie jesteś, Moniko?”. Mądrze. Zwracała się bezpośrednio do zaginionej, dawała jej sygnał, że czekają na nią, jednocześnie dla postronnych tytuł był absolutnie neutralny. Sięgnął do torby po komórkę, jednak zamiast swojego aparatu wyciągnął ten od Szamojskiego. Zdziwił się, gdy telefon błysnął diodą. Spiał się lekko i na chwilę zamarł w bezruchu, po czym otrząsnął się i odblokował aparat. Ekran rozbłysnął światłem.

Miał jedno nieodebrane połączenie z wczorajszego wieczoru, kiedy uprawiał swoje pożał się Boże balety.

Szaman znowu chciał mu coś przekazać.

Uzależniony jestem od lat.

[westchnięcie]

Nie umiem tego konkretnie umiejscowić w czasie, nie pamiętam takiego jednego, jedyne momentu, po którym już nie mogłem się od tego uwolnić. Bo to nie jest jak z tym, wiesz... że pierwszy raz, no wiesz... ten tego, i już prawiczką nie jesteś.

Mówi się, że takie chwile często z pierwszą dużą wygraną się wiążą. A złośliwi to dodają nawet, że ta chwila to wtedy jest dopiero, kiedy tę kasę z wygranej zgrasz do zera, do dupy gołej. Kiedy to swoje marzenie o wygranych pieniądzach, za które miałeś dom remontować, wóz lepszy kupić albo chociażby buty na zimę dziecku, sam w proch rozbijesz i do domu z niczym wrócisz albo gorzej, bo z długiem większym jeszcze, co bardziej prawdopodobne. I zamiast przestać grać, myślisz sobie, że to wcale nie o to chodzi. Po prostu dnia nie miałeś.

Ale przecież wygrałeś, tak? Przecież tę grubą kasę w rękach miałeś, nie? To co to znaczy? No, co? Że szczęście znowu się do ciebie uśmiechnie, że jeszcze się odegrasz. I spirala znowu się nakręca, a ty z nią razem. Znowu myślisz o tym, co kupisz, jakim to dobrym mężem będziesz, jak im wszystkim pomożesz, tej całej rodzinie swojej, jak wreszcie wszystko, dzięki tobie oczywiście, kręcić się zacznie. I wtedy już powinieneś wiedzieć, że jesteś w czarnej dupie po pięty same.

Bo nie chodzi już o pieniądze i o to, jaki dobry dla innych będziesz. Tak naprawdę chodzi ci tylko o to, by do gry wrócić.

Nic poza grą się nie liczy.

[odgłos tarcia zapalniczki]

Ale u mnie z tym początkiem to chyba inaczej było.

[długi wydech]

W każdym razie gdybym miał obstawiać jakąś datę, to wybrałbym ten moment, kiedy na taryfę się przesiadłem pod koniec lat osiemdziesiątych. Wtedy wszystko inaczej było. Świat był inny, zmieniało się wszystko. Kursów już nie było tyle, co dawniej. I nawet ktoś mnie wtedy ostrzegł, gdy z innymi kierowcami w oczko grałem na pieniądze drobne.

Czy ty pamiętasz Henryka Janickiego? Tego najstarszego toruńskiego taksówkarza, co od 1975 roku dużym fiatem jeździł, a wcześniej miał chyba chevroleta i warszawę? Tego, co po pięćdziesięciu latach pracy na taryfie na emeryturę dwa lata temu przeszedł. Pisałeś o nim, więc na pewno pamiętasz, po co się głupio pytam. Podeszedł do mnie wtedy ten szczupły i niski facet i jedno mi mówi: „Nie graj z nimi, życie sobie zmarnujesz. Damę pik na żonę zamień, bo z kim ci w życiu lepiej będzie?”. Pamiętam, że wystraszyłem się wtedy. Wiedziałem, że rację ma, ale chyba podświadomie czułem, że za późno już dla mnie było.

[świst powietrza]

Robota stała się pretekstem do wyjścia z domu, maskowała to granie moje, a i pieniędzy mi wtedy tak nie ubywało. Kasa zawsze z tego jeżdżenia była, może mniejsza niż poprzednio, ale zawsze, kto robotny i roboty się nie bał, grosz przy sobie woził. A jak już się narobiliśmy, to i w to oczko na postojach rznąło się na drobne sumy.

I tylko Janickiego pamiętam, który z tą swoją obawą, ze zwykłym zatroskaniem takim, kręcił głową, gdy tylko mnie widział. Już nic nie

mówił, ale swoje wiedział. Gdybym go posłuchał wtedy, wszystko inaczej by wyglądało. Ale zamiast tego przestałem z nim rozmawiać, na postojach go unikałem, chociaż chłopina dobrze dla mnie chciał. Raz, gdy zobaczyłem, że jego fiat przy teatrze stał, to na Rynek Nowomiejski odjechałem. Ze strachu chyba, że nie wytrzymam spojrzenia jego, tej troski, której wart nie byłem wcale.

[szумы]

I powiem ci, że właśnie ten moment zapamiętałem jak nic innego. Bo gdybym wtedy nie stchórzył, gdybym nie był taki słaby, nie spotkałoby nas to wszystko. Mam wrażenie, że to była jakaś kara za całe to zło moje we mnie.

Bo na tym drugim postoju wsiadł do mojej taksówki Andrzej Walczyński.

I wtedy wszystko się zaczęło.

2

Po godzinie do redakcji przykuśtykał Rak, dokończył swoją robotę i miał już lecieć do kolejnego zadania wyznaczonego przez Aldonę. Bener nie wiedział, o co chodzi, bo dziś wolał raczej być niewidzialną materią niż panem tego świata.

Rak spakował aparat i miał ruszyć do wyjścia, ale cofnął się.

– Komputer wziąłem, w samochodzie mam. Odbierzesz? – Przytrzymał otwarte drzwi. Przeciąg zawył głośno, a żaluzje hałasowały przy każdym uderzeniu w szybę.

– Okej. – Bener wstał i wyszedł z nim na zewnątrz.

Słońce grzało solidnie, ale znowu zanosilo się na burzę. Ciemne chmury napływały z północy, a pierwsze duże krople znaczyły betonowe stopnie, po których schodzili. Przez wewnętrzny plac w „Kwadracie” ruszyli na parking. Bener szedł bez słowa za powłóczącym nogą od czasu wypadku Rakiem.

– Stało się coś? – Fotoreporter ruchem ramienia poprawił plecak. – Co tacy milczący dzisiaj jesteście? Pokłóciłeś się z Aldoną?

– Nie, skąd. Nabroilem tylko.

– Nabroileś?

Bener zrelacjonował wczorajszą akcję, przy czym zataił najistotniejsze szczegóły.

Rak gwizdnął i to wystarczyło za cały komentarz. Podeszli do samochodu fotoreportera, a kiedy ten otworzył bagażnik, telefon Benera rozbrzmiał prostą melodią.

Ten telefon.

Bener odszedł kilka kroków, nie odrywając oczu od wyświetlacza.

Numer zastrzeżony.

– Spieszę się – ostrzegł z tyłu Rak.

Bener uniósł rękę i pokazał mu pięć palców. Tyle minut potrzebował.

Ale fotograf pokręcił głową. Zamknął bagażnik i odjechał.

Telefon cały czas dzwonił, a Bener obserwował auto Raka tak długo, aż zniknęło za zakrętem,

Wtedy nacisnął na zieloną słuchawkę.

3

Ustalili, że odwiedzie Patrycję Radosz do domu w Zaroślu Cienkim i wykorzystają ten czas na rozmowę. Wszedł do dworcowego kibla, żeby opłukać twarz i szyję ze słonego potu, a potem przeczytał kartkę przyklejoną taśmą do kafelków przy lustrze i głośno się zaśmiał. „Prosimy ręce wycierać w ręczniki papierowe. Nie trzepać się na podłogę!”. Tak zrobił, nie trzepał się.

Czekał na nią na peronie i zaniósł do samochodu jej walizkę, do której – był o tym święcie przekonany – dziewczyna spakowała ubrania razem z dębową szafą.

Teraz wyjeżdżali już z Torunia. Na wysokości skrzyżowania w Przysieku spojrzął w lewo, w stronę spalonego domu w pobliżu hotelu Daglezja. To tam trzy lata temu rozpoczął się jeden z jego największych koszmarów. Właśnie od pożaru tej chałupy. Słońce nagrzewało forda, klimatyzacja pracowała na najwyższych obrotach, ale i tak ledwie wyrabiała się z chłodzeniem. Trzeba w końcu pojechać do warsztatu Gabrysia Smarza w Rzęczkowie, brata Jacka, fotoreportera „Nowości”, i zrobić z nią porządek, dodać jakiegoś czynnika chłodzącego, czy czego tam do cholery się wlewa, byleby w końcu wywiązywała się ze swoich pieprzonych zadań. Cały był zlany potem. Patrycja Radosz miała krągłe policzki, okrągły nosek, wąskie,

stale uśmiechnięte usta i przymrużone oczy. Wyglądała jak bohaterka książki dla dzieci. Jej pyzata twarz nijak nie pasowała do jej pięknego, radiowego głosu.

– Tego dokładnie nie pamiętam – zasmuciła się, gdy Bener spytał ją, o której godzinie Monika do niej przyjechała. – Mogło być tuż przed dwudziestą.

– Dwudziestą? Z domu podobno wyjechała razem z bratem o szesnastej – sprostował.

– U mnie była dużo później, zresztą uprzedzała, że się spóźni.

– Jak dotarła?

– Przyjechała z nowym chłopakiem, Przemkiem czy jakoś tak, jego samochodem pewnie. Chyba audi.

Według Patrycji facet niczym się nie wyróżniał: wysoki, szczupły, ciemne włosy, żadnych znaków szczególnych. Tyle że starszy od niej i Moniki. Tak po trzydziestce nawet.

– Weszli do ciebie i co? Co robili? – Bener czuł, że za chwilę się udusi. Pokręcił pokrętłem nawiewu w lewo i w prawo. Wyłączył i raz jeszcze włączył klimę. Nic to jednak nie dało.

– Życzenia mi złożyli, dali prezent, kartkę urodzinową na kolanie wypisali, a potem chwilę posiedzieli w ogrodzie, zjedli coś z grilla, albo i nie, i już ich nie było.

– Zachowywali się normalnie? – Przyłożył rękę do nawiewu. Zamiast chłodu waliło z niego ciepłem jak z pyska psa po maratonie.

– Czy normalnie? No nie wiem właśnie. Monia była trochę spięta, a on chyba najpierw w ogóle nie chciał wyjść z samochodu.

– Dlaczego?

– Może się wstydził? My się wszyscy znaliśmy, a on... siedział tylko i nic nie mówił.

Bener poczuł, jak włosy kleją mu się do szyi.

– A nie masz żadnych innych jego zdjęć? To, które mi wysłałaś, jest rozmazane.

– Nie. Wrzuciłam na fejsie prośbę do znajomych, którzy byli na urodzinach. Może załapał się gdzieś w kadrze.

– A jak było z Oliwierkiem?

– Kim?

– No tym jej poprzednim chłopakiem, Oliwierem.

Patrycja parsknęła śmiechem.

– Nigdy nie byli ze sobą. Przecież z Oliwki wszyscy się śmiali, nawet Monia.

Spojrzeli na siebie.

– No przecież to taka dupa do kwadratu, że szkoda gadać. Zawsze dawał się wydymać. Monia ratowała go często przed bratem.

– Przed kim? – Dziennikarz obawiał się, że źle usłyszał. Wytarł pot z karku, ale po chwili znowu był tam mokry.

– No bratem jej. – Patrycja popatrzyła na Benera jakby właśnie się zmaterializował. – Przecież Oliwka to jego stary kumpel.

Benera zatkało.

Miał już tego dość, skurcze poruszały jego powieką, krew zaczęła szybciej krążyć i dudnić w skroniach, pocił się jeszcze bardziej. Targało nim wkurwienie. Chciałby rzucić w kąć to śledztwo, mieć głębiej niż

dwunastnicę wszystkich tych Żelaznych i ich popieprzone życie.

Otarł pot z czoła i kolejny raz wytarł dłoń w spodnie, zostawiając na nich wilgotne smugi.

Luz, złap trochę luzu, chłopie, powtarzał sobie w myślach. Uspokój się. Oddychaj.

Pojechali dalej w milczeniu, dopiero przy skręcie na Zarośle Cienkie Bener znowu się odezwał.

– Czy Monika mówiła, dlaczego nie zostanie na urodzinach i dokąd jedzie? Patrycja spojrzała przez boczną szybę.

– Nie, nie mówiła.

Bener patrzył przed siebie, na drogę biegnącą przez pagórki i las.

– To jest ważne. Możesz mi powiedzieć, bo ja mam w dupie wszystkich Żelaznych. Interesuje mnie tylko ona, tylko twoja przyjaciółka.

Nie odwróciła się od okna, ale coś wyszeptała. Z powodu rzeźącej klimatyzacji dopiero po chwili do Benera dotarła treść tych słów.

– Boję się o nią.

4

Aldona zamknęła dwie strony i była z siebie dumna. Napisała do Benera, że „Echo Torunia” jest prawie gotowe, brakowało kilku drobiazgów, które mogła zrobić jutro rano, by gazeta miała również najświeższe wiadomości. Dała mu jeszcze czas, żeby zerknął przez internet na PDF-a, a sama napiła się kawy, przeglądając wiadomości na internetowych portalach. W końcu Bener przysłał SMS, że akceptuje wydanie. Terlecka odłożyła komórkę w chwili, gdy na jej biurku odezwał się telefon stacjonarny.

– „Echo Torunia”, słucham – przywitała się.

– Masz pieniądze?

– Słucham? – zdziwiła się.

– Możesz wejść jeszcze dzisiaj. Ale musisz mieć kasę.

– Ale...

– Tam gdzie ostatnio, o osiemnastej. Nie spóźnij się, bo drugiej szansy nie będzie. Bierz kasę i ruchy, dziewczyno.

– Zaraz... – powiedziała do siebie, bo rozmówca zdążył się rozłączyć.

Była zaskoczona i szczęśliwa zarazem. W końcu będzie miała okazję złapać dobry temat.

Praca u Marka, to, że pozwolił jej się tu rozwinąć, była ważna, ale

gdzieś na horyzoncie widziała już i odczuwała potrzebę zmiany, zaliczenia kolejnego etapu na swojej dziennikarskiej drodze. Nie kierowała nią chora ambicja, tylko zakodowany gdzieś w genach warunek ciągłego rozwoju, chęć stawiania nowych kroków, przewyższania słabości, poszukiwania nowych impulsów i zdobywania kolejnych doświadczeń. Nie mówiła o swoich planach Benerowi, ale wiedziała, że to nieuchronne, że jeśli tylko odezwą się z Warszawy, to będzie musiała pożegnać się z „Echem Torunia”. Byłoby jednak lepiej, gdyby do portfolio dołożyła kolejną dobrą wcieliówkę.

Zalogowała się do banku i przelała z oszczędności kilka tysięcy złotych, po czym wylogowała się i wyłączyła komputer.

Kiedy wyszła na zewnątrz, poczuła przyjemny żar słońca na plecach. Urodziła się dla takiej pogody.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Benera, ale na razie nie zamierzała zaprzętać mu głowy, miał swoje problemy i dobrze o tym wiedziała. Znała go na tyle, by wiedzieć, że poszukiwania tej licealistki nie układają się tak, jakby sobie tego życzył. Był spięty, podenerwowany, odreagowywał alkoholem i chęcią na kompulsywne bzykanko, a przynajmniej kompulsywną próbę bzykanka.

Dlatego dała mu spokój.

Wypłaciła kasę w banku, który zajmował pomieszczenia na parterze w pobliżu redakcji i wyszła na oślepiające słońce. Odczuwała niepokój.

Coś jej się w tym wszystkim nie zgadzało. Drażniło ją i siedziało z tyłu głowy, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi redakcji, a właściwie już

od momentu, gdy Dolar się rozłączył. Ale dopiero teraz zrozumiała, o co chodzi.

Wiedzą o niej więcej niż ona o nich. Zaczęła zastanawiać się, jakie to ma znaczenie, skoro hazard może wciągnąć każdego bez względu na wiek, wykształcenie czy posiadany majątek. Lekarza, aktora, piosenkarkę i piłkarza. Wszystkich, nawet dziennikarkę.

Ale nie do końca przekonała samą siebie. Nigdy nic nie wiadomo. Musiała być ostrożna.

W końcu dzwonił na stacjonarny w redakcji.

5

Pożegnał się z Patrycją tuż po tym, jak wypił z nią chłodną wodę na zacienionym balkonie domu, w którym mieszkała. Rozmawiali o Monice, o ich przyjaźni i o tym, że być może wcale się tak dobrze nie znali. Zerkał na żółte placki spalonej trawy, które psuły efekt gęstego, misternie utrzymanego dywanu, oraz na rozłożyste tuje w szpalerze przy ogrodzeniu. Szczelnie odgradzały działkę Radoszów od burdelu u sąsiadów, którzy przy płocie trzymali zużyte sprzęty, stare pordzewiałe rowery, a nawet wybebeszoną pralkę.

Kiedy z balkonu przeszli z powrotem do pokoju, widział dogorywające w wazonach kwiaty i stojące na podłodze urodzinowe kartki.

Pożegnali się i Bener odjechał w stronę kościoła w Złejwsi Wielkiej, bo wczoraj umówił się z księdzem proboszczem na spotkanie. Dojechał na niewielki parking przed kościołem. Od głównej drogi osiedlowej dzielił go trójkątny skwer z wysokimi dębami i piaszczystą, wyjeżdżoną ziemią. Widać było, że służył za parking wszystkim tym, co na niedzielną mszę dojeżdżali z sąsiednich wiosek, a czasem nawet z sąsiednich domów.

Uchylił drzwi w samochodzie i położył fotel, bo miał ochotę na moment przymknąć oczy. Do spotkania z księdzem miał jeszcze pół

godziny.

Wiatr lekko kołysał gałęziami wielkich drzew, więc raz słońce grzało mu w powieki, innym razem przemykał mu po twarzy delikatny cień. Wsłuchiwał się w szumiące cicho liście.

Od chwili, gdy odstawił Patrycję do domu, myślał tylko o jego słowach. Nie słyszał byłego profesora, wciąż poszukiwanego aresztanta i zbiega z konwoju policyjnego, od trzech lat. Zwyczajnie zniknął z jego życia tuż po tym, jak doprowadził go do piwnicy domu niedaleko przedmieść Torunia. Bener nie wiedział, gdzie i czy w ogóle Szaman żyje. Aż do dziś.

Zapamiętał tę krótką rozmowę, ale i tak chciał odsłuchać nagranie z telefonu.

Znowu mimowolnie napiął mięśnie.

– To już prawie trzy lata, Marek – ponownie usłyszał schrypiałe głos Szamana i idealną ciszę w tle. – Dzwonię, żeby powiedzieć, że jesteś na dobrej drodze. Nie zbaczaj z niej.

– Chodzi o córkę Żelaznego?

– Chodzi o prawdę o twoim teściu.

Na nagraniu było słychać, jak Bener głośno wciąga powietrze, a potem wypuszcza je z sykiem, żeby opanować nerwy. Nie zdołał o nic więcej zapytać, bo Szaman się rozłączył.

Bener zamknął oczy.

– Udar! – usłyszał nagle niski głos.

Wytrącony ze skupienia rozejrzał się i dostrzegł księdza nachylającego się do okna od strony pasażera.

– Udar ci grozi, tak jak tym wszystkim dzieciom, które rodzice zostawiają w samochodzie, bo tylko na chwilę idą do sklepu. Nie czytałeś o tym? – zaśmiał się.

Bener wysiadł z wozu i przywitał się z grubaśnym księdzem. Duchowny wskazał ręką drogę na plebanię. Gdy przechodzili przez furtkę, usłyszeli charakterystyczny zgrzyt uruchamianego silnika. Ksiądz przeszedł wzdłuż domu i zatrzymał się na rogu. Bener stanął za nim.

– W taki upał chcesz kosić? – krzyknął proboszcz do chłopaka mocującego się z linką. – No dobra, ale czapkę załóż i wodę sobie weź z garażu.

Chłopak pokiwał głową.

– Pracowity, ale uparty... – stwierdził ksiądz i dodał coś jeszcze, ale Bener nie usłyszał, bo silnik tym razem zaskoczył. Z kosiarki buchnęły kłęby białego dymu i chudy, opalony na ciemny brąz młodzieniec w samych szortach ruszył przed siebie. Skóra lśniła mu od potu, a maszyna wzbijała z wysuszonego trawnika obłoki jasnobrązowego pyłu. Bener wszedł za księdzem po schodach na ganek domu i po chwili obaj znaleźli się w ciasnej parafialnej kancelarii. Od sufitu do podłogi gęsto upchano w niej szafy i szafki z regałami. Drewnopodobne matowe już fronty i poluzowane szuflady, a gdzieś odpryski do żywej płyty wiórowej zdradzały, że meble robione na wymiar mają już swoje najlepsze lata za sobą. Otwarte półki ugiwały się pod ciężarem starych papierzysk i ksiąg.

Duchowny odwiesił sutannę na biały wieszak. Pod nią miał czarny

T-shirt i czarne spodnie w kant. Usiadł za biurkiem tak, że spory brzuch opadł mu na uda. Lekko się garbił, a siwe włosy zaczesywał do tyłu, odsłaniając pogłębiające się zakola. Mógł być przed sześćdziesiątką. Dłonie złożył równo na blacie. Bener dostrzegł długie, brudne paznokcie.

– Ślub, chrzciny, komunia czy pogrzeb? – spytał proboszcz. – Bo zazwyczaj takie serwujemy tu dania.

– Byłoby miło, ale ja nie w tej sprawie. Dzwoniłem do księdza, chciałem porozmawiać o Monice Żelaznej.

– A tak, przepraszam, czekam na jeszcze jednego parafianina i wszystko mi się pokićkało! – zaśmiał się.

Bener odczekał chwilę.

– Co ksiądz może mi powiedzieć o Monice i jej udziale w oazie?

Duchowny machnął ręką.

– Jakiej tam oazie, człowieku! To żadna oaza nie jest – skrzywił się.

– Próbowałem tu coś takiego zorganizować, ale przestało działać, zanim się na dobre zaczęło.

Przez uchylone drzwi do pomieszczenia wszedł kot. Nie spojrzął na nikogo, tylko przemaszerował do księdza, a potem wskoczył mu na kolana i ziewnął, pokazując Benerowi drobne kły.

– Chodziło mi o spotkania, na które uczęszczała Monika. Bo były tu jakieś spotkania, prawda? – Bener wolał przejąć kontrolę nad rozmową, zanim ksiądz odpłynie w opowieści o duszpasterskim trudzie.

Proboszcz pogłaskał kota, a ten udeptał sobie miejsce i zwinął się w

kłębek.

– Tak, zgadza się. Sam dałem się w to wkłęcić, niepotrzebnie zresztą.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem. – Bener zawiesił głos.

– Wolałbym nie mówić.

– Nie mówić o czym?

– Pan jest dziennikarzem i wie pan... To może mi, że tak powiem, zaszkodzić.

Bener spojrział w okno, a potem ponownie na duchownego.

– Mogę po męsku? – spytał, marszcząc brwi, bo przewidywał jakiś taniec w linach, niepotrzebny klincz, stosowanie uników i chowanie się za wysoką gardą. – W dupie mam, co tu się dzieje, bo nie przyjechałem do Złejwsi pisać reportaż, tylko szukać zaginionej dziewczyny. I interesuje mnie tylko ona.

Ksiądz potwierdził skinieniem głowy, ale spochmurniał. Jakby jednak liczył na to, że dziennikarz zainteresuje się jego problemami, wesprze i pomoże dobrym słowem pisanym, żeby nie powiedzieć dobrą nowiną.

– Chodzi o to, że te zajęcia, na które chodziła Monika, to organizuje fundacja powołana przez męża zastępczyni wójta, takiej herszt baby. Reszty nietrudno się domyślić.

– Dostała gminne pieniądze na zorganizowanie spotkań w kościele, tak? – dokończył Bener.

– Ale to jeszcze nic. – Ksiądz się pochylił w stronę Benera. – Wciągnęła mnie w to i kazała nabory robić. Z ambony najlepiej, bo

projekt się uda, jeśli co najmniej dziesięciu młodych przyjdzie.

– Dlaczego ksiądz się zgodził?

– Ech, widać, że pan nietutejszy – stwierdził duchowny zrezygnowanym głosem.

Bener wciąż się nie odzywał.

– Toż to jest siostra Żelaznego! – Ksiądz aż poczerwieniał na twarzy.

– No fakt, to wszystko zmienia – powiedział Bener z pełnym przekonaniem. – Lokalny biznes, współpraca z władzami, ręka rękę myje.

– A wie pan, co on tu robi? – Ksiądz wyciągnął rękę i wskazał na drzwi, chociaż na myśli miał pewnie coś innego. – Dach mi remontuje! – dopowiedział.

Bener nie dowierzał.

– To o co ksiądz jest zły? Chyba dobrze, że chłop dołożył się do dachu?

Ksiądz znowu pogłaskał kota, który na chwilę otworzył oczy.

– To nie chłop jest, to biznesmen. I remontuje dach z własnych pieniędzy. Darowiznę taką zapisał na kościół.

– Każdy inny skakałby wokół niego i trzymał za sakiewkę. Radzę zrobić to samo. Meble by sobie ksiądz wymienił. – Bener wskazał na wysłużoną zabudowę.

– I mój poprzednik tak właśnie robił. Ale ja mam swój honor. Żadnych układów nie popieram i popierać nie będę. O nie! – Pogroził palcem. – Może mi na łeb kapać, mogę w kałuży brodzić w domu

świętym, ale nigdy niczego przeciw Bogu nie zrobię.

– Na wieki wieków. Amen. – Bener uśmiechnął się sztucznie. –
Możemy już wrócić do Moniki?

Ksiądz z rezygnacją wypuścił powietrze.

– Jeśli to konieczne, niech pan pyta.

– Kto na te zajęcia chodził, kiedy się odbywały i czy w ogóle ksiądz
zaobserwował coś dziwnego. Szczególnie w ostatnim czasie.

Proboszcz chwycił kota i zestawił go na podłogę, co ten uznał za
afront, dlatego podniósł ogon do góry, żeby ostentacyjnie pokazać,
gdzie ma ich obu, i wyszedł. Ksiądz wstał i zamknął jedyne okno.
Dźwięk kosiarki przycichł. Mężczyzna usiadł z powrotem, oparł łokcie
na biurku, które zatrzeszczało pod ciężarem, i spojrzał Benerowi
prosto w oczy.

– Dobrze, sam pan chciał. Powiem panu prawdę.

[warkot silnika, szum dmuchawy]

*Walczyńskiego znałem lata całe, ale chyba w połowie lat
osiemdziesiątych kontakt z nim straciłem na dobre. Z trudem go
poznałem, przytył trochę, masy nabrał. Twierdził, że prowadzi różne
interesy, ale głównie to w nieruchomościach siedział. Proponował mi
nawet mieszkanie na Rolniczej w dobrej cenie, miał też w zanadrzu inne
lokalizacje i nawet Kryśce o tym powiedziałem, ale machnęła ręką, że
starych drzew się nie przesadza. Pokłóciliśmy się wtedy, bo już nie o to
chodziło, że ja za starego się nie uważałem, tylko że za małe pieniądze
większe mieszkanie mieć mogliśmy, z dala od tej jezdni głośnej i widoku
na cmentarz przy jedzeniu. Może w przyszłości dla was by było albo na*

wynajem? Ale nieważne.

No i w każdym razie okazało się, że ten Walczyński miał do kolejnego spotkania czasu sporo, to mówi, że na obiad do Herbowej mnie zabierze. Gdyby mu się spieszyło, może bym ocalał. Niestety inaczej wyszło. Pojechałem na Kościuszki, gadka szmatka, kotlet smaczny, więc chlapanęliśmy po jednym za tę znajomość naszą starą. Rozkręcał właśnie jakiś biznes. Mówił, że kupił dwa automaty i szukał dobrych miejsc, takich, wiesz, najlepiej na stacji benzynowej albo gdzieś w knajpie, gdzie ludzi sporo. Obiecał, że dobrze za pomoc zapłaci. Objechałem z nim kilka stacji, trwało to ze trzy godziny w sumie, ale kurs opłacił, a i targu z właścicielami dobił, więc zadowolony był jak cholera. Wyciskaliśmy się jak bracia. Wizytówkę nawet dał mi swoją i jeszcze gruby pieniądz za doradztwo. Naprawdę gruby, bo to tak jakby mi miesięczną pensję dał wtedy.

Ale to jeszcze nie było to. Po miesiącu spotkałem go znowu. I to nie był przypadek, bo sam mówił, że szukał mnie wszędzie.

[odgłos otwieranych drzwiczek]

– Wolna? [niewyraźny męski głos]

– Zajęta, przecież widać, jest tabliczka, nie? Na klienta czekam.

– Dobra, przepraszam.

[trzask]

Cholera, o czym mówiłem? Aha, o Walczyńskim, że wrócił. No więc wyczuł, że zgrany do skóry byłem. Pazury gryźć musiałem albo wzrok rozbiegany miałem, no tak czy siak, czymś się zdradzić musiałem. A może, tak sobie teraz myślę, że on nie wyczuł mnie wcale, tylko od

innych taksiarzy wiedział? W każdym razie wyjął portfel, odliczył kilka dużych nominałów, zwinął i w rękę mi włożył. Powiedział, że to druga, ostatnia rata za tamtą pomoc. Automaty zyski mu spore przyniosły, więc uczciwie się podzielić przyszedł. No to znowu na obiad pojechaliśmy, znowu po kieliszeczku małym. I mówię mu, czy nie miałby roboty jakiejś, dorywczej najlepiej, bo do cna się splotkałem. I on mnie wtedy ładnie podszedł, bo powiedział, że zwolniły się dwa miejsca przy stole w oczko. Jego znajomy szukał do gry dwóch zaufanych osób. Nielegalne kasyno, za to stawki grube jak szafa pancerna. Tam wszystko wygrać można było, domy, samochody i nawet kobitę, o ile to żart nie był. Takich stawek to nigdzie wtedy nie było. Podobno nocą się grało w lokalu takim, że byle kto wejść tam nie mógł. No, ale mówię mu, że kasy potrzebuję i że przy takich stawkach to nawet za próg nie wejdem, bo z gołą dupą to jedynie w burdelu się wystawić można. A on mi na to, że on nie taki, że kolegą przecież jest, że zapłaci i że oddam, jak wygraną zgarnę, bo on, tak przynajmniej mówił wtedy, wie, że rękę do kart mam.

Więc pojechałem następnego wieczoru. Ręce mi się trzęsły tak, że je w kieszeniach trzymać musiałem. A to środa była, pamiętam jak dziś. I dlatego karta szła mi jak z nut, bo wygrałem tyle, że wszystko w garażu trzymać potem musiałem, żeby Kryśka nie wyniuchała niczego. Oczywiście Walczyńskiemu oddałem co jego i znowu jak bracia się wyściskaliśmy.

[cisza]

No a z tej reszty to korzystałem, nie powiem. Przynosiłem po trochu do domu, czasami kupiłem coś, telewizor jakiś albo i odtwarzacz wideo

nowy. Raz pamiętam, że odkurzacz przywiozłem i maszynkę do mięsa. Wyjmowałem z kartonu te sprzęty, rachunki i gwarancje pod sklepem jeszcze do kibla wrzucałem i mówiłem Krysi mojej, że to z Holandii, że tam taki drugi sort mają i na inne rynki zbytu to wszystko idzie, ale sprawne jest i że kolega z taryfy przez rodzinę swoją to sprowadza po tanioci. No i wierzyła, i cieszyła się, bo i czemu mi wierzyć nie miała, jak jej nie okłamywałem nigdy?

A za to, co mi zostało, mogłem dalej grać, ale z części tylko. Resztę odłożyłem sobie. Upchałem kasę w puszcze po farbie i na półkę w garażu odstawiłem. I Bóg mi świadkiem, że to pieniądze były na ślub wasz przygotowane, może na dzieciaka waszego albo wasz nowy samochód. Dla was to chciałem mieć. Dla was, naprawdę.

[szybkie, krótkie oddechy]

I teraz, psia krew, żałuję, że jednak wszystkiego wtedy Krysi nie oddałem.

[płacz]

Ona by to wszystko dla was zostawiła i grosza nie wzięła.

6

Aldona wróciła do domu, zjadła przygotowaną szybko sałatkę z pomidorów i pestek dyni, polaną greckim jogurtem, a potem usiadła na sofie. Sięgnęła po talię kart i bawiła się nią chwilę, czując pod opuszkami lśniąca i śliskie rewersy. Tasowała, układała, przekładała, robiła mostki.

Potem uruchomiła laptop i na wirtualnym stole przykrytym granatowym suknem rozegrała online partię black jacka. Chociaż było jeszcze wcześniej, wirtualne gry zawsze znajdowały amatorów. Ludzie rznąli w nie w robocie, na tabletach i telefonach, udając, że ciężko pracują. Potrafili świetnie się maskować. Wiedziała to, bo rozmawiała z dwoma uzależnionymi, którzy przychodzili na terapię do psycholożki Joanny Żyndy. To oni powiedzieli jej, niezależnie zresztą, że potrafili przez tydzień nie ruszać swojej roboty.

– I wcale nie grają dla pieniędzy – zastrzegła Żynda. – Oni grają dla samej potrzeby grania. Pieniądze, jeśli już wygrają, mają im umożliwić dalszą grę. Więc zazwyczaj szybko zgrywają się do zera. Gra. Tu chodzi tylko o to, by grać.

Terapeutka dodała jeszcze, że w hazard wpisane jest kłamstwo. Chorzy pożyczają kasę od wszystkich wokół, ale jednocześnie zawsze starają się mieć na jedzenie i potrzeby dzieci.

– A ich długi rosną czasami w setki tysięcy złotych. Największą stratę, jaką pamiętam, to milion. Ale stracić można jeszcze więcej – zapewniała Żynda. – I nie ma niczego gorszego niż to, że rodzina się zepnie i zacznie spłacać długi hazardzisty. Często to tylko pogarsza sytuację, bo hazardzista nie ma wtedy nad sobą bata, a w konsekwencji łatwiej mu wrócić do grania.

Aldona skupiła się na treningowej grze z komputerem. Na rozgrzewkę liczyła karty techniką Hi-Lo, później sprawdzała swoje umiejętności w tak zwanym pobocznym liczeniu asów. Obie metody pozwalały na opanowanie sprawnego kontrolowania kart pozostających w grze i zwiększały (iluzorycznie oczywiście) szanse na wygraną. Po godzinie Terlecka poczuła się zadowolona. Naturalnie ćwiczenia nie pomogą jej wygrać, nie wierzyła w te bzdury, ale miała nadzieję, że dzięki nim pozostanie przy stole dłużej i nie zdradzi się, że jest laikiem. Tylko tak zbierze dobry materiał do reportażu.

Nic innego się teraz nie liczyło.

To był jej bilet do lepszej przyszłości.

7

– Tych zajęć nie było i nie ma.

Bener sądził, że się przesłyszał.

– Nie ma żadnej oazy, rozumie pan? Czary-mary. – Ksiądz zakręcił rękoma nad blatem, jakby stała na nim szklana kula. – Czasami dzieciaki zostawały po mszy na tej łące obok kościoła i gadały, że to taka ich oaza. Od czasu do czasu przyłączałem się do nich.

– Ojciec Moniki twierdził, że poznała na tych spotkaniach chłopaka. Ksiądz drgnął. Bener wiedział, że trafił w czułe miejsce.

– Kogo?

– Oliwier... – Bener szukał w głowie nazwiska. Wiedział już od Patrycji, że nie był jej chłopakiem, ale liczył na to, że ksiądz zaprzeczy i poda mu imię tego drugiego faceta, którego tu poznała. Jeśli rzeczywiście tak było.

– A, tego łajzę. – Ksiądz wrócił do formy. – O Boże, przepraszam. – Zasłonił sobie usta ręką. – To nie jego wina, że łajzowaty taki.

– No to poznali się tu czy nie?

– I tak, i nie.

Bener miał dość zabawy w ciuciubabkę i zagadkowych odpowiedzi na niemal każdą kwestię, którą zdążył tu poruszyć. Nie odezwał się jednak, tylko zacisnął zęby i czekał. Po chwili zaczął się obawiać, że

wyjdzie stąd ze szczękościskiem.

Kosiarka przestała hałasować.

– Oni to podobno znali się od dziecka, do szkoły razem chodzili, bo mieszka tu babcia Oliwiera. Tyle wiem.

– Ale jej ojciec mówił...

Ksiądz wyprostował się i znowu splótł dłonie na blacie.

– Jej ojciec nie jest tu mile widziany, proszę pana. I nie interesuje mnie, co mówił – powiedział proboszcz oficjalnym tonem.

Bener zdał sobie sprawę, że chociaż ksiądz pasał owieczki ze Złejwsi od niedawna, to już załaził za skórę okolicznym wilkom.

– Bo? – zachęcił.

Ktoś zapukał do drzwi.

Bener odwrócił się i dostrzegł twarz chłopaka w szczelinie między drzwiami a framugą. Po opalonej skórze spływały stróżki potu.

– Skończyłem z trawnikiem.

– To odpocznij sobie, zbawiony już będziesz – zażartował ksiądz i machnął ręką, żeby młody już spadał.

Drzwi się zamknęły.

– Bo, proszę pana – proboszcz wrócił do sprawy Żelaznego – ten facet to kompletny świr. Zupełne przeciwieństwo Moniki. A poza tym, o ile mnie pamięć nie myli, tego Oliwiera to ja częściej z jej bratem widziałem niż z nią.

– A innego chłopaka tu nie poznała? – Bener nie miał już żadnej nadziei na jakiegokolwiek rewelacje.

– Żadnego. Przynajmniej nie we wsi.

Pogadali jeszcze chwilę, ale Bener uznał, że po prostu stracił czas. Wyszedł z plebanii i spojrzał w stronę samochodu, jednak nogi zaniósły go do sklepu po drugiej stronie ulicy. Cały czas sączył tam piwo miejscowy żul. Bener nie mógł przegapić takiej okazji, a jednocześnie nie chciał być nachalny. Usiadł w cieniu drzew, obok baraku, w którym, jak się zorientował, sprzedawano kiedyś ciuchy na wagę. Teraz w drzwiach wisiała zardzewiała kłódka, a okno zasłonięto wyblakłym kartonem po jogurtach. Bener spojrzał dwa razy w stronę faceta, niby przelotnie i od niechcienia. Widział, że gość skończył już swoje piwo. Dobry znak, ale postanowił jeszcze poczekać.

Stół nagrzewał się od słońca, ale z tego miejsca Bener mógł przynajmniej widzieć plebanię. A patrzył w tamtą stronę, bo obok domu pomocnik księdza polewał wodą pokryty pianą samochód. Widać chłopak nie umiał odpoczywać. Żar lał się z nieba, powietrze drgało nad rozgrzany asfaltem. Bener pił zimne piwo wprost z butelki i czuł, że odżywa, chociaż nadal się pocił.

– Za kolano nie złapał?

Bener odwrócił się powoli. W spracowanych, grubych i brudnych paluchach mężczyzna obracał kapsel. Patrząc na niechlujną brodę i ogorzałą twarz nieznanego, Bener nie miał wątpliwości, że rozmawia ze stałym klientem sklepu, który zapewne niespecjalnie wpływa na dzienny utarg, bo większość butelkowanego towaru bierze na krechę.

– A ciebie już trzymał? – Bener uśmiechnął się i gestem zaprosił mężczyznę do siebie. Dał mu dychę i posłał po dwa specjale na łebka.

Kiedy mężczyzna wrócił, usiadł ciężko przed Benerem i odkapslował swoją butelkę.

– Podobno to lubi. – W słowach żula nie było nuty wesołości, której spodziewał się Bener. – I dlatego go przenieśli. Szkoda tylko, że do nas.

– Serio? – zdziwił się dziennikarz.

Mężczyzna przechylił butelkę, pociągnął długi łyk, a następnie beknął głośno.

– Tak mówią.

– Ludzie gównem wiedzą. – Bener próbował go sprowokować do wyjawienia jakichś konkretów.

– Nie tu. Tu jest wiocha, tu wiemy wszystko i o każdym.

Bener nie skomentował, tylko znowu spojrzał w stronę plebanii. Pomocnik księdza wyjął z samochodu gumowe dywaniki i spryskał je wodą z węża.

– A o Monice Żelaznej słyszałeś? – zapytał, nie odwracając wzroku od tego, co działo się w ogrodzie przy plebanii.

– Co niby?

– Że zniknęła.

– Ta młoda, Żelaźniczka od tego buca ze Złejwsi Małej? – Mężczyzna podrapał się po brodzie.

– Ta sama.

– Eee tam. Wróci pewnie zaraz, ciepło jest, hormony buzują. Sam pamiętam, jak z jedną taką Zochą przez tydzień nas latem w domach nie było. Żniwa były, a my się po lesie stukali – uśmiechał się do

wspomnień, ale po chwili popatrzył na Benera. – Gorzej by było, gdyby ta Żelaźniczka zniknęła jak ta jedna z Toporzyska.

– Kto?

– To nic nie wiesz?

Bener szukał w pamięci jakiegokolwiek sprawy zaginięcia z tego rejonu, ale nic nie był w stanie sobie przypomnieć.

– Nie dziwi mnie to – zaśmiał się. – Ludzie o tym nic nie mówią.

– Opowiesz?

Mężczyzna dopił piwo i postawił pustą butelkę na środku stołu. Bener zrozumiał aluzję i oddał mu swojego specjala. Żuł podłubał czarnym paznokciem w zepsutych zębach.

– No będzie kilka latek już. Sześć chyba – zamyślił się. – Zniknęła na dwa tygodnie.

– Zdarza się przecież.

– Zdarza. Ale potem się znalazła.

Bener prychnął zawiedziony.

– Po dwóch tygodniach w lesie przy drodze się znalazła. I wszyscy twierdzili, że leżeć tam od tych dwóch tygodni musiała. Ale tak się składa, że ja dzień w dzień puszkę sobie zbieram w tych rowach. I dzień wcześniej w tym miejscu byłem i żadnego trupa tam nie było. Nikt mi nie powie!

Bener poczuł chłód na plecach, ale nie za sprawą wiatru. Przeciwnie, rozgrzane powietrze wciąż było gęste i trwało w bezruchu. Nie pamiętał tej historii, ale obiecał sobie, że przynajmniej spróbuje zerknąć w stare gazety albo zadzwoni do rzecznika policji.

Ciszę przerwało brzęczenie komórki. Bener zerknął na ekran, ale pod takim kątem, że oślepiły go odbite promienie słoneczne. Pomrugał i po chwili spojrział jeszcze raz, chowając ekran w cień, pod stół. Miał jedną nieodebraną wiadomość.

 Nie wierzył własnym oczom.

 Czekał na tę wiadomość od wtorku i wreszcie nadeszła.

 Odezwała się Monika.

8

Aldona stłumiła złe przeczucia i zeszła po schodach do sali, w której za barem rozciągała się piękna panorama skąpanego w zachodzącym słońcu Las Vegas. Usiadła przy tym samym stoliku co ostatnio i czekała na Dolara, który obiecał otworzyć jej drzwi do lepszego świata i dużych wygranych, chociaż dla niej były to tak naprawdę drzwi do dziennikarskiej kariery. Wiedziała dobrze, że nie dostanie się do Warszawy tym jednym tekstem, chodziło raczej o to, by pokazać, do jakich poświęceń jest zdolna. To po pierwsze. A po drugie, że nie ma tematów, w które bałaby się zaangażować. Będzie taka, jak kiedyś był Bener, który dawno przegrał swoją szansę. Nadal był świetnym dziennikarzem, Terlecka wciąż wiele się od niego uczyła, ale ten zawód wymagał czegoś więcej: zdolności do największych nawet poświęceń. A Bener nie chciał już iść dalej. Wiele razy, kiedy poruszali temat pracy zawodowej, Aldona odnosiła wrażenie, że po zaginięciu Agaty Bener jakby wrósł w ziemię: nie wyobrażał sobie wyprowadzki nie tylko z Torunia, ale nawet z domu przy Kalinowej. Co prawda twierdził, że to nie byłby dla niego problem, ale Terlecka wyczuwała, że nigdy się stamtąd nie ruszy, bo co, jeśli Agata wróci do ich domu? Tymczasem jej nic nie trzymało. Kontakty z matką ograniczyła do minimum, z ojcem właściwie nie rozmawiała już wcale, a na grób

brata bliźniaka nie pojechała ani razu, więc jeśli nadal nie będzie tego robić, to też nic się nie stanie. Wystarczy, że po wielu latach odzyskała Bruna. A raczej pamięć o nim.

Zamyślona dotykała opuszką lakierowanego blatu, wyczuwała pod nią nierówności i podążała ich śladem.

– Masz? – Dolar uśmiechał się szeroko jak poprzednio, ale Aldona była pewna, że w ten sposób maskuje zdenerwowanie. Zdradzało go pocieranie palcami kciuka.

– Mam ci je tak po prostu dać?

Potwierdził i usiadł naprzeciwko.

– Chyba zwariowałeś. To dużo kasy. Jaką mam gwarancję?

Prychnął.

– Posrało cię? – spytał szeptem i kontynuował: – Wsadzasz łeb do paszczy lwa, a ja mam ci dać zaświadczenie od weterynarza, że lew zasilił szeregi wegetarian?

Aldona nie odpowiedziała. Wiedziała, że żadnych gwarancji nie będzie, ale chciała zobaczyć jego reakcję. To był najlepszy moment na zadanie właściwego pytania.

– Dlaczego dzwoniłeś na redakcyjny?

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Świat jest mały, a twoje zdjęcia są w gazecie nie od dziś – powiedział bez zastanowienia. – Zresztą co to za różnica. Grunt, że się dogadaliśmy.

Potem postukał palcem w zegarek.

– Za piętnaście minut ktoś po ciebie przyjdzie. O nic nie pytaj, idź

za nim.

– Dokąd?

– Zobaczysz. Ta panorama nie wisi tu przypadkiem – stwierdził i wskazał na fototapetę, rozciągając usta w uśmiechu. Aldona wyjęła z torebki pakunek spięty kolorowymi recepturkami. Dolar sięgnął po niego ochoczo i przyjrzał mu się pod światło, po czym schował go do plecaka i wstał.

– Jeśli mnie wystawisz... – zaczęła.

– Siedź i czekaj – przerwał jej. – Zabawisz się i jeszcze będziesz mi dziękować. – Mężczyzna odwrócił się w stronę baru i gestem przywołał barmana. Zanim ten wydostał się z za szerokiego kontuaru, Dolar życzył Aldonie powodzenia i wyszedł.

Odprowadziła go wzrokiem.

– Co dla pani? Dziś na koszt firmy – uśmiechnął się zawodowo.

Wybrała drinka i przekąski dostępne od ręki. Denerwowała się, chociaż powinna być spokojna, rzeczowa i czujna. Spojrzała na zegarek, miała jeszcze chwilę, zanim ktoś po nią przyjdzie. Popiła orzeźwiający mojito, zabrała torebkę i wyszła do toalety. Przed wejściem ukradkiem zerknęła w stronę kamery wiszącej nad drzwiami, którymi wkrótce miała przejść. Tak jak ostatnio, dostrzegła pulsującą czerwonym światłem diodę.

Obmyła dłonie i osuszyła je chusteczką, a potem poprawiła lekki makijaż. Miała jeszcze kilka minut. Powinna już wracać, ale czuła, że pocą jej się dłonie. Raz jeszcze opłukała je pod zimną wodą.

Wróciła do stolika i zaczęła się denerwować jeszcze bardziej.

Wyciągnęła rękę po kieliszek, żeby dopić mojito, ale usłyszała głos barmana, który nagle pojawił się przy niej i zabrał drinka.

– Musimy dbać o naszych klientów – podkreślił przedostatnie słowo. – Dlatego nie możemy pozwolić, by dopijali napoje, które choć na chwilę zostawili bez opieki. Taki mamy standard. Proszę pamiętać o tym w innych lokalach.

Zestawił z tacy nowe mojito.

Aldona uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Miło – pochwaliła go. – Dziękuję.

Barman mrugnął do niej i odszedł w stronę stolika, przy którym siedziało dwóch mężczyzn. Musieli przyjść tu przed chwilą, bo wcześniej ich nie widziała.

Pociągnęła długi łyk zimnego drinka i nabrała pewności, że wszystko będzie dobrze. Nie denerwowało jej nawet to, że minęło już ustalone piętnaście minut.

Aldona wypijała ostatni łyk, oparła się wygodnie i mimowolnie uśmiechnęła się. Było jej dobrze. Zwyczajnie dobrze. Popatrzyła na wieczorną panoramę Las Vegas, światowej stolicy grubych portfeli, feerii barw, złamanych serc, i przypomniała sobie słowa terapeutki, o tym, że hazardzista nie gra, żeby wygrać. Gra dla samej przyjemności gry. Pieniądze w tym wszystkim są wtórne.

Fototapetę przesłoniła jakby delikatna mgła. Terlecka próbowała skupić wzrok, ale obraz wciąż się rozmazywał. Chciała przetrzeć oczy, ale ręce nie zgięły się w łokciach. Widziała, jak leżą bezwładne i zupełnie nieprzydatne obok ud. Nie mogła się poruszyć, jej ciało

zaczęło zsuwać się z oparcia. Wtedy kątem oka zauważyła, że ktoś stanął tuż obok jej stolika.

– Pomóc pani? Źle się pani czuje?

Mężczyzna chwycił ją i spróbował postawić na nogi, ale te były jak z gumy i rozjechały się pod jej ciężarem.

Obok pojawił się kolejny mężczyzna i chwycił ją pod ramię. Terlecka poczuła się nieco pewniej, ktoś jej pomoże, zaraz stąd wyjdzie, zaczerpnie świeżego powietrza. Zwiesiła bezradnie głowę, była zupełnie bez siły, jakby ten drink pozbawił ją jakiegokolwiek energii. Buty szurały, z trudem dostrzegała już cokolwiek oprócz podłogi, która przesuwiała się szybko pod nią, jakby uciekała spod nóg. Nie wiedziała, dokąd ją niosą, dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że jest w korytarzu wyłożonym czerwonym sukniem. Tym samym, na końcu którego znajdują się drzwi.

Aldona spróbowała unieść głowę.

– Spokojnie, spokojnie, już za chwilę będziemy na zewnątrz. Niech się pani nie martwi – usłyszała.

Zerknęła przed siebie. Drzwi otworzyły się, ale nie dostrzegła nic prócz ciemności. A może po prostu z tego zmęczenia zamknęła oczy?

Poczuła, że traci resztki sił.

I wpadła w tę ciemność jak w otchłań.

9

„Jutro. Parking Cinema City, godz. 12.00”.

Bener próbował dodzwonić się do Żelaznej, ale nie zdziwił się, gdy abonent okazał się niedostępny.

Ciepłe wnętrze wozu wypełniały dźwięki Dżemu. Zasłuchał się w rytmiczny bas Bena Otręby i choć na chwilę przestał myśleć o czymkolwiek.

Podjeżdżając pod dom, zauważył przed swoim ogrodzeniem znajomy samochód. Nie mogło być mowy o pomyłce. Skoczyło mu ciśnienie, ale wiedział, co powinien zrobić. Natychmiast wybrał numer.

Z telefonem w jednej ręce Bener zatrzymał auto przy furtce, maska w maskę z zaparkowanym wozem, i zaciągnął ręczny. Czekał, aż kierowca siedzący w samochodzie podniesie wzrok znad gazety, co też mężczyzna wkrótce zrobił, po czym uśmiechnął się i złożył płachtę. Wysiadł z auta i podszedł do samochodu Benera. Miał na sobie jasne płócienne spodnie i taką samą koszulę. Dziennikarz dał mu znak, żeby zaczekał. Mężczyzna zrobił kilka kroków w tył i stanął przy swoim wozie. Bener widział, jak gość przygląda się karoserii na wysokości lusterka od strony kierowcy. Dziennikarz w końcu pożegnał się z rozmówcą i wysiadł.

- Dzień dobry – rzucił twardo mężczyzna i wyciągnął rękę.
Dziennikarz wymienił uścisk.
- Dieter Steinmeier. Poznaje mnie pan?

10

– Jak pan tu trafił? – Bener postawił dwie szklanki na stole i wlał do nich wodę gazowaną.

Niemiec z założonymi na plecach rękoma wpatrywał się w zdjęcia Agaty zawieszane na ścianie. Odwrócił się dopiero, gdy usłyszał głos gospodarza.

– Jak wy to mówicie? – spytał z niemieckim akcentem. – Znam ktoś, kto pana zna.

– A ja go znam?

– Nie sądzę. Pan jest redaktor. Znany.

– Być może. Więc kto?

– Jan Zgoda, zna pan?

Bener zaprzeczył, a Steinmeier machnął ręką.

– *Keine Rolle.*

Bener zaprosił gościa do stołu. Kiedy Steinmeier usiadł, podsunął mu szklankę. Niemiec wypił kilka łyków, a potem uniósł ją w kierunku zdjęć Agaty.

– To był nieprawdziwy alarm, *ja?*

– Tak. Fałszywy.

– *Es tut mir leid.* – Steinmeier popatrzył na Benera, a po chwili zadumy dodał: – Nie pożegnał się pan.

– Być może. Nie było okazji, chciałem jak najszybciej wrócić do domu. – Dziennikarz nie spuszczał go z oczu, a po chwili przerwy zapytał: – Jak to się stało, że wtedy, trzy lata temu, pomyślał pan, że ta kobieta, ta z metra, może być moją zaginioną żoną?

– *Die Fotos.* – Mężczyzna znowu wskazał na ścianę z portretami Agaty. – *Ich hatte keine Zweifel...* One bardzo podobne są.

– Tak, bardzo. A skąd pan wiedział o zaginięciu Agaty? – Bener drążył dalej.

– Mówiłem panu w Berlinie. Jan Zgoda, mój przyjaciel mi powiedział. Teraz mieszkam u niego. Na Wrzosa.

– Na Wrzosach.

– *Ja, ja.* Tam mieszka. Byłem u niego *vor drei Jahren* i pokazał mi *der Zeitung*. Od razu pomyślałem, że to ta sama kobieta. Ta z *U-Bahn*.

Zapadła niezręczna cisza.

Bener upił łyk wody i czekał. Steinmeier zrobił to samo, a potem przetarł chusteczką czoło.

– *Es ist warm.*

– W Niemczech też taka pogoda?

– *Nein,* trochę chłodno.

– A od dawna pan w Toruniu?

– *Seit enem Woche.*

– *Urlaub?* – Bener odnalazł w pamięci niemieckie słowo.

– *Ja.* – Niemiec uśmiechnął się i otarł usta. – Co u pana? Czy szuka pan *Frau* Agata?

– Szukam. I wciąż z takim samym skutkiem. A pan, co robi w

Toruniu?

– *Ich entspanne mich*, odpoczywam. Chciałem tylko pana odwiedzić, zobaczyć, jak sobie pan... – szukał odpowiedniego słowa.

– Radzi?

– *Ja*.

Bener zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Jak pan widzi, jakoś sobie radzę. – Sięgnął do kieszeni po portfel, z którego wyciągnął wizytówkę, a następnie podał ją gościowi. – Założyłem swoją gazetę, spełniam się zawodowo. Jedyne rodzinie mam braki – powiedział to ostrzej, niż zamierzał. – Ale bardzo pomagają mi teściowa, Krystyna Majewska. Kojarzy pan? Mówiłem o niej w Berlinie.

Bener bacznie obserwował Niemca. Ten pokiwał nieznacznie głową i wciąż patrzył mu w oczy.

– No więc ona mi pomaga, a ja jej. Ostatnio się przeprowadziła na Rubinkowo. Zna pan nasze osiedla?

– *Nein*. Wrzos jedynie.

– Teraz mieszka w takim wieżowcu, wysokim bloku takim.

– *Ja*.

– I sobie jakoś radzi. Sama jest, bo teść dawno zmarł. Na zawał. Edward Majewski. Też pan nie kojarzy?

Niemiec potarł się za uchem.

– *Nein*.

– To rodzice mojej żony, więc sam pan rozumie...

– *Ja, ja*. – Niemiec spojrział na zegarek, a potem duszkiem dopił

wodę. – *Ich muss gehen.*

– Tak szybko? Nie powiedział pan, co u pana słyhać. Jak praca w muzeum?

– *Gut.* Wszystko dobrze. – Mężczyzna wstał. – Zadzwońię do pana. Teraz muszę iść. Jan Zgoda jest chory.

Zabręczała komórka i Bener zerknął na wyświetlacz, po czym odprowadził gościa do drzwi, a gdy wyszli na zewnątrz, długo szukał klucza do furtki.

– Przepraszam, zostawiłem w domu – rzucił do Niemca, który wykrzywił lekko usta.

Bener wrócił do przedpokoju i dyskretnie obserwował Steinmeiera przez okno. Mężczyzna otarł chusteczką pot z czoła i odwrócił się w stronę domu, potem położył rękę na furtce, jakby chciał pociągnąć i sprawdzić, czy nie jest otwarta.

Bener wyjął z kieszeni klucze i wyszedł z domu. Raz jeszcze przeprosił gościa i przekręcił zamek. Steinmeier uścisnął mu dłoń i życzył powodzenia, Bener domyślił się, że chodziło o poszukiwanie Agaty. Podeszli do S-maxa i wtedy Bener zerknął na długą ryseę ciągnącą się od lusterka.

– A to co? – Pochylił się i przyjrzał uszkodzeniu lakieru.

– *Aaaa, das ist nicht. Flüchtlinge.* – Mężczyzna machnął ręką.

– Co takiego?

– *Flüchtlinge aus Syrien.* – Steinmeier mrużył oczy przed rażącym słońcem.

Bener nie rozumiał.

– *Islamisten, Terroristen.*

– Aaaa, uchodźcy z Syrii, tak? – Marek zamknął na chwilę oczy.

– *Natürlich.* Pełno u nas, niszczą wszystko.

– Zwierzęta. – Bener celowo przedłużał rozmowę.

– *Ja, ja. Wilde Tiere.*

– *Schweine!*

Steinmeier zaśmiał się od serca i poklepał Benera po ramieniu.

– A już myślałem, że to my, Polacy tak pana przywitaliśmy – dodał dziennikarz.

– *Nein.* Kocham Polska – uśmiechnął się. – Czuję się tu jak w domu.

– To dobrze. Miło to słyszeć. I miłego pobytu w Toruniu. Proszę zadzwonić, gdy będzie pan w pobliżu. Wypijemy coś mocniejszego – mrugnął.

– *Gut.* Do zobaczenia!

Bener cofnął się do domu i z progu obserwował, jak wóz Steinmeiera odjeżdża w stronę Wschodniej. Potem zerknął w lewo na zaparkowany w przesmyku między domami i ukryty w cieniu drzew samochód. Drzwi uchyliły się, a z wnętrza wysunął się podniesiony kciuk.

Bener kiwnął na schowanego w aucie Raka.

Wszystko poszło.

Wszystkie pieniądze na granie przepuściłem. Ale wtedy jeszcze nic z tej puszki nie wziąłem. Na razie z domowych podkradałem, z zarobku na taryfie i z chwilówki jednej.

W każdym razie dług był taki, że oddać go mogłem tylko, gdybym się odegrał jakoś. Walczyńskiemu zaproponowałem, że przecież mogę dla niego jeździć, że będę jego prywatną taksówką i woził go będę, gdzie tylko mu do głowy przyjdzie, że w ten sposób go słucać będę. Ale nie był zachwycony tym pomysłem moim. Teraz mi się wydaje, że to było tylko takie przedstawienie, bo w każdym razie polecił mnie swojemu znajomemu, biznesmenowi, który szmal na komputerach robił. Bardzo dziany gość. Miałem ze Złejwsi jego dzieci do szkół toruńskich wozić. Odbierać rano, odwozić po lekcjach albo wieczorem, zależy. Czasami z córką Żelaznego jechałem wcześniej, bo syn w mieście zostawał. A i weekendy się zdarzały takie, że do kina ich wiozłem lub do znajomych, na urodziny, różnie bywało. No tak czy inaczej, mogłem spokojnie słucać Walczyńskiego, bo Żelazny nie płacił mi od kursu, tylko miesięczną pensję wyznaczył. Czasami jeszcze coś dorzucił, jak tych kursów naprawdę było sporo, bo i jego z żoną woziłem od wielkiego dzwonu. Ale to porządny chłop, dodatkowo za te jazdy płacił i to zawsze więcej, niż taryfikator wskazał.

Ale ja nie o Żelaznym chciałem.

Bo raz, jak do Złejwsi jechałem, Walczyński nagrał mi kobitkę, którą miałem do Toporzyska odstawić. To ciut dalej, ale też przy „osiemdziesiątce”. Fajna babka była, grzeczna taka i ładna, żonata. Długo ją woziłem, ze dwa miesiące chyba. Zżyłem się z nią do tego stopnia, że jej o hazardzie opowiedziałem, o tym, jak z nałogiem walczę, i że na terapię się zapisałem, bo już wtedy do ośrodka chodziłem, bo długów się wystraszyłem bardzo. W tym samochodzie to ja jej wszystko

to, czego nigdy Krysi nie mówiłem, wygadałem. Potem nawet taki żal mnie jakiś naszedł, że obcej babie łatwiej mi się o problemach mówi niż żonie własnej. A ona, ta klientka, to, mówię ci, w porządku była, słuchała mnie długo, nie krytykowała. I wtedy to do mnie dotarło, że ja chyba nie krytyki Krysi bałem się najbardziej, ale tego, że ją tak paskudnie zawiodłem, że ją najzwyczajniej w świecie oszukałem, że przysięgałem nie krzywdzić, a krzywdziłem za każdym razem, gdy karty do rąk brałem.

[zgrzyt zapalniczki]

Ale wiesz co? Ta kobieta, ta z Toporzyska...

[syk wciąganego powietrza]

...to okazało się, że ona tak tego słucha, w takiej ciszy i spokoju, i z takim zrozumieniem, że pomyślałem, że to anioł jakiś. Ale kiedy we wstecznym lusterku zobaczyłem, jak łzy jej po policzku ciurkały, to aż mnie coś tknęło.

I nie, nie wzruszyła jej ta przemowa moja.

[śmiech]

Po prostu jej mąż też długów narobił, które ona u Walczyńskiego spłacać musiała.

I już wtedy wiedziałem, że ten Walczyński to żaden brat mój.

Że to zło wcielone.

Rak wszedł do domu z torbą fotograficzną na ramieniu i skrzynią komputerową w rękach. Na nogach miał stylizowane na rzymskie sandały. Krótkie niebieskie spodenki z wywiniętymi nogawkami odsłaniały długą poziomą bliznę po operacji na udzie.

– Gdzie to postawić? – Rozejrzył się.

Bener wskazał miejsce w pobliżu kaloryfera w salonie.

– Resztę szmelcu masz tu. – Fotograf sięgnął do torby po małe zaklejone przezroczyste pudełko i postawił je na obudowie komputera.

– Dzięki. Napijesz się czegoś?

– A masz coś zimnego?

– Jeszcze się nie zdarzyło, żebym nie miał. – Bener się uśmiechnął.

– Ale nie chodzi o piwo.

– Aaa, to nie mam – zmartwił się. – Ostatnią wodę wypił Niemiec, chyba że dam ci kranówkę.

Rak wahał się przez chwilę.

– No to już lepiej po jednym. – Mrugnął i uśmiechnął się.

Bener zniknął w kuchni, a fotograf sięgnął do torby po wydruki i aparat.

Kiedy gospodarz postawił butelki na stole, Rak poprosił go, by przyniósł swój laptop. Potem usiedli, stuknęli się piwem i pociągnęli

po łyku.

– Co masz? – spytał Bener, patrząc na kartki przyniesione przez Raka.

– Zaczynamy do Moniki czy zdjęć Niemca?

– Zdjęcia na pewno wyszły świetnie. – Bener nie miał co do tego żadnych wątpliwości. – Dobrze, że byłeś w pobliżu, bo już się bałem, że facet mi ucieknie.

– A po cholere ci te zdjęcia? – Rak podpiął aparat fotograficzny do komputera i po chwili rozpoczął przegrywanie wybranych fotek do utworzonego na pulpicie katalogu.

– Nie wiem jeszcze, ale się przydadzą – odpowiedział Marek, chociaż znał powód, dla którego poprosił Raka o przysługę.

Fotograf wzruszył ramionami i podał Benerowi wyciągnięte z torby wydruki.

– Dostałem się w końcu do skrzynki tej dziewczyny – zaczął.

Bener z uznaniem kiwnął głową i napił się piwa.

– Szału nie ma. Przejrzałem wszystkie maile, które zostały na serwerze. Najstarsze informacje mamy z niedzieli, widocznie reszta została skasowana automatycznie.

– No i co tam znalazłeś?

– Nic specjalnego. Zwykle maile do znajomych, sporo spamu. Ale było coś, co jak sądzę, może cię zainteresować.

– Dajesz. – Bener znowu pociągnął łyk z butelki i poczuł, jak zimne piwo wyciska z niego poty.

– Nie dostałeś od niej żadnego maila?

Bener spojrzał na niego jak na wariata.

– Nie.

– To dziwne. Zerknij na ostatnie trzy kartki. To zdjęcia załączone do wiadomości, którą chciała do ciebie wysłać. Na adres redakcyjny.

Bener odszukał odpowiednie wydruki. Patrzył na zdjęcia przedstawiające zwykły zeszyt w kratkę. Na jednej ze stron drukowanymi literami napisano słowo HALT. Pod każdą z tych liter zapisano w pionie kolejne wyrazy: *Hungry, Angry, Lonely, Tired*. Dziwne, nic z tego nie rozumiał. Na kolejnej kartce znajdowało się pięć zdań.

5. Wyznaliśmy sobie i drugiemu człowiekowi istotę naszych błędów.

6. Staliśmy się całkowicie gotowi, aby uwolniono nas od tych wad charakteru.

7. Pokornie prosiliśmy Boga (jakkolwiek go pojmujemy), aby usunął nasze braki.

8. Zrobiliśmy listę wszystkich osób, które skrzywdziliśmy, i staliśmy się gotowi zadośćuczynić im wszystkim.

9. Zadośćuczyniliśmy osobiście tym ludziom, wobec których było to możliwe, z wyjątkiem tych przypadków, gdy zraniłoby to ich samych lub innych.

Po tej lekturze był jeszcze bardziej skołowany, dlatego odłożył obie kartki na bok i zerknął na ostatni wydruk. Wtedy go zatkało. Poczuł pierwsze delikatne skurcze powieki.

– Co to jest? – Spojrzał na Raka.

– Nie mam zielonego pojęcia. – Fotograf wzruszył ramionami. –

Wygląda jak jakaś biżuteria, jakby wisiorek.

– Chciała to do mnie wysłać?

– Tak. Ale co ciekawe, nie ze swojego komputera.

– Nie rozumiem.

– Musiała się zalogować bezpośrednio na serwer.

– Człowieku, gadaj do mnie jak do przedszkolaka! – Bener wiedział, że niebezpiecznie zbliża się do granicy wytrzymałości.

Rak popił piwo i otarł usta wierzchem dłoni.

– Sprawa jest prosta. Jeśli wysyłasz wiadomość z komputera za pośrednictwem programu pocztowego, no wiesz, outlook, thunderbird, i tak dalej, to tworzysz i wysyłasz wiadomości bezpośrednio z komputera. I komputer je zapisuje fizycznie na swoim dysku. Ale ona tak nie zrobiła. Tych wiadomości nie znajdziesz na jej komputerze. Po prostu korzystając z innego komputera, musiała się zalogować bezpośrednio do serwera i stamtąd próbować wysłać plik.

– Czemu nie wysłała?

– A skąd mam to wiedzieć?

Bener popukał palcem w kartkę leżącą przed nim. Tę ostatnią.

– Wiesz, co to jest? – spytał Raka.

– Przecież powiedziałem. Wisiorek jakiś.

Bener wstał.

– Powiem ci, co to jest.

Dopił piwo jednym duszkiem.

Chwytał wydruk i podszedł z nim do ściany, na której wisały zdjęcia Agaty.

Rak sięgnął po swoją butelkę, ale nie dotarła do jego ust. Zatrzymała się w połowie drogi, bo Bener zdjął z kołka ramkę ze zdjęciem żony i podszedł.

– Patrz! – rozkazał.

Bener położył przed Rakiem portret, którego sam był autorem. Pamiętał tę sytuację jak dziś. Broniła się, bo wolałaby pewnie się uczesać i podkreślić oko. Ale on nie chciał. Chciał mieć ją na zdjęciu naturalną, taką, jaką kochał najbardziej, z pięknymi pełnymi ustami. Nacisnął migawkę, gdy zaczęła się wygłupiać i zagryzła dolną wargę. Kiedy pokazał jej te fotografie na podglądzie aparatu, chichotała, że wyszła na nich jak nimfomanka. Bener uwielbiał to zdjęcie, ale powiesił je dopiero po jej zaginięciu.

– Widzisz?

Rak przyjrzał się dokładnie zdjęciu, a potem wydrukowi. Odstawił piwo.

– To niemożliwe – stwierdził cicho.

– Niemożliwe. Ale skąd ona to ma do cholery?!

– Nie mam pojęcia – westchnął.

W milczeniu patrzyli na ten sam wisiołek na szyi Agaty i na zdjęciu z poczty Moniki.

Na srebrny lwi kiel zwisający z rzemienia.

Prezent, który Agata dostała od Benera na jej ostatnie wspólnie obchodzone urodziny.

12

Kiedy Rak wyszedł, Bener wziął zimny prysznic i zabrał się do studiowania wydruków z poczty Moniki. Przyjrzał się wisiorkowi na obu fotkach. Przypomniwał sobie tę chwilę, kiedy wręczył go żonie.

– Lwi kiel? – spytała.

– A kto z naszej dwójki jest pogromcą lwów? – odpowiedział, nawiązując do jej zdjęcia z dzikim kotem na afrykańskiej sawannie. Stanął za nią i odgarnął jej włosy, odsłaniając kark i smukłą szyję. Nie mógł się oprzeć, pocałował ją delikatnie, najpierw koło ucha, potem niżej. Poczul woń cytrusowych perfum i słony smak jej skóry. Przekrzywiła głowę, dając mu pole do popisu. Chciał jej zapiąć rzemyk z lwim kłębem, ale wszystko to musiało poczekać. Zamiast zapinać, zaczął rozpinać. Najpierw jej bluzkę, a następnie jej i swoje spodnie.

Bener uśmiechnął się smutno do wspomnień i tego, jak potem przez pół dnia szukali lwiego kłębka, który zsunął się z czarnego rzemyka i wylądował gdzieś w pościeli. Odnaleźli go dopiero wieczorem, wtedy Bener zapiął wisiorek na jej szyi. Lwi kiel idealnie wpasował się w dołek między schodzącymi się kośćmi obojczyka. Agata pocałowała Benera, odwróciła się do niego plecami i zgaszyła lampkę. Wtulił się w nią, przejechał dłonią po udzie i biodrze, a potem wsunął rękę pod jej piżamę, delikatnie masował i uciskał pierś.

– Śpij, Bener, zboczeńcu, bo ja nie tylko lwy umiem poskromić – rzuciła i dała mu po łapie.

Zaśmiali się, ale potem i tak kolejny raz się kochali.

Bener odłożył zdjęcie biżuterii, bo inaczej nie oderwałby się od przeszłości, i sięgnął po fotki zeszytu.

Spisane w pionie angielskie wyrazy nie dawały mu spokoju. Wpisał je do wyszukiwarki i spojrzął na wyświetlone wyniki, z których większość, zarówno tych anglojęzycznych, jak i polskich, odnosiła się do terapii antyalkoholowej.

Odczuwał jakiś niepokój. Jeszcze raz spojrzął na zdjęcie, bo nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zna ten charakter pisma. Musiał już gdzieś go widzieć, był tego niemal pewny. Przysunął sobie bliżej oba wydruki i oglądał je, obracając lekko. Mógł się jeszcze łudzić, ale nie miało to sensu.

To było pismo jego teścia.

13

Ten smród przypominał jej coś z dzieciństwa. Być może odgadłaby, skąd go pamięta, gdyby nie pulsujący ból głowy, który zdawał się jedynym dowodem, że żyje. Nie licząc niestety wężu.

Czuła się tak, jakby sama wypila baniak najgorszego samogonu. Spróbowała się podnieść, ale natychmiast zakreśliło się jej w głowie.

Wydawało jej się, że otworzyła oczy, ale nic się nie zmieniło, nadal otaczała ją ciemność. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że jedyne światło wpadało tu poziomo przez wąską szczelinę nad podłogą, zapewne w miejscu, gdzie znajdowały się drzwi.

Jeśli tak było, to leżała w łóżku naprzeciwko przykryta szorstką i sztywną narzutą albo szmatą, Bóg raczy wiedzieć. Swędziało ją od tego całe ciało.

Przesunęła dłonią po brzuchu i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że te odczucia potęgował fakt, że była zupełnie naga.

Poczuła skurcz żołądka.

Gwałt.

Spanikowała, ale nie czuła ani bólu, ani pieczenia w okolicach krocza. Wsunęła rękę między uda, żeby sprawdzić reakcję na ból. Nic. Po chwili z trudem obróciła się na bok i mimowolnie podciągnęła kolana pod brodę. Objęła je rękoma.

Zaczęła się trząść.

Próbowała przypomnieć sobie, co wydarzyło się, zanim straciła przytomność. Poszła do Czterech Kolorów, gdzie spotkała się z Dolarem, któremu przekazała pieniądze. Pamiętała też uśmiechniętego barmana, ale potem już nic, jakby ktoś skasował z jej mózgu całą resztę.

Wzrok przyzwyczajał się do ciemności, ale wiedziała, że nie jest w stanie zrobić żadnego ruchu, nawet podejść do drzwi i szarpnąć klamkę. Nie pokonałaby nawet połowy tego dystansu. Poza tym drzwi na pewno były zamknięte. Wymacała dłonią sprężyny pod wąskim materacem, a potem betonową nierówną podłogę. Przejechała też palcami po szorstkich i zimnych ścianach.

Piwnica, pomyślała. Brak okien, ciemno, przeszywający chłód murów.

Powinna wstać, albo chociaż zsunąć się na podłogę, i poszukać czegokolwiek, czym mogłaby się bronić. Bo nie miała wątpliwości, że będzie jej to potrzebne.

Na razie jednak zmusiła się do niewielkiego wysiłku. Wciąż otulona szmatą usiadła plecami do ściany. Głowa o mały włos jej nie eksplodowała, a serce dudniło głośno, zagłuszając każdy dźwięk.

Nawet skrzypienie drzwi.

Ledwie ruszył spod domu, gdy wewnątrz wozu wypełniły dźwięki *Pawia* Dżemu zagranego razem z orkiestrą. Partie instrumentów dętych, już od pierwszych taktów budowały nowy, dynamiczny charakter tego utworu. Bener zerknął na komórkę i wyświetlany na ekranie nieznany mu numer.

– Halo? – rzucił, przytrzymując telefon między głową a ramieniem, bo przed wjazdem na skrzyżowanie zmieniał bieg.

– Dobry wieczór, nazywam się Mirosława Bocian, jestem nauczycielką z piątego liceum. Podobno chciał pan ze mną porozmawiać w związku z Moniką Żelazną, czy tak?

Bener skojarzył wizytę w szkole u dyrektora i to, że zapisał nawet numer do nauczycielki, ale zapomniał zadzwonić. Skorzystał teraz z okazji i porozmawiał z nią o Monice, ale nie dowiedział się niczego nowego. Postanowił zapytać jeszcze o to, czy kojarzy kogoś o pseudonimie „Czar Jot”.

– Nie, nie sędzę. Może pan powtórzyć?

Bener zrobił to.

Zapadła cisza.

– Jeśli to skrót od imienia i nazwiska, to przychodzi mi na myśl jedynie Jacek Czarnecki.

Bener zatrzymał się na skraju jezdni i włączył awaryjne. Wyjął mały kołonoatnik z plecaka i na wolnej kartce rozpisał długopis, a potem zanotował podane imię i nazwisko.

– Czy mógłby znać Żelazną?

– Nie może być inaczej.

Bener przetarł twarz ręką w oczekiwaniu na jakiś przełom.

– Kolega z klasy?

– Nauczyciel matematyki.

– Ma pani do niego numer?

Po chwili wahania Bocian sprawdziła w telefonie i przedyskutowała dziewięć cyfr.

– Kiedyś mieli ze sobą na pieńku, ale nie wiem, o co poszło.

Bener podziękował i odjechał w stronę wieżowca teściowej. Zaparkował, uchylił drzwi forda, ale musiał je zamknąć. Wydawało mu się, że o tej porze dzieciaki powinny już spać, a tymczasem na boisku rozgrywano w najlepsze mecz. Oprócz piłki latały też boiskowe przekleństwa. Ale nie dziwił się grającym, że dopiero teraz mieli ochotę na rozgrywki, bo faktycznie była to jedyna rozsądna pora, nie licząc wczesnego poranka, kiedy w ogóle dawało się biegać za piłką.

Pierwsza próba połączenia została odrzucona. Bener raz jeszcze sprawdził, czy dobrze zapisał numer, i spróbował ponownie. Tym razem po chwili usłyszał męski głos.

– Słucham?

– Dobry wieczór, czy pan Jacek Czarnecki?

– A kto pyta?

– Marek Bener, redakcja „Echo Torunia”. Mam sprawę.

– Teraz? Na wakacjach jestem. Wieczór z muzyką mam.

Do uszu Benera dochodziły jakieś dziwne dźwięki i zawodzące męskie śpiewy.

– Chodzi mi o to, czy zna pan Monikę Żelazną i czy widział się pan z nią ostatnio.

– I tak, i nie.

Bener był przekonany, że facet coś golnął. Ewidentnie siadała mu dykcja.

– Widziałem się jedynie na lekcjach – zaznaczył.

– I zapewne nie używa pan Facebooka.

– Zna mnie pan lepiej niż własna żona. A ja ją coraz mniej. Coś jeszcze?

– Ksywka „Czar Jot” – Bener wypowiedział te słowa wolniej i wyraźniej. – Mówi coś panu?

– A powinna?

– Nie wiem. Używa pan takiej? Brzmi jak skrót pana nazwiska i imienia.

– Nie! No co to za pierdoły? Pan sobie jaja robi? Panie, ja jestem na wakacjach... – jójczał Czarnecki.

– Niech pan posłucha, bo to ważne. Monika zaginęła w minioną niedzielę.

Tym razem muzyka, oklaski i krzyki dotarły do jego uszu znacznie wyraźniej.

– Smutna sprawa, ale co mnie to? Jeśli jestem na liście

podejrzanych, to mam alibi. Nie było mnie wtedy w Polsce – wypalił.

– Czy ktoś to może potwierdzić? Chodzi o pana uczennicę, na Boga!

– Bener nie wytrzymał.

Zapadła chwila ciszy, po której dziennikarz usłyszał bełkot. Poprosił, by matematyk powtórzył.

– No beżowi, do cholery! Ahmedy, Abdule i inne ciapate ścierwo. Pełno tutaj tych brudasów, ale tu przynajmniej są u siebie. I to właśnie oni mogą potwierdzić, od kiedy tu jestem. O ile ze zdaniem tego bydła w ogóle się ktoś jeszcze liczy. – Mężczyzna wydmuchał nos. – Jestem w Turcji od prawie dwóch tygodni. Jak wrócę, a wracam w poniedziałek, to możemy się spotkać, ale teraz chciałbym już posłuchać tych pieprzonych tureckich wyjców, bo mi jeszcze żarcie z grilla wystygnie, a wtedy cały wieczór w pizdu, jasne?

– Jasne. Jeszcze tylko mały drobiazg. Chodzą słuchy, że podobno coś między wami zaszło... – Bener nie miał żadnych asów w rękawie.

– Tak? A niby co takiego?

– Pytam tylko...

– Spierdalaj.

[szum silnika]

Okazało się, że ta babka z Toporzyska chciała się z mężem rozejść, wróciła nawet do domku po rodzicach, który po ich śmierci wynajęła komuś. Najgorsze było to, że krótko po rozmowie naszej zniknęła. Nigdzie jej nie było. Dzwoniłem do niej, esemesowałem. Raz, kiedy odwiozłem młodzież Żelaznego do domu, pomyślałem, że pojedę do niej do Toporzyska. Kupiłem kwiaty i wino, nie liczyłem na nic więcej, to

była dobra kobieta, chciałem, żeby po prostu miło było, nie? Ale potem pomyślałem, że ona po prostu zerwać stosunki ze mną chciała, bo mnie się wystraszyć mogła, kolejnego hazardzisty, który wśliźnie się do jej życia tylko po to, by ją oskubać znowu. I że ona na takich nie zasługuje, bo ona dobra z natury jest, jak ta moja Krysia zupełnie. A jednak nie wytrzymałem i musiałem się z nią zobaczyć. Pojechałem tam pod jej dom, ale chałupa pusta stała, ciemno wszędzie, głucho. Jeździłem tam jeszcze przez tydzień cały, ale skoro nie odbierała telefonów i sama też się skontaktować ze mną nie chciała...

[dźwięk telefonicznego dzwonka]

– Halo?

[szum silnika]

– Tak, panie Krzysztofie, za chwilę będę... Wiem, przepraszam, ale już jadę... Tak... Do zobaczenia.

[szum silnika]

No i mnie Żelazny z rytmu wybił, choinka.

O czym to...

[szum silnika]

Aha, mówiłem, że jeździłem do tego Toporzyska i że jej nie było. A potem, któregoś dnia biorę twoją gazetę do ręki i czytam, że kobitę w lesie przy osiemdziesiątce martwą znaleźli. Że podobno potrącenie śmiertelne. Pojechałem raz jeszcze na wiochę i podpytałem jej najbliższych sąsiadów. A oni mi mówią, że to ona, że pogrzeb we wsi niedługo będzie. I, mówią, że może ona sama pod jaki wóz wtargnęła, bo życia lekkiego to ona nie miała. A że może kierowca w szoku był, to ją

do lasu, te zwłoki znaczy się, zaciągnął.

Kupiłbym to. Kupiłbym jak Boga kocham, gdyby nie rzecz jedna. Kiedy następnym razem do Toporzyska pojechałem pod ten dom, nie wiem po jaką cholere zresztą, to mówię ci, zobaczyłem coś, w co sam chyba uwierzyć nie mogłem. Gapilem się i stałem jak wryty, aż do mnie przemówił. Pytałem go, o co tu chodzi i czy dobrze ją znał, ale wiesz co?

Kazał mi wypierdalać.

Tak, on, Walczyński.

Wywoził z tego domu wszystko, co tam tylko było, i kazał mi wypierdalać.

I wtedy ja w drodze powrotnej wszystko zrozumiałem. Skąd on te pieniądze ma i jak te nieruchomości na handel zdobywa. I dopiero mnie zmroziło.

Bo przecież już wiedziałem, co mnie czeka. Co mi się stanie, jak nie uda mi się tego bydlaka spłacić.

15

Bener wjechał windą na siódme piętro i zapukał.

Teściowa uchyliła drzwi i wpuściła go. Była sama. Wszedł do pokoju, usiadł przy ławie i obok nóg postawił komputer. Majewska odwróciła się do aneksu kuchennego i przeprosiła go, bo chciała dokończyć zmywanie naczyń. W telewizorze leciał serial, sądząc po bogatych kostiumach i przesadnej grze aktorskiej, najnowszy turecki hit o sułtanach.

– Napijesz się czegoś? A może zjesz? – usłyszał. – I przygłoś, proszę, mój serial.

– Nie, nic nie rób, ja tylko na chwilę. Podłączę ci komputer – powiedział.

– Świetnie! Wreszcie będę mogła skorzystać z tego, czego nauczyłam się na szkoleniu dla seniorów.

– To gdzie go podłączyć?

– Na razie postaw mi koło telewizora. Jak kupię jakieś małe biurko, to dam ci znać, dobrze? – Teściowa skończyła zmywać i usiadła na łóżku, wpatrując się w ekran.

Bener kiwnął głową.

– Sprawę mam – powiedział, gdy turecki serial ku jego uldze wreszcie dobiegł końca.

Podał teściowej wydruki i czekał na jej reakcję. Przez chwilę jej wąskie zwykle oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Co to? – spytała, udając zaniepokojenie.

Bener był pewien, że dobrze odczytał jej reakcję, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Zapiski taty, nie poznajesz?

– Nie.

Oddała mu wydruki i sięgnęła po gazetę z programem telewizyjnym.

– Spójrz jeszcze raz. Tu mam skan, który ojciec mi kiedyś wysłał. – Wyciągnął w jej stronę kartkę, ale Majewska nie odrywała wzroku od czasopisma. Dopiero teraz dostrzegł, że jej nozdrza unosiły się i opadały. Nasunęła okulary i wpatrywała się w jeden punkt. Bener bał się tam spojrzeć, żeby nie dostrzec sułtana.

– Zerkniesz? Proszę. – Starał się brzmieć najuprzejmiej, jak umiał.

Cisza.

– Mamo, zerknij na te kartki i powiedz mi, czego dotyczą, co w nich jest. Rozumiesz coś z tego? – podniósł głos.

Majewska dalej tkwiła w stuporze.

Wyciągnął więc ostatniego asa z rękawa. Nie sądził, że się do tego posunie, ale nie zostawiła mu wyboru. Sięgnął do plecaka po zdjęcie Steinmeiera.

– W takim razie powiedz mi coś o tym człowieku, dobrze? Bo kręcił się tu ostatnio. – Bener czuł w sercu dziwne ukłucie.

Miał na końcu języka imię swojej żony. Czuł, że to wszystko się ze

sobą jakoś splata. Lwi kiel, notatki jej ojca i wskazówka Szamana, by zaczął szukać od teścia. Nie wiedział tylko, co z tym wszystkim wspólnego ma Monika Żelazna, ale był pewien, że to jedyny prawdziwy ślad, na jaki trafił po zaginięciu Agaty.

– Czy ma to jakikolwiek związek z Agatą? – wydusił wreszcie.

Majewska trzasnęła gazetą w stół. Bener aż podskoczył, gdy teściowa wrzasnęła.

– Wynocha! – złapała oddech. – Wynoś się stąd.

Bener zdębiał, a jednocześnie przeraził się, nigdy nie widział jej w takim stanie.

Podniosła się z fotela, wymachując w jego stronę pięścią i trzęsąc się.

– Zabiję cię, jeśli będziesz się tym interesował, rozumiesz? Mówiłam już, byś zostawił mojego męża w spokoju. Zostaw to, psiakrew, jeśli chcesz, żeby włos jej z głowy nie spadł.

Bener też wstał i zrobił krok do przodu.

– Komu? – spytał ciszej, niż chciał. – Z czyjej głowy?

Nie poznawał Majewskiej. Grymas wściekłości całkowicie zmienił jej twarz. Patrzyła na niego spode łba.

– Zostaw to. Zrób to dla niej – syknęła.

– Mamo!

– Nic nie rozumiesz...

– To mi wyjaśnij, do cholery! – Zrobił krok w jej stronę, ale zatrzymał go szept Majewskiej.

Nie wyszedł stamtąd, tylko uciekał, bo inaczej zabiłby ją za te

bzdury gołymi rękoma. Zabiłby na pewno.

Dyszał jeszcze długo, nawet wtedy, kiedy parkował pod swoim domem. Chciał zagłuszyć czymś myśli, ale nic nie działało. Wciąż dźwięczały mu w uszach słowa teściowej.

– Zostaw to, błagam! – mówiła przez łyzy. Bezsilna i wściekła jednocześnie. – Zostaw, bo inaczej... zabijesz Agatkę.

16

Aldona podkurczyła nogi i próbowała wcisnąć się w ścianę.

Drzwi uchyliły się i żółte światło z korytarza oślepiło ją. Dojrzała tylko czarną postać, która się do niej zbliżała.

Zwalisty mężczyzna zacharczał, zebrał w ustach flegmę, po czym splunął ze świstem lepką mazią.

Stanąwszy przy łóżku, pochylił się, wsunął rękę pod szmatę i wyszarpnął nogę Terleckiej. To samo chciał zrobić z drugą, ale Aldona wierzgnęła. Zacisnął więc uścisk i wykręcił nogę tak, by poczuła przeszywający ból.

Zerwał z niej koc i przyglądał się nagiemu ciału. Wolną ręką sięgnął do guzika spodni.

Aldona wiedziała, co się stanie, jeśli nie spróbuje jeszcze raz. Gdy tylko ucisk na kostce zelżał, wyprostowała drugą nogę, kierując piętę w krocze mężczyzny. Był szybszy. Trzepnął rantem dłoni i Terlecka natychmiast poczuła ból, jakiego dotąd nie znała.

Zawyła.

– Cicho bądź – wyszeptał groźnie mężczyzna, a potem oblizał usta.–
Leż tak, to nie będzie bolało, głupia cipo – usłyszała, a następnie ciężka pięść spadła na jej brzuch, wgniatając go niemal do kręgosłupa.

Zgięła się, wypuszczając głośno powietrze. Wtedy mężczyzna

uderzył ją otwartą dłonią w twarz.

Upadła bez sił.

– Chciałaś do jaskini, to teraz ja poznam twoją jaskinię – zarechotał i klęknął przy niej, układając ją w takiej pozycji, jak lubił to robić z dziwkami. Zsunął bokserki i zaczął uciskać kutasa, doprowadzając go do erekcji. Nagle usłyszał za sobą skrzypnięcie zawiasów, szybkie kroki po trzeszczących drewnianych stopniach, a potem głos:

– Zaczekaj, łajzo!

Odwrócił się w stronę drzwi, gdzie stał mężczyzna w jasnej koszulce.

– Czego?

– Koniec zabawy.

– Bo co mi zrobisz?

– Jaja ci ukręcę.

– Przecież ona nikomu już nic nie...

Aldona jęknęła.

– Chowaj fiuta, Dalton, to rozkaz.

Mężczyzna głośno wypuścił powietrze przez nozdrza, a następnie otwartą dłonią uderzył w materac, wzbijając tuman kurzu.

– Obiecał, że sobie porucham!

– Nikt ci nie broni. Masz sprawne ręce, a jak wiadomo, najlepsza baba to własna graba.

– Wal się, Pudło.

– No już, już. – Kiwnął głową nowo przybyły. – Może jutro

staruszek pozwoli ci z tą nową laską.

Dalton sapnął zrezygnowany, ale wciągnął bokserki, zapiał spodnie i wyszedł.

– I pamiętaj, bądź dla siebie czuły – pożegnał go z uśmiechem Pudło.

Kiedy zdołał ochłonąć, Bener próbował sobie wytłumaczyć irracjonalne zachowanie teściowej. Jednego tylko był pewien, rozpoznała Steinmeiera. I tego bagatelizować już nie mógł. Od chwili, gdy zobaczył Niemca w Toruniu, przeczuwał, że nie ma mowy o przypadku.

„Zabijesz Agatkę”, dudniło mu w uszach.

Co miała na myśli?

Uruchomił *Frantic* od siedemdziesiątej minuty, ale wyciszył głos i odtworzył sobie *Cegłę*, pierwszy studyjny longplay Dżemu. Zaczął od *Nieudanego skoku*, po czym poszedł do lodówki po piwo, które przyniósł z osiedlowego sklepiku, a które powinno się już schłodzić.

Doktor Walker wyszedł właśnie na dach z walizką i próbował utrzymać na nim równowagę, po chwili jednak poślizgnął się i upadł, z trudem łapiąc maszt anteny telewizyjnej. W tym czasie Rysiek Riedel śpiewał, że jest w matni i że cały ten świat to jedna wielka paranoja.

Trudno było to inaczej nazwać. Paranoja była najlepszym określeniem tego, co działo się obecnie wokół Benera. A działo się za dużo. Zaginięcie Moniki i zdjęcia, które chciała mu wysłać, ale nie wysłała; Szaman, który kazał mu iść tą drogą, chociaż Bener nie wiedział, o co mu chodzi i dokąd ma iść; no i wreszcie teściowa, która

całkowicie postradała zmysły. I jeszcze ten cholerny Steinmeier. A najgorsze było to, że każda z tych spraw łączyła się ze sobą jak koła zębate w zegarku. Nie widział tylko głównego mechanizmu, który nimi porusza. Bo nawet jeśli uznaliby, że gdzieś za tym wszystkim jest Agata, co by to miało znaczyć?

Sprawa z Moniką znajdzie finał już jutro, spotka się z nią i jej rola w tym wszystkim się wyjaśni. Przynajmniej to jedno można odhaczyć na liście spraw do rozwiązania.

Teraz najważniejsze było inne koło zębate. Steinmeier.

Bener złapał telefon i przyciszył Riedla, który wyznawał, że jest sobie ojcem i bratem. Odczekał kilka sygnałów, ale po drugiej stronie nikt nie kwapił się do odebrania połączenia. Tymczasem stary znajomy ze służb mógłby mu się teraz właśnie przydać. Ivo Strauss, skóra zdarta z Jasona Stathama, mocny hak i prawy podbródkowy. Znali się od lat z bokserskiej hali na Słowackiego, niedawno Ivo wrócił z Warszawy do Torunia.

Bener rozłączył się i spróbował jeszcze raz.

– Sprawdzalem, czy to powazna sprawa – odezwał się Ivo.

– Co masz na myśli? – Bener nie krył zaskoczenia.

– Czekalem, czy zadzwonisz drugi raz. Pierwszy mógł być przez pomyłkę, drugi już nie. Więc masz sprawę, która nie może czekać. A ja mam film, który też nie powinien czekać, szczególnie że w zaskakujący sposób pomógł mi w jednym śledztwie. I teraz go sobie przypominam. Przyrodniczy, o danielach. Czy wiesz, że samce osikują teren...

– Ivo, przyrodniczy jeszcze mógłbym zobaczyć, ale nie ze zwierzętami i pissingiem. Za wrażliwy jestem na to. – Zaśmiał się. – Lepiej posłuchaj dobrej rady i zmień kanał.

Bener usiadł przy komputerze i przygotował maila do Straussa.

– Inny kanał to banał – rzekł kolega.

– Zrób cokolwiek, stary, ale ratuj się – poradził dziennikarz.

– Niech ci będzie, ale zacznę od ratowania twojego dupska. Mów w takim razie, z czym sobie nie radzisz.

– Wysłałem ci właśnie zdjęcie pewnego gościa. To Niemiec, Dieter Steinmeier, wszystkie dane masz w mailu. Poznałem go trzy lata temu, kiedy zgłosił, że na jednej ze stacji metra w Berlinie widywał Agatę. Teraz pojawił się w Toruniu. Mam przecucie, że nie przyjechał tu na wakacje i nie moczy się w SPA. Sprawdzisz mi go? To pracownik berlińskiego muzeum.

– Którego? Jest ich tam pewnie ze dwieście.

– Albo lepiej – zgodził się Bener.

– Mam wszystkie obdzwonić?

– Najlepiej jakbyś je odwiedził. Mają ciekawe zbiory, w tym dużo polskich, które wywieźli w trakcie wojny. – Bener wiedział, że Ivo żartuje, więc sam też wrzucił na luz. – Postarasz się?

– Postaram i dam znać. Ale teraz chciałbym wrócić do danieli.

– Jeśli już się odlały, to wracaj.

Pierwszy raz od dawna wiał wiatr.

Żaluzje uderzały z łoskotem o szybę. *Frantic* i płyta Dżemu dawno dobiegły końca. Słysząc też było odgłosy dalekiej burzy, jakby tarły o siebie głucho kamienie.

Bener siedział w kuchni, trzymał twarz w dłoniach, a łokcie oparł o blat stołu. Wpatrywał się w zdjęcia zeszytu teścia. Obok na talerzu z zimnego już i ledwie nadgryzionego tosta spływał keczup, a przy okruchach dreptała mucha.

Widział już gdzieś taki zeszyt, siedział mu ten obraz w pamięci, ale nie potrafił go zestawić z żadną sytuacją. Być może trafił na jakieś notatki wśród plików zapisanych na komputerze teścia, ale teraz, kiedy odwiózł sprzęt do kawalerki, nic już nie sprawdzi.

Nie mógł tak dłużej bezproduktywnie siedzieć, a jeszcze nie chciało mu się spać. Potrzebował oddechu, długiego spaceru. Świeże powietrze, na które Bener mógł liczyć dzięki pomrukującej gdzieś w oddali burzy, dobrze mu robi. Być może wiatr gnał ją w tę stronę.

Już miał założyć trampki, ale pomyślał, że dobrze będzie zabrać ze sobą koszulę. Boso poszedł po schodach na piętro i wszedł do pokoju. Nadepnął na coś i przeklął z bólu. Dopiero teraz przypomniał sobie, że rozsypał jakieś drobiazgi, kiedy wynosił stąd komputer teścia.

Klęknął, pozbierał wszystko z powrotem do leżącego na podłodze pudełka i odstawił na bok. Wyjął z szafy koszulę i zszedł do połowy schodów, po czym zawahał się. Po chwili pędem wrócił na górę. Chwycił pudełko i wyjął z niego kartę kredytową. Zbiegł do laptopa i uruchomił go, sięgnął też po telefon.

Rak nie odbierał.

Długo czekał, aż wyświetli się pulpit i znajdujące się na nim ikony.

To nie była zwykła karta, tylko pendrive. Bener zamówił podobne na promocję „Echa Torunia”, kiedy organizował bankiet przed wejściem tytułu na rynek.

Podpiął urządzenie do laptopa.

W końcu doczekał się chwili, gdy na ekranie pojawiło się nowe okienko. Miał nadzieję, że na tej małej pamięci przenośnej coś odnajdzie, że nie bez powodu teść lub teściowa – po śmierci męża – wrzucili pendrive do komputerowej skrzyni. Coś po prostu musiało tu być i pomóc rozwikłać przynajmniej część zagadek. Dzięki temu przed spotkaniem z Moniką będzie wiedział więcej.

Wreszcie kliknął na dysk z oznaczeniem „E”.

Sezam stał przed nim otworem.

Spiąłem się, żeby wszystko w dobrą stronę szło, żeby mi ciała nie dał i Walczyńskiemu broń Boże nie podpadł. Regularnie oddawałem mu pieniądze, narzekał, że mało, ale spłacałem. Potem narzekał częściej, odsetki zaczął dopisywać. Już widziałem, że na celownik będzie mnie chciał wziąć, dlatego taki ostrożny być musiałem.

Dzieciaki Żelaznego rosły, ale biznesmen cały czas z moich usług

korzystał, nie zawiodłem go i wiedziałem, że nie mogę. Poza tym coraz więcej pracowałem, i nocami, i we wszystkie weekendy. Dało się zarobić, nie powiem. Po jednym takim weekendzie to i Walczyński poklepał mnie po plecach i powiedział, że jakoś to będzie, że jak się starał będę, to i on te odsetki mi umorzy i sprawy nie będzie, zapomni o wszystkim.

Wtedy znowu poczułem się mocny. Co prawda przez robotę kilka terapii mi wypadło, ale radziłem sobie nieźle. Miałem nadzieję, że wyjdę z tego szamba raz na zawsze, że teraz inaczej będzie, że znowu z Krysią gdzieś sobie pojedziemy, do sanatorium może albo na wczasy jakieś. Zadzwoniłem do niej, to się nawet ucieszyła na tę myśl, że będziemy mieli więcej czasu dla siebie. Boże, jak mi tego było trzeba, odpoczynku takiego, ciszy i spokoju świętego. Marzyłem o tym.

I wtedy do taryfy wsiadł Szamojski. Ale jak on źle wyglądał, podpity taki, napuchnięty jakiś. Chciał jechać na uczelnię, ale wybiłem mu to z głowy, jeszcze by go wylali stamtąd. I on zgodził się, zadzwonił, że chory, że przyniesie zwolnienie. A potem zasnął mi na tylnym siedzeniu. Pojechałem za Toruń, żeby co chwila mi tu nikt drzwiami nie trzaskał, a kiedy Olgierd się obudził, to mówił, że wydali na niego wyrok. Że jakiś Neumann na kasę go orznął, oszukał po prostu, bo przecież grać to on umie. Potem okazało się, że Neumann to ten, co te nielegalne hazardy rozkręca, ale ja go nigdy nie poznałem, bo ja zawsze blisko Walczyńskiego się trzymałem, ale on to podobno Neumanna lewa dupa jest, pomocnik taki.

I teraz mi Szamojski mówi, że go orznęli, bez pieniędzy został i czy bym mu nie pożyczył trochę. Dałem mu dwie stówki, co mi wpadły za

kursy, ale nic więcej nie dam, pomyślałem sobie, bo przecież grać pójdzie i wszystko jak krew w piach. Przecież po sobie to znałem. Ale pomoc mu chciałem, tylko nie wiedziałem jak. A przecież to dobry, poczciwy chłop. Ale następnego dnia do Walczyńskiego pojechałem, żeby swój dług oddać, a przy okazji wyniuchać, jak sytuacja z Szamojskim i czy nie da mu się tego długu cofnąć jakoś albo chociaż dać mu zagrać raz jeden jeszcze. Może by spróbował odegrać się i na prostą wyjść, wtedy wszyscy szczęśliwi będą i ten Neumann pieniądze odzyska. A on jak mnie zwyzywał, ten Walczyński cały, jak mnie kurwował do ucha, Chryste Panie. Że on nie jest bankierem, nikogo sponsorować nie będzie i jak ktoś zadziera z Neumannem, to niech sobie radzi, skoro głupi taki. A ja, jak jestem samarytanin, to się za tego profesora odegrać mogę. I już odejść miałem, gdy mi powiedział, że proszę bardzo, że on stolik dla mnie ma. Potarłem kciukiem palec wskazujący. Byłem przecież taki mocny i taki już uleczony, a jednak tak mi się przyjemnie zrobiło, tak spokojnie jakoś na sercu. Coś mi mówiło, że kasę w puszcze po farbie da się dobrze pomnożyć. Raz jeden, ostatni. I że wtedy wszyscy zadowoleni będą, a jeszcze profesorowi uda się pomóc, przecież taki mądry facet, a nuż go z roboty wyleją, że dobrym trzeba być i pomnażać to dobro, bo on wciąż mógłby tobie z tym doktoratem pomóc, żebyś to wszystko naprawić mógł, gdybyś tylko chciał.

Wróciłem wieczorem do Walczyńskiego, kasę z puszki wyjąłem. Ze spokojem, bo to środa była. A w środę to ja swoją największą wygraną w oczko tam właśnie zgarnąłem. Bo zazwyczaj w środy mi dobrze szło i rękę wtedy lepszą do kart miałem.

Żałuję tylko, że wtedy zaćmienie takie miałem.

[szelest kartek]

Bo przecież my w nocy graliśmy.

A w nocy to już czwartek był.

Aldona ocknęła się, czując pieczenie na policzku. A zaraz potem, dosłownie ułamek sekundy później, instynkt nakazał się bronić. Wiedziała, że napastnik wciąż jest tuż obok. Wierzgnęła nogami i cofnęła się do zimnej ściany. Chyba nawet krzyknęła.

– Spokojnie – usłyszała łagodny głos. – Spokojnie, już sobie poszedł.

Zmrużyła oczy, by lepiej widzieć. Zacisnęła pięści na śmierdzącej narzucie i przyciągnęła ją do szyi. Osilka już nie było, obok łóżka stał teraz niższy i szczupły facet. Aldona widziała tylko fragment jego twarzy, długi nos i półokrągły podbródek. Mężczyzna położył coś na łóżku i odszedł w stronę drzwi.

– Nie bój się, teraz włos ci z głowy nie spadnie – powiedział i zamknął za sobą drzwi, przekręcając zamek. W pomieszczeniu znowu zrobiło się ciemno, jedyne światło dochodziło z wąskiej szczeliny między drzwiami a podłogą.

Chciało jej się wymiotować, bolał ją brzuch, miała też obitą i napuchniętą skroń. Ale to nic w porównaniu z tym, co mogło ją spotkać. Przeszły ją dreszcze. Minęła dłuższa chwila, zanim Aldona zdołała się poruszyć.

W ciemności wymacała zostawione przez mężczyznę rzeczy i

odetchnęła. W pośpiechu, nie wiedząc, czy nie zakłada czegoś tył na przód, zaczęła się ubierać.

Wzrok ponownie zaczął przyzwyczajać się do ciemności.

Skulona, wciąż jeszcze odczuwając skutki silnego uderzenia w brzuch, Terlecka zrobiła dwa kroki w stronę drzwi, podpierając się dłońmi o szorstkie ściany.

I wtedy gdzieś obok usłyszała stłumiony głos.

Przyłożyła ucho najpierw do drzwi, potem do ściany.

Cisza.

Dopiero po chwili dobiegło do jej uszu coś, co zmroziło jej krew.

Cichy, przeciągły kobiecy jęk.

20

– Raku, czy ty otwierałeś pendrive? – Bener nawet się nie przywitał. – Ten, co był w komputerze mojego teścia?

– Nie sprawdzałem. Nie pomyślałem o tym. A co tam jest? – zapytał fotograf.

– Właśnie o to chodzi, że nic.

– Nic?

Bener czuł, że zaczyna go ponosić, chociaż przecież Rak niczemu nie był winien.

– N-I-C, kurwa, zrozumiałeś? Nic. Zero, nul.

– Może po prostu go nie używał?

– Cholera wie, ale po co chować pusty dysk?

– Mówiłeś, że teściowa miała przeprowadzkę. Więc może wcale nie był ukryty. Wrzuciła to, co z komputerem związane, do skrzynki, i po sprawie. Przynajmniej na to wyglądało.

– Być może, ale coś mi tu nie gra.

– To wbijaj do mnie.

– Po cholere? – zdziwił się Bener.

– Przyjrzymy się temu dyskowi. Mam jeden z lepszych programów do odzyskiwania danych.

– Serio? – Bener ożywił się. – I da się coś z tym zrobić?

– Nie wiem, ale jak chcesz spróbować, to bierz dupę w troki, zahacz o stację i wpadaj.

Bener założył koszulę i wyszedł z mieszkania. Kiedy szedł do furtki, poczuł długo oczekiwany powiew chłodnego powietrza, który rozwiął mu włosy. Wystawił twarz w jego stronę. Stał tak przez chwilę, wierząc, że wszystko się ułoży. Czuł się jak Harrison Ford, miał scenariusz i był sobie – jak śpiewał Riedel – nawet Bogiem. Zaczynał pociągać za odpowiednie sznurki. Otworzył furtkę i wyszedł na chodnik. Burza nadal grzmiała gdzieś na północy i zbliżała się do miasta. Drzewa u sąsiadów zaczynały się kołysać, a wiatr szumiał między gałęziami. Podeszedł do forda i podciągnął szyby w obawie przed deszczem, a na koniec zamknął go, a ten w odpowiedzi mrugnął awaryjnymi.

Wtedy pod dom zajechał czarny samochód. Silnik cicho mrucał, gdy kierowca otworzył drzwi i wysiadł. Wnętrze rozświetliło się, ukazując przednie fotele pokryte beżową skórą. Tylne kanapa tonęła w mroku.

– Pan Marek Bener? – spytał młody, gładko ogolony mężczyzna, opierając dłoń na dachu auta. Był ubrany w garnitur i białą koszulę.

– A kto pyta?

Dopiero wtedy uchyliły się tylne drzwi po stronie Benera, rzucając na asfalt ciepłe, żółte światło.

Dziennikarz podeszedł i nachylił się.

– Dobry wieczór. – Łysy mężczyzna z gęstą czarną brodą i wąsami uśmiechnął się. Wnętrze wielkości kawalerki rozświetliło się od bieli

jego zębów, która kontrastowała z czarną koszulką polo i czarnymi spodniami. Nieznajomy był w wieku Benera i równie szczupły. – Zapraszam na przejażdżkę.

– Jaguar ma dziś dni otwarte?

– Tak jakby. – Mężczyzna nie przestawał się uśmiechać i wyciągnął rękę. – Wiktor Neumann.

Bener uścisnął ją i usiadł na tylnej kanapie. Zapiął pas.

Samochód ruszył wolno.

– Mam coś dla pana, ale dam to później. – Bener zerknął na pakunek ukryty między udem Neumanna a drzwiami. – Najpierw powiem coś o sobie.

– Dokąd jedziemy? Trochę się spieszę.

– Spokojnie, zdąży pan. – Neumann spojrzał w stronę Benera, a z jego twarzy zniknął uśmiech. – Mam ogromny szacunek do ludzi, którzy ciężko pracują na swoje pieniądze, a potem wydają je na rzeczy, które sprawiają, że muszą jeszcze ciężiej pracować. Bo jeśli kupi pan samochód, to musi pan pracować na ubezpieczenie, na naprawy, na paliwo. Zgadza się? No właśnie, ale oprócz takich ludzi są na Ziemi inni, którzy nie pracują dla pieniędzy, tylko to pieniądze pracują dla nich.

Bener miał wrażenie, że Neumann z kimś go pomylił. We wnętrzu jaguara było światowo i wygodnie, ale słuchanie głupot sprawiało, że zrobiło mu się duszno. Nie miał na szyi krawata, ale czuł, że musi go koniecznie poluzować.

– Chodzi o to, żeby nie próbował pan węszyć w sprawach moich

firm, bo jestem naprawdę czysty. – Pokazał Benerowi otwarte dłonie.
– Na nikim nie żeruję, nikomu krzywdy nie robię. Dbam tylko najlepiej, jak potrafię, o swoje interesy. Pan teraz też jest biznesmenem, więc na pewno mnie pan rozumie.

Bener odwrócił się w jego stronę, a potem ponownie patrzył przez przednią szybę. Wóz znowu zwalniał, a w oddali błyskawica przecięła niebo.

– O czym pan mówi? Nie węszyłem przecież.

– Obaj wiemy, że jest inaczej. Ale pana prawo, jest pan dziennikarzem. – Neumann wyciągnął w stronę Benera niewielką paczkę, która leżała obok jego uda. – Proszę.

– Co to jest?

– Pieniądze. Pięć tysięcy złotych.

– Zawsze w taki sposób załatwia pan interesy?

– Nigdy. To nie moje pieniądze, więc je oddaję.

Kierowca zwolnił i wrzucił migacz, który tykał rytmicznie.

Bener wiedział już, dokąd jadą. Z trudem przełknął ślinę. Powieka zadrgała znowu. Znał to miejsce aż za dobrze.

– O co tu chodzi, co? – spytał Neumanna.

Wóz potoczył się po leśnej drodze.

– Spokojnie. Proszę tylko posłuchać mojej rady, zanim będzie za późno.

Samochód się zatrzymał.

Neumann raz jeszcze podał Benerowi pakunek.

– Nie moje, więc oddaję. Proszę poczekać tu pięć minut.

– Po co tu przyjechaliśmy? – Bener odebrał pakunek.

– Tu wszystko się zaczęło. – Neumann nie patrzył na Benera. –
Niech pan wysiądzie i zaczeka. Naprawdę warto.

Bener zrobił to, a wtedy Neumann uruchomił w komórce film. Ten sam, na którym pijany Bener stał nagi i bełkotał.

– Mogę to wyświetlić na wszystkich telebimach w mieście. Zamiast tego proponuję dobrą współpracę – zakończył Neumann i zamknął drzwi.

Jaguar odjechał.

Wiatr wiał coraz silniej i szarpał koronami drzew. Po niebie przesuwały się ciężkie, skłębione chmury. Grzmiało coraz głośniej.

W końcu Bener doszedł do siebie i zrobił kilka kroków w stronę lasu.

„Tutaj wszystko się zaczęło” – słowa Neumanna odbijały się echem w jego głowie, gdy szedł do miejsca, gdzie niemal sześć lat temu znaleziono czerwoną ibizę.

Jedyny ślad po Agacie.

21

– I gdzie ty się włączysz, co? Piwo miałeś przywieźć.

Bener bezwiednie odebrał połączenie od Raka. Z powodu wiatru nie słyszał chyba nawet melodii, wyczuł jedynie wibracje telefonu.

– Zaraz będę – wyszeptał na pół przytomny. – Miałem niespodziewane komplikacje. Ale będę.

Rozłączył się, nie miał siły nic wyjaśniać, poza tym przez świst powietrza przedarł się odgłos silnika. Odwrócił się w chwili, gdy nadjeżdżające szybko kombi zjechało na pobocze. Tylne drzwi otworzyły się i wypadło z nich coś dużego. Kierowca gwałtownie wcisnął pedał gazu, samochodem szarpnęło, silnik zawył. Chmura pyłu spod kół niesiona wiatrem leciała w stronę Benera, musiał przymrużyć oczy. W pierwszej chwili przeraził się, bo pomyślał, że wypuszczono wielkiego psa, więc zastygł. Ale teraz to coś trwało nieruchomo. Bener poczekał, aż opadnie pył. Powoli podchodził do pakunku, gdy zauważył ruch.

– Boże święty! – krzyknął, gdy niebo rozdarła błyskawica i spadły pierwsze grube krople deszczu.

Widział teraz wyraźnie uniesiony w górę kciuk. Że niby wszystko okej.

Wszystko okej.

Nie, nic tu kurwa nie było okej, pomyślał kiedy dopadł do niej i spojrzał w jej przerażone oczy.

– Nic mi nie jest – szepnęła Aldona.

Zaciskał szczęki do tego stopnia, że chyba dostał już szczękościsku. W głowie czuł rytmiczne pulsowanie. Wpadł do Raka, a raczej przekazał mu pendrive teścia w drzwiach. Przeprosił, że nie zostanie dłużej. Deszcz spływał mu po włosach i kapał na posadzkę klatki schodowej.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Rak.

– Aldona wpadła po uszy w szambo.

– Coś z jej artykułem o grach?

– Wiedziałaś?

Rak skinął głową i zapytał:

– Zgłosiła to na policję?

– Jeszcze nie. Kiepsko się czuje. Odsypia u mnie.

– Ale się porobiło. – Fotoreporter stał boso w samych krótkich spodenkach. Kiedy przeczesał ręką włosy, można było mu policzyć wszystkie zębra.

Znowu zagrzmiało. Bener pożegnał się i zszedł po schodach. Kiedy wyszedł na zewnątrz, grzmot zagłuszył szum deszczu.

Bener pochylał się nad rozłożonym na ławie dziwnym kolażem. Zdjęcia Moniki, jej rodziców, Neumanna (piłkarza podobnego do Wiktora Neumanna, bo ten naprawdę był jak duch i w sieci nie tylko nie było jego fotografii, ale niemal żadnych informacji na jego temat), Steinmeiera, Majewskich. Do tego zdjęcia Agaty i jej wisiorka, a także fotografie zeszytu teścia. Jednak kogoś brakowało.

Bener nie wiedział kogo. Był zbyt zdenerwowany tym, co się zdarzyło, by myśleć trzeźwo. Ale musiał wziąć się w garść. Wiedział już, że wszystko się ze sobą łączy, że wystarczy tylko ustalić wzajemne powiązania, żeby zobaczyć jasny obraz.

„Tu wszystko się zaczęło”, Bener przypomniał sobie słowa Neumanna.

Ułożył zdjęcie Agaty na środku stołu.

Przesunął je lekko w bok i zrobił miejsce dla fotografii Moniki Żelaznej, a pod nią położył zdjęcie lwiego kła, które dziewczyna chciała mu wysłać. Zrobił tak, bo chociaż taki wisior nosiła Agata, musiał zrozumieć, dlaczego podobny miała przy sobie Monika.

Wokół tych trzech zdjęć przesunął kolejne fotografie, ale wciąż nie był zadowolony ze swojej układanki.

Kiedy zadzwonił telefon, sięgnął po niego szybko, żeby dźwięk

dzwonek nie obudził Aldony. Potrzebowała snu.

– No jak tam? Masz już? – rzucił z nadzieją, że dzwoni Rak. Ale było inaczej.

Usłyszał charakterystyczny odgłos żaru spopielającego tytoń, a potem spokojne wydmuchiwanie dymu.

Usiadł i przełożył słuchawkę do drugiego ucha. Jego właściwy telefon leżał na ławie obok zdjęć.

– Gratuluję, poznałeś w końcu Neumanna – wychrypiął Szaman.

– A ciebie co z nim łączy, co? I dlaczego zawiózł mnie tam, gdzie odnaleziono wóz Agaty?

– Wszystko w swoim czasie, Marek. Ale nie ustawaj w wysiłkach. Idź tą drogą...

– Co ty mi tu znowu pierdolisz o jakichś drogach, do cholery!

Szaman kolejny raz zacharował.

– Pamiętasz co mówił Platon? Tylko martwi ujrzeli koniec wojny – dodał.

– Przestań bredzić. Dlaczego mnie tam zawiózł. I co miało znaczyć, że tam wszystko się zaczęło, co?

– Sam się tego wkrótce dowiesz.

Bener zadał jeszcze kilka pytań, po czym zorientował się, że nikt go nie słucha, że mówi już tylko sam do siebie.

Trzęsącą się ręką odłożył aparat. Czuł, że pali go twarz, więc poszedł do kuchni, żeby obmyć się zimną wodą. Zmoczył przy tym końcówki włosów.

Wrócił do pokoju. Spojrzał na te wszystkie zdjęcia i z bezsilności

chciał podrzeć je w cholere. Rzucić to wszystko w diabły. Czuł, że tym razem tego nie wytrzyma, że już nie ma w sobie tylu sił, że codzienne pytania o Agatę, które, chcąc nie chcąc, układał sobie w głowie i stale szukał na nie odpowiedzi, wykańczają go. Po cichu, jak rak odbierają mu siły i wolę walki. Bał się swoich słabości, bał się tego, że mimo ciągłego myślenia o Agacie zaciera mu się w głowie jej obraz, że nie czuje już jej zapachu, nie pamięta go, nie słyszy już jej głosu. Przechodził go dreszcz na myśl, że być może z każdym dniem od jej zaginięcia kocha ją coraz słabiej. Nie dlatego, że tak chce, tylko dlatego, że nie wiedział, jak ją w sobie zatrzymać. A może właśnie powinien dać jej odejść. Tak jak pozwala się na to zmarłym, przeżywając żałobę. On przecież nigdy nie przeżył żałoby po niej, nie pożegnał jej, nie puścił jej w dalszą drogę.

Nigdy nie pozwolił jej odejść.

Po drugiej w nocy odezwał się Rak. Zgrał wszystko, co udało się odzyskać z pendrive'a, jednak część plików była zepsuta i nic nie można było na to poradzić. Bener kliknął w link do serwera i czekał, aż ściągną się pliki, znowu przetasowując zdjęcia na stole. W końcu dał sobie spokój i poszedł do lodówki po zimne piwo.

Wróciwszy do pokoju, popatrzył z góry na swoją robotę. Zatrzymał wzrok na leżących obok telefonach. I wtedy zrozumiał, że brakuje mu na stole jeszcze jednej osoby.

Szamana.

Odszukał jego stare zdjęcie, jeszcze z czasów gdy pracował na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, wydrukował i przyciął. Po chwili wahania położył je obok zdjęcia Neumanna.

Bener wpatrywał się w fotografie i nadal niewiele rozumiał. Czuł się już zmęczony, oczy go piekły. Nawet zimne piwo go nie otrzeźwiło.

Pasek postępu na ekranie laptopa wskazywał, że Bener ma jeszcze pół godziny, zanim ściągną się wszystkie pliki. Obiecał sobie, że poczeka, tylko na chwilę wyprostuje plecy na kanapie.

Położył się, ale nie zamknął oczu.

Patrzył na krążące pod lampą muchy. Próbował je policzyć, ale za każdym razem się mylił. Poruszały się jak po torach, kreśląc w

powietrzu łamane linie. Nigdy nie rozumiał, czemu latały w taki sposób, jak mechaniczne owady zaprogramowane w tajnych laboratoriach, które nie znały lotu po łuku, kierowały się tylko i wyłącznie linią prostą, dolatywały do pewnego punktu i odbijały jak na zwrotnicy.

W pewnej chwili największa mucha obniżyła lot i usiadła mu na klatce piersiowej. Nie była to zwykła mucha, miała skórzaną uprząż i coś ruchomego na odwłoku. Bener o mały włos nie dostał zeza, kiedy na nią patrzył.

Z muchy zsiadł miniaturowy chłopczyk w niebieskim dresie z zupełnie niewyraźną, jakby celowo rozmazaną twarzą. Najpierw pomachał do Benera, a potem pokazał na coś po lewej. Bener był pewien, że mały coś do niego mówi, wyteżał więc słuch, ale nie był w stanie wyłowić żadnego dźwięku. Czuł gdzieś podskórnice, że chłopczyk jest przerażony. Biegł i wymachiwał ręką, prawdopodobnie darł się wniebogłosy, ale Bener nadal nic nie słyszał. Dla spokoju jednak postanowił odwrócić głowę we wskazywanym przez dzieciaka kierunku.

I wtedy zgasło światło.

Po chwili usłyszał dźwięk podobny do pocieranych o siebie kamieni i czyjś ciepły oddech na swojej szyi.

Nagle błysnął płomień zapalniczki, oświetlając trupio bladą twarz.

– Tu się wszystko zaczęło! – ryknął mu do ucha Neumann.

PIĄTEK

19 SIERPANIA 2016 ROKU

1

Benera bolały plecy, leżał we wczorajszych ciuchach wygięty jak paragraf i dosłownie pływał we własnym pocie. Założyłby się o gruby szmal, że elektrociepłownia zrobiła sobie żart i puściła ciepło na kaloryfery. Wstał, żeby szeroko pootwierać okna. Po nocnej ulewie nie było już śladu, nie licząc mokrego w kilku miejscach asfaltu i niewielkiej kałuży na chodniku przed furtką. Z bezchmurnego nieba słońce znowu rozpałało liście pobliskich drzew owocowych.

Napił się kranówki w kuchni i wrócił z pełną szklanką do salonu, gdzie znajome twarze spoglądały na niego z kartek rozłożonych na stole. Tuż obok leżały dwa telefony. Odwrócił się, żeby sprawdzić na miniwieży godzinę, i natychmiast przetarł oczy ze zdumienia. Było niemal wpół do jedenastej. Zostało mu półtorej godziny do spotkania z Moniką.

Wziął zimny prysznic i przebrał się w nowe ciuchy. Potem wszedł do Aldony. Nie spała, wpatrywała się w sufit szklanym wzrokiem.

– Nic nie mów – poprosiła.

Zamknął więc drzwi i zszedł na dół. Wyciągnął chrupki chleb i przejrzał lodówkę, z której powyrzucał spleśniałe jedzenie. Sięgnął do szafki po scukrzony miód i chciał przesmarować kilka kromek. Nie był to najlepszy pomysł, chleb pękał i się łamał, a kawałki spadały na

talerz. Bener rzucił kromką i nożem o blat. Oblizał ręce i uznał, że na śniadanie najlepiej smakuje kawa.

Wrócił z nią do salonu i usiadł przed laptopem, który przez noc zdążył się rozładować. Podpiął zasilacz i uruchomił komputer. Gdy otwierał folder z plikami z pendrive'a, do pokoju weszła Aldona.

– W kuchni jest miód i chrupki chleb. Kawa w szafce – rzucił, nie patrząc w jej stronę. Kątem oka jednak dostrzegł siniaki na jej udzie i zdartą do krwi skórę nad kolanem. Trochę utykała.

– Dam sobie radę – odpowiedziała, wchodząc do łazienki. Po chwili usłyszał szum wody pod prysznicem.

Bener zaczął przeglądać folder. Było w nim ponad trzysta plików o dziwnych nazwach, w sumie zajmowały razem ponad dziesięć gigabajtów. Kliknął na pierwszą ikonkę, ale nic się nie wydarzyło. Podobnie było przy kolejnych. Odpuścił sobie, marnował tylko czas. Jak wróci, to się tym zajmie.

Aldona wyszła z łazienki, wycierając ręcznikiem włosy.

Zatrzymała się przy ławie i popatrzyła na wydruki, ale niczego nie skomentowała. Jeden z nich, zdjęcie Krzysztofa Żelaznego, przysunęła sobie bliżej.

– Pojadę dziś do redakcji i zastąpię cię na kolegium, a potem przekażę ci tematy do nowego numeru „Echa”, okej? – Odsunęła zdjęcie na miejsce.

– Okej – odpowiedział z ociąganiem.

– I nie mów nic o tym, co się wydarzyło. Nie wracaj do tego, proszę.

– Przecież nic się nie wydarzyło – zakpił. – Pomijając to, że nie

wykasowałaś tego, co masz w telefonie.

Wiedział, że patrzyła na niego, ale udawał, że skupia się na tym, co na ekranie.

– Boże, miałam to zrobić, przepraszam, zwyczajnie zapomniałam – jęknęła. – Czy to znaczy, że oni mają ten film i teraz będą cię szan...

– Będą albo nie będą – zakończył Bener.

Aldona poszła na górę.

Bener poprawił ułożenie zdjęcia Żelaznego na stole, a obok położył fotografie jego córki i żony. I wtedy zrozumiał. Brakowało syna Żelaznego. Po prostu nie wydrukował jego zdjęcia. Spróbował odszukać fotografię w sieci, ale żaden z Michałów Żelaznych, a było ich kilku, nie był bratem Moniki.

Dopił kawę i wygrzebał z kieszeni kluczyki do forda.

– Wychodzę – krzyknął w stronę schodów, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

[szum]

Nie było już puszki z farbą, nie było samochodu, nie było żadnych oszczędności, nawet tych, które Krysia dla Agatki odkładała. I Krysia nic o tym nie wiedziała. Bo ty nawet nie wiesz, jak ja kłamać umiem. Każdy hazardzista umie.

Z tym samochodem to było tak, że musiałem go na Walczyńskiego przepisać, ale ubłagałem go, by pozwolił mi nim jeździć, wiedział, że tylko w ten sposób go spłacić mogę, gdy robotę mam i jeżdżę. I on zgodził się, ale ja nie miałem pieniędzy nawet na benzynę. Tyle już napożyczałem kasy od kumpli z postoju, że coraz częściej nikt ze mną

rozmawiać nawet nie chciał, drzwiczkami trzaskali i szyby podkręcali, jak wysiadałem. I wiesz kto mi wtedy kasę na paliwo pożyczył? Janicki. Dzięki niemu samochód zatankowałem i zakupy do domu zrobiłem, bo Kryśka zaczęła jójczyć, że może bym robotę zmienić, skoro z tej taryfy grosze same. I strach mnie znowu obleciał. I pilnować się musiałem bardziej. Na szczęście dużo wcześniej zabrałem z domu kluczyk do skrzynki na listy, bo zaczęły przychodzić wezwania do zapłaty z elektrowni i gazowni, spółdzielnia też chciała swój czynsz. A ja, wtedy, gdy tę pierwszą wygraną miałem w kieszeni, powiedziałem Krysi, że sam teraz zajmę się tymi opłatami, że ona nie musi się tym już martwić, bo i tak ma na głowie za dużo. I tak tę Krysię moją oszukiwałem na każdym kroku. A ona się o mnie martwiła, o zdrowie moje, i tak mnie błagała, bym do lekarza poszedł po leki jakieś. Tylko że nie leki, a mózg był mi potrzebny, nowy mózg, który nie byłby tym hazardem skażony.

[pociąganie nosem]

No, ale ja o tym kluczyku mówiłem, że...

[zgrzyt zapalniczki]

...że go przy sobie wozilem. Parkowałem z dala od domu i przemykałem do naszej klatki, żeby Kryśka mnie nie widziała. Wybierałem pory takie, kiedy listonosz chodził, wtedy za nim najchętniej na klatkę wchodziłem, nawet drzwi mu otwierałem, po to, żebym wszystkie te polecane z banku mógł podpisać i odebrać. I zawsze mi się udawało, nic do Krysi nie przeszło. Ale ostatnio...

[syk powietrza]

...ostatnio jak wpadłem do klatki, to patrzę, a po schodach wprost

na mnie Walczyński schodzi. I uśmiecha się tak lodowato jakoś. Nic nie powiedział, tylko minął mnie i wyszedł. Aż się spociłem cały, bo wiedziałem, co to znaczy, głupi nie jestem. To było ostrzeżenie takie.

Musiałem spłacić dług, inaczej Walczyński o wszystkim jej powie.

I wtedy Krysi mojej serce pęknie.

2

Zaparkował na wprost tylnego wejścia do budynku, przed którym rosło potężne drzewo. Pamiętał batalię o te dwa największe okazy dębów, które architekt musiał wziąć pod uwagę przy projektowaniu kina. Jedno rosło przed głównym wejściem od Czerwonej Drogi, a drugie właśnie z tyłu, wcinając się niejako w bryłę budynku. Niestety nie dawało teraz żadnego cienia. Słońce podgrzewało kostkę brukową na parkingu i karoserie niezbyt licznych aut. Nic dziwnego, latem o tej porze, nawet w piątek, nie było tu zbyt wielu miłośników filmowych wrażeń.

Bener wysiadł z samochodu i czym prędzej przeszedł w stronę przeszklonego wejścia, w pobliżu którego kusiły kartonowe sylwetki bohaterów najnowszych filmów, ale żadna nie zrobiła na nim wrażenia. W większości były to bajki, kino familijne albo przygody robotów lub innych superbohaterów. Nic dla niego.

Dostał się do wychłodzonego, ale śmierzącego popcornem wnętrza. Miał dwadzieścia minut do spotkania, postanowił wypić kawę i sprawdzić, co z dzisiejszym kolportażem „Echa Torunia”. Zadzwoił do szefa firmy, z którą współpracował, i uzyskał zapewnienie, że rozdawanie gazet rozpocznie się zgodnie z planem. Godzinę temu otrzymali paczki z drukarni i teraz dzielą je wśród stojkowych. Mimo

zaplanowanego spotkania z Moniką Żelazną Bener nie ściągnął z jedyńki jej zdjęcia ani tekstu o jej zaginięciu. Jeśli dziewczyna dziś się odnajdzie, to lawina zgłoszeń od czubków, którzy będą zarzekali się, że właśnie ją widzieli, nie zdąży nawet porządnie ruszyć.

Spojrzał na zegarek. Było tuż przed dwunastą. Rozejrzał się po kawiarni i holu, zszedł do toalet, ale przy klamkach zamontowano cyfrowe zamki, a ponieważ nie znał kodu, wrócił po schodkach na górę i wyszedł na dwór. Usiadł na ławce, podpierając brodę pięścią. Oba telefony położył przy udzie i czekał. Od czasu do czasu przejechał samochód. Do środka weszła całkiem zgrabna matka z bliźniakami.

Bener sprawdził godzinę i poczuł, jak rośnie w nim zdenerwowanie. Siedział w cieniu, ale pod pachami czuł już wilgoć. Wolałby mieć to już za sobą, spotkać się z Moniką i dowiedzieć się wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi. Bener znowu spojrzał na zegarek. Wstał i ponownie wszedł do holu kina. Nie znalazł tam nikogo znajomego, jeśli nie liczyć uśmiechającej się do niego matki bliźniaków. Wyszedł przez frontowe rozsuwane drzwi i stał chwilę po tej stronie. Potem wrócił i znowu stanął w pobliżu ławki przy wielkim drzewie. Zmrużył oczy i raz jeszcze zlustrował parking, przejeżdżające tu z rzadka samochody i przechodzących ludzi. Karoserie błyszcząły w słońcu, rozgrzane powietrze drgało.

Zawibrował telefon.

Uśmiechnął się, gdy zobaczył, kto dzwoni, i odebrał połączenie.

– Dzień dobry, tu Krzysztof Żelazny. Mogę zająć panu chwilę?

– Znowu chce mnie pan zwolnić?

– Przepraszam za tamto, ale to nie tak.

– To znaczy?

– Spotkamy się? Muszę się panu do czegoś przyznać.

– A przez telefon nie przejdzie? – Bener spojrzał na parkujący w pobliżu wyjazdu samochód. Audi A3 zatrzymało się tyłem do niego. Ruszył w jego stronę.

– Wolałbym porozmawiać.

– Aktualnie jestem zajęty, więc...

– To ważne.

– Jestem już umówiony i spóźniony zarazem. – Benera dzielił już tylko krok od samochodu, chciał przerwać połączenie.

Wtedy otworzyły się drzwi kierowcy i z auta wysiadł młody blondyn z gołą klatką, w bermudach i rozwiązanych adidasach. Poza nim nikogo w samochodzie nie było.

Bener minął zaskoczonego młodzika bez słowa i skręcił w lewo. Postanowił obejść obszerny parking, idąc ulicą biegnącą równoległe do kina.

– Jest pan tam jeszcze? – zapytał Żelazny.

– Jestem.

Mężczyzna nabrał powietrza.

– Spotkajmy się u mnie w domu, proszę.

– W jakim celu?

– W celu ustalenia prawdy.

– W sprawie zaginięcia Moniki?

– Tak. I jeszcze jedno. Jestem winien panu przeprosiny.

– Przyjęte, bo i tak wciąż jej szukam.

– To dobrze, ale nie chciałem przeproszać za to, że pana zwolniłem.

– To w takim razie za co? – Bener spojrział na zegarek, a potem na plac parkingowy. Wszystko nie tak. Zaczynał się martwić.

Usłyszał, jak Żelazny znowu nabiera powietrza i wypuszcza je wolno.

– Za to, że pana oszukałem.

3

Bener zatrzymał wóz przy kutym ogrodzeniu, za którym rozciągała się posesja Żelaznych.

Beata Szczot-Żelazna opierała się o framugę drzwi i otworzyła mu pilotem bramę. Wjechał po jasnej kostce granitowej na rondo przy domu i zostawił wóz na palącym słońcu.

Z krótkiej relacji ojca Moniki wynikało, że ostatni kontakt z córką miał w środę przed godziną dziewiętnastą, a wiadomość robocza, którą dziewczyna chciała wysłać do Benera, została zapisana na serwerze pocztowym wcześniej. Teraz rozumiał, dlaczego milczała i nie przyszła na umówione spotkanie.

Chociaż nie.

Bener dopiero to zauważył. Sięgnął po smartfon i trzymając kierownicę jedną ręką, drugą przeszukiwał folder wiadomości. Kiedy odnalazł SMS od Moniki, już wiedział, jak bardzo się pomylił. Otrzymał go później. A co, jeśli to nie ona wysłała tę wiadomość, tylko ktoś skorzystał z jej telefonu? To by wszystko zmieniało.

Oczywiście po rozmowie z Żelaznym Bener próbował skontaktować się z dziewczyną, ale bezskutecznie. Abonent był poza zasięgiem.

Bener wysiadł z wozu i przywitał się ze Szczot-Żelazną ubraną w sportowe spodenki i obcisły top. Jakby dopiero co skończyła trening.

– Mąż dzwonił, że przyjedziesz.

– Chciał ze mną porozmawiać.

– Ja też chciałam.

Pominał to milczeniem.

Spuściła wzrok, a gdy ją minął, zamknęła drzwi.

Weszli do środka. W domu było rześko, a klima pracowała niemal bezszelestnie.

Zaproponowała kawę, ale Bener odmówił. Powiedział, że chce coś jeszcze sprawdzić w pokoju Moniki.

– Trafisz?

Odpowiedział jej kiwnięciem głowy i ruszył schodami na piętro. W pokoju dziewczyny było gorąco jak w saunie. Bener odszukał pilota i włączył klimę.

Otarł krople potu z czoła i schylił się do przedłużacza pod biurkiem. Był włączony, więc ktoś musiał majstrować przy komputerze. Zajrzał do śmieci, ale kosz był już opróżniony i szeleścił w nim nowy worek. Po kolorowych wydrukach i podartych wierszach nie było już śladu. Potem zerknął do szafek. Był przekonany, że bielizna leżała inaczej niż poprzednio, a w szafkach było więcej miejsca. Monika musiała więc zabrać stąd część swoich ciuchów. Być może wracała tu często. Jeśli wiedział o tym Żelazny, mogła to robić, kiedy chciała, a jeśli ukrywała się przed rodziną, to na odwiedziny miała szanse jedynie w nocy, kiedy wszyscy spali.

Był to jakiś trop. Pytanie tylko, dlaczego później nie zabrała laptopa. A może zrobiła tak celowo, by nie wzbudzać niczyich

podejrzeń. To także sugerowało, że jej pierwsze wyjście z domu nie było planowane. Nie przygotowała się do niego. Teatr rozpoczął się później. Bener zanotował to wszystko w głowie.

Przeszperał inne szafki, pudełko z różnymi pierdołkami i nowymi bateriami. Porozglądał się, zerknął pod materac i za łóżko. Szukał zeszytu teścia, chociaż wiedział, że skoro Monika nie pisała z domowego komputera, to mogło znaczyć, że zdjęć też nie robiła tutaj.

Znowu wytarł czoło, a wilgotną dłoń osuszył na dzinsowych bermudach.

Pomyślał, że niczego więcej tu nie znajdzie, ale wtedy zwrócił uwagę na pilota od telewizora, który leżał na łóżku. Dałby sobie głowę uciąć, że poprzednim razem odłożył go na miejsce. Złapał go i skierował w stronę płaskiego ekranu. Nic się nie wydarzyło. Pomachał nim, postukał o udo, ale urządzenie nadal nie działało. Odwrócił pilota, żeby ściągnąć klapkę na baterie, ale wtedy usłyszał głos Szczot-Zelaznej.

– Marek.

Odłożył pilota.

Drzwi do sypialni naprzeciwko były uchylone, chociaż dałby sobie rękę uciąć, że kiedy wchodził do pokoju Moniki, pozostawały zamknięte. W lustrze zobaczył odbicie Żelaznej. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że siedziała w samej bieliźnie na taborecie przed toaletką. Podszedł po cichu, nie spuszczając z niej oka, a konkretnie z bioder oraz wąskiej talii. Patrzył na linię jej pleców i pocił się jeszcze bardziej, chociaż na korytarzu czuł zbawienny chłód

klimatyzacji. Krew zaczynała mu się zbierać w jedynie słusznym miejscu.

Staął w progu i popchnął drzwi, które cicho uderzyły w gumowy odbojnik.

Odwróciła się.

W tym jej spojrzeniu było przyzwolenie na to, by zrobił kilka kroków do przodu. Posłuchał tej niewypowiedzianej zgody, aż wreszcie stanął za plecami kobiety.

– Mamy mało czasu. – Sięgnęła za plecy i rozpięła biustonosz. Potem odwróciła się, zsunęła go z ramion i spuściła na podłogę. Spojrzała w górę i uśmiechnęła się do niego. Jej twarz znajdowała się na wysokości jego rozporka.

Gdy rozpięła mu spodnie, chwycił jej pełne, ciepłe piersi.

Była tylko jedna osoba, która pożyczyć pieniądze mi mogła. Jedna osoba, której do tej pory nie zawiodłem. No, może dwie... Tak. Właściwie to dwie.

Ale najpierw do obcego idziesz w takiej sytuacji, bo łatwiej i upokorzenie, i wstyd znieść. Więc poszedłem do Żelaznego, bo to dobry człowiek jest. I on mnie przyjął, nie powiem, normalnie jak gościa, i kawę postawił, i czekoladki wyjął. Powiedziałem mu, że chciałbym dalej dla niego pracować i dzieciaki wozić, ale że wóz mi się sypie, że tyle kilometrów tu do Złejwsi narobiłem, że to normalne, że się części zużywają. Ale on mądry chłop, więc mnie pyta, czy nie płacił wystarczająco dużo. A ja, że tak, że płacił i wciąż godnie płaci, i że dzięki niemu remont zrobiłem i dla chorej żony pieniądze na leczenie

mam, ale że jak to u biednych grosza zawsze brakuje. Tak mu w żywe oczy kłamałem, temu człowiekowi, którego właściwie po rękach całować powinienem, bo inni taksówkarze to by się zabić dali za robotę tak płatną, jak ta u Żelaznego. Ale ja kłamać umiem. Gdyby mi za kłamstwa płacili, to byłbym milionerem jakimś.

I Żelazny tak kiwał głową, że rozumie, ale przecież nie rozumiał, bo jeszcze mu nie wytłuszczyłem, z czym przychodzę do niego. A mi chodziło o pożyczkę na samochód właśnie. Żeby bezpieczniej jego dzieciaki wozić, bo to, co się na drogach dzieje, o pomstę do nieba woła, żeby boczne poduszki mieć i te systemy wszystkie, co dzięki nim wóz w poślizg nie wpada. I tak mu kłamałem i kłamałem, aż się złamał. Widać, że kłamać to ja umiałem. Następnego dnia kilkanaście tysięcy w torbie miałem i wszystko Walczyńskiemu zawiozłem, i uwierz mi błagałem go, żeby mojej Krysi nic nie mówił, że przecież wszystko splate, bo ja z dobroci serca pomóc Szamojskiemu chciałem, twojemu profesorowi, Marek, i wam też, a wyszło tak, że wszystkich na bombę wsadziłem.

[szумы]

Ale nie to było najgorsze, ten mój wstyd i to, że patrzeć sobie w oczy nie mogłem, że nie mogłem zrozumieć, co się ze mną stało, że mną, tym Edkiem Majewskim, takim racjonalnym facetem. Co się stało z głową moją? Bo skoro głowie swojej już ufać nie mogę, to nic tylko w ten durny łeb palnąć sobie.

Ale nie palnąłem. Ze strachu nie palnąłem, chociaż było trzeba.

[głębokie oddechy]

Musiałem wszystko odwrócić, odpracować, ale przede wszystkim

trzymać Walczyńskiego z dala od domu.

Dlatego o pożyczkę poprosiłem jeszcze Agatkę.

Moją córeczkę najukochańszą.

[płacz]

Co ja kurwa najlepszego zrobiłem?!

Boże, mój Bo...

4

– Do chujja Pana naszego, oszaleję za chwilę! – Żelazny usiadł na sofie tak jak jego żona, ale oboje zajmowali skrajne miejsca. Środek zionął pustką.

Oddzielał ich stół, na którym Szczot-Żelazna postawiła dzbanek z wodą. Pływały w nim plastry cytryny i liście mięty. Obok leżało dzisiejsze wydanie „Echa” z Moniką na okładce.

Bener nie wiedział, gdzie podziać oczy, podczas gdy oboje Żelazni patrzyli na niego. Nie chodziło o Żelaznego, ale o nią. Wciąż widział ją nago, chociaż teraz była ubrana w zwiewną sukienkę w kwiaty, sięgającą kostek.

– Ale zanim zacznę, powiem panu, dlaczego poprosiłem, żeby pan przyjechał. Bo ja panu jednak ufam i mam wrażenie, że przez ten czas mógł się pan dowiedzieć czegoś o Monice. Czegoś, czego ja – popukał się w klatkę piersiową – jeszcze nie wiem. Podkreślam jeszcze, bo Bóg mi kurwa świadkiem, że się dowiem, choćbym miał ziemię przemielić zębami.

Dziennikarz nie odzywał się, ziewnął dyskretnie, bo ogarniała go senność.

– Mam nadzieję, że pana nie zanudzam – warknął Żelazny.

– Mało spałem ostatnio – nie kłamał, ale nie to było powodem

spadku ciśnienia.

– Ja to prawie w ogóle już nie śpię. – Żelazny popatrzył na żonę, a ta machinalnie przytaknęła. – Ale wróćmy do meritum. Jeszcze raz przepraszam za to, że zataiłem przed panem prawdę. – Żelazny złapał się za skronie, lekko spuścił głowę, a jego żona złożyła dłonie na podołku. – Chodzi o to, że Monika zniknęła z mojej winy – powiedział, nie otwierając oczu.

Bener spojrział na Beatę, która wpatrywała się w swoje ręce. Potem przeniósł wzrok na niego. Był ubrany w długie płócienne spodnie i wygniecioną czarną koszulę z wywiniętymi rękawami. Blond włosy z widocznym przedziałkiem były nienagannie uczesane.

– Pokłóciliśmy się.

– O co?

– Rodzinne pierdoły. Zapewniam, że to nic ważnego. W każdej rodzinie zdarzają się sprzeczki, nikt kurwa święty nie jest, nawet papież.

– O co? – rzucił twardo Bener i przypomniał sobie, że jak było już po wszystkim i dyszał wtulony we włosy Szczot-Żelaznej, powiedziała mu cicho: „Nie wierz w żadne jego słowo”. Brakowało mu wtedy tchu, by dowiedzieć się więcej, a poza tym usłyszeli szum silnika i pomruk otwieranej bramy garażowej. W popłochu ubrali się i zbiegli do salonu. Byli zdziwieni, że długo nie nadchodził. Widocznie coś zatrzymało go przy samochodzie.

– Nagrałem jej dobrze płatną robotę na lato u znajomego, bo chciała jechać gdzieś na wakacje z przyjaciółmi. Potem okazało się, że

wystawiła mnie do wiatru, bo sama sobie coś znalazła. Ale mało tego, że było mi głupio przed znajomym, to jeszcze okazało się, że lato z przyjaciółmi to tak naprawdę lato z jej nowym facetem. Powiedziałem jej, że nie będziemy pogrywać tak ze sobą, że w tym domu, dopóki bije moja pompka, nie będziemy sobie w żywe oczy kłamać i ruchać się w tyłek, jak tylko ktoś się odwróci plecami. O nie! Poprosiłem, by najpierw pokazała mi tego absztyfikanta, bym go poznał. Wtedy wypaliła, że już go znam, że to mój kolega jakiś! – Żelazny poczerwieniał na twarzy, zaczął machać rękami, a kiedy mówił tryskał śliną.

– Krzysztof, uspokój się – powiedziała Szczot-Żelazna i poprawiła kasztanowe włosy.

– To jej wygarnąłem, że z żadnym z moich kolegów bzykać mi się nie będzie, że jest za młoda na takich, że życia sobie z żadnym marnować nie będzie, bo kiedy ona będzie w pełni sił, to jej fagas może już mieć demencję. Bo rozumie pan przecież, że ja dla swojej córki dobrze chciałem. Ale fakt, nie wytrzymałem wtedy.

– I co?

– I ją w twarz pizdnąłem!

Zapadła cisza przerywana posapywaniem Żelaznego, którego mina zdradzała, jak bardzo tego żałował. Gotował się cały i patrzył na swoją otwartą dłoń jak na winowajcę tamtego zdarzenia.

– Własne dziecko w twarz! Kurwa mać! – Żelazny zacisnął pięść i trzasnął w blat stołu. Podskoczyły piloty, woda w szklankach i dzbanku zakołysała się.

– Kto to jest?

– Ten jej fagas? Pojęcia nie mam, ale nie jest już moim kolegą!

Urwę mu jaja przy samej szyi, gdy tylko się dowiem.

– Co było dalej? – Bener nie zamierzał czekać, aż Żelazny zacznie płakać i obwiniać się jeszcze bardziej.

– Wyszła z domu. Tak jak stała.

– Kiedy to było? W niedzielę przed urodzinami znajomej?

– Tak, właśnie wtedy.

– I dalej było wszystko tak, jak pan twierdził? Że zawiózł ją syn na urodziny Patrycji Radosz?

– Nie. Nie wiem, co było dalej, ale wiem, że była na tej imprezie.

– A telefony odbierała od pana?

– Z początku nie, ale potem odpowiadała na SMS-y. Prosiłem, żeby przysłała, żebyśmy porozmawiali.

– Ale nie zgodziła się.

– Prosiła o czas.

Bener notował to wszystko w głowie.

– Czy przychodziła do domu pod waszą nieobecność?

– Nie – odpowiedziała Beata. – Miała swoje klucze, ale nie była tu od tamtego czasu. Jestem o tym przekonana.

– A niby dlaczego?

Żelazny spoglądał to na Benera, to na żonę.

– Zauważylibyśmy to, mąż późno się kładzie spać, ja czasami budzę się w nocy. – Potarła szyję koło ucha, dokładnie to miejsce, które Bener niedawno całował.

– Przecież mogła to robić wtedy, kiedy byliście w pracy.

– Ale wtedy w domu jest Michał. – Kobieta spojrzała na Żelaznego.

– A dziś go przecież nie ma, tak?

– Nie pomyślałem o tym – przerwał Żelazny. – Ale co to właściwie zmienia?

Bener sam jeszcze nie wiedział.

– A pieniądze? – postanowił zmienić temat.

Żelazny zmieszał się.

– No właśnie, jakie pieniądze – podchwyciła Szczot-Żelazna wyraźnie zaniepokojona.

Jej mąż sięgnął po szklanekę i wypił wodę duszkiem.

– Nie mówiłem ci, żebyś się tak nie nakręcała.

Dziennikarz obserwował małżonków. Kobieta spuściła głowę i kręciła nią z niedowierzaniem, Żelazny otarł usta.

Bener przypomniał sobie, że biznesmen twierdził, że o braku pieniędzy w barku powiedziała mu żona.

„Nie wierz w żadne jego słowo”.

Miał dość Żelaznych, ich kłamstw, matactw i problemów. Rzuciłby to pieprzone śledztwo w diabły, gdyby nie to, że chodziło o Monikę. Albo inaczej, gdyby nie to, że chodziło o Agatę. Bo w końcu Monika chciała mu przekazać coś, co dotyczyło Agaty i jego teścia. Tylko to trzymało go przy tej sprawie.

– No więc co z tą forszą? Zniknęła naprawdę? – Patrzył raz na nią, raz na niego.

– Zniknęła i cały czas wydaje mi się, że zabrała ją Monisia – dodał

ze smutkiem Żelazny. – I nie chodzi o to, że mam do niej pretensje...

– Ale po co zabrała pieniądze? Czy ma pan biednych znajomych? – zaryzykował głupie stwierdzenie. – Poza tym mówił pan, że nagrała sobie pracę.

– Panie Marku, to kwestia przeczucia – stwierdził Żelazny. – Nie ma pan dzieci, to co pan może wiedzieć.

Benerowi drgnęła powieka, bo właśnie zobaczył Agatę w zaawansowanej ciąży. Zacisnął mocniej zęby. Miał ochotę przywalić w pysk Żelaznemu. Widział nawet łeb biznesmena odskakujący po lewym prostym i niezdarne próby zatamowania krwawienia ze złamanego nosa, podczas gdy strumień świeżej krwi wypływa spod jego dłoni i skapuje z brody na blat stołu.

– Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać? – zapytał zamiast bić.

– Bo teraz nie mam z nią żadnego kontaktu.

– Od kiedy?

– Od środy wieczorem, tak po dziewiętnastej chyba. Nie odpowiedziała wtedy na moje wiadomości, nie odbierała telefonu.

– Czy tym razem zgłosił pan sprawę policji?

– To delikatna sprawa...

– Co w tym delikatnego? Przecież chodzi o pana córkę.

– Nic pan nie rozumie – zachnął się biznesmen.

– To niech mi pan to do cholery wyjaśni! – Bener warknął, przysuwając się do stołu. Lewą dłoń zacisnął w pięść i oparł na udzie.

– Toruń to taka duża wiocha, wszyscy się znają. Zgłoszę się na policję, a jutro znajomi będą o tym gadać. Chciałbym to załatwić po

cichu. Dlatego wynająłem pana.

Bener chciał mu odpowiedzieć, ale Żelazny powstrzymał go ruchem rąk.

– Wiem, jeszcze nic nie zapłaciłem, ale jestem honorowy, kurwa mać! U mnie słowo droższe od pieniędzy i świętości każdej jebanej! – Wstał i podszedł do barku, a potem wrócił do stołu i położył na nim grube zwitki dwustuzłotowych banknotów.

– Resztę zapłacę, gdy wróci pan do mnie z Moniką. Po cichu, bez rozgłosu. Pan to załatwi najlepiej. Nie policja.

Bener uznał rozmowę za zakończoną. Ostatni raz spojrział na Żelazną, potem wstał, zabrał pieniądze i skierował się do wyjścia. Biznesmen szedł za nim.

– Jeszcze jedno – rzucił Żelazny, kiedy stali na zewnątrz w palącym słońcu, i wskazał na krocze Benera. – Niech pan nie robi przeciągu, bo pindolka pan przeziębi.

Żelazny był śmiertelnie poważny, a Bener spojrział na bermudy i uśmiechnął się na tyle, na ile w tej sytuacji potrafił, po czym zapiął rozporek.

Żelazny uściśnął mu dłoń, a następnie podszedł do forda Benera, kucnął przed maską i wyciągnął spod samochodu brązowy karton, na którym zebrała się nieregularna plama oleju. Błyszcząca w słońcu.

– Kapie ze sprężarki i spod głowicy – rzucił i pilotem otworzył bramę.

5

Bener wszedł do domu i położył klucze na stole, tuż przy wydrukach zdjęć.

– Aldona?

Żadnej odpowiedzi. Pewnie zabrała drugi komplet kluczy, który zostawił dla niej na schodach, i poszła do redakcji.

Popatrzył przez chwilę na zdjęcie Agaty, ale nie wytrzymał jej wzroku. Obrócił ramkę zdjęciem do dołu.

Jeszcze zanim wyjechał ze Złejwsi, dopadły go wyrzuty sumienia. Kolejny raz zawiódł Agatę, kolejny raz uległ prymitywnym instynktom i jak zawsze w takiej chwili zastanawiał się, co zrobi i co powie Agacie, kiedy już ją znajdzie. Próbował uspokoić się muzyką, ale trafił akurat na sentymentalny kawałek, *Do kołyski* Dżemu, z ich przedostatniej płyty studyjnej i kiedy Maciek Balcar śpiewał, że cały ten świat nic nie znaczy, Bener wierzył, że nie chodzi o świat, ale o niego. Że właśnie on się tu zupełnie nie liczy, że jest zerem.

Bał się spojrzeć swojej żonie w twarz, bał się o niej śnić, bo wiedział, że musi przyznać się do wszystkiego, że znowu ją skrzywdził. A jednocześnie usprawiedliwiał się, że to tylko seks, że w życiu nikt nie liczył się dla niego tak jak Agata. Problem tylko w tym, że z dnia na dzień tracił ją, wymykała mu się jak jakaś zjawą, której nijak nie

umiał zatrzymać.

Musiał splukać z siebie winę. Wszedł pod prysznic i długo stał pod chłodnym strumieniem wody.

Potem otworzył piwo i zadzwonił do Aldony.

– Wszystko gra, tematy na nowy numer uzgodniłam, przejechałam się też po skrzyżowaniach i sprawdziłam, jak idzie rozdawnictwo.

– I jak?

– Jest dobrze, jak zawsze.

– Świetnie. – W jego głosie jednak nie było słychać radości.

Zapadła chwila ciszy.

– Ale z nami nie jest dobrze. Musimy pogadać. Gdy skończysz, to wpadnij – powiedział i się rozłączył.

6

Do wieczora skupił się na pracy, zapoznał się z tematami zaproponowanymi przez współpracowników. Wysłał im, a Aldonie do wiadomości, swoje pomysły na ich teksty, czyli to, co mają uwypuklić, a czego wystrzegać się jak ognia. Zawsze tak robił, żeby w trakcie składania tekstów i przy wypłacie nie było rozczarowań.

W przerwach spoglądał na wydruki zdjęć, przekładał je, układał w nowych konfiguracjach, ale cały czas coś mu tu nie grało. I nie chodziło o brak syna Żelaznego, bo zamiast zdjęcia po prostu na kartce napisał jego imię i nazwisko. W niczym to jednak nie pomogło. Nadal widział tyle samo, czyli niewiele.

Włączył *Frantic*, mniej więcej od połowy, żeby zagłuszyć swoją samotność. Słyszał filmowe dialogi, ale w pewnej chwili przestał już zwracać uwagę na to, co działo się na ekranie. Myślami wciąż odpływał od fabuły. Ucieszył się więc, kiedy usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach wejściowych.

– Otwarte – krzyknął i po chwili zobaczył, jak Aldona weszła boso do salonu. Na nogach miała długie i luźne spodnie, które zakrywały jej ranę na kolanie i siniaki na udach.

– Kawy czy piwa?

– Zdecydowanie wody – odparła i usiadła przy stole.

Ugasiła pragnienie, a potem w skupieniu opowiedziała mu wszystko. Także i to, że materiał, który przygotowywała o hazardzie, miał być jej biletem do lepszego świata, przepustką do redakcji w Warszawie. Po jego napisaniu chciała rozpocząć szukanie pracy. Bener docenił jej szczerość, zrobiło mu się smutno, ale wiedział, że nie zatrzyma jej w „Echu” do emerytury. W świecie, w którym obecnie się obracał, dominowało kłamstwo ukryte w kolejnym kłamstwie, jak baba w babie. Aldona tymczasem wносиła spokój i opanowanie. I prawdę. Nie odzywał się i nie krytykował, a już w żaden sposób nie chciał jej powiedzieć, że przeczuwał problemy i prosił ją o ostrożność. Słuchanie było dobrodziejstwem.

Upewnił się, że Terleckiej nic się nie stało, bo czuł się za nią odpowiedzialny.

– Zgłaszamy to na policję? – zapytał.

– Nie. – Aldona brzmiała zdecydowanie, więc nie kontynuował tego wątku. Wstał i oddał jej ukryte w szafce pod telewizorem pieniądze, które przekazał mu Neumann. Popatrzyła na nie i uśmiechnęła się smutno.

– To co teraz zrobisz? Będziesz dalej pisała o hazardzie? – zagadnął.

– Nie ma szans. I nie chodzi tu o strach. Nie mam żadnych dowodów na nielegalne działania Neumanna. Poza tym jestem już spalona. Musiałabym zapuścić brodę i wąsy, a do tego ogolić się na łyso, żeby znowu próbować wejść do tej jaskini.

Bener zaśmiał się, gdy wyobraził sobie Aldonę w męskiej wersji.

– Ewentualnie mogłabym dotrzeć do kobiety, którą widziałam w Czterech Kolorach. – Opowiedziała Benerowi o tej sytuacji.

Ten wzruszył tylko ramionami.

– A wiesz, gdzie mieszka?

– Gdzieś na Rubinkowie, przy Buszczyńskich chyba. Tyle usłyszałam, jak ten drwał wsadził ją do taksówki.

Bener nadstawił uszu. Przy tej ulicy mieszkała jego teściowa. Poprosił o więcej danych i był już niemal pewien, że wszystko się zgadza. Mogła to być ta sama kobieta, której omal nie potracił nerwus w opłu. Mało tego, po chwili pojawił się tam przecież Steinmeier!

– Ale już jej nie ma – kontynuowała Aldona.

– Jak to? – zapytał, bo na chwilę przestał słuchać.

– Przeszłam się dziś obok tej restauracji. Trwa tam remont.

– A to ciekawe. – Bener zagwizdał.

Musiał odciągnąć Aldonę od sprawy podziemnego kasyna i pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby pomogła mu przy jego śledztwie. Poza tym świeże spojrzenie na to, co sam do tej pory odkrył, byłoby wskazane. Może dostrzegłaby coś, czego Bener wciąż nie widział?

Marek streścił pokrótce Terleckiej ostatnie wydarzenia i pokazał zdjęcia z poczty Moniki. Aldona spojrzała na rozłożony na ławie kolaż i zatrzymała wzrok na ramce ze zdjęciem Agaty.

– Czemu je odwróciłeś?

Bener udał, że nie słyszał. Aldona sięgnęła po kartkę, na której Marek zapisał imię i nazwisko syna Krzysztofa Żelaznego.

– A co z nim?

– Nie wiem, nie mam z nim kontaktu. Dziwny gość, jakiś taki śliski
– skrzywił się.

– Nie lubisz go.

– Nikogo z Żelaznych nie lubię – skłamał. – Taka, wiesz, rodzinka Adamsów. Ale muszę odnaleźć Monikę.

– To co mam zrobić? – spytała, patrząc na laptop.

– Znajdź jego zdjęcie, bo mi się nie udało. Może na Facebooku?

– Okej. – Aldona przysunęła laptop bliżej siebie i zaczęła stukać w klawiaturę. Bener poszedł do kuchni, ale nawet nie zajrzał do lodówki, bo wiedział, że znajdzie tam tylko browar. Ostatnio nie zrobił żadnych zakupów, musiał więc pojechać do sklepu i przywieźć coś na kolację. Dopił piwo i zostawił Aldonę grzebiącą w sieci.

Słońce już zaszło, więc zrobiło się nieco chłodniej. Na niebie pojawiło się sporo gęstych i ciemnych chmur.

Wsiadł do samochodu i pojechał do najbliższego marketu. Zapakował do koszyka chleb i parówki, wziął też gotowe nuggetsy i dwa sosy, potem zgarnął z półki słone paluszki, chipsy oraz karton piwa. Stanął w kolejce do kasy i dopiero się zorientował, że nie zabrał ze sobą telefonów.

Zapłacił i wrócił do domu.

Otworzył drzwi i zobaczył, że Aldona rozmawia przez komórkę. Odwróciła się do niego i położyła palec na ustach. Zrozumiał. Przeszedł do kuchni i tam rozpakował torby. Gotowe kawałki mięsa włożył do mikrofal i podgrzał. Piwo wstawił do lodówki.

– Rozumiem – usłyszał.

Przyniósł talerze i ustawił w drugiej, wolnej części stołu. Doniósł zarcie i nowe piwa. Aldona pokazała mu palcem na drukarkę.

Podszedł do maszyny i zdjął z podajnika kartkę z kolorowym zdjęciem Michała Żelaznego. Wiedział, że Aldona się spisze. Położył wydruk na stole i dopiero teraz przypatrzył się koleżance. Rozmawiała przez jego telefon.

– Dziękuję, do widzenia. – Rozłączyła się w chwili, gdy Bener zanurzył kawałek kurczaka w pikantnym sosie, a następnie włożył go sobie do ust.

– Co jest? – Przegryzł kruche mięso.

– To on.

– Kto?

Aldona sięgnęła po kartkę, którą Bener przyniósł z drukarki.

– Michał Żelazny.

– No przecież wiem. Dobra robota – pochwalił.

– To Dolar. To on wydał mnie Neumannowi.

7

Przejeżdżał właśnie przez tory w pobliżu świątyni ojca dyrektora, której do dziś nie umiał poprawnie nazwać, pamiętał, że była pod wezwaniem jakieś Gwiazdy (niestety nie bluesa ani rocka, bo pewnie zapamiętałby od razu) i papieża Polaka i że ktoś kiedyś określił tę architekturę mianem największej wyciskarki do cytrusów. Bener nigdy nie był wewnątrz, ale widział na zdjęciach kiczowate witraże, w tym ten z samym ojcem dyrektorem, i to mu wystarczyło. Nie odczuwał wewnętrznej potrzeby odwiedzenia tego kościoła.

Nocą ruch był niewielki, Bener jechał więc przez jakiś czas na długich. Owady z głośnym pacnięciem rozbryzgiwały się o szybę. Wiatr szumiał przez otwartą boczną szybę i targał jego kitką.

Michał Żelazny nie odbierał, a jego ojciec bąknął coś, że syn jest bezpieczny i teraz najważniejsze jest odnalezienie Moniki.

„Nie wierz w żadne jego słowo”.

Bener nie zastanawiał się dłużej. Ruszył do Złejwsi Małej, a Aldona miała przeszperać pliki teścia, które Rak odzyskał z pendrive'a. Wiedzieli już jedno. Hazard zataczał coraz szersze kręgi, Żelazny miał problemy finansowe, a Neumann rządził podziemną jaskinią, którą na chwilę zamknął pod pretekstem remontu. A może nie zamknął wcale, tylko szyby w restauracji okleił od zewnątrz. Dolar

mógł być bezpieczny, ale Monika już nie.

Zanim dojechał do rezydencji Żelaznego, przejechał przez Górsk w poszukiwaniu siedziby spółki Żelaznego i Neumanna. Podpytywał okolicznych mieszkańców o BJ Invest, ale o tej porze nikt specjalnie rozmowny nie był i nikt też nie wiedział, o jaką firmę dokładnie chodzi. Odjechał więc w stronę Złejwsi. Podobnie jak ostatnio schował samochód w przecince oddzielającej gęstą i wysoką zielenią działkę Żelaznych od czarnych, świeżo przeoranych pól. Na poddaszu nie paliło się żadne światło, na parterze, przynajmniej od frontu, też nie.

Bener podkradł się do ogrodzenia z boku posesji i znalazł miejsce, w którym wysokie i gęste tuje zastąpiły kubły na śmieci. Wystarczyło, by wślizgnąć się do ogrodu w pobliżu garażu zasłaniającego front domu. Garaż miał tylko jedno poziome okno i Bener był przekonany, że nikogo w nim nie było, bo nie paliło się tam światło.

Przeskoczył płot i wylądował na wypielegnowanym dywanie z trawy.

Na razie nie znalazł się w zasięgu czujki załączającej zewnętrzne halogeny. Podbiegł do ściany i pierwszego okna. Najostrożniej, jak potrafił, zajrzał przez szybę do salonu. Nie dostrzegł nikogo ani w nim, ani znajdującej się dalej kuchni. Przy okazji zabił już dwa komary, które najpierw bzycały mu nad uchem, a potem ugryzły go w kark i przedramię.

Schylił się i przemknął pod oknami salonu, docierając niezauważony na tyły domu. Tam usłyszał jakieś szmery i zamarł. Wytknął głowę zza węgła. Na oświetlonym tarasie w rattanowym

wiszącym fotelu bujała się Szczot-Żelazna. Tyłem do niego. Jedną nogą odpychała się od kamiennej posadzki, drugą stopę oparła o rant fotela. Kilka metrów dalej stała drewniana altana kryta strzechą, a obok był podświetlany basen, nad którym wisiała czarna chmara owadów.

Nie bardzo wiedział, co teraz robić. Każdy ruch mógł go zdradzić, a powrót nie wchodził w grę. Trwał nieruchomo, ale nabrał przekonania, że jeśli będzie tak stał wystarczająco długo, komary zjedzą go żywcem, a rano w tej pięknej trawie Żelazni znajdą bladego trupa z bąblami po ukoszeniach.

Raz jeszcze wyjrzał w stronę Beaty Szczot-Żelaznej. Jedyne światło na tarasie dawały dwie płonące pochodnie. Ogień palił się równo, nie skakał i nie miotał się.

Nagle ciszę przerwała głośna, skoczna melodia, a Bener mało nie podskoczył. Zadudniło mu serce, bo właśnie sobie przypomniał, że nie wyciszył swoich komórek. Zrobił więc to natychmiast drżącą ręką.

– Słucham – rzuciła Żelazna. – Tak, jestem. Czego chcesz?

Bener wychylił się, żeby lepiej słyszeć, i spojrzał w jej stronę w chwili, gdy kolejny komar dziabnął go w łydkę. Próbował zemścić się na nim przy pomocy drugiej nogi.

– Tylko jeśli to konieczne – powiedziała Beata. – Dobrze, zaczekam. A Krzysztof o tym wie?

Kobieta sięgnęła po kieliszek wina i wypija resztkę. Ściągnęła koc wyściełający fotel i zabrała ze sobą razem ze szkłem. Po chwili Bener usłyszał odgłos zamykanych drzwi tarasowych.

Spojrzał na altanę, ale nie ruszył najkrótszą prowadzącą do niej drogą. Dосkoczył do żywopłotu i pochyłony przeszedł, ocierając się o miękkie gałęzie, aż na sam koniec ogrodu. Ominął w ten sposób czujki świetlne. Ale kiedy doszedł do wyższych krzewów na końcu działki, ogród rozblysnął światłem. Bener padł w trawę i podczołgał się na tyły altany. W poprzednim życiu musiał być komandosem, przynajmniej tak to sobie teraz wyobrażał. Nie wiedział tylko, jak komandosi radzili sobie z komarami.

Oprócz bicia własnego serca i bzyczenia tych małych kurwisonów nie słyszał niczego więcej, liczył więc, że nadal pozostał niedostrzeżony.

Było tuż po dwudziestej drugiej, więc uznał, że światło uruchomił programator, a domownicy – o ile w domu był ktoś więcej poza Szczot-Żelazną – mogli tego nawet nie zauważyć. Uspokoił się i wyjrzał zza altany.

Kucając, przedostał się do drewnianej budki i usiadł w niej pod ścianą na podłodze, tak by nie rzucać się w oczy. Dodatkowo chroniła go niska drewniana balustrada. Między sztachetami widział jak na dłoni salon, w którym siedział dziś i rozmawiał z Żelaznymi. Wolał nie myśleć o tym, co wcześniej wydarzyło się na poddaszu, ale trudno było nie wracać do niedawnych wspomnień, skoro cały czas miał na oku tę kobietę. Siedziała w fotelu i przełączała programy w telewizji.

Czekał w ciszy, a raczej wśród dźwięków natury, które dopiero teraz był w stanie wyłowić z otoczenia. Cykały świerszcze, gdzieś w oddali zaszczekał pies, z koron pobliskich drzew dochodziło pogwizdywanie

ptaków. Czułby się jak na odpoczynku w SPA, gdyby nie to szaleńcze bzyczenie wygłodniałych wampirów. Trzaskał się otwartą dłonią raz po karku i czole, raz po nogach i ramionach, i był pewien, że jeśli nie stanie się cud, oszaleje.

Na szczęście najpierw zobaczył, jak Szczot-Żelazna wstaje i wychodzi z salonu, potem dotarł do jego uszu wyraźny szum silnika i snop światła, który omiótł żywoplot po lewej. Kiedy dźwięk ucichł, trzasnęły drzwiczki.

Przysunął się bliżej sztachet i czekał. Przez dłuższy czas w pokoju nikt się nie pojawiał. Najpierw zmartwił się, że być może kierowca – kimkolwiek był – wręczy coś Żelaznej i odjedzie. Może chodziło tylko o jakąś dostawę. Potem jednak Żelazna weszła do salonu i odwróciła się w stronę gościa, którego Bener nie widział ze swojej kryjówki. Poruszyło go jednak coś w jej zachowaniu, krótkie, nerwowe gesty. Przesunął się, ale nic to nie dało. Musiałby wyjść z ukrycia i przykleić się do przeszklonych drzwi na taras, ale wtedy równie dobrze mógłby po prostu wejść do środka i zaproponować deser.

Czekał więc i czekał.

Szczot-Żelazna zniknęła mu z oczu, może przeszła do kuchni. Widział teraz jedynie komplet wypoczynkowy i telewizor, w którym pokazywano skróty z igrzysk olimpijskich. Bener spojrział na zegarek, potem na oba telefony. Na razie nikt nie dzwonił. Zauważył, że poluźniła mu się sznurówka, więc poprawił wiązanie, a kiedy z powrotem przeniósł wzrok na dom Żelaznych, przeżył szok.

W salonie tuż przy drzwiach tarasowych stał mężczyzna i patrzył

na ogród. Bener nie ruszał się, żeby nie ściągnąć jego wzroku.

Facet odwrócił się dopiero, gdy w salonie z powrotem pojawiła się Żelazna i podała mu reklamówkę. Wyraz jej twarzy zdradzał zdenerwowanie. Mówiła coś, a może krzyczała, gwałtownie przy tym gestykulując.

Nie słyszał niczego, a jednocześnie obawiał się, że odwiedziny zbliżają się do końca. Wykorzystał moment, kiedy Żelazna zniknęła mu z oczu, i skulony przebiegł do żywopłotu. Pędem wrócił do samochodu, uruchomił go, zawrócił kawałek dalej, a potem znowu stanął w przecince i zgasił silnik. Na razie jednak przyglądał się lśniącemu w ogrodowych światłach samochodowi.

Był to granatowy ford S-max.

Zadzwońtem do Agatki mojej i o spotkanie poprositem, a ona chciała zebym wpadł z mamą do was, ale ja nie o takie spotkanie prositem, powiedzialem tylko, że w cztery oczy to załatwić musimy. Że proszę ją o to, jak ojciec rodzoną córkę. Zrozumiała i wiem, jak bardzo musiała się bać wtedy, a przecież w ciąży była.

[niewyraźny głos spikera radiowego]

Znajomego na terapię najpierw podwiozłem, ale nie Szamojskiego, bo tego już jakiś czas nie widziałem, telefonów nie odbierał, wstyd mu może było, czy jak? A potem prosto z Bydgoskiej na spotkanie z Agatką pojechałem. Na cmentarz. Był koniec października, wszyscy przygotowywali groby, jeszcze widno było. Zdjęcia tam swoje jakieś robiła. Spotkaliśmy się i tu, w tym samochodzie, wyplakałem się jak dziecko. Że przegrałem wszystko, że całe swoje życie i matki życie na

stare lata zniszczyłem. Że jestem już wrakiem człowieka i że nie ma dla mnie ratunku. Bo próbowałem się leczyć, ale patologiczny hazardzista to człowiek z uszkodzonym mózgiem, że nie każdy z tego gówna wychodzi, nawet jak próbuje, i że ja próbowałem, i że miałem te pieniądze dla was odłożone i dla wnusi mojej kochanej.

I widziałem łzy Agatki. Widziałem, że ona nie potrafi w to uwierzyć, że to musi być koszmar dla niej jakiś. Ale ja jej pokazałem wszystkie te pisma, które wyciągałem ze skrzynki, kredyty, które nabrałem, i chwilówki, które miałem mieć dawno spłacone, i te z elektrowni wezwania wszystkie, i ze spółdzielni też. Mówiłem, że już dłużej tego nie wytrzymam, że palnę sobie w łeb, z mostu się rzucę, pod koła ciężarówki wskoczę albo pod pociąg. Miałem takie wizje, że to wyjście jedyne jest dla mnie. I tak to mówiłem lekko i z przekonaniem, nie wiedząc chyba, że jeszcze bardziej ją wystraszę, a przecież nie tego chciałem. Aż za brzuch się złapała biedna, bo ją zabolalo tam. Aż się skrzywiła, pamiętam.

[odgłosy radiowej rozmowy]

Same nieszczęścia sprowadzam na innych, tyle jej powiedziałem.

I wtedy ona obiecała, że mi pomoże. Że da mi część pieniędzy, że ona też odkładała na innym koncie pieniądze z różnych fuch swoich. I że ona przejrzy te moje wszystkie papiery, te wszystkie długi moje, i sama zdecyduje, za co zapłacić najpierw. Ale żadnych pieniędzy mi nie da, bo się boi, że grać znowu zacznę.

Wiedziałem, że Walczyński zrobi to samo ze mną, co z kobietą z Toporzyska, tyle tylko, że w przeciwieństwie do niej ja na to sobie

zasłużyłem. Przekonałem Agatkę i obiecałem, że będę się leczył i że na terapię wrócę, że może mnie sprawdzić, i na spotkania Anonimowych Hazardzistów chodził znów będę. Bo ona mówiła, że ludzie nie z takich rzeczy wychodzili, więc i ja sobie poradzę, że zawsze mi pomoc może, ale leczyć się trzeba, to pewne, tak mówiła ta moja piękna, mądra i dobra córeczka kochana.

[trzaski w radiu]

Zawiodłem ją wtedy.

Dlatego tak płakałem. Bo nie nad sobą się użalałem, tylko nad nimi dwiema, nad Agatką i Krysią moją, że taki im los zgotowałem.

Tak ją zawiodłem bardzo.

[cisza]

Ale ona to mnie nigdy nie zawiodła.

8

Aldona wypić herbatę i połknęła dwie tabletki przeciwbólowe. Puste opakowanie wyrzuciła do wiadra na śmieci w kuchni.

Rwanie w prawej nodze i pulsujący ból w skroni nasilał się. Niewiele pamiętała z niedawnych wydarzeń u Neumanna i to ją w jakiś sposób ratowało. Odczuwała jedynie echo strachu i miała w głowie zaledwie fragmenty obrazów z piwnicy. Ciemność i światło, strach i ból. Nic więcej. A potem tylko kurz i pył w ustach i w nosie, gdy wyrzucili ją na szutrowej drodze. I głos Benera. Dopiero wtedy poczuła się bezpiecznie, chociaż wciąż nie zdawała sobie sprawy, ani gdzie jest, ani co jej zrobili.

Usiadła z powrotem do komputera i zabrała się do folderu, który pokazał jej Bener. Lista plików była ułożona alfabetycznie, ale to nie dawało jej żadnych szans na skuteczne przeszukanie zawartości. Pliki miały dziwne nazwy numeryczne. Woląla zmienić ustawienia foldera i ułożyła je według rozszerzeń, bo w pierwszej kolejności mogły ich interesować zdjęcia i pliki tekstowe. Cała reszta nie miała większego znaczenia.

Zaczęła od tekstowych, które znalazły się na samej górze. Klikała na różne z nich, najpierw kolejno, potem wyrywkowo. W ten sposób odkryła kilka wierszy autorstwa teścia Benera. Nie były to bzdurne

rymowanki, widziała w nich jakiś głębszy sens i postanowiła o tym Benerowi powiedzieć. Potem szperała dalej, ale trafiała na jakieś pisma do banku z prośbą o prolongatę spłaty, a także do energetyki i wodociągów, mniej więcej tej samej treści. Znalazła też kilka reklamacji.

Minęło piętnaście minut, a Aldona nadal nie posunęła się o krok. Wciąż nie miała niczego, co mogłoby zainteresować Benera.

Wstała od stołu i włączyła telewizor, chciała, żeby coś do niej gadało i przepędziło nadciągające znużenie i zmęczenie.

Ziewnęła, przeciągnęła się i poszła do kuchni po wodę gazowaną z lodówki. Nalała sobie pełną szklankę. Wycisnęła do niej cytrynę, gdyby jakaś tu była.

Z powrotem usiadła przed ekranem i skusiła się na polędwiczkę z kurczaka w panierce. Okazało się, że zimne też nie były złe. Umoczyła w sosie barbecue i przegryzła.

Kliknęła na kolejny plik.

Tym razem dłużej przyglądała się treści wyświetlonej na monitorze.

To nie był wiersz ani żadne pismo.

Ekran wypełniała tabela z zapiskami.

Przypomniało to do złudzenia coś, z czym zapoznała się kilka dni temu.

Spojrzała na zegarek, było przed dwudziestą trzecią. Późno, ale nie aż tak.

Wybrała numer do Joanny Żyndy, terapeutki. Odczekała cztery

sygnały i rozłączyła się.

Terlecka przejrzała zapiski Majewskiego i postanowiła poszukać odpowiedzi na swoje pytanie w internecie, ale zanim wrzuciła odpowiednie hasło do Google'a, zadzwonił telefon. Aldona odebrała i zapytała Żyndę o tabele myśli automatycznych. Psycholożka wyjaśniła, że ma ona dwa podstawowe zastosowania. Pacjenta informuje o tym, jak zmienić negatywne myśli i zachowania, a terapeutę o sytuacjach, z którymi pacjent ma w danym czasie do czynienia i jego reakcjach na konkretne bodźce.

– Stosuje się je w terapii z hazardzistami? – dopytała Aldona.

– Tak, bardzo często.

9

Pojechał za Steinmeierem.

Z jednej strony cieszyła go noc, bo trudniej po ciemku rozpoznać we wstecznym lusterku markę samochodu, z drugiej jednak ruch był niewielki i nie powinien cały czas siedzieć Niemcowi na ogonie, kierowca mógł się w końcu zorientować. Bener zachowywał duży odstęp, przynajmniej taka strategia sprawdzała się w drodze do Torunia. W mieście, już na wysokości oczyszczalni ścieków, zbliżył się, ale jechał drugim pasem. Steinmeier skręcił w lewo przy galerii Plaza i pognał w stronę lotniska. Wszystko wskazywało na to, że najkrótszą drogą pojedzie na Wrzosy. Dziennikarz postanowił nieco nadłożyć drogi, ale wolał zniknąć na chwilę z lusterek Niemca.

Chciało mu się pić, ale nie miał niczego w samochodzie. Dodatkowo ślady po ukąszeniach komarów swędziały go jak jasna cholera. Dojechał do Sienkiewicza i skręcił w nią, naginając trochę przepisy. Dotarł do Od Nowy, a następnie odbił w prawo i minąwszy żółty kościół św. Józefa, a dalej oddział wodociągów z pięknie podświetloną zabytkową wieżą ciśnień, dojechał do szpitala na Bielanach. Pognał prosto i wbił się przy Lidlu na Szosę Chełmińską. Przejechał przez stare tory, kierując się na północ. Po granatowym S-maxie nie było jednak śladu. Bener był spocony, zaciskał szczęki i głośno wypuszczał

nosem powietrze. Jego idiotyczne pomysły sprawiły, że zupełnie stracił gościa z oczu. Na skrzyżowaniach zwalniał i rozglądał się. Dojechał tak do Kwiatowej i uznał, że tak szybko Steinmeier nie mógł się zmyć. Od Złejwsi jechał przepisowo, jak na Niemca przystało, za każdym razem jego prędkość odzwierciedlała pionowe znaki ustawione przy jezdni. W przyływie dobrego humoru Bener pomyślał nawet, że zgłosi go do konkursu „Kierowca roku”.

Zawrócił, zły na siebie. Miał teraz dwa wyjścia, albo przetrzepać internet i szukać Zgody, u którego podobno zatrzymał się Niemiec, po całym Toruniu, albo zadzwonić do Szczot-Żelaznej i zapytać wprost o Steinmeiera. Żaden z tych pomysłów mu się nie podobał.

Kiedy mijał stację Orlenu po lewej, poczuł przemożną potrzebę wypicia czegoś zimnego. Język wysechł mu na wiór. Zimne piwo prosto z lodówki mogło być jedynym pocieszeniem i nagrodą, chociaż akurat teraz powinien wymierzyć sobie karę. Mimo to zawrócił kawałek dalej.

Sięgnął po dwa telefony i dostrzegł na ekranie informację o kilku nieodebranych połączeniach od Aldony i jednym od Ivo Straussa. Zdziwił się, że nie usłyszał dzwonka komórki, ale potem przypomniał sobie o wyciszeniu aparatów w ogrodzie Żelaznych. Zmienił ustawienia i skręcając na światłach w stronę Orlenu, wybrał numer Straussa.

Już wtedy zauważył przy dystrybutorze wóz Steinmeiera, a sam Niemiec wyciągał portfel przy kasie. Bener obserwował go przez witrynę.

Rozłączył się, odłożył telefon.

Z tej radości nawet odechciało mu się pić.

10

Bener wszedł do domu. Komputer był wyłączony, Aldona spała na górze i pochrapywała cicho. Przebrał się, pogasił światła i usiadł na sofie w salonie. Włączył telewizor i chciał obejrzeć końcówkę *Frantica*, ale ostatecznie śledził bezwiednie powtórki ze sportowych aren. Po chwili poszedł po piwo.

Wypił kilka łyków i oddzwonił do Iva Straussa.

– Nie, nie obudziłeś mnie – odezwał się kolega. Brzmiał rzeczowo, Bener nie wyczuwał w nim żadnej ochoty do żartów.

– No to mów śmiało – zachęcił. – Bo rozumiem, że masz coś dla mnie.

– Mam, ale nie sądzę, by to ci się spodobało.

– Wal.

– Mówiłeś, że chodzi ci o kogoś o nazwisku Dieter Steinmeier, tak?

Bener potwierdził i poczuł niepokój, który rozpełzł się po klatce piersiowej.

– Otóż nie ma nikogo takiego jak Dieter Steinmeier, mój drogi.

Bener odchrząknął.

– Słucham?

– Nikt taki nie istnieje. A już na pewno nie pracuje w Niemczech.

– Jaja sobie robisz?

– Zdjęcie, które mi wysłałeś, przedstawia Andrzeja Walczyńskiego, pseudonim Walet. Notowany przestępca, groźny i być może uzbrojony.

– To jakiś żart, tak? – odezwał się Bener chociaż czuł, jak gotuje się w nim złość.

– Nie, stary, serio mówię.

– Bawię się z gościem w ciuciubabkę od kilku dni w Toruniu. Mam rozumieć, że twoi koledzy z policji...

– To nigdy nie byli moi koledzy, Marek – wtrącił Strauss.

– ...też mają zawiązane oczy? – dokończył Bener.

– Jeśli wiesz o nim cokolwiek, wiesz, gdzie przebywa lub gdzie mieszka, dzwoń na policję. Nie pajacuj, nie zgrywaj chojraka. Tyle ci powiem.

– A mówi ci coś nazwisko Wiktor Neumann?

– Ten od nielegalnego black jacka?

Bener potwierdził.

– Black jack albo oczko. Gra karciana. W Toruniu działa szajka hazardowa, podobno największa na północy Polski. Do podziemnego kasyna zjeżdża tu cała śmietanka. Znani artyści, biznesmeni, politycy i sportowcy. Wszyscy o tym wiedzą, ale wolą milczeć. Neumann ma co prawda czyste kartoteki, firmy działają legalnie, nie ma na niego żadnego haka. Facet wie, jak się zabezpieczyć. Ma od tego ludzi.

Bener milczał.

– Tylko mi nie mów, że w to wdepnąłeś, co? – spytał kolega.

– Steinmeier jest z nim powiązany?

– Nie ma żadnego Steinmeiera.

– No to ten Walczewski, czy jak mu tam.

– Walczyński. Lepiej to zapamiętaj – poprawił go Ivo. – Bardzo możliwe, ale nic o tym nie wiem. O istnieniu Walczyńskiego dowiedziałem się niedawno. Jak chcesz, mogę to dla ciebie sprawdzić.

– Nie, obejdzie się.

– Pomógłbym ci, ale mam sprawę nad morzem.

– Ładna jest chociaż? – Bener nie miał siły zmusić się do uśmiechu.

– Chciałbym, żeby była ładna. Niestety, to sprawa z gatunku tych śmierdzących. Takie właśnie lubimy najbardziej.

Bener pożegnał się i rozłączył. Bał się. Naprawdę się bał. Skulił się na sofie i nie wiedział, co powinien zrobić.

A kiedy chwilę później zasnął, śnił mu się karciany walet, którego Neumann trzymał w ręce. Była to jego ostatnia karta i chociaż Bener miał w rękawie asa, wiedział już, że przegra bez względu na to, co teraz zrobi. Czuł, że za chwilę ktoś do niego podejdzie i wykręci mu łapę, a później pokaże jego oszustwo Neumannowi. Tak się jednak nie stało. Mimo to ktoś stanął za jego plecami i szepnął mu do ucha.

– Nie rób tego, błagam. Nie zabijaj jej – poznał głos teściowej, ale nie mógł się odwrócić. Neumann świdrował go wzrokiem, a potem położył czarnego waleta na stół.

– Agatka przecież żyje – dodała teściowa, a potem oboje z Neumannem zaczęli się śmiać jak opętani.

Stół zawirował, a Bener razem z nim. Nagle posadzka się rozstąpiła, a on wpadł w studnię. Zdążył tylko zauważyć, jak Neumann całuje w usta teściową. Ich długie, węzowe języki splotły się

ze sobą.

Potem Bener z niezwykłą siłą huknął o betonowe dno. Miał połamane ręce i nogi, a z pękniętej czaszki bryzgnęła na kamienną ścianę mózgowa miazga.

Widział to wszystko tak, jakby duch uniósł się z jego ciała i poszybował wyżej, ale Neumanna ani teściowej już nie było. Wtedy spojrzał w dół, gdzie przy swoich zwłokach zauważył Agatę. Zapłakał jak dziecko, bo jak na ironię odnalazła się wtedy, kiedy on był już martwy.

– Marek, proszę – zaczęła szeptem. – Nie umieraj teraz.

Popatrzyła w górę i wyciągnęła do światła trzymany na dłoni lwi kieł.

– Marek, proszę!

SOBOTA

20 SIERPANIA 2016 ROK

1

– Marek!

Bener otworzył oczy.

– Wstawaj wreszcie. – Aldona usiadła przy laptopie i spojrzała na niego przez ramię. – Słuchałeś?

– Czego? – wychrypiał.

Zamiast powiek miał papier ścierny, a włosy przypominały poskręcane druty. We łbie grały mu werble, przytłumiony ból usadowiony za oczodołami zwiastował monstrualną migrenę. Spuścił nogi na podłogę i oparł się, odchylając głowę do tyłu. Wracały do niego wczorajsze obrazy, rozmowa z Neumannem, wyrzucona z samochodu Aldona, a także szczęśliwe zakończenie śledzenia Walczyńskiego. Dotarł za nim do domu, w którym mężczyzna mieszkał, odczekał w ukryciu, aż w oknach zgasną światła, żeby mieć pewność, że dobrze trafił. Potem wrócił do domu.

Teraz nie mógł się skupić, bo Aldona zarzuciła go potokiem słów. Bronił się przed słuchaniem, dlatego sięgnął po kawę, którą mu przyniosła.

– Zostawiłam ci kartkę na stole. – Terlecka podniosła jakiś skrawek papieru. – Przeczytałeś ją chociaż?

Bener skrzywił się i zaprzeczył, po czym dostrzegł, że na nogach

wciąż ma trampki. Z trudem wstał i pomaszerował do łazienki, żeby opróżnić pęcherz i obmyć twarz zimną wodą. Pysznic zostawił na później.

– Mów, co masz – poprosił, gdy usiadł ciężko obok Aldony. Sięgnął po plecak i wyszukał dwa ibupromy, które popił kawą.

Terlecka otworzyła na laptopie plik tekstowy.

– Co to jest? – Spojrzał na tabelę wypełnioną krótkimi zapiskami, głównie o emocjach. Nie bardzo to rozumiał.

– Myśli automatyczne.

Spojrzał na nią błagalnym wzrokiem, żeby oszczędziła mu nieznanych terminów.

– Forma terapii dla hazardzisty.

Otworzył szeroko oczy.

– To młodego Żelaznego? – upewnił się.

– Nie. Twojego teścia. – Aldona wciąż patrzyła w ekran.

– Chyba żart – prychnął.

– To pliki z jego pendrive'a.

– No i co z tego? Ja na swoim pendrivie też noszę czasami wasze teksty i gdyby je ktoś przeczytał, i nie daj Boże uznał, że są moje, byłbym skończony – zażartował, ale Aldona nawet nie uniosła kącików ust.

– Teść używał dyktafonu? – spytała.

– Czego?

– Nie mów mi, że nie wiesz, co to...

– Pewnie, że wiem – warknął. – Kiedyś pożyczyłem mu stary

sprzęt, ale nie wiem, do czego był mu potrzebny. Nigdy go później z dyktafonem nie widziałem. Zresztą miał dwie lewe ręce do wszelkich gadżetów.

Aldona przygryzła wargę.

– Chyba niewiele wiesz o swoim teściu.

Bener spojrzał na nią, a w głowie usłyszał słowa Szamana. „Zacznij od teścia, Marek”.

– Jeśli masz wątpliwości, to tu wyodrębniłam dla ciebie wszystkie nagrania.

Bener podrapał się po swędzących krostach od ukąszeń komarów. Aldona podniosła się i zabrała torebkę.

Patrzył na nią, na jej niebieską letnią sukienkę odsłaniającą ramiona i sięgającą ziemi, na wielkie czarne okulary przeciwsłoneczne, które właśnie opuściła z czoła, zakrywając opuchliznę na łuku brwiowym.

– Zapoznaj się z tym. Wysłuchaj tego, co twój teść ma do powiedzenia. Nagrał to dla ciebie.

I wyszła.

[zgrzyt zapalniczki, odgłos wydmuchiwanego powietrza]

Był pierwszy listopada 2010 roku, siedemdziesiąt dwa dni temu, kiedy umówiłem się z Agatką na spotkanie. Wiem, że mówiła ci, że jedzie na cmentarz, że ma zdjęcia do zrobienia. Zrobiła je, ale potem spotkała się ze mną, bo odebrała pieniądze za robotę jakąś. Kiedy mi je dawała, miała łzy w oczach, bo te pieniądze to na remont pokoju dla córeczki mieliście, dla mojej wnusi kochanej. Tak mi powiedziała, ale

nie powstrzymało mnie to, ja wtedy myśleć racjonalnie nie umiałem.

[cisza]

Umówiliśmy się na drodze do Łubianki, w lasku, bo tam miałem spotkać się z Walczyńskim. Czekał już, jego samochód dostrzegłem głębiej pod ścianą drzew, tyłem stał do nas. Ona od razu zawróciła i ustawiła się bliżej jezdni. Jakby nie chciała patrzeć na to wszystko.

Zrozumiałem, bo czego tu nie rozumieć?

Wyciągnęła pieniądze, przeliczyła i oddała mi. Mało tego było, bo inne długi moje zaczęła już spłacać.

Wyszedłem z jej ciepłego wozu, na pierwszy atak mrozu, ale nie czułem zimna, trzęsło mnie z innego powodu. Ze strachu. Nie umiałem opanować się, a strach dopadł mnie i gnębił długo.

Zapukałem w szybę. Walczyński odblokował zamek, wsiadłem. Pieniądze mu dałem, przeliczył cicho, westchnął potem i przez chwilę nie mówił nic, tylko przed siebie patrzył na drogę pustą albo w lusterko wsteczne czasami. Minuty mijały, a my w tym wozie bez słowa tkwiliśmy.

W końcu Walczyński na mnie spojrział i odezwał się. Że go zawiodłem, mówił, że on ochłapów przyjmował nie będzie, że czasy kredytowania już dawno minęły. I że to już koniec, że on czekał już dłużej nie będzie. Że teraz wszystkim się zajmie, że spłacić go muszę do ostatniej złotówki.

Nie masz pojęcia, jak ja się wtedy bałem.

Ale to, jak się okazało, wcale takie straszne nie było.

On mówił co prawda, że z mieszkania mamy wypieprzać, że tylko w

ten sposób mogę go spłacić. I że oddać mu samochód muszę.

Nie wierzyłem w to, co słyszałem, bo do tej pory zawsze dogadać się z nim mogłem, a teraz słuchać mnie nie chciał i z auta wyrzucił. A kiedy stałem na zimnie, to przyrzekał, że jedzie do Krysi mojej i wszystko jej powie, bo już kurwa czas najwyższy, by się dowiedziała.

Ale nie obchodziło mnie to, już nie czułem niczego. Miałem wrażenie, że obrostem pancierzem jakimś, że wszystkie dźwięki przytłumione do mnie docierają, że sygnałów ze świata zewnętrznego nie odbieram. Jakbym się zapadał w czymś, wiesz, takiej ni to nicości, ni to otchłani. Patrzyłem, jak jego wóz oddala się, a potem znika mi z oczu zupełnie.

Wtedy dopiero się ocknąłem i ruszyłem do samochodu Agatki.

I zaniepokoiłem się od razu.

Przez szyby widziałem, że coś nie tak jest.

Że samochód pusty stoi.

2

Bener trzasnął drzwiami forda tak mocno, że właściwie powinny wpaść do środka. Biorąc pod uwagę korozję, która zaczynała ogryzać blachy, byłoby to nawet prawdopodobne.

Sprężystym krokiem przeszedł jezdnię i czuł pod podeszwami gorący i lepki asfalt.

Jego życie też zżerała korozja. Żył w największym odkrytym szambie, jakie znał. Nawet oczyszczalnia ścieków przy Szosie Bydgoskiej wyglądała przy tym jak licha sadzawka z brudną wodą. Od lat okłamywali go najbliżsi. Nie wysłuchał jeszcze wszystkich nagrań, ale to, z czym dziś się zapoznał, wystarczyło mu zupełnie. Na wieki wieków, kurwa mać, ryknął w duszy.

Szarpnął drzwi klatki schodowej, ale elektromagnes trzymał mocno. Miał ochotę wyrwać je z zawiasów. Zamiast tego zaklął i wybijał numery mieszkań na domofonie tak długo, aż wreszcie zabrzmiał brzęczyk.

Wskoczył na parter i ściągnął windę. Słyszał, że ruszyła, ale w oczekiwaniu łaził jak opętany po dwa kroki w lewo i prawo. Chciał rzucić się na schody i pobiec na siódme, ale obawiał się, że wytraci całą energię, a przecież wolał ją zachować na rozmowę. Wróć! Nie na rozmowę, bo rozmawiać to można sobie dzióbek w dzióbek przy kawie.

On nie zamierzał rozmawiać, tylko wygarnąć Majewskiej wszystkie jej kłamstwa. Że przez całe sześć pieprzonych lat od zaginięcia Agaty wiedziała o tym znacznie więcej niż on sam i nie dzieliła się tą wiedzą. Skrywała wszystko w strachu i obawie, że Agata żyje. Owszem, słyszał i czytał o zwyrodnialcach, którzy przez naście lub więcej lat trzymali swoje ofiary w piwnicach domu. Ale powody były inne. Sądził więc, że jego teściowej zwyczajnie odwaliło. Dała się zastraszyć i tyle. Ale nie to było złe. Nie powiedziała mu o tym, chociaż on relacjonował jej wszystko. Zawiodła go. Zawiodła i oszukała z premedytacją.

Wsiadł do windy, w której jak na złość drzwi domykały się bardzo powoli. Bener obawiał się, że na górę dojedzie dopiero na Wigilię.

Kiedy dźwig ruszył, Marek skrzyżował ręce i oparł się plecami o boczną ściankę. Spojrzał w lustro i zobaczył w nim zdesperowanego człowieka, zdolnego do każdej podłości. Musiał na siebie uważać, już kiedyś przekroczył granicę. Teraz powinien powściągnąć złość. Przypomniwał sobie słowa teścia z nagrania, ten błagalny głos. I jego prośbę, by opiekować się Krysią. Ale w sumie dlaczego? Dlaczego wszyscy mogli go rznąć w dupsko, a on miał się im odpłacać dobrym wychowaniem?

Nie mógł dać się porwać emocjom, musiał dowiedzieć się od matki Agaty jak najwięcej. To była jego jedyna szansa. Co nie znaczyło wcale, że go nie poniesie i nie będzie chciał jej zabić. Wsiadł z windy i podszedł do drzwi. Walnął w nie pięścią raz i drugi.

– Otwieraj! – wrzasnął, wiedząc już, że z opanowania nici. – Otwieraj, do jasnej cholery!

Załomotał ponownie. Echo niosło się po klatce schodowej.

Oprócz szumu tłoczonej krwi usłyszał zgrzyt zamka.

– Bo policję wezwę!

Głos dobiegał zza pleców Benera. Marek odwrócił się do wąsatego kurdupła w czarnym podkoszulku, który stał w progu i trzymał w ręku telefon komórkowy.

– Od wczoraj cały czas rabany! Zrobię z tym porządek.

Bener ruszył w jego stronę. Mężczyzna cofnął się do swojego mieszkania i próbował zamknąć drzwi. Nie zdążył. Dziennikarz doskoczył do nich i napał na nie z całej siły. Wąsacz runął jak długi w korytarzu.

– Matko Boska! – zawołała pulchna kobieta w szlafroku, która wybiegła z kuchni.

Bener nie zwracał sobie nią głowy, tylko wszedł i postawił kurdupła do pionu.

– O czym mówiłeś?

– Niech pan idzie. Nigdzie nie zadzwonię. – Mężczyzna miał w oczach czyste przerażenie.

– Nie o to mi chodzi.

– Niech pan go puści! – Kobieta chwyciła pięści Benera zaciśnięte na podkoszulku męża. Ścisnęła je z całej siły.

– Co powiedziałaś wcześniej? – Dziennikarz nadal nie zwracał uwagi ani na nią, ani na ból, jaki mu zadawała.

– Nie wiem! Nie wiem! – Mężczyzna cofał się, a razem z nim krok do tyłu zrobiła żona.

- Jaki raban?! – wrzasnął Bener.
- Wynoś się! – krzyknęła kobieta. – Ratunku! Ludzie, ratunku!
- Wyprowadzali się nocą, hałasu narobili. Nawet drzwi nie zamknęli – rzucił Wąsaty, przekrzykując żonę.
- Co?!
- Mieszkanie jest otwarte. Pan pójdzie i sprawdzi.

3

Bener nacisnął klamkę i drzwi puściły. Czuł na plecach wzrok sąsiadów teściowej.

Wszedł do kawalerki.

Każdy jego krok dawał tu cichy pogłos. Chrząknął, a dźwięk odbił się od pustych ścian.

Mieszkanie było zupełnie puste. Jakby właśnie zostało wyremontowane i czekało na nowych właścicieli.

I wtedy Bener zrozumiał.

„Zostaw, bo to się źle skończy”, mówiła Majewska i miała rację.

Wszystko przegrał, wszystko stracił.

Spóźnił się.

Spóźnił się kilka lat i co najmniej jeden wieczór.

4

Dwie godziny później Bener oglądał mecz rozgrywany na boisku w pełnym słońcu. Pocił się od samego patrzenia. Dochodziły go głuchoe odgłosy kopniętej piłki, krzyki zawodników.

Siedział w pustej kawalerce, zupełnie straciwszy poczucie czasu.

Kiedy z niej wyszedł, zapukał do Wąsatego i pokazał mu zdjęcie Steinmeiera vel Walczyńskiego. Wąsaty potwierdził, że mężczyzna kręcił się wczoraj na ich piętrze. Być może bywał u teściowej, ale był bardzo ostrożny. To dlatego przyjechał do Benera, chciał wyczuć, na ile dziennikarz jest zorientowany w sprawie.

Wąsaty widział Walczyńskiego przez wizjer i dlatego go zapamiętał. Nie widział natomiast Majewskiej i zarzekał się, że nie było jej przy wyprawadzce. Nie zostawiła żadnych wiadomości, w ogóle prawie do nikogo się nie odzywała. Nawet nie przyszła się pożegnać. Przypomniął sobie, że czasami odwiedzał ją starszy, bardzo kulturalny człowiek. Ale było coś jeszcze. Wąsaty zaprowadził Benera piętro niżej i wskazał na drzwi mieszkania znajdującego się w tym samym pionie co kawalerka teściowej. Powiedział, że to mieszkanie tak samo ogołocono kilka dni temu. Teraz kawalerka stoi pusta, ale drzwi są zamknięte.

Bener przypomniął sobie kobietę, o której mówiła Aldona. Tę z

Czterech Kolorów.

Przeprosił Wąsatego za swoje zachowanie i wyszedł. Telefon Majewskiej był poza zasięgiem. Bener nie wiedział, co się z nią dzieje ani gdzie jest. Były dwie możliwości. Wyszła z mieszkania razem z Walczyńskim lub z tym starszym mężczyzną, którego Bener spotkał niedawno w kawalerce. Z rozmowy z sąsiadem wynikało, że ta druga opcja jest bardziej prawdopodobna. I tego się trzymał.

Nie znał go, nie pamiętał jego imienia, nie mówiąc w ogóle o tym, że nie znał jego nazwiska. Wąsaty i jego żona też go nie znali.

Zjechał na parter i wyszedł przed wieżowiec. Usiadł w cieniu na ławce pod blokiem i cieszył się, że słońce jeszcze tu nie zajrzało. Obserwował piłkarskie zmagania, ale niewiele widział. Myślami był daleko stąd.

Nie miał w sobie żadnej wiary, nadzieja, jeśli w nim była, tliła się ledwie widoczną iskrą. Ostatnie wydarzenia wyssały z niego całą energię. Czuł się mimowolnym świadkiem tego, co działo się wokół, nie miał na nic wpływu. A przynajmniej nie wiedział, jak go wyrzucić.

Nie połąpał w porę żadnych nici łączących te sprawy. Może gdyby zaczął od znalezienia jednego sznurka, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale tak się nie stało.

Piłkarze zrobili przerwę i uzupełniali płyny, jeden z nich położył się jak trafiony pociskiem na niewielkim poletku trawy.

Jedynym wspólnym mianownikiem był hazard. Od niego brały początek wszystkie problemy w życiu Benera.

Pomyślał, że nie tylko w jego. To nie Monika ukradła ojcu

pieniądze.

Bener wyciągnął telefon i wybrał numer.

– Słucham? – odezwał się mdły, ni to kobiecy, ni męski głos.

– Marek Bener, „Echo Torunia”. Pamiętasz mnie? – Oczyma wyobraźni widział, jak Oliwierek Pożal-Się-Boże-Pierdoła-Rzewna poprawia okulary.

– A, to pan.

– Nie wiem, czy dobrze pamiętam, ale coś mi świta, że mówiłeś o pożyczaniu pieniędzy Michałowi Żelaznemu.

– To Monika już pana nie interesuje?

– Interesuje. Ale jeszcze bardziej interesuje mnie twoja odpowiedź na moje pytanie.

– Zdarzało się.

– Oddawał?

– Jak oddawał, to zawsze mniej, niż pożyczał. Do tej pory wisi mi osiem stów.

– Monika o tym wiedziała?

– Nie. Nikomu nie mówiłem.

– A jego ojciec kontaktował się z tobą?

– Tak. Spłacał go.

– A czemu miałeś udawać chłopaka Moniki? – Bener zaryzykował. Oliwierek milczał.

– Płacił ci za to i za milczenie w sprawie Michała?

Chłopak się rozłączył.

Kłamstwa Żelaznego nie miały końca. Bóg jeden wie, co biznesmen

chciał uzyskać.

Bener zadzwonił do młodego Żelaznego, ale abonent był niedostępny. Wybrał więc numer jego ojca, jednak ten nie miał czasu z nim rozmawiać. Przeprosił i obiecał, że oddzwoni. Bener wszedł mu w słowo.

– Koniec żartów. Gdzie jest pana syn?

Żelazny kazał mu poczekać, a potem wyprosił wszystkich z pomieszczenia, w którym się znajdował. Pewnie był w pracy.

– O co chodzi?– spytał po krótkiej przerwie, kiedy w słuchawce ucichł gwar.

– Dobrze pan wie o co. O hazard. – Bener podniósł głos.

Żelazny gwałtownie wciągnął powietrze nosem.

– Jeśli tyle już pan wie, to czemu do tej pory nie odnalazł pan Moniki?

– Bo pan we wszystkim miesza. Chyba nie gramy w jednej drużynie.

– Niech pan nie będzie żaloszny i melodramatyczny. Każdy z nas ma swoją robotę do wykonania.

– Ale tak się składa, że ja panu nie przeszkadzam.

– Konkrety proszę.

– Pana syn wie dużo więcej niż ja. Muszę z nim pogadać.

– Nie da rady.

– W takim razie nie szukam Moniki.

Cisza przedłużała się. Bener czuł, że Żelazny walczy. Postanowił pomóc w tym biznesmenowi i rozłączył się. Żelazny oddzwonił po

chwili.

– Skoro tak, to powiem panu coś – zaczął.

– Jeśli to kolejna zmyłka, to dobioreę się panu do dupy. – Bener splunął gęstą śliną pod nogi.

– Prawda jest taka, że liczyłem, że się pan pospieszy i odnajdzie Monikę.

– Odnalazłbym ją, gdyby nie...

– To dobrze – stwierdził Żelazny, nie zważając na słowa Benera. – To bardzo dobrze...

– Niech mnie pan już nie wkurwia.

– ...bo jak odnajdzie pan Monikę, to odnajdzie pan Michała. Od wczoraj jego telefon milczy.

5

– W co pan pogrywa do cholery? – Benerem targnęło.

– Gównu pan wie! Gdyby pana syn wdepnął w takie łajno jak mój, to by pan rozumiał. A ja, proszę pana, właśnie straciłem dzieci, a teraz skurwysyny rozmontowują całą moją firmę. Idę, prosto w wodorosty, jak Titanic!

– I chce mi pan powiedzieć, że to przez syna?

– Słacałem jego długi jak trzeba, leczyłem go, ale to wszystko jak chujowi na kapelusz! Bo on uważał, że już jest zdrowy, a ja mu zaufałem. Kiedy był na dnie, wyciągnąłem z najgorszego szamba, poregulowałem wszystko, pogasiłem pożary. Ale uzależnienie to łakome kurewstwo, zżerało mi syna jak rak.

– Kto za tym stoi? – Bener przerwał, żeby chłop się nie rozkleił. – Neumann?

Żelazny prychnął.

– Bóg pana opuścił? – zaśmiał się nerwowo. – Neumann w takich przypadkach jest czysty jak łza.

– W takim razie jego ludzie.

– Nie, proszę pana, nie jego ludzie. Ma oczywiście swoich bandziorków, ale to nie on. On nie brudzi sobie rąk. To mózg operacji. Jeśli go pan poznał, to dobrze pan wie, że gość jest jak duch. Gasząc

pożary po synu, nawiązałem z nim współpracę. Odpracowałem wszystkie długi, zrealizowałem odpowiednie oprogramowania do jednoręcznych bandytów. Odrobiłem wszystko z nawiązką i chciałem odejść, ale moja robota tak mu się spodobała, że ten chuj łysy odegrał się na moim synu i z powrotem unurzał go w gównie po pachy, żebym tylko się z tego nie wycofał.

– Steinmeier – powiedział Bener.

– Kto? Pierwsze słyszę.

– Walczyński.

Zapadła cisza przerywana posapywaniem Żelaznego.

– Tego gnoja to bym gołymi rękami zatłukł – powiedział biznesmen przez zaciśnięte zęby.

– A mój teść?

Żelazny na chwilę zamilkł.

– To pan już wie? Skąd?

Wiedział.

– Kto za tym stoi? – Bener zignorował jego pytanie.

– To nie jest rozmowa na telefon. A ja już nie mam na to siły – dokończył z rezygnacją.

6

Kiedy wchodził do domu, przyszedł SMS od Majewskiej, że wszystko mu wyjaśni i żeby się nie martwił.

Oddzwonił natychmiast.

– Słucham – powiedziała, jakby opuściły ją wszystkie siły.

Nie wiedział, co powiedzieć ani o co pytać.

– Gdzie jesteś? – W tle usłyszał jakiś szmer, męski głos. Być może pocieszał ją znajomy.

– Daj mi trochę czasu... Potrzebuję tylko trochę czasu – zapłakała.

– Wszystko się ułoży, jestem bezpieczna.

– Jesteś u pana... – Szukał w myślach jego imienia, ale nie znalazł, podał więc pierwsze, jakie mu przyszło do głowy. – Pana Antoniego?

– O czym ty bredzisz? Nigdy nie było żadnego pana Antoniego – podniosła głos.

Połączenie zostało przerwane.

Strużki potu spływały mu z czoła. Drżał cały, ale przynajmniej wiedział, że teściowa żyje. Wylize się. Wylizowała się po zaginięciu Agaty i śmierci teścia, wylize się i z tego.

Był tego pewien.

7

Usiadł przed laptopem i kiedy poruszył myszką, żeby włączyć kolejne nagranie, poczuł mrowienie w dłoni.

Wcześniej umówił się na kolejne spotkanie z Żelaznym w jego domu. Najpierw jednak zamierzał odsłuchać nagrania Majewskiego. Mogło być w nich coś, co przedstawiłoby biznesmena w nowym świetle.

Wybrał odtwarzanie i ponownie usłyszał głos zza grobu. Głos swojego teścia, który nie żył już od kilku lat.

Nigdzie Agatki mojej znaleźć nie mogłem. Zapadła się pod ziemię, zniknęła.

Powiedziałem więc wszystko Krysi, że pewnie Agatkę porwali.

Mojego świata nie było. Mnie nie było.

Użalam ci się, ale wiem co ty przeżywasz, dziś, siedemdziesiąt dwa dni po zaginięciu mojej córeczki ukochanej, a żony twojej. Teraz wiem już, jak bardzo ją kochasz i że zasługiwałeś na jej miłość. I że twój świat Marek to ja też zrujnowałem. Bo ten hazard jak tsunami, każdą rzecz najtrwalszą w ruinę obraca.

I wszystko to przeze mnie, Marek, te tragedie całe.

I jak tak płakałem Marek, to Krysia mi po cichu powiedziała, że Agatce włos z głowy nie spadnie, tylko spłacić Walczyńskiego musimy.

[cisza]

Ale ja nie wierzę mu, Marek. Ani tej Krysi mojej nie wierzę teraz, bo Walczyński ją omotał sobie wokół palca. Zabiją ją, córkę moją kochaną, i mnie zabiją. Ratunku już nie ma, ale ciebie proszę, Marek, miej w opiece Krysię. Bo ją jeszcze uratować można, bo ona niczemu winna nie jest. I oko na nią miej, żeby nikt krzywdy jej więcej nie zrobił.

I nie proszę o wybaczenie, Marek, bo wiem, że na nie nie zasługuję. Na śmierć zasługuję jedynie. Karty więcej dla mnie znaczą niż wszystko to, co w życiu ważne.

[cisza]

Chciałem tylko, żebyś wiedział, i dlatego ten dyktafon pożyczyłem, bo prosto w oczy powiedzieć ci tego nie umiem.

[cisza]

A czy ty byś umiał, gdybyś przez swoje błędy skazał na śmierć wszystko, co kochasz najbardziej na świecie?

8

– Niech pan wejdzie. – Po twarzy Żelaznego przemknął cień uśmiechu. Minęli się w drzwiach, Bener znalazł się w domu, w którym klimatyzatory napędzały cicho świeże, schłodzone powietrze, a Żelazny wyszedł na skwar, żeby podłożyć przygotowany karton pod silnik samochodu dziennikarza. Słońce sprawiało, że kolory znikwały zupełnie, wszystko było białe i raziło Benera w oczy.

Usiedli naprzeciwko siebie, tym razem przy stole w jadalni. Bener spojrzał na Żelaznego. Gospodarz wyglądał jak cień człowieka.

– Nie przyjmę żadnego kolejnego kłamstwa – zastrzegł Bener, żeby mężczyzna nie brał go na litość.

– Już ich nie będzie. Już wszystko, co miało się spierdolić, to się spierdoliło i żadne modły tu nie pomogą. – Żelazny wychylił się w stronę schodów prowadzących na górę i krzyknął: – Zejdź już do nas, proszę!

Bener drgnął.

Z niepokojem zaczął wpatrywać się w schody.

Zszedł po nich niski mężczyzna, który trzymał coś w dłoni.

Gdy podszedł bliżej, Bener go rozpoznał.

– To mój ojciec, Zdzisław Żelazny – przedstawił go biznesmen.

Siwy facet wyciągnął w stronę Benera rękę.

– My już się poznaliśmy, Krzysiu – odpowiedział synowi, ale nie spuszczał wzroku z dziennikarza. – Prawda?

– Tak. Był pan niedawno u mojej teściowej.

Pokiwał głową, ale Bener wyraźnie posmutniał.

– Myślałem, że jest u pana, że jesteście razem i nic jej nie grozi. – Zdał sobie sprawę, że wszystko mogło się potoczyć inaczej.

– Spokojnie, panie Marku. Sądzę, że jest bezpieczna – uprzedził jego myśli senior. – Krysia bardzo się o pana martwiła i prosiła, żeby pan to przeczytał.

Bener wyciągnął rękę po kopertę.

PONIEDZIAŁEK

22 SIERPNIA 2016 ROKU

1

Od dwóch dni Bener parkował samochód na Wrzosach niedaleko domu, w którym zatrzymał się Andrzej Walczyński. Obserwował i notował. Wszystko dzięki temu, że sąsiad Walczyńskiego budował się, a robota stanęła na stanie surowym otwartym, chałupa była pokryta odeskowanym dachem, ale wciąż pozbawiona okien i drzwi. Trwało lato, najlepsza pora na murarkę, jednak nie zawodziła tu betoniarka ani nie kręcili się fachowcy. Bener mógł pozostawać na budowie zupełnie niezauważony.

W weekend nie wydarzyło się nic, co mogłoby wpłynąć w jakikolwiek sposób na odnalezienie Moniki. Tekst w gazecie ściągnął tylko świrów i policję na głowę Żelaznego, ale ten podobno stwierdził, że dzieci wyjechały na wakacje, a Benerowi wytoczy proces. Dziennikarzowi też się oberwało, jeden z policjantów odczytał mu paragraf, jaki mu wlepią za wprowadzenie w błąd organów ścigania i wywołanie niepotrzebnych czynności. Groziła za to kara aresztu, ograniczenia wolności lub grzywny. Skończyło się tylko na pyskówkach, bo u Benera na szczęście pojawił się Leon Brodzki, znany mu pies, który wkrótce przechodził na emeryturę. Spisał, co miał spisać, i zanim zniknął, kazał się nie martwić.

W rzeczywistości Żelazny umówił się z Benerem na takie

rozwiązanie po to, by nie sprowokować Neumanna i Walczyńskiego.

Bener otrzymał dwa uspokajające SMS-y od teściowej, ale już nie oddzwaniał. Może później będą w stanie spokojnie rozmawiać o tym, co się wydarzyło.

Zdzisław Żelazny, któremu Majewska przekazała list do Benera, już po tym jak Walczyński wyniósł jej meble, też nie miał z nią kontaktu. Prosił ją, by zdradziła, dokąd się wybiera, ale bez skutku. Majewska obiecała tylko, że wróci. Po tym jak mężczyzna poszedł na górę, Bener zapytał Żelaznego, jak to się stało, że jego ojciec poznał Krystynę Majewską.

– Pana teść prosił mnie kilkakrotnie o pomoc – odpowiedział biznesmen.

– Wiem, chodziło o pieniądze. Mógł się też zwrócić do mnie. Strasznie to wszystko głupio wyszło, ale spłacę jego dług.

Żelazny machnął ręką.

– Daj pan spokój, te grosze w niczym mi teraz nie pomogą. W każdym razie pana teść błagał mnie, bym miał na oku jego żonę. Bał się o nią strasznie.

Bener słuchał dalej.

– Monikę nawet o to prosił, a ta namówiła dziadka, żeby poznał panią Krysię. A że moja matka zmarła dawno temu, to i ja proponowałem mu to samo. Nie chodziło o żadne swatanie, po prostu byłoby dobrze, gdyby sam w czterech ścianach nie siedział, tylko miał z kim pójść na spacer, kawę wypić, porozmawiać trochę. I potem to się jakoś samo tak potoczyło. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że coś z tego

wyjdzie, ale jak widać, życie pisze swoje scenariusze.

– I pana ojciec był wtedy w domu, gdy pierwszy raz tu przyjechałem?

– Skąd pan to wie?

– Usłyszałem kroki na korytarzu, a potem w oknie na poddaszu zapaliło się światło.

– A miał siedzieć cicho jak mysz – uśmiechnął się Żelazny. – Ukrywał się, bo pana teściowa nie chciała, by pan się dowiedział o tym, że kogoś ma. Mój ojciec mówił, że wstydziła się tego, nie wiedziała, jak pan zareaguje.

Benera kompletnie to zdziwiło.

– Przecież to jej życie – powiedział.

– Ale ona pamiętała, jak nakrzyczała kiedyś na pana, że zamieszkała u pana jakaś kobieta, podobno dawna miłość.

Było tak, chodziło o Weronikę Holtz, wdowę po jego przyjacielu.

– I obawiała się, że pan może nie zaakceptować jej związku. A mój ojciec nie chciał jej robić przykrości, więc czmychnął na górę.

Bener pokiwał głową.

– Jest pan pewien, że nic jej nie grozi? – zapytał.

Żelazny potwierdził, więc przeszli do rozmowy o dzieciach.

– To może być taki podwójny hak na mnie. Tak mi się wydaje. Monikę wzięli najpierw, żeby mnie zmiękczyć, a potem ściągnęli Michała.

– Mówił pan, że chłopak jest bezpieczny.

– Bo był. Nocował u dziadka i miał nosa nie wystawiać z

mieszkania. – Żelazny kiwnął brodą w stronę sufitu. – Ale dziadek nie wiedział nawet, kiedy Michał czmychnął. Sen ma lekki, a mimo to nic go nie obudziło.

– Dlaczego wyszedł, skoro wiedział, co go czeka?

– Bo jest chory, proszę pana. Majątek już wydałem na to jego leczenie i spłatę długów, ale nic go nie powstrzymało.

Po rozmowie z Żelaznym Bener wsiadł do forda i odjechał w stronę centrum Złejwsi Wielkiej, zatrzymał się na Shellu, gdzie kupił napój energetyczny i dopiero wtedy zdołał rozedrzeć kopertę i wyciągnąć z niej kartkę.

Rozpoznał pismo teściowej i przeczytał list, który w jakimś stopniu brzmiał jak pożegnanie. To go zaniepokoiło.

Już wszystko wiesz, Marku. Dotarłeś do prawdy, chociaż powinienesz usłyszeć ją ode mnie. Nie zasługiwałeś na to, żeby tak Cię traktować.

Wybacz mi i nie przestawaj jej szukać.

O mnie się nie martw. Wszystko się ułoży.

Ale proszę Cię tylko o jedno.

Nie ustawaj w poszukiwaniu Agatki. Może uznasz, że jestem stara i głupia, ale wiedz jedno. Nawet dziś, niemal sześć lat po jej zaginięciu, odczuwam w sobie spokój. To intuicja matki.

Ona żyje.

I już tylko Ty możesz ją odnaleźć.

2

Na budowie siadywał na zapyłonych cementem i wciąż jeszcze oszalowanych surowymi deskami schodach, które prowadziły z salonu na piętro. Miał z nich dobry widok na okna sąsiedniego domu. Jedno było pewne. Do tej pory nie zaobserwował w nim nikogo poza „Niemcem”. Oba widoczne z tego miejsca pomieszczenia były skąpo umeblowane, ascetycznie wręcz, Bener widział tylko łóżka i szafy. Raz, kiedy Walczyńskiego nie było w domu, Marek wypuścił się pod osłoną nocy do ogrodu i zajrzał przez okno do salonu i kuchni, które były prawie zupełnie puste. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna dopiero co się wprowadził. Albo był minimalistą.

Tym razem Bener obszedł dom, nie znalazł jednak żadnej kamery monitorującej. Okna w piwnicy pozostawiano od wewnątrz zwykłą dyktą, a drzwi, zarówno te frontowe, jak i wyjście na zaniedbany ogród, pozamykano. Jedynie w garażu kusiło uchylone, niewielkie okno. Bener zastanawiał się, czy dałby radę się przez nie przecisnąć, ale co robi, jeśli wewnątrz załączy się alarm? Co prawda, na ogrodzeniu nie było żadnej tabliczki firmy ochroniarskiej, ale kto wie.

Na osiedlu było pusto i cicho, ludzie pojechali do pracy. Pozostałych zatrzymał w domach rekordowy upał. Tylko wystawione na jezdnię kubły ze śmieciami świadczyły o tym, że toczy się tu jakieś życie.

Bener miał mokry T-shirt, chociaż nic jeszcze nie zrobił. Przez uchylone stare plastikowe okienko wsadził rękę do wnętrza i dosięgnął klamki. Gdyby udało mu się zgiąć dłoń tak, by złapać za klamkę i ją przekreślić, wówczas miałby szansę na to, że puści narożny zawias, a wtedy okno będzie można wyjąć z ramy. Postękał, ale w żaden sposób nie umiał tego zrobić. Ocierał pot i przeklinał cicho, ale w końcu nadwyreżona dłoń odmówiła posłuszeństwa. Ręka mu mdlała.

Zrezygnował z pomysłu. Przeskoczył przez płot i wrócił na budowę sąsiedniego domu. Odpoczął chwilę w upragnionym cieniu, owiewany przez delikatny przeciąg, potem rozluźnił dłoń, lekko ją masując. W oddali zobaczył śmieciarkę, która zatrzymała się na początku ulicy, skąd dobiegł do niego łoskot dostawianych do pojazdu kubłów.

Raz jeszcze spojrzął na dom „Niemca” i wtedy przyszedł mu do głowy pomysł.

Potruchtał do samochodu, przyniósł z niego fajkę do odkręcania kół i szmatę. Zziębnięty stanął ponownie na tyłach domu Walczyńskiego. Powachlował się przez chwilę T-shirtem, napędzając powietrze na wilgotne plecy i brzuch. Sprawdził czas. Na razie od wyjazdu „Niemca” minęło nieco ponad pół godziny, a ponieważ do tej pory wyjeżdżał na dłużej, Bener liczył, że ma co najmniej kilkadziesiąt minut. Albo i więcej. Silnik śmieciarki zaterkotał bliżej. Bener kucnął i przyłożył szmatę do piwnicznego okna, po czym zważył fajkę w dłoni i przymierzył. Odczekał, aż usłyszał pisk hamulców. Musiała zatrzymać się przed domem.

Uderzył w chwili, gdy kubły z łoskotem poszły w górę, a maszyna wytrząsała ich zawartość. Hałas śmieciarki zagłuszył dźwięk zbijanej szyby. Bener szybko obtłukł pozostałe, ostre kawałki szkła. W półmroku piwnicy dostrzegł jedynie pełne regały i stosy kartonów. Dalej panowała ciemność.

Odłożył klucz. Nie wahał się, tylko wsunął nogi przez okno i wygiął plecy w łuk, żeby stanąć na betonowej posadzce. Minęło trochę czasu, zanim mu się udało, ale w kategorii oldbojów zgarnąłby oklaski za zwinność, a za jęki i stękania – nagrodę niemieckiego przemysłu porno.

Śmierdziało tu, jak w każdej piwnicy, wilgocią i zalegającym kurzem, ale przynajmniej było chłodno. Rozejrzał się za włącznikiem światła, a następnie obszedł pozostałe pomieszczenia i obszerny garaż. Równo ustawione kartony pięły się w górę przy ścianie. Nie znalazł w nich niczego, co wzbudziłoby jego ciekawość. Stare gazety, roczniki czasopism, bibeloty, szpargały, odręczne notatki na pożółkłym papierze, listy. Jakby Walczyński czyścił dom po rodzicach lub krewnych. Bener sięgnął głębiej do kartonu, żeby wyjąć widoczne tam koperty. Adres na nich się zgadzał. Adresat też. Lilianna i Józef Zgoda.

Miał złe przeczucia.

Dopiero teraz do niego dotarło, że „Niemiec” mówił mu, iż mieszkał u znajomego, którego Bener mimo obserwacji dotąd nie widział. Mogło być też tak, że Zgoda wyjechał na wakacje, a Walczyński po prostu opiekował się jego domem.

Wolał to jednak sprawdzić.

Sięgnął po telefon. Zasięg w piwnicy był mizerny, więc ruszył schodami na parter. Najpierw obszedł dwa pokoje, salon i kuchnię, potem zajrzał do sypialni i łazienki na piętrze. Na górze meble zostały jeszcze w pokojach, ale dół był w zasadzie czysty, nie licząc tego, co widział przez okna.

Schodząc na parter, zadzwonił do znajomej z urzędu miasta. Przedstawił jej swoją prośbę i dodał, że to superpilne. Magda obiecała zaraz oddzwonić.

Stanął w kuchni i oparł się o zlew, na którym znalazł nakrętkę od słoika wypełnioną kiepami. Wyjrzał przez okno na wpólotwartą drewnianą furtkę, a dalej na osiedlową jezdnię oraz domy pod drugiej stronie. Świat zamarł w upale. Bener nie zaobserwował żadnego ruchu, ani z prawej, ani z lewej strony. Nie ruszały się drzewa i krzewy, pomiędzy kępami trawy spalonej słońcem widział jedynie spękaną, twardą ziemię.

W końcu telefon zawibrował.

– Nie ma go.

– Wyprowadził się?

– Jeśli już, to nogami do przodu. Zadzwoniłam do koleżanki z Urzędu Stanu Cywilnego.

– Chcesz mi powiedzieć, że Jan Zgoda nie żyje? – Odszedł w głąb domu.

– Martwy od lipca. Chyba że zmartwychwstał – zażartowała Magda, urzędniczka, którą poznał kiedyś na jednej z konferencji w

ratuszu, a opuścił wykończony dopiero nad ranem.

– Dzięki. Nie wiem, jak się odwdzięczę.

– Już ty dobrze wiesz jak. Po prostu wpadnij kiedyś.

– Wpadnę – obiecał, ale sam usłyszał w swoim głosie nutę kłamstwa.

Spojrzał na zegarek. Musiał się stąd zbierać. Zmarnował za dużo czasu.

Wtedy właśnie usłyszał pukanie w szybę.

Odwrócił się i zobaczył faceta w okularach, z przedziałkiem pośrodku, który przykleił się do okna. Jedną ręką ułożył przy czole jak daszek, żeby lepiej widzieć wewnątrz.

– Wodociągi! Licznik chciałem spisać – krzyknął.

Bener uśmiechnął się półgębkiem i ruszył w stronę drzwi.

Nie miał kluczy i nie wiedział, co teraz ma zrobić.

– Pan poczeka, posiałem gdzieś klucze.

– To garażem wejde – odkrzyknął mężczyzna. – Jak ostatnio.

Bener zszedł do garażu i odszukał przycisk otwierający bramę. Silnik rzeził, ale mechanizm bez problemu wciągał kasetonowe drzwi pod sam sufit.

Najpierw Bener dojrzał boscie nogi w sandałach, potem owłosione pękate łydki, wreszcie zielone bermudy z kieszeniami po bokach, czarną torbę i czerwony T-shirt opinający brzuch. Lekki przeciąg owiał ich przyjemnie.

Mężczyzna wyciągnął spoconą, pulchną dłoń.

– Dzień dobry, licznik chciałem spisać.

Bener bąknął coś i kiwnął głową w kierunku bocznych pomieszczeń, chociaż tak naprawdę nie miał pojęcia, gdzie są liczniki.

– Wiem, znajdę, przecież zaglądam tu od dawna, drogi panie – odpowiedział facet przyjaźnie i wszedł do garażu, sapiąc z wysiłku.

– A zna pan nowego właściciela? – zapytał Bener, nie zdając sobie sprawy z głupoty, jaką palnął.

Mężczyzna zatrzymał się w progu drugiego pomieszczenia, wbił w niego wzrok i uśmiechnął się.

– Czyli pana?

– Nie, ja tu tylko u kolegi waletuję – wydukał dziennikarz, poprawiając gumkę spinającą włosy.

– No to nie znam. Od śmierci Jasia Zgody jeszcze mnie tu nie było. A czemu pan pyta?

Też chciał to wiedzieć. Myślał, że inteligentnie zagada, a wpadł jak świnią w pomidory.

– A nie, no tak tylko – stęknął. – A ten Zgoda, to był ten z Geofizyki?

Bener wiedział, że pograża się jeszcze bardziej, ale tylko w ten sposób mógł wybrnąć z tego pata.

– Jakiej Geofizyki, drogi panie? On robił w MZK, jeździł na autobusie, często moją trasą śmigał i tak się poznaliśmy. – Facet kucnął przy ścianie w pobliżu dwóch wodomierzy i wyjął z teczki plik kartek. Zapisał w nich dwa rzędkie cyfr.

– A co mu się stało?

– Zmarł był. Dawniej to by powiedzieli, że na zmartwienia.

Uzależniony był, robotę szybko stracił, a potem już poszło. – Wstał z trudem.

– Wóda? – zgadywał Bener.

– Panie, wóda to była potem. A zaczęło się od kart. On w karty grał i z kartami spał. A jakie systemy opracowywał, jakie mi bajery wciskał! Chociaż nie powiem, jak wygrał kiedyś większą sumę, to zaprosił na piwo i grilla, bo pogoda była jak dziś, też tak ładnie słońko świeciło, to i piwko można było przyjemnie wypić na powietrzu. Marzenia miał, obietnice składał, że robotę rzuci i razem firmę założymy. Flachę jakąś dał mi jeszcze do domu, taką w drewnianym pudełku i ze słomą. Ale panie! Ja jej nie zdążyłem nawet odkorkować, a ten wszystko co do złotówki przegrał i pukał do mnie do drzwi o pożyczkę. Spłukał się zupełnie, panie. I ode mnie też nabrał pieniędzy, których dziś nikt mi nie zwróci. Ale ciul z kasą. Chłopa mi żal.

– A na co zmarł?

– Zawał czy coś, w każdym razie z sercem miał kłopoty, ale kto ich by nie miał, jakby wszystko przerznął w karty?

Bener spał mięśnie. Zawał. Dokładnie jak jego teść.

Spojrzał na zegarek i przeraził się. Minęła już ponad godzina od wyjazdu Walczyńskiego.

– No cóż. Dobra, muszę pana przeprosić, bo się spieszę. – Bener wszedł do garażu, a mężczyzna za nim. Pożegnali się, Marek zamknął drzwi garażowe i wrócił do pomieszczenia z wodomierzami.

Obserwował przez okno, jak pracownik wodociągów stanął przy furtce domu naprzeciwko, ale tam nikt mu nie otworzył, więc

mężczyzna pomaszerował dalej.

Bener przeszedł na tył. Wyszedł przez okno, stękając i sapiąc głośniej niż poprzednio. Następnie wstawił drewnianą płytę na swoje miejsce, a kawałki szkła, które wcześniej ułożył na kupce, przerzucił na teren budowy. Wiedział, że Walczyński dowie się o zbitej szybie, ale tylko wtedy, gdy wejdzie do piwnicy lub będzie przechadzał się po ogrodzie. Do tej pory jednak tego nie robił. Była więc szansa, że nieprędko dowie się o wizycie Benera.

3

Usłyszał dzwonek. Wstał od laptopa i przez okno zerknął, kto stoi przy furtce. Podszedł do domofonu i wpuścił Terlecką.

Aldona ubrana w czarne spodnie i bluzkę z długim rękawem usiadła przy stole i zdjęła ciemne okulary, które Bener mógłby pierwotnie wziąć za maskę do nurkowania. Postawił butelkę gazowanej wody i dwie szklanki, doniósł słone paluszki.

Zrelacjonowała mu wszystko, co działo się w redakcji i postępy w pracach nad tekstami do najnowszego numeru. Powiedziała też, by zadzwonił do Marysi Buczek, która miała jakąś dobrą wiadomość dotyczącą reklam. Dobre wiadomości są na wagę złota, pomyślał Bener, patrząc na pokrytą grubą warstwą pudru opuchliznę Terleckiej, jednak telefon do działu reklamy odłożył na później. Gdyby to były złe wiadomości, nie pozwoliłby sobie na coś takiego. Z dobrymi zazwyczaj nie było problemów.

– Co u ciebie? – spytała Aldona, gdy skończyła już omawiać sprawy redakcyjne.

– Walczę. – Sięgnął po paluszki i przegryzł kilka.

– Chciałabym ci pomóc.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Próbkę już miałaś – ostrzegł.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że to ci sami ludzie?

– Przecież widzisz, że to się składa w całość.

Poprawił ułożenie wydruków zdjęć na stole i zaczął jej opowiadać o tym, co już wie.

– Neumann – wskazał na fotografię piłkarza – nie para się brudną robotą. Jest nieuchwytny. To duch. Nikt nie wie, jak wygląda ani gdzie mieszka, wiadomo tylko, że żyje z nielegalnych gier w black jacka. Raz, w sobotę, udało mi się namierzyć Neumanna, kiedy śledziłem Walczyńskiego. Nie widziałem ich razem, ale pod lokalem, do którego wszedł „Niemiec”, stał czarny jaguar. Z knajpy, należącej pewnie do Neumanna, pierwszy wyszedł Walczyński, ale odczekałem swoje i opłaciło się. Po godzinie wyszedł też Neumann i wsiadł do jaguara. Dojechałem za nim za rogatki Torunia, kawałek za Otłoczyn w stronę Łodzi. W pewnej chwili jaguar skręcił w las po prawej. Gdybym zrobił to samo, miałoby mnie na widelcu.

– Wróciłeś tam później?

– Wróciłem, ale dojazd prowadził do zapadłego gospodarstwa, a po jaguarze nie było już śladu. Wszedł do mnie nawet jakiś rolnik i potwierdził, że jaguar zawrócił w stronę Torunia. Załatwili mnie jak dziecko. Zorientowali się, że mają ogon.

– Skoro on jest duchem, kto w takim razie mnie więził i gdzie?

– Dobre pytanie. – Bener sięgnął po wydruk z Walczyńskim, położył go obok Neumanna i opowiedział Aldonie o tym, czego dowiedział się o Janie Zgodzie, w którego domu mieszka obecnie „Niemiec”. – Mam wrażenie, że Walczyński, pseudonim Walet, jest...

Bener zawiesił się.

Coś sobie przypomniał.

Wstał od stołu i podszedł do swojego plecaka, grzebał w nim przez chwilę, ale nie mógł nigdzie znaleźć tego, czego szukał.

– Cholera jasna! – warknął.

Aldona nie odzywała się.

– Pamiętasz, jak wysłałaś mi screen z Facebooka, ten zapis ostatnich aktywności Moniki Żelaznej?

– No i?

– Był tam ktoś z takim dziwnym rysunkiem zamiast zdjęcia...

– Był, pamiętam. To Czar Jot.

Bener pstryknął palcami.

– Czar Jot, no właśnie. Mówi ci to coś? – Był wyraźnie pobudzony.

Pokręciła przecząco głową.

– Black jack! – Bener uśmiechnął się. – Czarny Walet!

Aldona nie podzielała jego entuzjazmu.

– No to ta ksywka brzmiałaby jakoś inaczej chyba – stwierdziła.

Bener dopadł do komputera, bo dopiero teraz skojarzył, skąd pamiętał rysunek przedstawiający profil blondyna z wąsikiem. Wpisał w wyszukiwarkę hasło i odwrócił laptop do Aldony.

– Oto i on! – uśmiechnął się.

Ekran wypełniał obrazek przedstawiający awers karty waleta z pierwszej lepszej talii.

– Widzisz? Rysunek jest bardzo podobny, ta sama kreska i do tego symbol „J”. Więc „Czar Jot” to walet pik, bo „czar” odwołuje się

zapewne do koloru karty.

Aldona wyglądała na zaskoczoną.

– Faktycznie, chyba trafiłeś. – Wpatrywała się przez chwilę w ekran, a potem przeniosła na niego wzrok. – Ale dokończ myśl.

– Racja. No więc ten Walczyński, nasz Czar Jot, który spotyka się z Neumannem, jest jego komornikiem.

– Kim?

– Widzę to tak. Jan Zgoda jest hazardzistą, traci wszystko. Neumann z kolei nie przegrywa nigdy, a swoje pieniądze mieć musi. Co robi?

– Nie mam pojęcia.

– Sprzedaje dług Walczyńskiemu. Walczyński płaci Neumannowi, a dzięki temu dostaje namiary na rodzinę Zgody i od niej odzyskuje wszystko to, co Zgoda był winien Neumannowi. Albo i jeszcze więcej. Tak samo było z moim teściem i być może Agatą. Prawdopodobnie ona też została porwana dlatego, żeby teść spłacił zobowiązania.

– Ale jak?

– Sprawa jest prosta. Walczyński szantażuje, porywa, wymusza, objęta mordę. Wszystko po to, by odzyskać zastawione w grze mieszkania albo gotówkę. Dziwnym trafem Jan Zgoda nie żyje od lipca. Zmarł na zawał, jak mój teść. Był pewnie jedynym właścicielem i spadkobiercą domu po rodzicach. To dało mi do myślenia.

– Okej, ale co on z tym robi?

– A co można zrobić z domem czy mieszkaniem? Sprzedaje albo wynajmuje.

– Rynek jest słaby, nie ma takiego ruchu jak kiedyś w tej branży.

– Założę się, że Walczyński zgrywa „Niemca”. Udaje, że otrzymał spadek i musi szybko sprzedać nieruchomość, bo wraca do siebie. Szybko znaczy tanio. Walczyński mieszka w domu po Zgodzie i robi tam porządki, jeszcze chwila i dam sobie łeb uciąć, że zdjęcia tego domu znajdziemy na portalach firm od nieruchomości. Chyba że ma na to inny patent. W każdym razie wywiózł z tamtego domu już niemal wszystko. Chałupa jest prawie pusta.

– Założmy, że masz rację, to gdzie ja wylądowałam? U Neumanna czy Walczyńskiego?

– I tu dochodzimy do sedna. Byłaś u Walczyńskiego. Nie miałaś żadnych długów, nie grałaś w black jacka, ale za blisko chciałaś ich podejść. Przejrzeli cię i dlatego postraszyli. Neumann nie mógł tego zrobić, bo on się brzydzi brudną robotą. Dlatego nie siedziałaś w bagażniku jego samochodu. Ale kiedy dowiedział się, że jesteś dziennikarką „Echa”, odwiedził mnie, a Walczyńskiemu przykazał, żeby ci włos z głowy nie spadł. Oddał twoje pieniądze, a mnie próbował odwieść od prześwietlania jego biznesów. Chodziło o twój tekst.

– Całkiem możliwe. – Pokiwała głową. – I co teraz?

– Monika – powiedział i wziął do ręki kolejne zdjęcie. – Walczyński ma haka na Żelaznego. Żelazny robił Neumannowi oprogramowania do jednoręcznych bandytów, oczywiście lewe i bardzo zyskowe. Kłopot w tym, że w hazard wpadł albo został wciągnięty syn Żelaznego. Kiedy przychodzi do spłaty długów, ojciec dwoi się i troi, by starczyło na to

kasy. Ale widocznie gdzieś coś pęka, skoro Neumann sprzedaje dług Walczyńskiemu. Wtedy Walczyński uderza w oczko w głowie Żelaznego i zabiera mu córkę.

– Ale niedawno mówiłeś, że ona wcale nie zaginęła, że mogła pojawiać się nawet w domu, że po prostu pokłóciła się z ojcem.

– Bo to prawda. Żelazny twierdzi, że uderzył ją w twarz, że nie odzywali się do siebie. Ale Monika podobno była z jednym z jego kolegów. Zniknęła dopiero później. Chciała wysłać do mnie materiały o teściu i Agacie, ale nie zdążyła tego zrobić.

– Czy nawet wtedy kolega nie poinformowałby Żelaznego o tym fakcie?

Punkt dla Aldony. Bener zmarkotniał.

– Nie wiem cholera. Dziwnie to wygląda.

– A co z Michałem? – Wskazała na jego zdjęcie.

– Żelazny twierdzi, że jest razem z Moniką. A skoro tak, to oboje musi mieć u siebie Walczyński.

Bener spojrzał na Aldonę, która myślami była daleko stąd.

– Piwnica. – Pstryknęła palcami.

– Co piwnica?

– Tam mnie trzymali...

– Tak mówiłaś.

– Ale było coś jeszcze.

– Co takiego?

Aldona przyłożyła rękę do czoła.

– Tam ktoś był.

– Dalton i Pudło?

– Nie!

Bener odchylił się na oparcie krzesła.

– Słyszałam jakiś głos. Jakby trzymali tam nie tylko mnie.

– Ale co konkretnie?

– Jęk. Długi przeciągły jęk. I jednego jestem pewna. Ten głos należał do dziewczyny.

4

Wypili kolejną kawę.

W tym czasie nabrali przekonania graniczącego z pewnością, że Aldona mogła znaleźć się w tym samym miejscu, w którym przetrzymują Monikę. Kłopot jednak polegał na tym, że ani nie wiedziała, gdzie przebywała, ani jak długo ją tam wieźli. W tej sprawie miała dziury w pamięci jak kratery na Księżycu. Po dłuższym milczeniu i wpatrywaniu się w leżące na ławie zdjęcia pierwsza zabrała głos Aldona.

– Nie podoba mi się ten Żelazny.

Biznesmen wciąż był najdziwniejszą postacią z całego tego zoo. Dziwne zachowania, nerwowość, kato-przekleństwa.

– A jego żona? Jak ją odbierasz?

Bener wzruszył ramionami, bo gdyby miał się odwołać do wspomnień, powiedziałby, że cudownie, ale ona także grała w swoją grę. Przypomniawszy sobie, jak mówiła mu, żeby nie wierzył w żadne słowo jej męża. Ponadto spotkała się z Walczyńskim. Miała coś za uszami.

Aldona stanęła i wzięła do ręki wydruki zdjęć ich dzieci.

Popatrzyła na nie, a potem odłożyła na bok.

– Wiesz co... – rzuciła zamyślona, gdy zadzwonił telefon.

Oboje spojrzeli na leżące na blacie aparaty.

Bener wyciągnął rękę w kierunku starej, wysłużonej noki.

5

Aldona pojechała do domu, a Bener znowu włączył *Frantic*. Zaczął od momentu, w którym Richard Walker decyduje się otworzyć walizkę. Tę, którą przez pomyłkę otrzymali razem z żoną na lotnisku i która stała się przyczyną całego nieszczęścia.

Patrzył, jak Harrison Ford przetrząsa zawartość kobiecej torby, i czuł, że w jakimś sensie ta scena jest kluczowa. Nie chodziło tylko o to, że dzięki temu, co aktor w niej znajdzie, akcja ruszy do przodu. Było w tej scenie coś znacznie bardziej istotnego, a co jednak przez zmęczenie uciekało Benerowi i pozostawało nieuchwytnie. Jakaś myśl, przebłysk, coś, co miał na końcu języka.

Poszedł do lodówki po piwo, a kiedy wypił kilka łyków i wrócił na miejsce, nie patrzył już w ekran. Poświata telewizora mrugała na ścianach i meblach, układała zakrzywione linie na butelce, jakby chciała ją objąć. Cofnął film niemal do początku, do chwili, kiedy Richard Walker był w komisariacie i podawał rysopis zaginionej żony. Kolor oczu, kształt twarzy. Francuski policjant stukał jednym palcem w maszynę, a następnie poprosił o zdjęcie.

Bener patrzył to w ekran, to na wydruki wciąż leżące na stole.

Przypomniawszy sobie wszystko jeszcze raz. Myślami wrócił do chwili, kiedy zatrzymał się w Otłoczynie i zagadnął rolnika o czarnego

jaguara. Dopiero teraz przypomniał sobie, że coś mu w tym obrazku nie pasowało. Nowe, bielusieńkie adidasy.

Przewinął film do sceny z walizką, obejrzał ją dwukrotnie, potem cofnął jeszcze raz.

I już wiedział, że to nie ta scena. W filmie była jeszcze jedna, w której Walker rozpruwa podróżną torbę.

A Bener tego nie zrobił, chociaż powinien. I nie chodziło mu o walizkę, ale o gospodarstwo. Powinien je dwukrotnie sprawdzić, a dał się wyrolować dryblasowi w adidasach. Zadzwoił do Aldony i opowiedział jej o swoich przecuciach

– No i? – dopytała. – Dlaczego myślisz, że ten rolnik to jeden z tych, którzy mnie przetrzymali?

– Może to tylko przecucie, ale ten gość po prostu nie wyglądał na rolnika.

– Myślisz, że to mógł być ten Dalton?

Bener uśmiechnął się.

– Ta ksywka pasuje do niego jak ulał. – Pomyślał o komiksowej wersji czterech braci Daltonów, którzy uprzykrzali życie Lucky Luke'a.

Bener nie chciał marnować ani chwili. Chwycił kluczyki i wyszedł na zewnątrz. Wiatr niósł zapach burzy, a niebo grzmiało głucho na południu.

Kiedy wsiadł do samochodu, zadzwoniła Aldona.

– Nie myśl sobie, że pojedziesz tam sam. Masz na mnie poczekać.

I jeszcze jedno ci, Marek, powiem. Nie poddawaj się nigdy. Szukaj jej Marek, mojej córeczki kochanej i żony swojej, bo może prawda jest

zupelnie gdzie indziej. Moze wszystko jest inaczej, niz mi sie wydawalo.

Tylko gdzie ona jest, skoro to nie Walczyński ja zabral?

Nie poddawaj sie, Marek.

A jak ja odnajdziesz, to przepros ja ode mnie, blagam.

Niech ona mi wybaczy, niczego wiecej chciec nie moge.

Nawet po smierci mojej niech mi wybaczy, bo chociaz skrzywdzilem ja bardzo, to kochalem nad zycie.

[placz]

I ty mi tez wybacz.

Proszę.

[szumy]

6

Bener włączył wycieraczki tuż za wiaduktem przerzuconym nad autostradą A1, za ostatnim miejskim osiedlem wysuniętym najdalej na południowy wschód.

Aldona dobijała się do niego, aż w końcu postanowił wyciszyć głos.

Nie zamierzał jej narażać, dość już przeżyła.

Zanim wyruszył do Otłoczyna, pojechał na Wrzosey i wślizgnął się do domu Jana Zgody. Obszedł chałupę, korzystając z wybitej szyby w oknie piwnicznym, bo musiał zabrać ze sobą na przejażdżkę Walczyńskiego. Pracował najciszej, jak mógł, ale źle trafił. Walczyński był nieobecny. Bener zmarnował sporo czasu, więc powinien szybko opuścić dom i ruszyć w stronę Otłoczyna, dokąd, był przekonany, udał się Walczyński. Cofnął się do kuchni i zerknął przez okno na jezdnię. Było cicho i spokojnie.

Nagle jednak serce podeszło mu do gardła.

Na parapecie w pobliżu słoika z kiepami leżał telefon w posrebrzanym etui. Znał go doskonale.

Wyjął z niego aparat, odblokował w sposób, w jaki sam go zaprogramował, a potem przeraził się jeszcze bardziej, kiedy zerknął do folderu wiadomości. Były w nim wszystkie SMS-y, które dostał od teściowej.

Ale teraz już wiedział, że to nie ona je napisała.

7

Silnik szumiał, niebo jaśniało od błyskawic, które obserwował na horyzoncie.

W drodze miał czas na przeanalizowanie wszystkiego.

Majewska była w rękach Walczyńskiego. Pewnie od początku, nawet kiedy z nią rozmawiał przez telefon i słyszał męski głos dochodzący z głośnika, była już w jego łapach. Poświęciła się. Dlatego sprzedała mieszkanie na Żwirki i Wigury, ale widocznie to nie wystarczyło Walczyńskiemu.

Zadrzał.

Mnóstwo czasu stracił, wierząc w to, że jest bezpieczna, ale dopiero teraz zrozumiał sens jej ostatniej wypowiedzi. „Nigdy nie było żadnego Antoniego”. Nie chodziło jej o imię, a o zwrócenie Benerowi uwagi na to, żeby nie zdradzał w rozmowie nikogo więcej, żeby już nikt nie musiał cierpieć z powodu długów teścia. Przynajmniej tak to obecnie rozumiał.

Jechał dalej ciemnym lasem, z przeciwka w mniejszym natężeniu niż za dnia nadjeżdżały samochody, ale gros z nich widział po prawej, jak sunęły sąsiadującą z dawną krajową jedyneką autostradą.

Był coraz bliżej celu, a w jego głowie co rusz pojawiały się nowe głosy i obrazy. Tym razem wrócił do rozmowy z Szamanem, której

przysłuchiwała się Aldona, bo Bener włączył w aparacie głośnik.

– Wygrasz, jeśli nie będziesz się bał – zachrypiał Szaman.

– Wiem już wszystko – skłamał, chociaż faktycznie dzięki nagraniom teścia rozumiał coraz więcej. – Chcesz za moim pośrednictwem dopaść Neumanna i wyrównać z nim rachunki.

Szaman zamilkł.

– Nic nie wiesz o Agacie. – Bener dbał o to, by trzymać nerwy na wodzy. – Ani o tym, jak i dlaczego zginęła. Od początku chciałeś tylko jednego. Wykorzystać mnie do złapania Neumanna. Bo to przez niego wszystko straciłeś. Ale powiem ci coś. Neumanna mam w dupie i...

– Nie zastanawia cię – Szaman przerwał mu ostro – dlaczego Neumann wysadził cię w miejscu, gdzie zginęła Agata? Uważasz, że to przypadek?

– Uważam, że to gra. – Bener czuł skurcze w oku, powieka zaczynała mu drzeć. – Pierdolona gra, w której wszyscy robicie sobie teatr.

Aldona obserwowała, jak Bener się spina, jak powoli zaciska wolną pięść, jak pulsują mu żyły w skroni.

– Ale to już koniec – warknął. – Skończyło się, rozumiesz? Za chwilę wypierdolę ten telefon.

– Neumann wie więcej, niż myślisz. Dlatego kazałem ci grzebać w przeszłości teścia. Przecież już wiesz, że to jego ludzie go wykończyli.

– To Walczyński go wykończył!

– Ale to jego człowiek! To jemu Neumann sprzedaje wszystkie długi, nie rozumiesz tego?! – krzyknął Szaman.

Przez chwilę nikt nie powiedział ani słowa.

Aldona wpatrywała się raz w Benera, raz w aparat leżący na stole.

– Rozumiem – zaczął Bener. – Doskonale to rozumiem, ale co to wszystko ma wspólnego z Agatą? Porwał ją za długi teścia? – Bener miał wrażenie, że pokój zaczyna się odrywać od ziemi i obracać wolno wokół niego.

– Nie! – usłyszał Szamana.

– Zabił ją.

Pokój przyspieszył.

– Nie, do cholery! – warknął Szaman i zaniósł się od kaszlu.

„Tu wszystko się zaczęło”, Bener pamiętał dobrze słowa Neumanna.

Wirowanie ustało.

Bener wstał i odszedł od aparatu.

– Ani ja, ani Neumann nie mamy pojęcia, gdzie jest Agata – dodał po chwili Szaman. – Taka jest prawda.

– Tu wszystko się zaczęło – powiedział Bener, zupełnie jakby nie słyszał słów rozmówcy.

Aldona patrzyła to na telefon, to na Benera, który stał teraz przy filarze, na którym wisiały zdjęcia Agaty, i wpatrywał się po kolei w każde z nich.

– Wiem tylko tyle, że Neumann chciał ją porwać, ale ktoś go ubiegł. Teść myślał, że to moja wina, ale nie miałem z tym nic wspólnego. – Szaman odchrząknął flegmę. – Agata umówiła się z ojcem na spotkanie, żeby przekazać mu pieniądze na spłatę długu.

– Miała jechać na cmentarz zrobić zdjęcia, zbieraliśmy pieniądze na remont pokoju córki. – Bener zachowywał się, jakby był nieobecny.

– Bzdury! Pojechała dać ojcu pieniądze! Przecież już wiesz, że wsiadł do jej samochodu, odebrał kasę i odszedł w stronę zaparkowanego kawałek dalej wozu Walczyńskiego. Przekazał, co miał, Walczyński odjechał wściekły, że Edek spłacił tylko część długu. Majewski wrócił do Agaty, ale samochód był zamknięty. Zamknięty i pusty.

– Skąd to wiesz? Odsłuchałeś nagrania?

– Sam mi o tym opowiedział. Kazał mi odnaleźć Agatę, tak spłacam wobec niego dług.

– Kłamiesz.

– A czy kłamałem wtedy, gdy mówiłem, żebyś zaczął poszukiwania od teścia?

Bener milczał, krew gotowała się w nim.

– Mogłeś od razu powiedzieć mi co i jak, zaoszczędziłbym trzy lata – stwierdził.

– Gdybym wpadł na jakikolwiek trop Agaty, powiedziałbym ci o tym.

– A skąd wiedziałeś, że teraz wpadłem?

– Szukałem na oślep, aż w końcu na coś trafiłem.

– Co takiego?

– Na Monikę. Twój teść zżył się z Żelaznym i jego córką. Dbał o nią przecież, woził ją wszędzie i opowiedział jej kiedyś o Agacie i o tobie. Wystarczyło, że podsyciłem jej ciekawość. Zawsze mi się wydawało, że

Żelazny, jej ojciec, wie więcej na temat Majewskiego i Agaty, że pewne tajemnice mogły zostać ukryte w jego domu. Musiałem mieć kogoś, kto to sprawdzi.

Bener czuł, jak włosy stają mu dęba.

– Dlatego do mnie przyszła, tak?

Szaman odkaszlnął.

– Nadal myślisz, że nic w niej nie ma? – Szaman zaśmiał się. – W tej gazecie?

– Przejrzałem każdą stronę po kilkanaście razy.

– Na czwartej stronie lipcowego „Echa Torunia” jest reklama firmy Żelaznego, o czym niewiele osób wie, bo on ma kilka firm, których właścicielami są różne spółki. Ciężko to rozgryźć, ale zrobiłem wszystko, żeby mi się udało. Kiedy namierzyłem Monikę, musiałem mieć dla niej przekonujące argumenty. Spotkałem się z nią i pokazałem jej „Echo Torunia” i to ogłoszenie. Powiedziałem, że zapłacił za nie jej ojciec. Podwiozłem ją do redakcji. I wtedy wszystko się zaczęło.

Bener odszukał w plecaku gazetę i rozłożył ją na stole, przykrywając zdjęcia znanych mu osób.

Kartki zaszeleściły, gdy szukał czwartej strony.

– To musi być jakiś szyfr chyba – stwierdził Szaman.

Bener raz jeszcze przeleciał wzrokiem tekst reklamy.

Atrakcyjne tereny na działki budowlane i siedliska, dogodny dojazd, lokalizacje oddalone o 15 min. od Torunia albo 25 minut od Bydgoszczy, w pobliżu krajowej 80-tki –

taką ofertę przygotowaliśmy specjalnie dla Państwa.

A prezentowane na naszej stronie internetowej nieruchomości już zyskały wielu chętnych, dlatego zapraszamy również do Elektronicznego Biura Obsługi Klientów, w którym specjalnie dla Państwa przygotowaliśmy wizualizację terenów wraz z przykładowymi projektami domów.

Wystarczy zalogować się w e-BOK i spełnić swoje marzenie o własnym domu, działce, szczęściu i bezpieczeństwie dzieci.

Lista nieruchomości wystawionych na sprzedaż jest długa i na bieżąco aktualizowana. Zachęcamy do kontaktu z handlowcami albo bezpośrednio do wizyty w naszym biurze.

SOFT Residence

Rubinkowo II, pawilon przy ulicy...

Bener czytał co drugi wyraz, potem co trzeci, układał zdanie bez żadnego sensu. Wreszcie wpadł na inny pomysł. Sunął palcem po tekście w dół, na początku wersów. Gdy zatrzymał się na ostatniej literze, Aldona zasłoniła dłonią usta, żeby nie krzyknąć.

– Masz już? – zachrypiał Szaman.

Bener zrobił się blady, a potem odczytał na głos.

– Agata jest wolna.

8

– Czy to oznacza, że Monika jest u ciebie? – spytał, kiedy się otrząsnął z poprzedniej informacji.

– Nie. Chciała wrócić do domu. Straciłem z nią kontakt w środę, mimo że oferowałem jej pomoc. Nie oddzwoniła i nie przyszła.

– A lwi kiel?

– Co masz na myśli?

– Nic nie wiesz o wisiorku?

– Nie.

– Monika chciała mi wysłać zdjęcie wisiorka, który kiedyś sprezentowałem Agacie.

– Być może udało jej się dowiedzieć czegoś więcej.

Porozmawiali jeszcze chwilę, a potem Bener wyłączył telefon i spojrzał w smutne oczy Aldony.

Przytuliła go.

A teraz musiał obywać się bez niej, chronić ją przed Walczyńskim i Neumannem. Dlatego nie mógł jej zabrać do Otłoczyna. Za to Szaman obiecał, że wkrótce pojawi się tam Alien i żeby Bener koniecznie na niego zaczekał.

9

Od godziny grzmiało i błyskało. Burza przetaczała się przez miasto od południowego wschodu.

Zaparkował samochód po drugiej stronie drogi w leśnym dukcie z dala od jezdni i poczekał w lesie, aż na chwilę zamrze uliczny ruch. Zmókł już strasznie, bo deszcz napierał z nową siłą. Kiedy stanął na poboczu, dostrzegł jedynie światła ciężarówki, które kładły się na mokrym asfalcie z prawej, w oddali jechał osobowy, mógł więc przebiec przez jezdnię.

Za drzewami błyszcząły szyby budynków gospodarstwa i mokre kłosa pszenicy po prawej. Ruszył skrajem lasu, bo w oknach starego domu dostrzegł światło.

Doszedł do frontowej ściany i zerknął przez okno znajdujące się najbliżej werandy, przy drzwiach wejściowych do kuchni. Pusto. Odkleił się od parapetu i zachowując ostrożność, podszedł do podwójnego okna, z którego światło rozlewało się na krzewy przed domem. Liście błyszcząły od deszczu.

W pokoju byli tylko dwaj mężczyźni. Dalton i Walczyński. Brakowało Pudła. Być może spał na poddaszu. Albo w pokoju obok, tam, gdzie w oknie nie paliło się żadne światło. Choć równie dobrze mógł być gdziekolwiek, co byłoby sporym utrudnieniem. Zresztą Bener

nie wiedział, czy Walczyński nie zatrudnia innych zbirów.

Zastanawiał się, jak to rozegrać i czy powinien dłużej czekać na Aliena, skoro ten się spóźniał.

Przed wejściem do domu o ścianę opierały się dwa szpadle, przy których stały dwie pary ubłoconych butów. Gdyby umiał, zrobiłby z tych rzeczy czołg.

Przeszedł na tył, gdzie stały dwa samochody, kombi, z którego wyrzucili Aldonę, i S-max Walczyńskiego. Zrobił krok w ich kierunku, gdy najpierw usłyszał wściekłe i głośnie ujadanie psa, a potem zobaczył, jak wielki wilczur skacze w jego stronę i tryska śliną. Na szczęście był na łańcuchu, który napinał się do granic możliwości.

Bener cofnął się i przywarł do bocznej ściany domu, skąd obserwował podwórze. Kiedy usłyszał otwieranie drzwi, wychylił się nieznacznie zza narożnika.

– Co jest, Rambo? Waruj! – usłyszał czyjś głos.

Pies zaskomlał i posłusznie przywarł do mokrej ziemi, a następnie z podkulonym ogonem wskoczył do budy.

Drzwi z powrotem się zamknęły.

Bener wrócił do frontowej ściany. Chwycił jeden ze szpadli i podszedł do okna pokoju, w którym było ciemno. Wycelował, unosząc narzędzie jak oszczep, i czekał na kolejny grzmot. Kiedy zahuczało, rzucił szpadlem z całej siły. Szyba pękła, a Bener podbiegł do wejścia i złapał drugi szpadel. Przywarł do ściany w pobliżu framugi.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i Dalton wypadł na zewnątrz. Bener gwizdnął, a kiedy mężczyzna odwrócił się w jego stronę, uderzył

go stalową rękojeścią szpadla prosto w zęby. Zadziało jak dobrze wyprowadzony cios. Gdy z ust mężczyzny chlusnęła krew, Bener już podcinał mu kolana. Dalton padł jak długi. Dopiero teraz Bener zobaczył, że mężczyzna trzymał w ręku pistolet.

Bener schylił się po broń.

Wszedł i ustawił się tak, by mieć na widoku kompletnie zdezorientowanego Walczyńskiego, który stanął jak wryty w korytarzu oraz bełkocącego przed domem Daltona. Drzwi kiwały się poruszane przeciągiem, ale nie zamknęły się, tylko uderzały o but Daltona. Białe adidasy.

– Gdzie trzeci? – spytał Bener.

Walczyński nie odpowiedział.

– Gdzie trzeci, kurwa?! – Bener wycelował w niego broń.

– Wyjechał.

– Dokąd?

– Do Torunia, sprawy załatwia.

Bener nie wiedział, czy może mu wierzyć.

– Chodź – warknął dziennikarz. Uchylił drzwi w pobliżu kuchni i zapalił światło na schodach prowadzących w dół.

– Tam je trzymacie?

Walczyński nie odpowiedział, Bener przystawił mu lufę do czoła.

– Ko-kogo? – wydukał mężczyzna.

Rozmowę zagłuszał łoskot deszczu.

– Teściową i Monikę.

– Bredzisz.

- To gdzie? – Bener nie dawał za wygraną.
- Już za późno.

10

Szli ścieżką przez las targany porywami nagłego wiatru. W jasnym świetle błyskawic Bener dokładnie widział szerokie plecy Walczyńskiego, korę pobliskich drzew i grząską ziemię, po której stąpali, oraz wysoką trawę porastającą z boku dróżki.

– Już za późno – warknął znowu Walczyński.

Powtarzał to także w piwnicy.

Znajdowała się w niej zakratowana cela, jak również sporo jednoręki bandytów. W mniejszym z pomieszczeń urządzono świetnie wyposażony warsztat do naprawy tych maszyn. Dwie z nich były wybebeszone, części wyłożono na stół. W drugim zgromadzono inne zepsute urządzenia, w tym także flippery. Odłączone od prądu wyglądały jak kadr z filmu grozy o opuszczonym wesołym miasteczku.

Bener ustawił pod ścianą Walczyńskiego i Daltona, któremu wcześniej kazał wstać i ruszyć dupę, co ten zrobił, chwiejąc się i pojękując. Marek nie mógł uwierzyć w to, co widział. Dostrzegł podobieństwo obu mężczyzn: tak samo opadające kąciki ust i silne kwadratowe, wyraźnie zarysowane szczęki. Uśmiechał się i oni też się uśmiechali, przynajmniej do chwili, gdy Bener z niezwykłą szybkością przyłożył Daltonowi drugi raz rękojeścią pistoletu. Młodszy z Walczyńskich z jękiem osunął się na ziemię. Tym razem Bener złamał

mu nos. Stary ryknął, ale dziennikarz nie zamierzał przestać. Kopnął Daltona z całej siły w nogę, potem poprawił jeszcze raz. Przestał dopiero, gdy Walczyński zdradził, gdzie przetrzymują ofiary.

Krwawiącego i opuchniętego Daltona Bener zamknął w celi. Teraz razem ze starym Walczyńskim zbliżali się do właściwego schronu. Przemoc zawsze rozwiązuje nawet najbardziej zasupłane języki.

– No dalej! – krzyknął Bener i popchnął mężczyznę trzymaną oburącz łopata. Broń miał wsuniętą za pasek. Deszcz spływał mu po włosach, chlupało w trampkach.

– Ten drugi, Pudło, to też twój syn?

Walczyński zaprzeczył. Szedł miarowo krok za krokiem, ale Bener widział w nim rezygnację, jakąś zgodę na to, co miało być. Jemu samemu brakowało siły, wzmagał się w nim strach, że rzeczywiście jest już za późno. Ale nie chodziło tylko o to. Wiedział, że Walczyński ma nad nim mimo wszystko przewagę. Co prawda to Bener miał w rękach szpadel i unieszkodliwił Daltona, ale „Niemiec” był na znanym sobie terenie, znał każdy krzak, drzewo i kamień. Mógł mieć tutaj swoje pułapki i koła ratunkowe. Bener musiał być czujny.

Kiedy błysnęło, w strugach deszczu dojrzał zarys zrujnowanej leśniczówki.

– To tu? – Bener próbował przekrzyczeć grzmot.

Walczyński nie odpowiedział, szedł przed siebie z pochyloną głową.

Niebo kolejny raz przecięło kilka błyskawic. Tym razem na dłużej oświetliły polanę i chałupę z zapadniętym drewnianym dachem. Parę metrów stąd stała stara studnia, obok niej leżał zwalony ze starości

daszek. Tylko tyle Bener zdążył zobaczyć, resztę przysłoniła postać Walczyńskiego.

I znowu zapadła ciemność.

Minęli studnię i skierowali się do wejścia, o ile można było je tak nazwać. Z leśniczówki zostały tylko dwie szczytowe ściany. Dach był zawalony, deski zmurszałe. Zachowało się jedynie wejście, gdzie stare drzwi trzymały się na jednym zawiasie i zapraszały do czarnej otchłani.

– Stój! – Bener wyciągnął rękę przed siebie, żeby złapać Waleta za mokrą bluzę, a potem szarpnął go. – Tam są?

Walczyński odwrócił się powoli, ale nie odpowiedział. Po jego twarzy spływały krople deszczu i zbierały się na brodzie. Przetarł twarz dłonią i na sekundę zamknął oczy.

– Idziesz? – spytał.

Bener zacisnął dłonie na łopacie i dał mu znak, by ruszał.

Zrobił kilka kroków za Walczyńskim, ale czuł, jak mu ze strachu drżą nogi. Nie wiedział, czego się tam może spodziewać. W zawalonej chałupie nie mogło być niczego ani nikogo. Jej szerniałe od pożaru wnętrze było dobrze widoczne, szczególnie wtedy, gdy kolejne błyskawice rzucały światło na polanę.

Grzmotnęło gdzieś blisko.

Bener skulił się na chwilę, miał wrażenie, że piorun uderzył tuż za nimi.

Walczyński zatrzymał się w drzwiach i odwrócił się do Benera.

– Jesteś na to gotowy? – spytał dziennikarza.

Stali obok siebie na spękany betonowym ganku.

Bener zarzucił włosami na plecy i otarł oczy. Spojrzał na Walczyńskiego, a potem przeniósł wzrok na chałupę. Kątem oka dostrzegł, że mężczyzna szuka ręką czegoś za ścianą.

– Widzisz tam? – Wskazał wolną dłonią na wnętrze leśniczówki.

Bener odwrócił głowę, ale już wiedział, co się święci. Wziął szybki zamach, chcąc przyłożyć mężczyźnie szpadlem. Walczyński wskoczył do wnętrza, a szpadel z wielką siłą odbił się od framugi, zostawiając na niej duże wyłobienie, aż Benera zaboląły ręce.

– Walet! – ryknął i rzucił się za nim, ale szybko stanął jak wryty.

Po lewej miał ruiny, po prawej wciąż zabudowane wnętrze, w którym panował mrok. W uszach mu szumiało. Zastygł więc w tej pozycji, ponownie zaciskając dłonie na stalowym trzonku szpadla, i czekał na błyskawicę. Kiedy rozjaśniła niebo, Bener zauważył, że w ścianie po prawej stronie znajdowała się ościeżnica pozbawiona drzwi. Mokre ślady prowadziły w tamtą stronę. Bener podszedł i wsunął ostrożnie głowę. Przez zrujnowane deski w zewnętrznej ścianie wpadało tu nieco światła i monotonny szum deszczu.

Poobrywane półki ciągnęły się od góry do dołu. Bener wszedł do pomieszczenia. Na końcu tej dawnej spiżarni zauważył dziurę i zacinający na zewnątrz deszcz.

Nagły grzmot rozsadził mu bębenki. Serce na najwyższych obrotach pompowało krew. Wyjrzał przez dziurę w elewacji i zrozumiał, że zachował się jak szmaciarz.

Walczyński zniknął.

Bener musiał zachować zimną krew. Ruszył jego śladem.

Przedostał się przez otwór w ścianie, rozejrzał się, ale nie zrobił żadnego kroku. Wiatr szalał i chłostał deszczem ziemię. Chcąc cokolwiek zobaczyć, Bener musiał mrużyć oczy. Do ściany lasu z jednej i drugiej strony domu było co najmniej dziesięć metrów. Zrobił krok i cofnął się. W ziemi zostawił wyraźny odcisk buta. Odstawił szpadel i kucnął, żeby rozejrzeć się za pozostałymi śladami, ale ich nie było. Mogły zalać je powiększające się i coraz głębsze kałuże, Walczyński mógł też obejść dom tuż przy ścianie, gdzie ziemia znajdowała się wyżej i była ubita. Bener zabrał szpadel, cofnął się do wnętrza i przeszedł przez wąskie pomieszczenie z powrotem do drzwi wejściowych. Ostrożnie się wychylił i ponownie wyteńczył wzrok, bo deszcz rozmywał wszystkie kształty. Dopiero kiedy błyskawica oświetliła polanę, zauważył ruch w pobliżu studni. Być może to tylko wiatr poderwał jedną z desek zwałonego daszku.

Czekał.

Nie wiedział tylko, jak długo powinien czekać i kiedy uznać, że czas wracać do gospodarstwa i złapać Walczyńskiego.

Po cichu przeszedł do zrujnowanej części domu i stanął pod gołym niebem, z którego nieprzerwanie lał deszcz. Z tego miejsca łatwiej mu

było obserwować otoczenie studni i wejście na ścieżkę, która prowadziła przez las do starego gospodarstwa.

Burza przetoczyła się dalej, grzmoty i błyskawice nie były już tak częste.

Zrobił krok w stronę drzwi, gdy znowu to dostrzegł.

I dopiero teraz zrozumiał, na co tak naprawdę patrzył.

12

Aldona widziała Benera, jak przebiegał przez jezdnię. Nie była do końca przekonana, czy to on, padał deszcz, poza tym widziała go z daleka. Skręciła w lewo w las, mniej więcej w miejscu, z którego wybiegła pochylona postać. Zyskała pewność, dopiero gdy zaparkowała mini morrisa przy jego samochodzie. Zamknęła swój wóz od wewnątrz, bo nocą, a do tego w trakcie burzy, las ją przerażał. Wybrała numer do Benera, ale nie odpowiadał. Próbowala dodzwonić się do niego wiele razy, niestety za każdym bezskutecznie. Musiał wyciszyć dźwięk.

Zamierzała mu pomóc i była zła na niego, że wszystko chciał zrobić sam, a przecież w tandemie mogli być skuteczniejsi.

Wyszła z samochodu wprost na ulewę i pobiegła w kierunku jezdni.

Kiedy znalazła się po drugiej stronie drogi, poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

13

Oddychała płytko.

Drzwi wejściowe uderzały głucho we framugę, a w wybitym oknie firana, chociaż ciężka już od deszczu, wciąż falowała na wietrze targana przeciągiem.

W środkowym oknie paliło się światło.

Po tym co zobaczyła, Terlecka była pewna, że w domu nikogo nie było.

Weszła do sieni i zamknęła za sobą drzwi. Zostawiając mokre ślady, zajrzała do oświetlonego pokoju, w którym nie było niczego oprócz niemodnego dywanu i dwóch starych foteli, a także szafki pod dużym płaskim telewizorem.

Sięgnęła do włącznika i zgasiła światło. Nie chciała, żeby ktoś z zewnątrz ją zobaczył.

W telewizyjnej poświacie odszukała pilota i wyłączyła obraz. Zrobiło się ciemno. Po chwili zerknęła do drugiego pokoju, w którym wybito okno. Szpadel leżał na podłodze wśród odłamków szkła. Zamknęła drzwi, żeby uspokoić przeciąg.

Podeszła do okna wychodzącego na podwórze, na którym stały dwa samochody, a po lewej buda dla psa. Łańcuch zniknął w środku, więc zwierzę musiało w niej spać, ale sądząc po rozmiarach drewnianego

domku, nie był to shih tzu.

Weszła na górę. Schody skrzypiały pod jej stopami. Szła wolno, krok za krokiem, stopień za stopniem. Poddasze było zaciemnione i ciche.

Nie miała tam za dużo do roboty. Na górze znajdowały się nieumeblowane pokoje i stara, raczej nieczynna już łazienka. Gdy zapaliła w niej światło, usłyszała grzmot i chyba tylko dlatego przeraziła się własnego odbicia w szerniałym lustrze. Strąki mokrych włosów zakrywały jej część twarzy, wyglądała jak postać z horroru.

Z dudniącym sercem zeszła na parter, żeby sprawdzić ostatnią kondygnację. Uchyliła drewniane drzwi znajdujące się w pobliżu kuchni. Klatka schodowa była oświetlona, a niewykończone, betonowe schody prowadziły w dół. Ostrożnie i cicho stawiając kroki, zeszła do niewielkiej piwnicy.

Obok otwartej przestrzeni, w której znajdował się piec, rysowało się w półcieniu niewielkie pomieszczenie pozbawione drzwi, ale ze stalową kratą zamkniętą na kłódkę, a dalej ustawione równo pod ścianą maszyny podobne do tych z salonów gier. Aldona nie widziała, co jest za kratą, więc zrobiła krok do przodu i o mało nie dostała zawału.

– Otwieraj, kurwa! – usłyszała męski krzyk. – No już!

Zakrwawiony Dalton pojawił się w kręgu światła, wyglądał jak zombie. Przerazona Terlecka oparła się o ścianę, a kiedy zdołała złapać oddech, uciekła na schody.

Wbiegła na górę i wsłuchiwała się w rytmiczne uderzenia swojego

serca, które znacznie wyprzedzały ciche tykanie ściennego zegara.

Musiała stąd wyjść. Tylko tyle wiedziała.

Czuła jak te ściany, w których się znalazła, przyciągały się ku sobie, jakby chciały ją zmiażdżyć. Zimny dreszcz przeszedł jej wzdłuż kręgosłupa. Zmusiła się do spojrzenia przez okno na drogę dojazdową do posesji, ale przez szybę smaganą deszczem widziała jedynie rozmazany świat. Krople łączyły się ze sobą i uciekały na parapet.

Droga była wolna.

Kiedy przechodziła koło drzwi do piwnicy, znowu usłyszała głośne krzyki. Zapragnęła jak najszybciej stąd zniknąć.

Zbliżyła się do sieni, gdy z zewnątrz dobiegł ją odgłos kroków dudniących na drewnianej werandzie. Wpatrywała się w drzwi. Powinna uciec w głąb mieszkania, ale jednak zrobiła na palcach kilka kroków przed siebie. Liczyła, że zdąży przekręcić zamki. Coś jednak ją sparaliżowało. Skupiła wzrok na wytartej drewnianej klamce, widziała, jak bezszelestnie drgnęła w dół.

Nie słyszała szumu silnika i tarcia opon na żwirze. Samochodowe reflektory nie rozjaśniły wnętrza domu, nie dotarł do jej uszu trzask zamykanych drzwi. A to oznaczało tylko jedno. Aliena jeszcze tu nie było.

Klamka zjechała niżej.

Zdążyła o tym pomyśleć, gdy z głębi piwnicy dotarł metaliczny łoskot. Miała wrażenie, że kratę wyrwano razem z zawiasami.

Bener błogosławił szum deszczu.

Stał w błocie obok leżącego przy studni daszku i czekał z uniesionym szpadlem. Z całych sił zaciskał dłonie na mokrym stalowym trzonku, żeby narzędzie nie wyslizgnęło mu się z rąk. Czuł się tak, jakby stał teraz w ciuchach pod prysznicem. Z dziury w niebie lało się nieprzerwanie, chociaż grzmoty pohukiwały jedynie z daleka, a błyskawice przestały już rozświetlać polanę.

Czekał i liczył na to, że właśnie tu schował się Walczyński, chociaż nie widział żadnych wyraźnych śladów.

Kiedy pokrywa kolejny raz uniosła się nieznacznie, Bener podniósł szpadel jeszcze wyżej. Światło z wnętrza rozchodziło się żółtą poświatą i wydobywało długie kreski siekącego z ukosa deszczu, znikającego w kałużach. Sekundy mijały. Po chwili daszek podniósł się jeszcze wyżej, wypuszczając więcej światła z ukrytych pod ziemią zabudowań, a Bener zauważył z boku czyjąś dłoń na wąskim betonowym kręgu okalającym tajne wejście. Jakby ktoś podpierał się i chciał stamtąd wyjść.

Poczuł uderzenie adrenaliny. Musiał to zrobić teraz.

Wycelował i opuścił szpadel.

Świst narzędzia zmieszał się z krzykiem.

Dostrzegł, jak zgilotynowane paliczki wpadają do głębokiej kałuży. Natychmiast poderwał w górę właz, który imitował daszek studni.

Na drewnianych prymitywnych schodach, które prowadziły do wąskiego, słabo oświetlonego korytarza zobaczył skomlącego mężczyznę. Przytrzymał zranioną dłoń do klatki piersiowej, krew plamiła jego jasny T-shirt. Jeden z palców zwisał nienaturalnie, jakby trzymał go jedynie płat skóry. Kiedy podniósł głowę, Bener zobaczył pospolitą twarz, na której wykwitł głęboki, jakby wyrzeźbiony w skale, grymas bólu.

Ale jedno było pewne.

To nie był Walczyński.

15

Aldona doskoczyła do drzwi prowadzących do piwnicy, zatrzasnęła je i przekręciła zamek, prowizoryczną blokadę, która pod naporem męskiego ramienia rozleci się w proch. Była przekonana, że zaraz zobaczy tu Daltona. Mimo wszystko nie czuła strachu, raczej przemożną ochotę, by wymierzyć mu kopa prosto w jaja. Potem niech się dzieje, co chce.

Zamierzała się wycofać do pokoju, ale wciąż nie zrobiła żadnego kroku w tamtą stronę.

Zaskoczyła ją cisza. Wsłuchiwała się w nią uważnie.

Klamka w drzwiach wejściowych wróciła do normalnego położenia, z piwnicy nie dochodził żaden odgłos. Aldona zabrała krzesło z kuchni i ustawiła je skośnie, oparciem blokując klamkę drzwi do piwnicy.

A potem struchlała, gdy uprzytomniła sobie, że w piwnicy widziała drzwi prowadzące na podwórze.

Jeśli Dalton wyrwał kratę, to na zewnątrz było już ich dwóch.

I teraz to ona siedziała w pułapce.

16

Pomógł wyjść z podziemi młodemu Żelaznemu, który kwilił jak zarzynana świnia.

– Jest tam? – Bener przekrzykiwał deszcz i świst wiatru.

– Kto? – zawył Michał.

– Walczyński!

– Nie – jęknął, wpatrując się nieobecny wzrokiem w krwawiącą dłoń. – Człowieku, ujechałeś mi palce!

– Mów, kto tam jest!

– Nie wiem.

– A kto cię uwolnił?

– Nikt.

– Jak to nikt?

– Walczyński kazał mi ich pilnować.

– Kogo, kurwa? – Bener czuł drobne skurcze w powiece.

– No, tych na dole. – Chłopak nie przestawał płakać. – Jezu, ujechałeś mi palce!

– A Walczyński gdzie?

– Wrócił do domu chyba, widziałem, jak szedł...

– Jak to widziałeś?

– Tam jest kamera na podczerwień. – Kiwnął głową w stronę

ścieżki prowadzącej przez las.

– A Monika?

– Co? – oprzytomniał Żelazny.

– Gdzie Monika?! Twoja siostra, debilu!

– Nie ma jej tu – zawył i usiadł wprost w wielką kałużę. Płakał tak, jakby chciał zawstydzić deszcz.

– To gdzie ją trzyma? – nie dawał za wygraną Bener.

– Nigdzie. Jej tu nie ma.

Bener rzucił szpadel i zaczął schodzić po schodach. W wąskim betonowym korytarzyku zaczynała zbierać się kałuża.

– Poczekaj! – zawołał za nim chłopak. – Byłem tu z Pudłem. Pilnował mnie, ale potem pobiegł za Walczyńskim. Tam, w stronę domu.

Bener wolałby tego nie usłyszeć. Zastanawiał się, co teraz robić. Zejść na dół czy ścigać Walczyńskiego i jego zbirów?

– A kobieta? Starsza, chuda, krótkie kręcone włosy. Jest taka? Majewska się nazywa – spytał, schodząc do podziemi.

Żelazny spojrzał na niego.

– Niewysoka – dodał dziennikarz. – To moja teściowa...

– O Boże... – Chłopak nerwowo pokręcił głową, jakby chciał czemuś zaprzeczyć.

Benerowi ścierpła skóra, kiedy zobaczył, jak po chwili twarz Żelaznego wykrzywia grymas strachu.

Aldona cofnęła się pod ścianę.

Zastanawiała się, jakie ma teraz możliwości. Nie wiedziała, kiedy zjawi się Alien lub Bener, na razie musiała więc radzić sobie sama.

Przeszła wzdłuż ściany do pokoju, którego okna wychodziły na tył działki i ścianę lasu, a potem do kuchni. Zbliżyła się ostrożnie, tak by nie poruszyć firanki i nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Na zewnątrz nadal nie dostrzegła nikogo.

Skulona przeszła na palcach. Otworzyła szufladę w pobliżu zlewozmywaka, domyśliwszy się, że znajdzie w niej sztucce, i wyjęła najdłuższy nóż. Nie był ostry, ale lepsza taka broń niż żadna.

Potem wróciła do drzwi prowadzących do piwnicy i przyłożyła do nich ucho, ale nadal słyszała wyłącznie tykanie zegara ściennego.

Po chwili ponownie podeszła do drzwi wyjściowych. Zdobyła się na odwagę i przyłożyła oko do wizjera.

O mały włos nie krzyknęła.

Bener zawinął rękę Żelaznego w szmatę znaną na dole i kazał mu wezwać policję i karetkę. Sam zaś zszedł na dół i zajrzał do trzech z sześciu pomieszczeń. Uwolnił dwie osoby: wysokiego mężczyznę pod pięćdziesiątkę i młodą, otyłą, mniej więcej trzydziestoletnią kobietę. Działał jak w amoku.

W trzeciej klitce zobaczył składowisko ciuchów, zegarków i butów. Na stoliku leżały pęki kluczy i pieniądze posegregowane jak w kasie w supermarkecie.

Kazał im się ubrać, bo oboje byli nadzy. Najpierw ona, potem on. Następnie poprosił, by poczekał tu, w tej piwnicy, ale nie byli w stanie. Musieli wyjść z tych nor, w których śmierdziało wilgocią. Wyprowadził ich na zewnątrz, a potem wrócił na dół.

Zajrzał do pozostałych trzech pomieszczeń. Dwa były puste. W trzecim spodziewał się zobaczyć zmalretowaną teściową. Ręce mu drżały, gdy przekręcał zamki.

Wreszcie drzwi skrzypnęły i odsłoniły wnętrze ostatniej klitki.

Aldona wycofała się na palcach w stronę kuchni i przeszła do pokoju.

Wcześniej obserwowała przez wizjer, jak Walczyński schodzi z werandy. Teraz ruszył szybkim krokiem wzdłuż ściany domu. Oświetlał go biały halogen. Aldona patrzyła w bezruchu przez okno, zaczęły jej się pocić dłonie. Przeszła do innego pokoju, by sprawdzić, co dzieje się za domem. Walczyński zmierzał w stronę wejścia do piwnicy.

Po chwili z dołu doszły ją jakieś ciche szmery.

Podeszła do drzwi frontowych i raz jeszcze upewniła się, że nikt za nimi nie stoi. Odgłosy na dole stały się głośniejsze. Chwilę później Aldona usłyszała wywołujący gęsią skórę dźwięk brzeszczotu wrzynającego się w metal.

Nacisnęła klamkę i uchyliła drzwi, jednostajny szum deszczu stał się głośniejszy. Rozejrzała się. Było pusto. Do skraju lasu mogła mieć nie więcej jak piętnaście metrów.

Teraz albo nigdy.

Ściskając nóż, wypadła na werandę, zeskoczyła w kałużę i rzuciła się biegiem w stronę lasu i drogi, którą przyszła. Musiała wrócić do samochodu i wezwać policję. Biegła, nie oglądając się za siebie. Dopiero po chwili poczuła, że jest bosa, bo pogubiła w błocie buty. Nie

zamierzała jednak po nie wracać.

Przystanęła za wielką sosną, pod stopami czuła mokrą trawę. Oparła się o szorstką, ale śliską od deszczu korę i spojrzała w stronę domu.

W drzwiach pojawili się Dalton i Walczyński. Ale zanim zobaczyła coś więcej, czyjaś ręka przysłoniła jej usta.

Nawet nie krzyknęła, gdy silne ramię porwało ją w głąb lasu, a z dłoni wypadł jej nóż.

Pomieszczenie, nie licząc starego łóżka bez materaca, było puste.

Bener zapalił światło.

Przekroczył próg i nawet nie miał jak się rozejrzeć, wszystko tu było na wyciągnięcie ręki. Przy łóżku dostrzegł jakieś wydrapane w gołej ścianie napisy. Patrzył na nie, ale myślami był gdzie indziej. Musiał odnaleźć Majewską, zrobić to dla Agaty i teścia.

Na miękkich nogach wrócił do salki wypełnionej rupieciami. Coś nie dawało mu spokoju. W stercie ciuchów dostrzegł niebieski materiał.

Sukienka.

Podszedł i wyszarpnął ją z kłębowiska ubrań.

Dokładnie ta sama, którą nosiła Majewska. Różniła się jednak pewnym szczegółem.

Złapał go bolesny skurcz w klatce piersiowej i poczuł się tak, jakby stanęło mu na chwilę serce, a płuca odmówiły pracy. Wstrzymał oddech. Krew pulsowała mu w skroniach.

Z góry dobiegały go jakieś słowa, przemieszane z płaczliwymi jękami Żelaznego, który wzywał karetkę. Deszcz lał niemiłosiernie. Piwnica z wolna wypełniała się deszczówką.

Bener podniósł sukienkę do światła lampy.

Nie miał już wątpliwości.

Góra była zachlapana krwią.

Wylazł z betonowej nory, pokazał ją Żelaznemu i ryknął:

– Gdzie?!

Żelazny odsunął z przestraszeniem telefon od ucha i wskazał nim kierunek.

– On musi do szpitala – bąknęła kobieta, która siedziała przy nim i poprawiała opatrunek.

Bener wolałby go dobić i zamiast do lekarza podrzucić ciało do kostnicy.

21

Ruszył w las ze szpadlem w dłoni. Minąwszy pierwsze drzewa, poczuł głęboką woń leśnego runa. Nogi zaczęły się zapadać w grząskiej ziemi. Wzrok przyzwyczał się już do ciemności na tyle, by Bener dostrzegł w pobliżu zagajnika dwie świeże mogiły.

Zaczął od tej bliżej niego. Chwycił mocno szpadel i wsunął w ziemię. Szło gładko, jakby wsadził ostry nóż w ciepłe masło. Ziemia była świeżo skopana, ale mokra od deszczu i ciążyła jak ołów. Bener odrzucał ją raz za razem na bok, jakby robił to na akord. Zaczął sapać i dyszeć. Nie przeszkadzały mu strąki mokrych włosów, które zasłaniały widok, ani powstające pęcherze na dłoniach, ani nawet to, że stał po kostki w grząskiej ziemi. Nie czuł zmęczenia. Adrenalina pobudzała go do działania, ale otępiała zmysły.

W końcu trafił na coś twardszego.

Odrzucił łopatę, klęknął w wilgotnej ziemi i zaczął odgarniać ją rękoma. Po chwili zaszeleściła gruba folia.

Szarpnął za nią, ale oderwał jedynie kawałek.

Szaleńczo zrzucał z folii piach i rozsuwał go na boki.

Czuł, że ma go pełno pod paznokciami.

Wreszcie odgarnął ziemię na tyle, że kształt, który się z niej wyłonił, wycisnął z jego oczu łzy bezsilności. Spod grubej folii

zachodzącej na czoło sterczały krótkie kręcone włosy.

Chwycił za śliski materiał.

Bał się tego, co miało nastąpić. Wiedział, że zawiódł i że nigdy sobie tego nie wybaczy.

W końcu odsłonił twarz zastygłą w dziwnym grymasie bólu. Otwarte oczy wpatrywały się w niebo.

Wstał i odszedł w stronę polany.

Nie kontrolował tego, co robi ani dokąd idzie, po prostu szedł przez wielką kałużę prosto przed siebie.

Nie tak wyobrażał sobie spotkanie z nią.

Szpecially, jeśli miało być tym ostatnim.

Nikt nie zasłużył na taką śmierć.

A matka Agaty już w szczególności.

Wrócił do wjazdu.

Bener przeczuwał najgorsze. Była tam jeszcze jedna mogiła.

– Gdzie Monika?

Uwolniona kobieta opatrzyła ranę młodemu Żelaznemu, który pojękiwał skulony. Wszyscy siedzieli teraz na ganku zapadniętej leśniczówki.

– Nie wiem, naprawdę – płakał brat Moniki.

– Kiedy widziałeś ją ostatni raz?

Żelazny ryczał.

– Powiesz mi albo upierdolę ci obie ręce! Rozumiesz?!

Kobieta drgnęła, mężczyzna udawał głuchego, a Żelazny bełkotał, że nic nie wie.

Bener nie chciał już dłużej tego słuchać. Odwrócił się i odszedł w stronę gospodarstwa. Musiał znaleźć Walczyńskiego.

– Dokąd pan idzie? – zawołał spanikowany mężczyzna, starając wtopić się w ścianę. Do tej pory siedział cicho, jakby nie docierało do niego, że jest już na wolności. Był w szoku. – Niech pan nas tak nie zostawia!

– Siedźcie tu i czekajcie na policję! – krzyknął Bener, mijając otwarte wejście do nory. – On zna adres – wskazał na Żelaznego.

Szedł przed siebie, patrzył na ciemny las i znikającą w nim wąską ścieżkę, ale wciąż przed oczami miał zwłoki teściowej. Jej puste spojrzenie w niebo i otwarte usta.

Miał nadzieję, że Alien dotarł już na miejsce. Wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał jego numer, jednak mężczyzna nie odpowiadał.

Bener zwolnił, gdy doszedł do zabudowań. Zauważył otwarte drzwi wejściowe i się zatrzymał. Potem dostrzegł coś jeszcze. Buty. Czerwone baleriny Aldony tkwiły w błocie.

Struchlał.

Czuł, że brakuje mu powietrza. Serce waliło jak oszalałe.

Obawiał się najgorszego.

Wskoczył po stopniach na werandę i przeskoczył próg.

W domu jedyne światło padało z zewnątrz.

– Walet! – ryknął, ale nie odpowiedziało mu nawet echo.

Obszedł dom i piwnicę, zerknął na podwórze, gdzie brakowało samochodu Walczyńskiego, i dopiero wtedy dotarło do niego, że przesadził. Kolejny raz dał się wciągnąć jak dziecko w idiotyczne gry, ale tym razem zawiódł go instynkt. Tym razem wszystko zawalił. To jego idiotyczne chojrakowanie, branie spraw w swoje ręce i samodzielne próby wymierzania sprawiedliwości wreszcie się na nim zemściły. Był jednak za głupi, by w porę się z tego wycofać.

Podszedł do okna i oparł się o parapet. Spojrzał na drogę wyjazdową z gospodarstwa i dalej w stronę lasu, przez którą prowadziła. Potem zerknął w lewo. Między drzewami błyskało niebieskie światło.

Sięgnął po telefon i odblokował go.

Miał kilka nieodebranych połączeń od Aldony.

Policja była coraz bliżej.

Złapali ją i teraz będą chcieli dorwać jego. A jeśli go nie znajdą, jeśli zostanie tu i będzie składał do rana wyjaśnienia policjantom, usuną ją w taki sam sposób, w jaki zabili matkę Agaty. Bo nie mają żadnych skrupułów.

Wypadł z domu, pognął przez błoto, w ostatniej chwili zgarnął buty Aldony i schował się w lesie, jeszcze zanim światła dwóch radiowozów przecięły ciemność. Potem, korzystając z zamieszania, jakie zrobiło się pod domem, ruszył w przeciwną stronę, przez las, do ukrytego za nitką drogi samochodu.

Dopiero gdy wsiadł do auta, wybrał numer Aldony, bo tylko w ten sposób mógł się szybko skontaktować z Walczyńskim.

Bener zdecydował, że się podda.

Był na to gotowy.

Przyłożył aparat do ucha i bez włączania świateł wjechał na drogę do Torunia.

Rozpoznał to miejsce dopiero po chwili. Był tu już kiedyś. Trzy lata temu wyjeżdżał spod tego domu jako inny człowiek. Teraz tu wrócił i już wiedział, jak ta sprawa się zakończy.

Zgasił silnik i wysiadł zrezygnowany z wozu. Wciągnął w płuca powietrze wciąż pachnące ozonem.

Drzwi były otwarte, więc wszedł do wewnątrz. Na schodach prowadzących do piwnicy świeciło się światło.

Zszedł i popchnął trampkiem drzwi, które łagodnie zaskrzypiały. Najpierw zobaczył światło układające się na pomarszczonej czarnej folii, potem dopiero nagich mężczyzn z kneblami w ustach, przywiązanych do krzeseł.

Walczyński i Dalton. Walet siedział prosto, Dalton spuścił głowę, z jego złamanego nosa zwisały długie gluty i kapiała krew. Stękał i popłakiwał.

Bener przekroczył próg i stanął na szeleszczącej, grubej folii.

I wtedy zauważył trzecią osobę.

– No jesteście wreszcie – odezwał się Szaman.

Bener nie widział go od dobrych kilku lat. Profesor niewiele się zmienił. Siedział w rogu na taborecie i opierał się o ścianę. Założył nogę na nogę i palił papierosa. Dym unosił się ku sufitowi, z którego

zwisiała goła żarówka. W ręce trzymał niewielki słoik, do którego strzepywał popiół.

Po tym jak oddzwonił do Aldony i okazało się, że nic jej nie grozi, odetchnął. Obiecała, że zaczeka u niego w domu, a potem przekazała słuchawkę Alienowi. Ten opowiedział Benerowi, że spóźnił się, ale robotę wykonał. Następnie przekazał wskazówki dotyczące dojazdu do mety Szamana.

Bener spojrzał na Walczyńskiego.

– Zostawić was samych? – zapytał z uśmiechem Szaman. – Alien w razie czego zajmie się trupami.

Dalton jęknął, a Bener nie odpowiedział. Podeszedł do Walczyńskiego i ściągnął mu knebel. Mężczyzna odkaszlnął, a jego syn podniósł głowę i zaczął jęczeć jeszcze głośniej.

– Gdzie jest Agata? – zapytał Bener.

– Nie wiem.

– Nie zabiję cię, ale i tak jesteś już martwy. Wiesz to, prawda?

Walczyński nie ruszył się, a Dalton zapiszczał ze strachu.

– Nie porwałem jej. Wykorzystałem to, że zniknęła, i szantażowałem jej rodziców. Liczyłem, że w tej sytuacji zrobią wszystko, by mnie spłacić. Miałem rację. – Walczyński przełknął ślinę i spuścił wzrok.

W cieniu rzucanym przez Benera twarz Walczyńskiego wydawała się czarna.

– Ale wciąż było ci mało, tak? – spytał Bener, a mężczyzna przytaknął.

Bener czuł, że tylko jeden krok dzieli go od przekroczenia granicy, po której wpadnie w amok i wypatroszy tych skurwieli.

– Dlaczego ją zabiłeś, co? – spytał, starając się trzymać nerwy na wodzy.

Walczyński milczał. Było pewne, że zacierał ślady, pozbywał się zbędnych osób i przejmował ich majątek. Tak samo było z Janem Zgodą, kobietą z Toporzyska i pewnie jeszcze kilkoma innymi ludźmi, bo koniec końców przepisywali oni na niego całe majątki. Bener nie musiał o to pytać, taka była logika tego krwawego interesu.

– Ta druga mogiła to Moniki?

– Kogo?

– Moniki Żelaznej.

Walczyński zaprzeczył.

– Gdzie jest Agata? – Bener zmienił temat.

Walczyński otworzył usta. Dalton spoglądał nerwowo to na Benera, to na ojca. W oczach wciąż miał łzy.

– Nie wiem, nigdy jej nie poznałem.

Bener, czując, że drży na całym ciele, odwrócił się do Szamana. Ten kiwnął spokojnie głową, jakby potwierdzał wersję Walczyńskiego.

– Moniki też nie porwali – stwierdził profesor.

– Nie było jej tam – zgodził się Bener i znowu spojrzał na Walczyńskiego. – A Neumann? Gdzie jest?

– Nie wiem – warknął mężczyzna.

– O ile dobrze znam Aliena, a widziałem go już w akcji, wyciągnie to z ciebie. Wiesz jak?

Walczyński nic nie mówił, ale nie spuszczał wzroku.

– Wypatroszy go na twoich oczach. – Bener wskazał na Daltona, który wciągnął powietrze i zaczął wyc. – Więc dobrze przemyśl swoją odpowiedź.

Bener sięgnął za plecy po broń i położył ją na podłodze wyłożonej folią.

Szaman odezwał się chrapliwym głosem:

– Mamy kilka sposobów na wydobywanie prawdy. Ja też od lat czekam na wyrównanie rachunków z Neumannem – dodał i zaśmiał się.

Ten śmiech Bener słyszał jeszcze, gdy wychodził z piwnicy domu daleko od przedmieść Torunia.

Śmiech, który mieszał się z wyciem Daltona.

Musiał stamtąd wyjść.

Musiał, bo inaczej, by ich zabił.

KILKA DNI PÓŹNIEJ

1

Bener opuścił cmentarz, jeszcze zanim uroczystość dobiegła końca. Dawne sąsiadki Majewskiej popłakiwały cicho, gdy je mijał. Czuł na sobie wzrok swoich rodziców.

Z wcześniejszej mszy w kościele św. Józefa nie zapamiętał nic, zupełnie jakby go tam nie było, jakby przez tych kilkadziesiąt minut nie stał przy trumnie ustawionej przed ołtarzem. Po nabożeństwie nie rozmawiał z nikim, nie był w stanie zamienić nawet kilku zdań z matką i ojcem, którzy specjalnie skrócili swoje letnie wojaże po Ameryce Południowej, by uczestniczyć w ostatniej drodze Krystyny Majewskiej.

Po mszy wsiadł do samochodu i zaparkował przy Żwirki i Wigury, krok od cmentarza. Zanim orszak pogrzebowy ruszył spod bramy, Bener stał już przy głębokim grobie, patrzył na nierówne, osuszone słońcem ściany mogiły i wyraźnie zaznaczone warstwy ziemi, a także wystające gdzieś ucięte korzenie. Czuł, jak słońce go roztopia, a pot spływa mu po ciele.

Chciał pochować Majewską obok męża, bo tego by sobie życzyła. Pogrzeb był kameralny, ksiądz klepał frazesy, trumnę spuszczone na dół. Bener sypnął garścią ziemi, która upadła głucho na lakierowane jasne drewno. Znowu przed oczami miał martwą twarz teściowej. Jej

pusty wzrok wbity w nocne niebo i otwarte usta. Czuł jakąś ulgę na myśl, że odnalazł ją zakopaną w lesie i mógł stamtąd zabrać. Z tego bezimiennego miejsca przenieść i złożyć ciało obok jej męża. Przynajmniej tyle mógł zrobić.

Czarne dzinsy i czarny T-shirt ściągały promienie słońca, Bener miał wilgotne plecy, kiedy szedł w stronę parkingu.

– Może cię odwiozę? – usłyszał nagle głos Aldony.

Stała w bramie. Rak z przewieszonym przez ramię aparatem opierał się o jej mini morrisa, widocznie robił zdjęcia podczas pogrzebu.

Bener nie mógł wydobyć z siebie słowa. Pod ciemnymi okularami skrywał czerwone, błyszczące oczy. Pokręcił tylko głową.

Minął ich, wsiadł do samochodu i zapuścił silnik. Zjechał z szerokiego chodnika na jezdnię i docisnął gaz do oporu. Odjechał w stronę Legionów.

Przez całą drogę przypominał sobie przesłuchanie na policji, które prowadził jego znajomy Leon Brodzki, blisko pięćdziesięcioletni glina, który za chwilę miał złożyć odznakę i przejść na upragnioną emeryturę. Wyglądał na całkowicie zmęczonego, zmęczone były nawet dzinsy, które miał na sobie. Pocierał powieki, jakby nie spał od dobrych kilku lat. Pod byle pretekstem wyrzucił z pokoju żółtodzioba w wyprasowanym mundurze. Dzięki temu zostali sami, a Bener dowiedział się, że Michał Żelazny w ucięciu palców zrobił Walczyńskiego i że zarówno Walczyński, jak i jego syn zaginęli bez śladu. Bener uśmiechnął się, a Brodzki przewrócił oczami.

– Kurwa! Tylko niech te zwłoki wypłyną dopiero po moim odejściu, jasne? – stęknął i włączył dyktafon.

O trzecim z ekipy Walczyńskiego policja nic nie wiedziała. Alien powiedział Benerowi, że zajął się Pudłem jeszcze w Otłoczynie, ale ciało stamtąd zabrał.

W każdym razie smród po wydarzeniach tej burzowej nocy zaczął się powoli rozwiewać.

Teraz Benera czekało to, co najtrudniejsze.

2

Zaparkował w tym samym miejscu, w którym niemal sześć lat temu znaleziono czerwoną ibizę jego żony.

Las rzucał przyjemny cień. Bener nie wysiadł z samochodu, uchylił jedynie okna i siedział bez ruchu. Zbierał się na odwagę, walcząc jednocześnie z drżeniem zuchwy. Nie był w stanie wypowiedzieć tego, co ułożył sobie w głowie już na cmentarzu.

Nie liczył na wybaczenie, nie zasługiwał na nie. Wszystko spieprzył. Wolałby najsurowszą karę, ale akurat to życzenie zaczynało się spełniać.

Zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, aż poczuł ból mięśni.

Spod ciemnych okularów spływały mu łzy. Czuł sól na ustach.

Agata odchodziła.

Wiedział o tym i czuł się zupełnie bezsilny.

Ostatni raz widział ją w drzwiach ich wspólnego domu, jej ciężowy brzuch, który tak kochał dotykać i całować. Teraz to wspomnienie było bledsze, jakby przesłaniała je mgła. Niewyraźne rysy, miękkie linie. Słyszał jej ciepły głos, wołała go, ale była coraz dalej, a on nie umiał zrobić kroku przed siebie, jakby coś trzymało go kurczowo w miejscu i nie chciało puścić.

Z jej ubrań, które wciąż wisiały w szafie, zniknął zapach jej ciała.

Kiedy w przyływie depresji brał je do ręki i przykładał do twarzy, nic już nie czuł. Agata ulatniała się, odpływała, jakby chciała ostatecznie pożegnać się z Benerem.

– To jeszcze nie koniec.

Dziennikarz ocknął się.

– To jeszcze nie koniec, głupi gnoju. Zobacysz, ty kurwo, ty jego mać! Zaszczany fiucie!

Spojrzał w bok. Dostrzegł mocno trafionego alkoholem faceta w średnim wieku w kreszowym dresie, ze stopami w gumowych klapkach i reklamówką w dłoni. Darł się do swojego kumpla, który stał kilkadziesiąt metrów dalej. Bener widział go we wstecznym lusterku.

Menel spojrzał nagle mętным wzrokiem na Benera, zachwiał się i zrobił dwa niepewne kroki w stronę wozu. Przywołał na twarzy błogi spokój.

– A szanowny przyjaciel, mój dobrodziej kochany, przypadkiem do Torunia za momencik nie odjeżdża? – W uśmiechu odsłonił czarne zęby.

Bener odezwał się ostro, żeby menel nie przeszedł do dalszej fazy negocjacji.

– Nie!

– To chuj ci w dupę, cwelu. – Mężczyzna odwrócił się w stronę jezdni. – Gdzie nie spojrzysz, same kutasy zaszczane. Śmierdziele.

Bener obserwował jego slalom.

Uruchomił silnik i minął mężczyznę.

We wstecznym lusterku zobaczył, jak pijak wyciąga w jego stronę środkowy palec.

3

Nie miał już żadnej nadziei na odnalezienie Moniki.

Siedział w samochodzie zaparkowanym pod firmą Żelaznego, schłodził wnętrze i czekał. Sam nie wiedział do końca na co. Ojca Moniki nie było w pracy, ale kiedy zadzwonił do sekretarki, dowiedział się, że jest jego żona. Pakowała właśnie swoje biurko. Przyjechał więc, chociaż nie bardzo wiedział, co zamierzał.

Żelaźni rozwodzili się. Trzymali to w tajemnicy, ale kiedy odwiedził Michała w szpitalu, ten nie był w stanie już niczego przed nim ukrywać. Powiedział też, że Beata Szczot-Żelazna nie jest ich biologiczną matką, ale kochali ją z Moniką jak własną.

Monika też o tym wiedziała, ale nie było to powodem ucieczki z domu. Fakt, to o to pokłóciła się z ojcem i to nie on uderzył ją w twarz, tylko ona spoliczkowała ojca. A wyszła z domu dlatego, że nie chciała z Żelaznym mieć więcej do czynienia i żyć z jego pieniędzy, które zarabiał na hazardzie i współpracy z Neumannem. Znała problemy Michała, ale to ona próbowała zaciągnąć go na terapię.

Bener patrzył na siedzibę firmy Żelaznego. Facet może i miał nosa do interesów, ale zniszczył coś, czego Bener nigdy już mieć nie będzie. Prawdziwą rodzinę.

Chciał porozmawiać ze Szczot-Żelazną. Być może sygnał o tym, że

jest wolna, że zaraz się rozwiedzie, uruchomił w nim instynkt samca. Ale czy naprawdę byłby jeszcze zdolny do miłości? Czy umiałby znaleźć pocieszenie w jej objęciach i taką samą radość, jaką znalazł u boku Agaty?

Dobrze znał odpowiedź na to pytanie.

Podkreślił klimatyzację, którą wczoraj naprawił jego znajomy, i bał się wysiąść z samochodu.

Musiał przełknąć kolejną gorzką porażkę. Kolejny raz nie widział w swoich pustych i zimnych oczach chęci życia, motywacji do czegokolwiek, szansy na dobre jutro.

Nie odnalazł Agaty, nie odnajdzie Moniki, która być może wiedziała coś o jego żonie, czego on sam nie wiedział. I to bolało go jeszcze bardziej. Być może ze wszystkich szans na odzyskanie Agaty, ta była najważniejsza, a on spieprzył ją koncertowo.

Zgasił silnik i niespiesznie wysiadł z samochodu wprost na rozgrzany, lepki asfalt. Spojrzał na odbijające się od okien biurowca światło i zastanawiał się, po co to robi. Czego tak naprawdę od niej chce? Zastanawiałby się jeszcze dłużej, ale w drzwiach ukazała się Beata Szczot-Żelazna w ołówkowej szarej spódnicy opinającej biodra i zwiewnej bluzce. Niosła niewielki karton. Kiedy podeszła bliżej i odgarnęła włosy, Bener dostrzegł w nim bibeloty, które zabrała ze swojego gabinetu.

Przystanęła w słońcu i zmrużyła oczy, uśmiechając się lekko do niego.

– Co tu robisz?

Odebrał od niej pakunek i przeszli razem do białego koreańskiego SUV-a.

Nacisnęła pilota, mruknął centralny zamek. Bener otworzył drzwi z tyłu, postawił pakunek na siedzeniach. Przelotnie coś zwróciło jego uwagę, ale natłok myśli nie pozwolił mu się nad tym skupić. Usadowił się na przednim siedzeniu. W samochodzie było gorąco, ale pachniało nowością i jej perfumami, tymi samymi, których woń wyczuł na jej skórze, gdy kochali się w domu na wsi.

Beata Szczot-Żelazna usiadła za kierownicą i uruchomiła samochód. Niemal natychmiast włączyła się klimatyzacja i radio. Zapięła pas.

– Podwieźć cię gdzieś? – spytała, podchwytując jego spojrzenie, które zatrzymał na biuście, i uśmiechnęła się zalotnie. – Na przykład do mnie?

Musiał ją o to zapytać.

– Dlaczego miałem mu nie ufać? – odezwał się wreszcie.

Odwróciła głowę i spojrzała przez boczną szybę. Przed firmą zaparkowało nowiutkie audi. Wysiadł z niego młody gość w garniturze, z teczką w ręku i ruszył do wnętrza z nadzieją, że nie spoci się, robiąc tych kilka szybkich kroków z parkingu w stronę siedziby firmy.

– Właściwie to ty mnie okłamałaś, to tobie nie powinienem ufać – dodał, ale czuł, że musi to powiedzieć, nawet jeśli wywaliliby go na ten upał i odjechała z piskiem opon.

– Poznałeś go i wiesz, że zna się na biznesie, ale w gruncie rzeczy to

skończony czubek. Ostatni skurczybyk. Nikogo nie szanuje, a jeśli kogoś kocha, to wyłącznie siebie. Miałam wrażenie, że przez te wszystkie lata mam znacznie lepsze relacje z Moniką i Michałem niż on, ich biologiczny ojciec.

– I tylko dlatego miałem mu nie ufać? – Bener patrzył przed siebie.

– Chodziło mi o to, byś po prostu na niego uważał. Sam widzisz, ile razy kłamał.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

– Sama nie wiem, on się miotał. Raz mi groził, bo twierdził, że chodzi o dobro jego dzieci. O dobro i bezpieczeństwo. W końcu nie wiedziałam już, jaka jest prawda.

Splotła ręce na podołku i spuściła głowę.

Bener patrzył na nią i milczał.

– Czy naprawdę wierzysz w to, że dzięki Monice trafisz na ślad swojej żony?

Trąciła czułą strunę.

Wierzył w to jak nigdy dotąd, ale jednocześnie bał się, że ani jednej, ani drugiej nigdy już nie odnajdzie.

Drgnęła mu powieka. Chwycił klamkę i otworzył drzwi. Postawił nogę na asfalcie, ale zamiast wysiąść, spojrział Beacie w oczy.

– Nie wiem, w co wierzę. Wiem tylko, że muszę sprawdzić każdy ślad.

4

Wieczór spędził w piwnicy.

Po złożeniu reklamacji okazało się, że paczka z jego gruszką boksyerską omyłkowo trafiła do magazynu w Grudziądzu. Sklep nadał ją ponownie, tym razem już pod właściwy adres. Bener odebrał przesyłkę od kuriera w redakcji, a worek zamontował od razu po przyjeździe do domu. Ledwie odłożył wiertarkę, a już rozpoczął serię ćwiczeń.

Upał zelżał, dodatkowo w piwnicy było chłodno, więc zanim Bener wycisnął z siebie siódme poty, minęło trochę czasu. Po treningu wykąpał się i zaległ na sofie. Nie miał nawet siły na to, żeby zrobić sobie coś do jedzenia.

W końcu ze zmęczenia zasnął i miał potwornie głupi sen, że tańczył w dyskotecie z menelami. Rozpoznał wśród nich mężczyznę, którego spotkał w lesie przy wylotówce na Łubiankę, a także faceta ze Złejwsi. Obaj byli ubrani w koszulki ze znakiem drogowym oznaczającym koniec miejscowości.

Toporzysko.

5

Następnego dnia temperatura spadła o kilka stopni, dając wreszcie wytchnienie od sauny z ostatnich dni. Deszcz nabrzmiewał w chmurach i tylko czekał na odpowiedni moment.

Bener stał teraz przed domową twierdzą, włosy rozwiewały mu porywy chłodnego wiatru. Nie był umówiony, ale ostatecznie sobotnie popołudnie wydawało mu się dobrą porą na odwiedzin.

W galerii, którą minął po drodze, kupił na wagę miętowe pastylki w czekoladzie, z których siedem zdążył odpakować i zjeść w samochodzie, oraz detektywistyczną powieść Jørna Liera Horsta dla dzieci.

Obiecał Hubertowi spotkanie i chociaż jeszcze nie doszedł do siebie po ostatnich wydarzeniach, nie zamierzał dłużej zwlekać. Nacisnął dzwonek domofonu, spojrzął przelotnie na srebrnego mercedesa stojącego przed garażem, na białą elewację domu, wreszcie w obiektyw kamery i przywołał na twarz uśmiech.

– O! Wszelki duch! Co za niespodzianka! – Ojciec Huberta zwołał blokadę, elektromagnes brzęczał, a Bener pchnął furtkę. – Hubi! Nie uwierzysz... – Więcej Bener nie usłyszał, bo trzask domofonu uciął wypowiedź. Po chwili jednak zza drzwi doleciał piskliwy krzyk radości. Najpierw gdzieś z oddali, ale potem dało się go słyszeć kilka przecnic stąd.

– Wujek! – Hubert wypadł na wyłożony ciemnymi płytkami taras przed domem, rzucił się na Benera i mocno go objął.

Bener pogłaskał go po głowie i wyciągnął rękę, żeby przywitać się z ojcem.

– Wchodź śmiało! – Adam Elbiński uśmiechnął się. – Hubert, puść już Marka!

Chłopiec cofnął się do domu, trzymając gościa za rękę. Dziennikarz wręczył mu drobiazgi, które przywiózł. Elbiński nastawił ekspres, chwilę pogadali, a potem gospodarz przeprosił Benera.

– Przyniosę mleko, bo się skończyło. Zaraz wracam. – Mężczyzna wklepał kod w panel na ścianie i zniknął za drzwiami do piwnicy.

Bener kiwnął tylko głową, w skupieniu rozkładając na podłodze grę planszową o Tytusie, Romku i Atomku, którą przyniósł Hubert. Chłopiec relacjonował teraz szczegółowo swoje postępy w chwytaniu Pokemonów.

Elbiński wrócił, wypili razem kawę, po czym ojciec Huberta wyszedł z salonu, by jeszcze chwilę popracować, korzystając z tego, że syn zupełnie nie zwraca na niego uwagi, pochłonięty gościem. Bener przegrał sromotnie w planszówkę, a Hubert nie posiadał się z radości z wygranej. Schowali grę i poszli do pokoju na poddaszu, gdzie znajdowało się kino domowe, wygodna kanapa i rozpięty na ścianie ekran. Hubert nacisnął przycisk w ścianie, a z sufitu zjechała winda z projektorem.

– Ale gramy w jednej drużynie czy przeciwko sobie? – spytał Bener, patrząc na podaną mu przez Huberta okładkę FIFY 2015.

– Gdybyśmy grali przeciwko sobie, nie miałbyś żadnych szans, wujek – odpowiedział śmiertelnie poważnie chłopiec.

Bener zaśmiał się i zgodził na każde rozwiązanie, ale najpierw musiał skorzystać z toalety. Wyszedł na korytarz i otworzył najbliższe drzwi. Jednak zamiast łazienki zobaczył coś na kształt pracowni albo warsztatu dla pasjonatów. Już chciał się wycofać, gdy jego uwagę zwrócił leżący na blacie przedmiot. Widział już gdzieś coś podobnego, ale nie bardzo mógł sobie przypomnieć gdzie.

– Hubi! – zawołał.

– Nie umiesz spuścić wody, wujek? Tam jest taki przycisk...

– Nie, to nie to. Chodź do mnie na chwilę.

Bener wszedł do niewielkiego pomieszczenia. Na blacie pod oknem połaciowym, na które spadło kilka kropel deszczu, znajdowało się kilkanaście różnej wielkości pędzli ustawionych w słoiku, kilka niewielkich przezroczystych pojemników z farbami, nożyczki, nożyki, szpatułki i większe plastikowe miski oraz kleje.

– A, tu jesteś – uśmiechnął się Hubert i podszedł do blatu.. – To dla ciebie. Zapomniałem ci dać, gdy byłeś ostatnio.

Chłopiec podał Benerowi leżącego na blacie papierowego ptaszka, pomalowanego plakatówkami na niebiesko i żółto. Dzióbek miał czerwony, a skrzydła złożone i zaznaczone grubszym, czarnym flamastrem.

– Piękne! Dziękuję bardzo! – Bener uśmiechnął się krzywo.

– Podoba ci się? – spytał chłopiec nieśmiało.

Bener kucnął tak, żeby mógł spojrzeć dzieciakowi prosto w oczy.

– Masz dar, chłopie. To najlepszy prezent, jaki dostałem –
uśmiechnął się.

– A po co mnie wołałeś, wujek?

– Chciałem zapytać, czy to twoja pracownia?

– Tak.

Widział w jego oczach błysk radości. Hubi uśmiechnął się, przybili
zółwika i razem wrócili do kina, żeby haratnąć w wirtualną gałę.

6

Po drugiej połowie, kiedy wygrywali już trzy do zera z Górnikiem Łęczna, Bener spojrział na kolorowego ptaszka przypominającego rysunek na kartce urodzinowej, którą przywiózł dla Huberta. Nagle coś sobie przypomniał. Wstał i powiedział, że zaraz wróci, bo z tego wszystkiego zapomniał do toalety. Hubi zaśmiał się i spytał, czy może sam kontynuować. Bener się zgodził, ale poprosił chłopca, by trochę pogłośnił grę, żeby słyszał, kiedy wpadnie kolejna bramka. Bo dobry piłkarz, nawet jak jest w kłopotach, to kibicuje swoim. Hubi ze śmiechu turlał się po sofie.

Wyszedł z pomieszczenia i po chwili usłyszał głośniejszy wirtualny doping zmieszany z komentarzem Szpakowskiego. Wyjął telefon i zadzwonił do Patrycji Radosz.

– Odnalazł ją pan? – spytała dziewczyna aksamitnym głosem.

– Nie, ale mam prośbę – powiedział Bener. – Czy masz jeszcze tę kartkę urodzinową od Moniki i jej chłopaka? Mogłabyś sprawdzić, jak się podpisali?

– O Jezu, nie pomyślałam o tym – jęknęła. – Niech pan poczeka!

Kiedy usłyszał imiona, rozłączył się i dla niepoznaki spuścił wodę. Zza ściany dobiegły go gromkie brawa. Poczul się, jakby były dla niego, ale prawda była taka, że Hubert musiał strzelić kolejnego gola.

Ruszył w stronę kina, ale raz jeszcze zajrzał do pracowni dzieciaka.

Popatrzył na narzędzia, na kleje, na leżące obok stare gazety. W kącie zobaczył kilka przedmiotów wykonanych z masy papierowej. I miał nieodparte wrażenie, że gdzieś już coś podobnego widział.

Wrócił do gry, chwycił za pada i znowu biegał po boisku, jakby piłkarz, którym sterował, cierpiał na zespół jelita drażliwego i nie wiedział, którędy do kibla. Ale Bener nie mógł skupić się na piłce, wciąż myślał.

Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to kosz na śmieci.

Właśnie w nim jakiś czas temu dostrzegł kolorowe rysunki ptaszków, instruktaż do ich zrobienia i zdobienia.

Bener poczuł, że trzęsą mu się ręce. Powiedział, że raz jeszcze musi iść do toalety, pokazał na swój brzuch i zrobił minę, która nawet pięciolatkowi wystarczyła za komentarz.

Zmierzwił chłopcu czuprynę, obiecał, że przyniesie z dołu coś do jedzenia i picia i poprosił, by znowu pogłodził grę.

7

Zawodnicy Legii Warszawa nie byli mistrzami świata, nawet nie Europy. Hubert o tym doskonale wiedział, ale najbardziej lubił grać Michałem Pazdanem, który był jego ulubionym piłkarzem. Posłał właśnie piłkę na środek boiska, gdzie na klatę przyjął ją inny legionista i natychmiast zagrał prostopadłe podanie do wychodzącego napastnika. Ten dobrze przyjął piłkę i sprintem ruszył na bramkę, wyprzedzając obrońców.

Hubert zagryzł wargę.

Piłkarz wpadł w pole karne, Szpakowski wchodził na wyższe tony, publiczność wzmogła doping. W pomieszczeniu było przeraźliwie głośno, chóralne śpiewy kibiców niosły się z każdego głośnika, ale Hubertowi to odpowiadało. Do pełni szczęścia brakowało tylko gola.

Zrobił zwód, zatrzymał piłkarza, poczekał, aż miną go obrońcy, i wtedy puścił po ziemi podanie do wbiegającego na jedenasty metr drugiego napastnika, który od razu strzelił. Piłka szła w prawy górny róg.

Hubert zamarł. Bramkarz odbił się i leciał, wyciągając długie ręce. Ostatkiem sił wybił piłkę, która zmierzała w samo okienko.

W chwili, gdy z trybun rozległ się jęk zawodu, Hubert usłyszał z dołu jakiś głuchy dźwięk. Brzmiało to trochę jak spadające garnki,

które ostatnio tacie wymsknęły się z rąk i wylądowały na podłodze.

Odłożył pada na sofę i wystawił głowę z pokoju.

– Wszystko okej? – rzucił. – Tato?

– Okej, jasne, że okej – zaśmiał się Bener. – Już idę. Gola strzeliłeś?

– A co się stało?

– Nic, potrąciłem garnek – usprawiedliwił się Bener. – A tata nadal pracuje.

Hubert uznał, że wujek musi być zmęczony sprzątaniem, bo mówił jakoś tak dziwnie i sapał.

– Nie strzeliłem – stwierdził zawiedziony. – Ale było blisko.

– Świetnie! Wracaj na murawę, zaraz będę!

8

Bener wniósł do pokoju kinowego dwie szklanki i karton soku. Postawił wszystko na stole, a potem energicznie zaciskał i rozluźniał pięść.

Hubert spojrzał na niego.

– Gramy dalej? – spytał.

Bener nie odwracał wzroku od ekranu.

– Jeszcze tylko sprzątnę na dole i zaraz wracam, dobra?

– Dobra!

Bener odwrócił się do drzwi.

– Wujek, a ty tosty robisz? To rękę sobie umyj, bo masz na niej keczup. A tata się złości, jak mam brudne ręce i siadam do grania. Mówi, że pady się wtedy szybciej zniszczą.

Bener zamarł i spojrzał na swoją prawą dłoń.

– Jasne – powiedział i wyszedł.

9

Z góry dochodziły odgłosy meczu.

Na dole słyhać było tylko pojękiwania Elbińskiego.

Bener złapał go za frak i podniósł z podłogi. Gospodarz miał na koszulce krew, która leciała strumieniem z jego nosa i rozbitej wargi. Szkarłatne plamki wykwiwały też na brązowych panelach.

– Nie kłam, kurwa! – syknął dziennikarz i znowu zacisnął pięść.

Elbiński próbował się wyrwać, ale chwyt Benera był mocny. Marek uderzył jeszcze raz, aż mężczyzna zgiął się wpół i osunął na podłogę. Przez chwilę nie mógł złapać powietrza.

– Hasło do piwnicy – ryknął Bener. – Kurwa, już!

Mężczyzna leżał oszołomiony, ale w końcu wydukał cztery cyfry.

Bener cofnął się do korytarza, wbił kod i otworzył drzwi. Następnie wrócił po Elbińskiego i postawił go na nogi, a potem pchnął w stronę piwnicy. Mężczyzna nie próbował się bronić.

– ...przyjechała... żeby wysłać – wydukał chyba nie w pełni świadomie.

– Kto? – warknął Bener, gdy zaczęli schodzić w dół. Elbiński trzymał się poręczy, a jego brudna od krwi dłoń, którą próbował zatamować krwawienie, zostawiała na chromowanym materiale długie rozmazy.

– Ale tak nie można... było mi żal... a teraz...

Bener niewiele rozumiał z tej paplaniny.

– To na ciebie mówią Czar Jot? – spytał.

– Tak... dawno temu...

Zeszli do piwnicy, w której automatycznie zapaliło się światło.

Elbiński otarł nos z krwi, podszedł do kolejnych szyfrowanych zamkiem drzwi i wbił kod, zostawiając na klawiaturze bordowe smugi. Pociągnął za klamkę.

Bener zerknął do ciemnego wnętrza.

Pod ścianą leżała dziewczyna.

Wepchnął do pomieszczenia Elbińskiego, a sam podszedł do Moniki i przewrócił ją na bok.

Była półprzytomna.

10

Huberta odebrała babcia.

Elbiński zebrał się w sobie i zadzwonił po matkę, ale sam nie pokazywał się chłopcu na oczy. Bener spakował rzeczy Huberta w torbę i powiedział mu, że tata musiał natychmiast wyjechać. Nie zrobiło to na chłopcu wrażenia, widocznie nie pierwszy raz tak się działo. Pożegnali się i Bener zamknął drzwi, co niespecjalnie podobało się babci. Nie rozumiała, dlaczego Bener może tu zostać, mimo że Elbiński uprzedził ją o tym w rozmowie. Wyczuwała smród. Szkoda, że nie wyczuła wcześniej.

Potem wyniósł Monikę z piwnicy, zostawiając w niej Elbińskiego, któremu zabrał telefon. Gdy ułożył dziewczynę bezpiecznie w pokoju Huberta, z telefonu Elbińskiego wysłał SMS do jego ostatniego rozmówcy. Nie czekał długo, gdy pod domem zaparkował SUV. Bener wpuścił go za bramę i otworzył zamki.

Usłyszał kroki na zewnętrznych schodach.

Po chwili ktoś nacisnął klamkę i pchnął drzwi.

– Jesteś? – usłyszał kobiecy głos. – Halo?

Rozejrzała się niepewnie, aż wreszcie go dostrzegła i znieruchomiała.

– Wejdz! – rozkazał.

I Beata Szczot-Żelazna weszła.

WRZESIEŃ

1

Bener siedział na sofie w domu Żelaznego i czekał na spotkanie z Moniką. Pierwsze od czasu, gdy wyszła ze szpitala. Trafiła tam odwodniona i nafaszerowana lekami usypiającymi, które Elbiński podawał jej w jedzeniu i napojach, żeby się nie darła i nie wzbudziła niczych podejrzeń.

Wcześniej nie miał z nią żadnego kontaktu, jej ojciec surowo przestrzegał zaleceń lekarzy w tej kwestii. W końcu jednak zmiękł, ale nie dlatego, że Bener prosił, tylko dlatego, że prosiła Monika.

Zabijając czas i drżąc z powodu tego, czego dziś miał się dowiedzieć, przeglądał „Echo Torunia”, wydanie specjalne, w którym opisali historię zaginięcia Moniki Żelaznej i rozbitego układu grupy hazardowej zahaczającej o kręgi miejskiej władzy, policji, prokuratury i sądu. Rak zrobił świetne zdjęcia zapadniętej leśniczówki i tamtejszych podziemi, a także podczas akcji wydobywania zwłok z leśnych mogił. Dodatek rozszedł się natychmiast, więc w porozumieniu z reklamodawcami przygotowali dodruk w tej samej liczbie egzemplarzy.

Aldona stworzyła mistrzowski reportaż. Kilka faktów i zdarzeń musiała ukryć, ale nie zmieniało to treści. Relacja była znakomita nie tylko pod względem faktograficznym, ale przede wszystkim językowym

i konstrukcyjnym. Bener był z niej dumny i wiedział, że przyszła pora, by rozwinęła skrzydła. Zrobił nawet krok w tej sprawie i zadzwonił do znajomego w Warszawie.

– „Newsweek”, może być? – Wyciągnął w jej stronę rękę z czasopismem.

Aldona odgarnęła włosy i przysiadła na jego biurku.

– Czytałam już, dzięki.

– Nie masz czytać. – Mrugnął do niej. – Pytam, czy tytuł ci odpowiada.

W jej oczach pojawił się błysk radości.

– Chyba żartujesz! – krzyknęła.

– Nie śmiałbym. Dział Społeczeństwo odpowiada? – spytał. – Możesz zaczynać w każdej chwili.

Aldona ściągnęła brwi.

– Jak to załatwiłeś?

Bener był na to przygotowany.

– Niczego nie załatwiłem. Chcieli właśnie dać ogłoszenie, więc wysłałem znajomemu twoje teksty. Jeśli masz do kogoś pretensje, to tylko do siebie. Po cholereę tak dobrze piszesz? – zarechotał.

Ona też.

Wyściskała go i wtedy tak naprawdę poczuł, że wraz z jej odejściem wiele straci. Przede wszystkim najlepszą przyjaciółkę, a następnie najlepszego w zespole dziennikarza.

Bener wpatrywał się w gazetę, ostatnią, którą wspólnie zrobili, i czuł, że coś się kończy. Poradzi sobie, był tego pewien, ale jednak było

mu przykro.

Rozejrzał się po domu Żelaznych. Zatrzymał wzrok na ściennym zegarze z dużym, białym cyferblatem.

Przypomniał sobie, jak Beata Szczot-Żelazna weszła do domu Elbińskiego i jak ostatnie puzzle złożyły się Benerowi w zgrabny obrazek. Wcześniej zdradzała Żelaznego z Elbińskim, chciała się zresztą związać z nim na stałe. Ale przeżyła szok, gdy w mieszkaniu kochanka zobaczyła otumanioną pasierbicę, i Bener był pewien, że nie było to tylko udawanie. Tuż po tym, jak Elbiński oprzytomniał, opowiedział wszystko Benerowi. O hazardzie, o długach i o tym, jak zginęła jego żona. Potracił ją samochód, którym kierował Dalton. Bener wiedział, że chodziło o kobietę, o której mówił jego teść. Tę z Toporzyska. Po pogrzebie Elbiński znowu wpadł w uzależnienie, ale zaczął się leczyć natychmiast po tym, jak zaginął Hubert. Bał się, że syna porwał Walczyński.

– Może pan iść, czeka na pana – powiedział Żelazny, wchodząc do salonu. – Tylko proszę – dodał przyciszonym głosem – jest wykończona. Niech pan jej nie denerwuje.

– Nie będę – obiecał i na miękkich nogach zaczął wspinać się na piętro.

Monika wyglądała na wystraszoną, była blada. Stanął w nogach łózek, ale dziewczyna wskazała mu krzesło.

– Cześć. – Nic więcej nie przechodziło mu przez gardło.

Monika uśmiechnęła się lekko, ale więcej w tym uśmiechu było smutku niż radości. Podała mu pilota do telewizora.

– Miejsce na baterie – odpowiedziała.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Tam go schowałam.

Odwrócił pilot i spróbował zsunąć płytkę zabezpieczającą baterie, niestety wilgotne od potu palce ślizgały się. Wytarł je w dzinsy i spróbował jeszcze raz. Tym razem się udało.

Wyjął upchniętą watę i wpatrywał się w niewielki przedmiot jak w relikwię. Nie wiedział, co powinien zrobić.

– To jej? – wydusił, kładąc sobie lwi kiel na dłoni.

– Tak.

Bener zacisnął wisiór, aż krew odpłynęła mu z palców. Mały przedmiot rozgrzewał mu dłoń, przynajmniej tak mu się wydawało.

– Opowiesz mi? – spytał.

I opowiedziała.

2

Dwa dni po spotkaniu sam na sam w odludnym miejscu z Krzysztofem Żelaznym, Bener pojechał tam, gdzie – jak mówił Neumann – wszystko się zaczęło.

Znowu zaparkował samochód pod lasem w miejscu, gdzie ostatni raz pojawiła się Agata, a potem słuch o niej zaginał.

Obiecał, że ją odnajdzie.

Deszcz spływał po szybie, patrzył więc na rozmazany świat, ale w jego głowie wszystko rysowało się wyraźnie.

Wrócił myślami do rozmowy z Moniką Żelazną

– Latem poznałam Szamojskiego – zaczęła dziewczyna. – Podrzucił mnie do Torunia, bo czasami łapałam stopa na przystanku przy głównej trasie w Złejwsi. I od słowa do słowa, przypomniał mi historię swojego przyjaciela Edwarda Majewskiego, któremu zaginęła córka. A przecież ja go dobrze znałam z dzieciństwa. Podobno pan Edward prosił mojego ojca, by zaopiekował się jego żoną. Szamojski opowiedział mi też pana historię, a na koniec pokazał „Echo Torunia” z reklamą firmy mojego ojca. Z tym akrostychem. Wtedy zrozumiałam, że tata może mieć coś wspólnego z zaginięciem córki pana Edka. Pokłóciliśmy się, poszło na noże.

– Zamieszkałaś u Elbińskiego?

– Małżeństwo moich rodziców rozpadało się, wiedziałam, o tym, że mama odejdzie od ojca, bo sama mi to powiedziała. Załatwiła mi u Elbińskiego pracę, miałam opiekować się Hubertem. A kiedy pokłóciłam się z ojcem, poprosiłam Elbińskiego, żeby mnie przenocował.

– To była niedziela?

– Tak, dlatego odwiedziłam jeszcze Patrycję, weszliśmy do niej na chwilę, przedstawiłam pana Adama jako mojego chłopaka i powiedziałam, że zabiera mnie na szalony wieczór do Białego Mostu. Potem uprosiłam go, by zawiózł mnie tam tylko po to, żebyśmy zrobili sobie zdjęcie. Wysłałam je, bo Patrycji mogło być przykro, że nie chcieliśmy u niej zostać. A tak przynajmniej wiedziała, że jestem szczęśliwa, że zakochani mogą mieć swoje plany. Była już lekko wstawiona, wydawało mi się, że zrozumiała. Potem i tak miałam ją przeprosić.

– Co w takim razie poszło nie tak?

– Wszystko. Następnej nocy Elbiński podrzucił mnie do domu. Musiałam zabrać trochę ciuchów.

– I co?

– Zobaczyłam ojca przez okno. Siedział na sofie, chował głowę w dłoniach, a przed nim na stole leżało kilka rzeczy. Oczekałam, aż zaśnie. Wciąż miałam przy sobie klucze, więc weszłam do domu i zobaczyłam, że tata ma notatnik pana teścia, a także wisiorek. Ten sam, który nosiła pana żona.

– Skąd to wiesz?

– Obok leżało „Echo Torunia” z artykułem o zaginionych i ze zdjęciami. Zdjęcie pana żony też tam było, miała ten wisiołek na szyi. To samo zresztą jest na stronach fundacji Itaka.

– Skąd to miał?

– Nie umiał mi powiedzieć, ale wiedziałam, że oszukuje. Mówił tylko, że to jego wina, ale do dziś nie wiem, co miał na myśli. Na wszelki wypadek zrobiłam te zdjęcia, zanim go obudziłam, a wisiołek schowałam.

– Ale coś ci przeszkodziło.

– Nie, wtedy jeszcze wszystko szło dobrze. We wtorek rano umówiłam się z Szamojskim, że zawiezie mnie do redakcji. Rozmawialiśmy długo, podrzucił mnie i czekał na dole. Weszłam i resztę pan pamięta.

– Nie zaczekałaś.

– Zorientowałam się, że rozmawia pan z moim ojcem. Zadzwoiłam do niego na komórkę, sygnał był zajęty. Więc uciekłam, bałam się, że mnie pan nie wysłucha, tylko ściągnie ojca. Wyłączyłam telefon, żeby tata mnie nie nękał. Musiałam odpocząć i zebrać myśli.

Bener zachęcił, by kontynuowała.

– A potem zastanowiłam się, co ja robię. Bo wciąż mi się wydawało, że za mało w tej sprawie wiem i nie powinnam tak pana niepokoić jakimiś insynuacjami. Nie znałam i do tej pory nie znam roli mojego ojca w tym wszystkim. Wróciłam do Elbińskiego i wszystko mu opowiedziałam o całej sprawie. Następnego dnia wpadł do domu i spytał, co robię. Pokazałam mu zdjęcia, które chciałam wysłać panu

mailem, a on się wściekł. Wpadł w szal, że tak nie można, że to może jakieś bzdury są, że być może zranię pana, bo wleję jakąś nadzieję. Mówił, że pana znał i cenił za uratowanie Huberta, i wiedział, jak pan przeżywa zaginięcie żony.

– Bo to prawda.

– Zostawiłam więc kopię roboczą w komputerze.

– I wysłałaś do mnie SMS, że chcesz się spotkać.

– Nie, to nie ja. Chciałam, ale Elbińskiego znowu poniosło. Bał się o Huberta, bał się, że ściągnę na niego jakieś nieszczęście. Potem już do tego doszłam, że znał Walczyńskiego i sam kiedyś uprawiał hazard, że długo go spłacał. Częściowo sam się wygadał. Wiedział, że jeśli nadepnę komuś na odcisk, to oni do niego wrócą. A raczej dobrać się do jego syna.

– Dlatego zamknął cię w piwnicy?

– Tak, i zabrał komórkę.

– Więc to nie ty wysłałaś SMS.

– To jego robota. Nie wiem, co chciał osiągnąć, ale podobno powiedział też mamie, że uciekłam z jego domu i on nie wie, gdzie się podziewam.

Bener westchnął na wspomnienie tej rozmowy i opuścił przednią szybę.

Kilka kropel słabnącego już deszczu spadło na tapicerkę. Świeże powietrze kusiło zapachem lasu.

Wszystko już wiedział, ale w tej historii, którą opowiedzieli Monika i wcześniej Szaman, nadal coś mu się nie zgadzało.

Wybrał numer do Aliena, a ten przekazał Szamojskiemu słuchawkę.

– Dziękuję – powiedział Bener. – Dziękuję i gratuluję.

– Czego? – Szaman był szczerze zdziwiony. Po chwili ciszy odchrząknął flegmę. – Czego mi gratulujesz?

– Akrostychu, bo to twoja robota – zaczął Bener. – To nie Żelazny wykupił reklamę, tylko ty. Zrobiłeś to tylko po to, by wciągnąć do gry Monikę. To dlatego Żelazny tak dziwnie się zachowywał, jemu też pokazałeś tę gazetę. Dlatego mnie zatrudnił. Chciał wyczuć, ile wiem.

– Jesteś dobry, Marek. Bardzo dobry. Zawsze w ciebie wierzyłem.

– Ale chodziło też o coś znacznie poważniejszego.

Szaman zaciągnął się.

– To Żelazny wydał mojego teścia Walczyńskiemu. – Bener dopiero teraz to zrozumiał. – To u niego w domu go dopadli, ściągnął go tam pod pretekstem jakiejś dalekiej trasy albo dobrego zarobku. Stąd mógł mieć zeszyt i wisiorek Agaty. Może dała go ojcu, być może miał go oddać do lombardu?

– Brawo, Marek – powiedział Szaman. – Żelazny jest bardzo umoczony. Manipulowali jego synem, a on tańczył tak, jak mu zagrali.

– Ale dlaczego zależało mu na mojej teściowej, czemu się nad nią litował?

– Wiesz przecież – odpowiedział Szaman.

– Bo chciał zacierać ślady i pokazać, że jest szlachetnym człowiekiem. Że nigdy nie wydałby mojego teścia. To miało być jego alibi, tak?

Szaman znowu się zaciągnął.

– Ale w takim razie – kontynuował Bener – jeśli to wszystko jest prawda, to gdzie jest Agata?

Szaman nie odzywał się przez dłuższą chwilę, po czym zaciągnął się papierosem.

– Wiesz tyle co i ja, Marku – stwierdził spokojnie. – Agata jest wolna.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wszystko i nic. Każdy z nas inaczej rozumie pojęcie wolności.

Bener nie dowierzał, że właśnie teraz Szaman wciskał mu filozoficzne kity.

– Odnajdę ją – zapewnił Szamana, ale bardziej starał się zapewnić siebie.

– Wiem. Twoja determinacja – znowu zrobił pauzę – jest niezmiennie taka sama. I pamiętaj: tylko martwi ujrzeli koniec wojny. A ty przecież wciąż żyjesz.

Rozmowa została przerwana.

Bener nabrał powietrza i zasunął szybę.

Z bagażnika dobiegł go rumor, a potem stłumiony męski jęk, który przerodził się w krzyk. Jeszcze nie wiedział, co zrobi z Żelaznym. Na razie kazał mu się zamknąć.

Uruchomił samochód i odjechał z miejsca, gdzie ostatni raz widziano Agatę.

Tym razem nie uciekał przed sobą ani przed przeszłością. Tym razem jechał prosto przed siebie, żeby wyjść naprzeciw swojej

przyszłości. Bo zrozumiał, że w sprawie zaginięcia Agaty marnował czas. Teraz czekała na niego pusta kartka, którą dopiero musiał zapełnić. A nowa kartka oznaczała tylko jedno: koniec z jakimkolwiek oszukiwaniem się. Do tej pory szukał jej wszędzie dokoła. Teraz musiał zmierzyć się z innym problemem. Musiał przyjrzeć się bliżej przeszłości własnej żony. Musiał spojrzeć tam, gdzie jeszcze nigdy nie szukał.

Być może w przeszłości wybrała drogę, którą podąża teraz.

I dlatego jest wolna.

Cokolwiek ta wolność znaczy.

PODZIĘKOWANIA

Drugi tom przygód Marka Benera pewnie by nie powstał, gdyby nie pomoc i wsparcie wielu osób.

Dziękuję Wam, najlepszym Czytelnikom, którzy sięgnęli po moją debiutancką powieść *Najgorsze dopiero nadzieje* i dopingowali mnie w pisaniu drugiego tomu. Wszystkie Wasze opinie wyrażone na spotkaniach, na Facebooku czy w mailach, były i pozostają dla mnie niezwykle ważne.

Dziękuję też Blogerkom i Blogerom, którym pierwszy tom przypadł do gustu, a ich entuzjastyczne recenzje zachęcały kolejne osoby do sięgnięcia po *Najgorsze*. Ukłon!

Przy pisaniu *Porzuć swój strach* miałem możliwość korzystać z uwag życzliwych mi osób, które poświęciły swój czas na poszukiwanie w tej powieści słabych stron i wszelkich fabularnych zgrzytów. Zrobili to tak rewelacyjnie, że postanowiłem zataić ich prawdziwe nazwiska, czym zagwarantowałem sobie możliwość dalszej z nimi współpracy i tego, że koleżanki i koledzy po piórze nie będą mogli skorzystać z ich usług. Sprytne, nie? Zatem nie szukajcie tych nazwisk na Facebooku.

Serdecznie dziękuję Natalii, Ewie i Markowi Pijanowskim oraz pani Alicji Pedrycz, Ani Rozenberg i Agnieszce Gracy, których uwagi ukształtowały tę powieść. Będzie mi miło, jeśli pomożecie mi w pracy

nad trzecim tomem tej „toruńskiej trylogii”.

Bardzo dziękuję mojemu redaktorowi Karolowi Godlewskiemu za wszystkie mądre uwagi i rozprawienie się ze wszelkimi mieliznami i słabościami tekstu. Redakcja powieści z takim fachowcem, to prawdziwa przyjemność. Nie ukrywam więc, że liczę na dłuższą współpracę!

Nisko kłaniam się pani doktor Jolancie Celebuckiej, kierownicze Wojewódzkiej Poradni Terapii Uzależnień i Współuzależnienia w Toruniu, która szczegółowo opowiedziała mi o roli terapii w leczeniu uzależnionych od hazardu. Dziękuję za poświęcony czas!

Bardzo dziękuję Robertowi Falewiczowi, redaktorowi naczelnemu wydawnictwa Czwarta Strona, za serdeczność i niewyczerpane porcje dobrej energii.

Podziękowania kieruję też do Patryka Mierzwy, redaktora prowadzącego, który nie szczędził sił i zawsze służył wszelkim wsparciem.

Kłaniam się nisko cudotwórcy Piotrowi Sternalowi (przede wszystkim za to, że będzie dobrze!) oraz Ani Wasiak (za poranne podsyłanie maili z akcji marketingowych, które zawsze sprawiają mi mnóstwo radochy, bo łagodzą stres związany z nadejściem deadline’u – kontynuuj to, proszę!).

Dziękuję też wszystkim pozostałym członkom ekipy Czwartej Strony, która zawsze gra jak z nut!

I jeszcze garść podziękowań: Marcie Matyszczak (za wszystko!), Katji Tomczyk (za zaproszenie do projektu Wykup słowo i cenne

uwagi!), Markowi Ospalskiemu (za organizację mojego pierwszego spotkania autorskiego w Toruniu), toruńskiej księgarni Bookinista (za niezwykłą życzliwość, organizację spotkań autorskich i wspaniałą promocję *Najgorszego*. Idźmy dalej tą drogą, Drogie Panie!), Agnieszce Pruskiej (za wszelką pomoc), Klaudii Bryle (mega thx!), a także Zbyszkowi Zawadzkiemu, Izie Szymczak i Mateuszowi M. Lembergowi oraz pozostałym członkom stołecznego Klubu Rozmów Literackich „Żeberko” (za miłe przyjęcie w Warszawie), Marcelowi Woźniakowi (za „wymianę” bohaterów z naszych „toruńskich” powieści i „użyczenie” Leona Brodzkiego) oraz Magdzie Kostrzewskiej z Maszyny do Pisania (za wszelkie dobro!).

Ściskam Kasię Bonde, Martę Mizuro, Mariusza Czubaja i Ryszarda Ćwirleja oraz Leszka Koźmińskiego, Pawła Leśniewskiego, Marcina Mańczaka, a także Hanię i Wojciecha Bursztów. Jak to dobrze, że jesteście!

Niezmiennie kieruję słowa uznania dla zespołu Dżem, którego muzyka zawsze towarzyszy mi przy tworzeniu powieści i niezwykle inspiruje.

A na koniec bardzo dziękuję całej mojej Rodzinie.

Żonie Kasi dziękuję za to, że dzielnie znosi moje humory i że zawsze mogę na Nią liczyć, a synkowi Maksowi dziękuję za użyczenie pokoju i biurka na czas pisania tej powieści (wiesz, że u Ciebie pisze mi się najlepiej. Jesteś wielki!).

Za wszystkie błędy w tej powieści odpowiada wyłącznie autor.

Przykre to i niesprawiedliwe.

Robert Małecki

facebook.com/robertmalecki.autor

instagram.com/robertmalecki.autor

POLECAMY

**„ZWROTY AKCJI WYBUCHAJĄ JAK BOMBY, A FINAŁ
WYSADZI CIĘ W POWIETRZE!”**

ROBERT MAŁECKI

P R Z E M Y S Ł A W
BORKOWSKI

Niespodziewane zwroty akcji wybuchają jak bomby,
ale dopiero finał wysadzi cię w powietrze. Jeśli
masz ochotę się rozerwać, przewróć stronę!

ROBERT MAŁECKI

Z A K Ł A D N I K



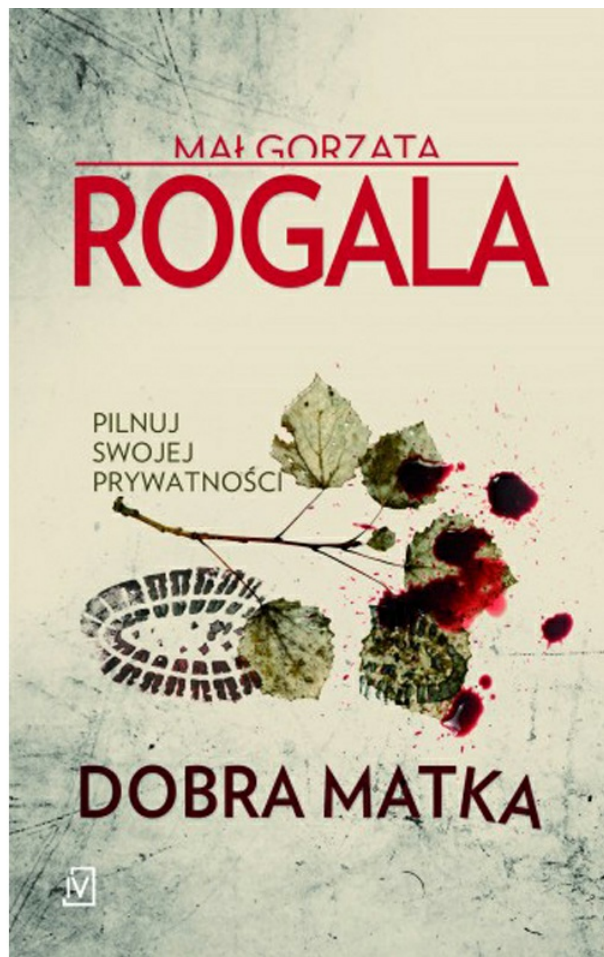
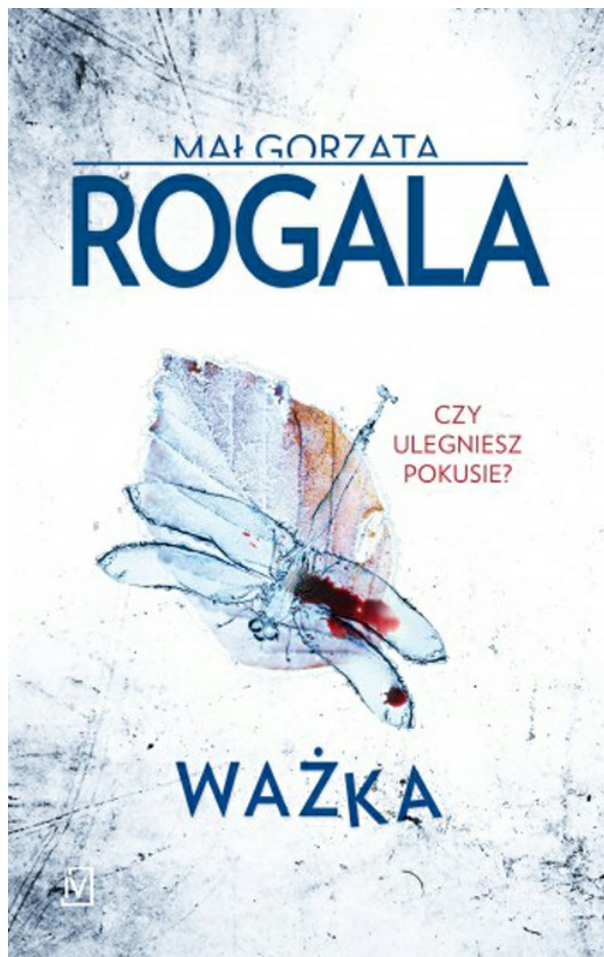
Podczas porannego programu na żywo do studia telewizyjnego wkracza uzbrojony mężczyzna. Bierze zakładników, zabija jednego z nich, a następnie odczytuje bezsensowne oświadczenie i popełnia samobójstwo.

Był zwyczajnym człowiekiem – mężem, ojcem i dobrze prosperującym przedsiębiorcą.

Co popchnęło go do tego czynu? Czy był zwykłym szaleńcem, czy też człowiekiem realizującym precyzyjny plan? Psycholog Zygmunt Rozłucki i dziennikarka Karolina Janczewska – świadkowie tego wydarzenia – postanawiają odpowiedzieć na te pytania, kręcąc reportaż. Ich podróż śladami zamachowca niespodziewanie zamieni się w śledztwo dotyczące tajemniczej śmierci sprzed lat. Czy zdołają rozwiązać zagadkę z przeszłości? Czas goni, a od wyniku ich poszukiwań zależy może życie kilku całkiem niewinnych młodych ludzi.

INTRYGUJĄCA I WCIĄGAJĄCA SERIA KRYMINAŁÓW,

OD KTÓRYCH TRUDNO SIĘ ODERWAĆ!



Wielowątkowe śledztwa, brudne tajemnice sprzed lat, seryjni mordercy... Policjanci Agata Górka i Sławek Tomczyk znowu w akcji.

Starsza aspirant Agata Górka rozpoczyna prywatne śledztwo w

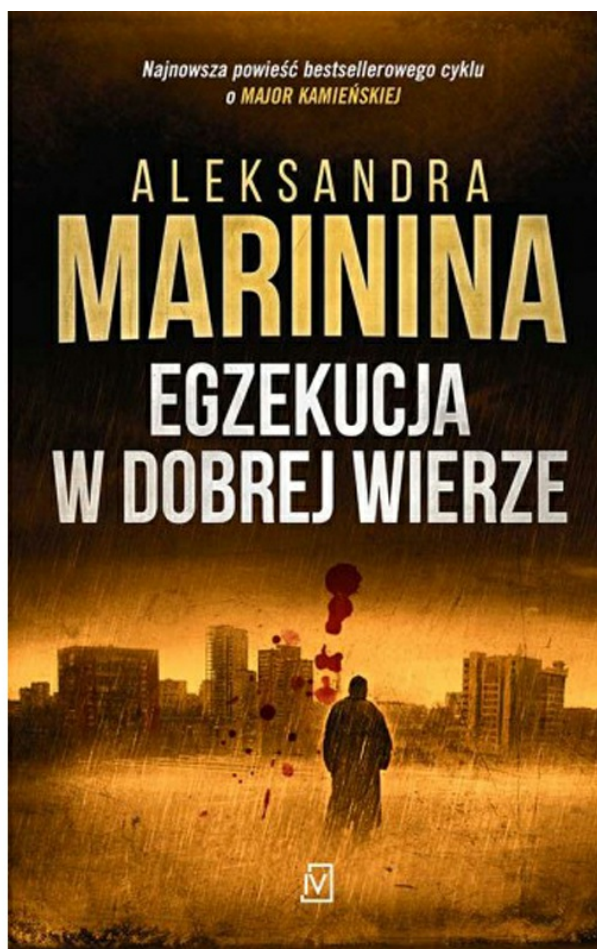
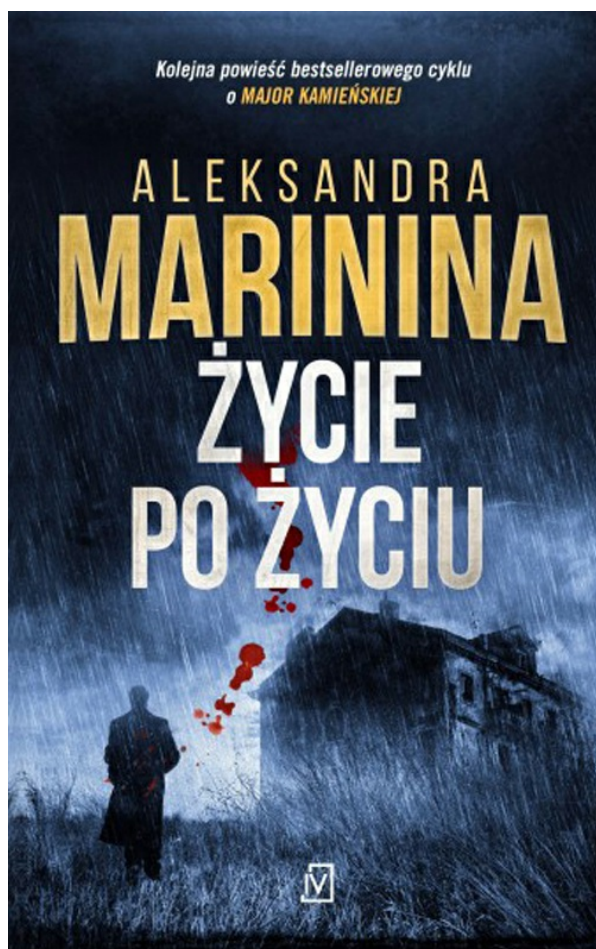
tajemnicy przed przełożonymi, gdy okazuje się, że śmierć jej koleżanki, Leny, nie była przypadkowa. Jedynym tropem jest tajemnicza broszka w kształcie wążki, o której Lena wspomniała podczas ich ostatniego spotkania.

Tymczasem partner Agaty, Sławek Tomczyk, prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa wyrachowanego dziennikarza – jego zwłoki odnaleziono w redakcji gazety internetowej. Zamordowany nie wahał się sięgać po niemoralne środki w pogoni za sensacją i wywlekał na wierzch brudy mieszkańców Warszawy, więc krąg podejrzanych nieustannie się rozszerza.

Czy sprawa zabójstwa Woźnickiego oraz śmierci Leny są ze sobą powiązane? Jaki sekret skrywa broszka w kształcie wążki?

ALEK ROGOZIŃSKI

CARYCA ROSYJSKIEGO KRYMINAŁU POWRACA!



Dwa identyczne zabójstwa wstrząsają życiem prowincjonalnego miasta. Na piersiach ofiar sprawca zostawia potłuczone lusterko a z uszu wrywa kolczyk. Do morderstw dochodzi w dużych odstępach czasu, co wyklucza najprostsze rozwiązania. Kto mógł zabić dwie szanowane obywatelki? Maniak wzorujący się na makabrycznej legendzie czy wyrachowany naśladowca?

Kiedy miejscowa policja postanawia umorzyć śledztwo, zaniepokojony

o przyszłość własnych interesów biznesmen zwraca się o pomoc do agencji detektywistycznej Władysława Stasowa. Ze względu na poziom trudności, Stasow przydziela zadanie emerytowanej pułkownik moskiewskiej policji, Nastazji Kamieńskiej. Czy jednak była policjantka poradzi sobie z działaniem pod przykrywką socjologa?